

KIEN

NGUYEN

Gobelin



KIEN NGUYEN

Gobelin

Z angielskiego przełożył
PIOTR JANKOWSKI



WARSZAWA 2004



*Dla mojej matki,
dla ojca chrzestnego, Franka Andrewsa,
i dla mojego mentora Nhat Tiena*

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Ślub

HUE, STYCZEŃ 1916

Podczas zimowych miesięcy Rzeka Perfumowa była bardzo chłodna, szczególnie o świcie. Dzień ślubu Dana Nguyena nie stanowił wyjątku. Słońce jeszcze się nie pokazało, lecz jego pierwsze promienie przeblyskiwały już zza góry Ngu Binh, wyciągając bladożółte palce ku niebu. Przepływały rzadkie chmury, a wiatr podnosił z ziemi wirujące kłęby mgły; wilgotne pasma płynęły ponad wspinającym się na strome zbocza dębowym lasem i wtapiały się w horyzont.

Nadrzeczny pas ziemi, wciąż pogrążony w ciemności, wyglądał niczym unoszący się na wodzie krokodyl. Dwieście metrów dalej płynął z wolna pod prąd samotny sampan *. Jego burty zostały pomalowane czerwoną żywicą z drzewa łąkowego i ozdobione deseniem ze złotych czworoboków. Był to wzór zastrzeżony dla łodzi weselnych.

* Mała płaskodenna łódź wiosłowa lub żaglowa, używana na rzekach lub wodach przybrzeżnych wschodniej Azji.

Na rufie siedział przygarbiony stary człowiek o białych włosach. W żylastych rękach trzymał wiosło, pochylając się mocno w rytm jego pociągnięć. Wydawał się zagubiony we własnym świecie. Spojrzenie

ocienionych wystrzępionym stożkowym kapeluszem oczu skupił na wodzie. Jego wypłowiała niebieska koszula rozdarła się na plecach, ukazując wystające zębra. Obok mężczyzny wisiała czerwona latarnia, rzucająca niewielki krąg światła przed dziobem łodzi. Ciszę zakłócał tylko słaby plusk wiosła odgarniającego wodę.

Za starcem znajdowała się niewielka kabina, umieszczona na środku łodzi, nakryta dachem z polakierowanych na czerwono, powiązanych palmowymi liśćmi łodyg bambusa. Z przodu zwisała różowa jedwabna tkanina, na której kanarkowożółty smok spletał się ze swą partnerką, równie pełną wdzięku samicą feniksa. Zwyczaj wymagał ukrycia panny młodej przed wzrokiem ludzkim. Siedziała więc za jedwabną zasłoną, nie wydając głosu, podczas gdy łódź kotłowała się łagodnie w rytm poruszeń sternika.

W chwili gdy ponad purpurową górą ukazało się słońce, stary skierował weselny sampan w stronę brzegu. Światło słoneczne przedarło się przez chmury tysiącami małych złotych grosików. Mężczyzna zmrużył oczy, wypatrując na brzegu przystani. Nie musiał długo szukać.

Na wprost łodzi, na wrzynającej się w wodę wąskiej grobli, stało w ciasnej grupce dwadzieścia osób z rodziny pana młodego. Większość odziana była w *ao dai*, ceremonialny strój, przeznaczony właśnie na takie okazje. Ubiory mężczyzn i kobiet były podobne: jedwabna lub satynowa tunika rozdzielona od pasa w dół na dwie części, przednią i tylną. Mężczyźni nosili pod tą szatą białe spodnie, kobiety zaś bardziej praktyczne – czarne.

Weselnicy przygotowali miejsce przybicia łodzi, rozwieszając sznury petard na gałęziach drzew tamaryszkowych. W chwili przybicia sampana dwóch najstarszych mężczyzn zapaliło laseczki kadzidła, rozpoczynając ceremonię. Następnie podpalili petardy. Czerwone pociski wyprysnęły w poranne powietrze niczym płatki kwiatów, budząc ze snu stada jaskółek. Szare skrzydełka ptaków zatrzepotały wśród ciemnych

konarów, a ich świergot dołączył do ogólnego zgiełku. Ogłuszający huk petard miał odpędzić złe duchy, podczas gdy rodzina pana młodego przygotowywała się do przyjęcia przyszłej synowej.

Stary człowiek zszedł z łodzi, podtrzymywany przez dwóch młodych służących. Zdjął kapelusz i skłonił się starszyźnie rodzinnej. Był to gest mechaniczny, aczkolwiek pełen kurtuazji. Mężczyzna spojrział na zaścielające ziemię czerwone rurki po petardach. Huknęło kilka ostatnich i nad rzeką znów zaległa cisza. Nawet mgła wracała na poprzednie miejsca, otulając dęby.

Z grupy witających wystąpił mężczyzna mniej więcej czterdziesto-pięcioletni, o oczach osadzonych głęboko pod krzaczastymi brwiami. Wysokie kości policzkowe i opuszczone kąciki ust nadawały jego twarzy wyraz pośpności i mrocznego autorytetu. Zwój z czarnego jedwabiu, złożony w wiele warstw, okalał jak aureola czubek jego głowy. Miał *ao dai* w kolorze morskiego błękitu, ozdobione subtelnymi ciemniejszymi cętkami haftu, królewskim symbolem długowieczności. Najprzedniejszej jakości przędza jedwabna była dziełem jedwabników ze słynnej wioski Phu Yen. Nawet bogaczy stać było tylko na kilka takich strojów. Mężczyzna odpowiedział na pozdrowienie starca niespiesznym ukłonem, po czym splótł dłonie i przycisnął je do brzucha, wnętrzem do góry.

– Witam pana – zwrócił się do gościa. – Jestem Tat Nguyen, ojciec pana młodego. Zapraszamy do naszej skromnej wioski.

Stary pochylił nisko głowę i nie było widać jego ust, gdy mówił:

– Dziękuję, panie Nguyen. Obawiam się jednak, że nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia. Miałem dostarczyć moją wnuczkę do waszego domu i uczyniłem to. Teraz pora się pożegnać. Zabierzcie ją do pana młodego. Od tej chwili należy do twojego domostwa, panie.

Odsunął się i rodzina pana młodego zbliżyła się do łodzi. Do służących na sampanie dołączyło dwóch kolejnych i każdy stanął przy jednym rogu kabiny weselnej. Następnie mocnym, skoordynowanym

ruchem dźwignęli ją i znieśli na brzeg.

Pan Nguyen uniósł rąbek szaty i podszedł do kabiny. Odsunął wierzchem dłoni jedwabną zasłonę i zajrzał do wnętrza. Spoglądała nań dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia, odziana w czerwoną ślubną suknię. Przykucnęła na środku kabiny w wyraźnie niewygodnej pozycji, lecz odsunęła się na jego widok w głąb ciasnego schronienia. Szeroko rozstawione skośne oczy strzelały na boki, jakby szukała drogi ucieczki. Przez lata pracy na powietrzu jej skóra wchłonęła tyle słonecznego światła, że zdawała się emanować blaskiem. Młoda kobieta miała duży, spłaszczony nos, szerokie usta i zbyt duże zęby, zaplamione czarnym sokiem z orzeszków betelu. Nguyen zmarszczył z dezaprobatą brwi.

– Czy podoba ci się to, co widzisz, panie? – rozległ się za jego plecami skrzekliwy kobiecy głos.

Odwróciwszy się, ujrzał starą kobietę, tak przygiętą do ziemi, że zdawała się pełzać raczej, niż chodzić. Była to swatka, która doprowadziła do tego zaaranżowanego małżeństwa. Próbując uchwycić jego spojrzenie, wyginała szyję do góry jak kaczka.

– Ile ma lat? – zapytał.

– Dwadzieścia cztery, panie.

Skrzywił się jeszcze bardziej.

– Stara panna, tak?

– Jest bardzo zdrowa – odpowiedziała szybko swatka. – I silna jak byk. Spójrz na jej piersi, jakie są ciężkie. Obdarzy cię mnóstwem wnuczęt.

Jego twarz złagodniała.

– Jak masz na imię, córko? – zapytał, spoglądając na dziewczynę.

Swatka na te słowa odwróciła się uszczęśliwiona do pozostałych.

– Pan ją przyjął! Nazwał ją córką! – zawołała. – Przyprowadźcie muzykantów.

Okrzyki podekscytowanej staruchy przytłumił o wiele głośniejszy

dźwięk, dobiegający z wylotu ulicy – pulsujące dudnienie bębna. Po chwili na grobli pojawił się wielobarwny, lśniący smok z drewna, tektury i papier-mâché. Niesiony na długich bambusowych drągach, wyglądał tak, jakby płynął ponad wioską. Pod smokiem tańczyli w rytmie bębna młodzi mężczyźni w białych koszulach i czerwonych spodniach. W słońcu poranka paliły się jasno lampiony w kształcie motyli i ryb. Solistka odśpiewała sopranem końcową partię ze sławnej opery *Zasłubiny króla*. Jej głos wzniósł się do najwyższej nuty, a potem także stopił ze zgiełkiem zabawy. W powietrze poszybowały kolejne fajerwerki i nikt chyba nie zauważył, kiedy stary człowiek wsiadł do sampana i odpłynął z nurtem rzeki. Gdy hałasy nieco ucichły, panna młoda nieśmiało odpowiedziała na pytanie teścia.

– Mam na imię Ven, panie.

– Dobrze – skinął głową pan Nguyen. Było to pospolite imię i mógłby tak nazwać na przykład psa. Lecz jakoś do niej pasuje, pomyślał.

Swatka podała mu czerwony welon, a on nałożył go na głowę dziewczyny, zasłaniając jej twarz. Od tej chwili widziała jedynie czerwone czubki własnych pantofli; przyjęła to jednak z wdzięcznością. Gęsta tkanina stała się jej tarczą ochronną. Sama w obcym miejscu, wołała, żeby poprowadzono ją przez ceremonię jak ślepa, nieświadoma uwłaczających spojrzeń, takich jak to, którym zmierzył ją właśnie ojciec przyszedłego męża. Gdzieś głęboko dręczyła ją ciekawość, nieuchwytna jeszcze jak dym. Jak on wygląda? Nie wiedziała nic o swoim narzeczonym. Jaki ma charakter, co lubi, czego nie lubi? Nie знаła nawet jego imienia. Lecz w tym momencie jej życia znaczyło to dla niej niewiele. Miała wkrótce zostać mężatką, czy jej się to podobało, czy nie.

W końcu weselnicy zatrzymali się przed tylnym, jak sądziła, wejściem do domu. Ktoś odsunął jedwabną zasłonę i ujął szorstką dłoń dziewczyny. Poznała pomarszczoną rękę swatki. Stara kobieta

poprowadziła ją błotnistą ścieżką do drewnianych drzwi.

Przed nimi stał na ziemi saganek z rozżarzonymi węglami. Wedle zwyczaju panna młoda przed wkroczeniem do nowego domu musiała przejść nad buzującym paleniskiem. Ogień miał uwolnić ją od złych duchów, które wciąż do niej lgnęły. Swatka wyjaśniła Ven, że z powodu niekorzystnej daty urodzenia astrolog zalecił, by weszła do domu tylnymi drzwiami i udała się prosto do pokoju nowożeńców. Weselne przyjęcie będzie się toczyć bez jej udziału.

Miała cierpliwie czekać, aż przyjdzie jej mąż i podniesie welon. Była to kolejna ważna tradycja, której kazano jej przestrzegać, jeżeli chciała liczyć na długie i szczęśliwe życie z tym człowiekiem. Na razie widziała więc tylko podłogę pod stopami, gdy prowadzono ją przez niewidoczne pomieszczenia, by w końcu pozostawić na łożu małżeńskim, samą w obcym domu.

Ven nie wiedziała, od ilu godzin tak siedzi. Gasnące smugi światła na podłodze powiedziały jej, że dzień przeszedł w noc. Za oknem cichły odgłosy zabawy. Śmiechy gości z wolna zmieniały się w pijacki bełkot. Dziarska opera skończyła się i teraz tylko sennie zawodziła lutnia. Dziewczynę bolał kark, miała odrętwiałe pośladki i nogi. Była zmęczona i głodna. Suknia obciskała jej brzuch, utrudniając oddychanie.

W chwili gdy pomyślała, że dłużej już nie wytrzyma, usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Do pokoju weszło na palcach kilka osób. Ich szept rozbrzmiewał jak szelest ryżowego papieru na wietrze. Lampka olejna przy posłaniu zamigotała światłem. Po kilku minutach przybysze opuścili pokój, starannie zamykając za sobą drzwi.

Ven wiedziała jednak, że nie jest sama. Lekkie odgłosy dotykanych mebli, nikły szelest ubrania i przemieszczające się w tę i z powrotem ciche kroki kazały jej pozostać na miejscu. To on, pomyślała. To mój mąż. Któż jeszcze mógłby to być? Za moment miesiące oczekiwania

miały dobiec kresu. Niepokój narastał w niej jak kipiąca w garnku woda. Siedziała w napięciu, patrząc na swoje drżące dłonie. Kiedy jej mąż podszedł bliżej, poczuła ciepło ludzkiego ciała. Oczy wciąż miała opuszczone i zobaczyła, że czubków jej czerwonych pantofli dotknęły palce nagich stóp, mniejszych o połowę od jej własnych. Mała ręka niezdarnie odsunęła z twarzy dziewczyny welon.

Przed Ven stał mały chłopiec w stroju pana młodego. Mógł mieć najwyżej siedem lat. Gdy się do niej uśmiechnął, ujrzała szczerbę w przednich zębach. Powoli dotarło do niej, że to dziecko jest jej mężem.

Podniosła się z łóżka i przykręciła lampę, aż stała się świetnym punkikiem wielkości ziarnka grochu. Cicho zdjęła z siebie krępującą ruchy suknię. Chłopiec usiadł na łóżku i przyglądał się jej wielkimi migdałowymi oczami. Wetknął sobie kciuk w przerwę między zębami. Ven została w bieliźnie i weszła do łóżka, zaciągając moskitierę. Kiedy się położyła, mąż wsunął się w jej objęcia, wtulając twarz w zgięcie ramienia. Wciąż trzymał w buzi kciuk.

Ven ujęła go za przegub i wyciągnęła mu palec z ust. Zmusiła się, by jej głos zabrzmiał łagodnie i rozsądnie.

– Jesteś już na to za duży, młody panie.

Leżał spokojnie, wpatrując się w nią, a potem zamknął oczy i zasnął. Ven powściągnęła odruch, by otrzeć ślinę z kącika jego ust.

Powoli zaczynała rozumieć, jaką pozycję zajmie w tej rodzinie. Nie wybrali jej na żonę, żeby została panią domu. Potrzebowali jej do niewolniczej pracy – synowej nie należało się wynagrodzenie, jakie otrzymywałyaby służąca.

Ven odkryła ku swemu zdziwieniu, że nie jest w stanie płakać. Wkrótce wyczerpanie wzięło nad nią górę.

Rozdział drugi

Śniadanie

Przed świtem obudziło Ven lekkie poklepywanie w ramię. W świetle lampy ujrzała, że pochyla się nad nią młoda kobieta. Mążonek wciąż spał, wtulony w jej objęcia.

Ven odsunęła go delikatnie, żeby nie zbudzić. Jego spokojna, dziecinnie zaokrąglona twarz dotknęła twardej powierzchni maty tatami. Dębowe łóżko zatrzeszczało pod ciężarem dziewczyny niczym kości starca. Noc za oknem sypialni jakby zastygła w czasie, a podwórce skąpane było w opalizującej poświacie. Tu i ówdzie światło księżycy padało na rzadko rosnące orchidee.

Zza wysokiego ceglanego muru słyszała kroki wybijacza godzin. Zajęcie to powierzano najczęściej wioskowemu głupkowi, uważano je bowiem za wyjątkowo podrzędne. Taki człowiek mieszkał zazwyczaj w chacie na krańcu miejscowości, z dala od sąsiadów. Zwykle nie miał niczego poza odzieniem na grzbiecie i małym metalowym gongiem. Noc w noc wędrował ulicami, sygnalizując upływ godzin obitą filcem pałką. Mieszkańcy określali czas według liczby uderzeń. Noc, trwającą od zachodu słońca do pierwszego piania koguta, dzielono na pięć interwałów odpowiadających mniej więcej dwóm godzinom. Ven

nalicyła cztery uderzenia gongu. Jego pusty dźwięk drżał w ciszy jeszcze wówczas, gdy szurgot kroków mężczyzny się oddalił.

Ubrała się szybko w półmroku, zostając w bieliźnie z poprzedniego dnia. Z tobołka z rzeczami, który zabrała ze sobą, wybrała bawełnianą bluzkę z długimi rękawami, słońce bowiem miało się pokazać dopiero za kilka godzin.

Młoda kobieta, która zbudziła Ven, czekała na nią przy drzwiach. Ubrana była w strój służącej, wyblakły brązowy uniform. Miała około szesnastu lat, a jej powieki jeszcze kleiły się od snu. Ponagliła Ven niecierpliwym gestem, żeby szła za nią. Ven zdjęła latarnię z bambusowego kija przed drzwiami sypialni i spojrzała na idącą przed nią służącą. Dziewczyna była przysadzista i miała kołyszący krok ciężarnej klaczy.

– Jak masz na imię? – zapytała ją Ven.

– Nazywają mnie Song – odparła szeptem tamta.

– Dokąd idziemy? – Ven przyspieszyła, żeby za nią nadążyć. Szły jedną ze starannie utrzymanych ścieżek, które przecinały ogród, dzieląc go na czworoboki trawników i klombów.

Służąca przystanęła pod śliwą i odwróciła się do Ven.

– Oczywiście, że do kuchni – wyszeptała. – Pierwsza Żona zażądała, żebyś zrobiła śniadanie. Ma być gotowe, kiedy wstaną pozostałe żony. Czy swatka ci nie powiedziała, jakie będą twoje obowiązki?

– Nie. A kiedy wstają pozostałe żony?

– Zaraz po ostatnim przejściu wybijacza godzin. Ale na twoim miejscu nie polegałabym na jego gongu. Ten człowiek pije za dużo wina ryżowego i zawsze się spóźnia. Masz jakieś dwie godziny na przygotowanie posiłku.

Song ruszyła znów swym kaczym krokiem i przeszły przed frontem domu pana Nguyena. Rezydencja i przyległe do niej budynki stały przy drodze z białej cegły, szerokiej na sześć metrów i długiej na prawie sto. Prowadziła do ulicy. Posiadłości strzegły przed intruzami trzy bramy.

Środkowa i największa z nich została wykonana z jednego bloku czarnego granitu, rozciętego na pół. Po zamknięciu obie części składały się w skomplikowaną płaskorzeźbę, przedstawiającą scenę z mistycznych światów niebiańskich – nieśmiertelne istoty o pięknych ciałach, tańczące wśród obłoków. Przez to eleganckie wejście wolno było przechodzić tylko członkom rodziny i znamienitszym gościom. Służący i dostawcy musieli używać bocznej, drewnianej bramy, dużo mniejszej i o skromnej snycerze.

Ven przystanąła, by przyjrzeć się swemu nowemu domowi. Jego bryła połyskiwała w błękitnawym świetle księżyca, jakby wycięta z szafiru. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak wspaniałego miejsca. Był to właściwie miniaturowy pałac, od złotego dachu, ozdobionego w każdym narożniku groźnym ceramicznym smokiem, po czerwone panele przesuwanych drzwi. Przed wejściem stało pięć masywnych granitowych kolumn z płaskorzeźbami smoków. Na werandzie znajdowała się bogato dekorowana waza, w której mógłby się zmieścić dorosły człowiek. Rósł w niej eukaliptus, uformowany w kształt feniksa wznoszącego skrzydła ku niebu, jakby chciał odlecieć.

Zeszły na boczną ścieżkę i Ven ujrzała zdumiona, że za półprzezroczystym pergaminem okna salonu pali się światło. Lampy olejne rzucały na przesłonę migotliwe cienie dwóch mężczyzn, pochylonych nad stołem i pogrążonych w poważnej rozmowie. Zainteresowana podeszła bliżej. Słyszała ich nagłące szepty, chociaż nie potrafiła rozróżnić słów.

– Pan ma spotkanie z panem Longiem, burmistrzem wioski. – Song stanęła przy niej.

– Czy mój teść zaprosił wiele osób na nocleg po weselu? – spytała Ven.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, pan nie przyjmuje gości na noc, z wyjątkiem kilku ważnych osób i oczywiście jego rybaków. Pan Long nie przybył na twój ślub. Czasami zjawia się po kolacji i rozmawiają z panem do świtu.

– Jak często się spotykają?
– Różnie – odparła Song. – Nasz pan i dwie starsze żony rzadko bywają w domu, lecz kiedy tutaj są, przyjmują czasami gości. Pan Long na przykład odwiedził nas w tym tygodniu już cztery razy. Zdarza się, że przychodzą z nim dwaj inni mężczyźni.

– O czym rozmawiają? – pytała dalej Ven, nie odrywając spojrzenia od cieni na pergaminie.

– Nie wiem. Przypuszczam, że o interesach pana.

– A jakie on prowadzi interesy?

Song spojrzała na Ven z widocznym przestraczem.

– Proszę, niech pani przestanie – szepnęła. Po raz pierwszy zwróciła się do Ven w tej oficjalnej formie. – Błagam, niech pani nie zadaje już więcej pytań. Pani teściowie srodze by mnie ukarali, gdyby się dowiedzieli, że to wszystko powiedziałam. – Dziewczyna odwróciła się, skrywając twarz za kurtyną włosów.

Ven wiedziała, że powinna zaprzestać tych indagacji i zachowywać większą pokorę w obecności innych osób. Czuła jednak odruch buntu. Znajdowała się w zupełnej izolacji w obcym domu i nie mogła zrezygnować z drażnienia tego tematu.

– Ja też się boję – przyznała, dotykając ramienia dziewczyny. – Ty i ja jesteśmy w tej samej sytuacji. Obie jesteśmy kobietami i niewolnicami pod tym dachem. Ale w przeciwieństwie do ciebie, mnie nie płacą za moją pracę i nic nie znaczą w ich oczach. Dlatego proszę cię o pomoc. Opowiedz mi o tych ludziach, zanim się z nimi spotkam, żebym mogła uniknąć błędów. Obiecuję, że nie wpędzę cię w żadne kłopoty.

– Widzę, że wiesz o nich równie mało, pani – rzekła z westchnieniem Song – jak oni o tobie. Pan i jego Pierwsza i Druga Żona czerpią swoje dochody z morza. Pan Nguyen jest kapitanem największej łodzi rybackiej w tej wsi i zatrudnia naszych mężczyzn jako marynarzy.

– A Trzecia Żona? Czym się zajmuje?

– Trzecia Żona jest jak lilia wodna, piękna, lecz krucha. Przed

poślubieniem pana była aktorką w wędrownej operze z Chin, występowała w dużych miastach. Sprzedano ją do tego domu w wieku czternastu lat. Wiem to od starej Che, kucharki. Właściciel trupy operowej oddał dziewczynę naszemu panu za długi. Pan kocha ją bez pamięci. Traktuje jak posąg Buddy i nie pozwala nikomu dotknąć choćby jej paznokcia. Odkąd obdarzyła go potomkiem i omal nie umarła podczas porodu, pan Nguyen powierza jej prowadzenie domu, kiedy wyrusza w morze. Ten chłopiec to właśnie pani mąż.

Ven przesunęła dłońią po okiennej kracie. Wiedziała, że nie jest bezpiecznie pozostawać dłużej w tym miejscu, ale głosy dochodzące zza pergaminu pobudzały jej ciekawość.

– O czymże oni mogą rozmawiać tak długo w noc? – zastanawiała się. – Z pewnością nie są to tylko interesy.

W oczach Song zabłysła konspiratorska iskierka.

– Chce się pani dowiedzieć, o czym rozmawiają? – Nie czekając na odpowiedź, pośliniła palec i wytarła nim małe przezroczyście kółko na pergaminie. Ven przyłożyła oko do otworu.

Pod tym kątem nie mogła dojrzeć twarzy pana Nguyena, zasłoniętej przez lampę, poznała jednak jego ciemnoniebieską szatę z haftowanym sferycznym wzorem. Nguyen czytał coś swemu gościowi z notatnika. Drugiego z mężczyzn widziała na wprost siebie. Po trzydziestce, miał rzednące włosy i okulary w cienkiej oprawce. Jego delikatne wargi przecinały dolną połowę twarzy prostą kreską. Zdawał się słuchać z uwagą słów gospodarza. Song nachyliła się do ucha Ven.

– Czy domyśla się pani, o czym rozmawiają? – spytała szeptem.

– Tylko trochę – odparła Ven. – Ale raczej o polityce niż o interesach.

– To możliwe – stwierdziła służąca. – Pan Nguyen pasjonuje się sprawami polityki. Proponowano mu nawet stanowisko w pałacu królewskim, lecz odmówił.

– Dlaczego? – Ven wydawało się nieprawdopodobne, żeby można

było zrezygnować z fortuny i pozycji, jakie dawało zatrudnienie na dworze.

– Nie wiem – odparła Song. – Słyszałam, jak kiedyś Trzecia Żona mówiła, że panu nie podobają się wpływy Francuzów na dworze w Hue. – Obejrzała się za siebie i jej twarz się ściągnęła. – Lepiej już chodźmy, zanim ktoś nas zobaczy. – Pociągnęła Ven za rękaw. – Poza tym zimno mi się zrobiło; a pani nie?

Ven oderwała się wreszcie od okna i poszła za Song do kuchni znajdującej się w małym domku obok głównego budynku. Było to najbrudniejsze miejsce, jakie widziała w życiu. Pierwotny kolor ścian dawno już zniknął pod lepką warstwą czarnej tłustej sadzy. Pod niskim sufitem unosił się ciemny opar, cuchnący spalonym tłuszczem wieprzowym i opalonymi piórami. Na mokrej cementowej posadzce stały bezładnie wielkie patelnie i gary, mogące pomieścić nawet całą świnię. Ven spostrzegła resztki jedzenia przyklepione do ich brzegów. Wszystko to zupełnie nie zdziwiło dziewczyny.

Jej teściowie, jak większość Wietnamczyków, wierzyli zapewne, że kuchnia jest miejscem, które przyciąga fortunę. Im brudniejsza, tym bogatszy będzie jej właściciel. Ktoś na tyle głupi, żeby utrzymywać czystość w kuchni, musiał wkrótce odkryć, że szczęśliwy los odwrócił się od niego. Ven pochodziła jednak z niskiego stanu i nigdy nie miała powodu, żeby trzymać się tego starodawnego zwyczaju.

– Od czego mam zacząć? – zapytała, starając się ukryć obrzydzenie.

Song wskazała jej małe drzwi obok drewnianych kredensów.

– W tym magazynku jest suszona żywność – wyjaśniła. – Pierwsza Żona je zawsze słodki ryż z czerwoną fasolą w liściach bambusa i miszkę zupy z ptasich gniazd z płetwą rekina. Druga i Trzecia wolą czarną fasolę zamiast czerwonej. Pan lubi lepki ryż z przetartą fasolką mung, gotowany na parze w mleczku kokosowym. Pracownicy dostaną zwykajny biały ryż i pieczonego kureczaka w trawce cytrynowej. Czy

potrafisz gotować zupę z wróblego gniazda?

Ven niepewnie skinęła głową. Babka uczyła ją w domu, w ramach przygotowań do życia w małżeństwie, przyrządzania egzotycznych i kosztownych potraw. Mogła jednakże poznawać tylko przepisy, gdyż rodziny nie było stać na zakup produktów. Ale to nie zupa z ptasiego gniazda była teraz jej problemem. Musiała poznać odpowiedzi na wiele pytań i poradzić sobie z niewykonalnymi pracami. Spojrzała na brytfanny i, odchrząknąwszy, zapytała Song:

– Dla ilu osób będę gotować?

– To różnie bywa – odparła służąca. – Dziś jest inaczej, bo pan Nguyen jest w domu razem ze swoją załogą. Musimy zrobić jedzenie dla wszystkich domowników i dla trzydziestki rybaków. Zazwyczaj będzie nas tylko pięcioro, to znaczy pani, młody pan, Trzecia Żona, ogrodnik i ja. Dzisiaj jeszcze dochodzi swatka.

– Myślałam, że w domu jest liczna służba. Wczoraj nad rzeką było tylu ludzi.

– To załoga pana Nguyena – odpowiedziała ze śmiechem Song. – Przygotowywali wczoraj twoje wesele. Ja jestem jedyną służącą.

– A kto gotował do tej pory?

– Jeszcze wczoraj kucharką była stara Che, ale Pierwsza Żona zwolniła ją przed samym weselem.

Ven podwinęła rękawy, obrzucając spojrzeniem obfite krągłości młodej służącej.

– Jesteś bardzo młoda i ładna, Song. Dlaczego pan nie ożenił swojego syna z tobą? – zapytała.

Policzki dziewczyny przybrały barwę dojrzałej chińskiej śliwki.

– Proszę, niech pani ze mnie nie żartuje – odrzekła. – Kurczętom nie wyrastają pawie ogony. Kiedy zaczęłam pracować w tym domu, byłam już wdową. Mój mąż był rybakim u pana Nguyena. Dwa lata temu zmarł na morzu na dyzenterię.

– Och, przepraszam. – Ven zrobiło się głupio. – Wyglądasz tak młodo. Wybacz mi, Song.

Dziewczyna zamachała dłońmi przed twarzą.

– Nic się nie stało, pani Ven – odparła. – A teraz trzeba się już pośpieszyć. Nie zostało nam wiele czasu. Nie powinna pani zdenerwować teściów już pierwszego dnia.

– Pomożesz mi ze śniadaniem? – zapytała Ven.

– Jestem też podkuchenną – pokiwała głową Song. – Zamoczę wróble gniazdo, a pani niech nastawi ryż.

Ven dorzuciła ostatnie skrawki płetwy rekina do zupy z gniazda dokładnie w chwili, gdy wybijacz godzin kończył ostatnią rundę. Song posmakowała wywaru i pochwaliła ją. Na zewnątrz zaświeciło słońce, wpuszczając złociste promienie do ciemnej kuchni, aby ją trochę ogrzać.

Song podała Ven komplet porcelanowych czarek do zupy, o ściankach tak cienkich i delikatnych jak z papieru, i równie białych. Pasowały do jej dłoni, jakby stworzono je specjalnie dla niej. Kiedy naląła zupy, czarki, ku jej zaskoczeniu, natychmiast zabarwiły się nefrytową zielenią. W kuchni nie było stołu, Ven ustawiała więc wszystko na podłodze. Umieściła cztery naczynia na hebanowej tacy. Połyskiwały na tle szarości cementu niczym wspaniałe klejnoty.

– Trzeba się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie – przestrzegła ją Song. – To bardzo droga porcelana. Zmienia kolor pod wpływem gorąca. A może pani sama chce zanieść zupę do salonu i podać państwu? A ja przyniosę resztę śniadania, jak będzie gotowe. Kiedy oni zjedzą, wydamy śniadanie pracownikom.

– Gdzie znajduje się salon? – zapytała Ven.

– To największy pokój w domu, pierwszy od tego wejścia, które mijaliśmy, idąc tutaj – wyjaśniła Song. – Ale pani nie wolno jeszcze używać głównych drzwi. Pani znak zodiaku jest w opozycji do znaku Trzeciej Żony i pan Nguyen boi się, że mogłoby to jej zaszkodzić. Niech pani idzie do tylnego wejścia.

Song nałożyła pokrywki na otwarte miski z zupą i pokazała jej wąską ścieżkę z cegieł, prowadzącą na tyły wielkiego budynku. Pokrywki, jak za sprawą czarów, także zabarwiły się lśniąco szmaragdową zieleńią, jak gdyby były podświetlone od wewnątrz.

Po wyjściu z kuchni Ven zatrzymała się zakłopotana. Ceglana ścieżka rozdzielała się bowiem na trzy i wszystkie prowadziły do budynku, lecz do różnych drzwi. Po chwili wahania wzięła głęboki oddech i wybrała tę wiodącą do najbliższego wejścia. Drzwi były otwarte i ustąpiły, gdy wolną ręką nacisnęła klamkę. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Znalazła się w ciemnym, dusznym pomieszczeniu, pełnym leżących na matach tatami półnagich mężczyzn. W dość ciasnej przestrzeni tłoczyło się ich trzydziestu, może czterdziestu. Kiedy do środka wpadło chłodne, rześkie powietrze, niektórzy poruszyli się ospale, a kilku wymamrotało pod nosem przekleństwo. Inni, ujrawszy przestrach na twarzy Ven, ryknęli śmiechem. Dziewczyna cofnęła się o kilka kroków, ściskając w dłoniach tacę, a potem wróciła pospieszenie do drugiej ścieżki.

Jednakże tego ranka los wyraźnie z nią igrał. Kiedy zbliżała się do kolejnych drzwi, metalowych i porzewiałych, nagle się otworzyły i wypadł z nich mężczyzna. Zderzenie było nieuchronne. Chociaż z natury nie była zbyt zwinna, udało jej się odwrócić, przyjąć uderzenie na plecy i uratować cenny ładunek. Poznała rozgniewaną twarz pana Longa, która znalazła się nagle tuż przy jej twarzy. Miał najgładszą skórę, jaką kiedykolwiek widziała u mężczyzny.

– Uważaj, jak chodzisz – ofuknął ją. Poprawił szatę i po chwili zniknął za kępą kolokazji.

Ven z bijącym mocno sercem pchnęła łokciem trzecie drzwi. Ujrzała twarz swego męża. Uśmiechnął się do niej tym samym bezzębnym uśmiechem, jaki ujrzała w nocy, gdy odsłonił jej welon.

Ven opuściła oczy i wbiła wzrok w podłogę wyłożoną pięknymi niebiesko-białymi płytkami. Posadzka była tak wyfroterowana, że

widziała swoje odbicie równie wyraźnie, jakby się przeglądała w wodzie. Pokój, zajmujący sporą część głównego budynku, miał około dziesięciu metrów na dwadzieścia. Jego solidne ściany wymurowano z cementu zmieszanego z ziarnami pieprzu. Kiedy wieczorem temperatura na zewnątrz spadała, pieprz utrzymywał w pokoju przyjemne ciepło. Ven wiedziała, że ta metoda budowania była luksusem, na który mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi.

Jej mąż stał u stóp kręconych schodów, ubrany w strój pana młodego. Głowę miał ogoloną, z wyjątkiem trzech niewielkich kropek – jednej nad czołem i dwóch nad uszami. Ven uzmysłowiła sobie, że ta fryzura upodabnia go do baśniowych posłańców, którzy nieśli brzoskwinie nieśmiertelności do bram niebios. Scenę tę często ukazywano w świątyniach konfucjańskich.

Za paniczem Nguyenem znajdował się wielki, wyłożony poduszkami szezlong z czarnej laki, udekorowany mozaiką z macicy perłowej, przedstawiającą żywot Kuan Yin, bogini współczucia. Była wykonana z niezwykłym mistrzostwem i Ven zachwyciła się jej pięknem. Przystanęła na chwilę.

– Zamknij drzwi i podejdź tutaj – usłyszała szorstki głos.

Uniosła głowę i zorientowała się, że należy do kobiety około sześćdziesięcioletniej, najstarszej osoby w pokoju, jeśli nie liczyć swatki. Dama spoczywała, półleżąc, na sofie i zadarła wysoko głowę, żeby widzieć Ven. Jej mina wyrażała nieskrywaną niechęć, jakby patrzyła na kawałek zepsutego mięsa. Jedną rękę przerzuciła przez oparcie sofy; dłoń spoczywała na długiej fajce z kości słoniowej, do palenia opium. Drugą ręką przytrzymała tuż przy wargach ustnik. Ubrana była w czarną suknię, która wisiała na jej płaskiej piersi jak łachmany na strachu na wróble. Ponura barwa stroju podkreślała bladość oblicza, a kiedy zaciskała czerwone, odbarwione przez opium wargi, przypominały dwie lśniące dżdżownice. Nie nosiła biżuterii poza złotą kolia, otaczającą jej szyję jak obroża.

– Podejdz bliżej. Poznaj swoją Drugą i Trzecią Matkę – poleciła, wskazując na pozostałe kobiety.

Swatka uznała, że może wykazać w tym momencie swoją przydatność. Podbiegła do Ven, przygięta niemal do samej ziemi.

– Chodźże tu, dziewczyno, i złóż uszanowanie swoim teściowym – powiedziała. – Pokłoń się i podaj im zupę.

Ven postąpiła kilka kroków ku szezlongowi, ze spojrzeniem wbitym w nieskazitelną posadzkę. W lśniących płytkach widziała odbicia przyglądających się jej kobiet. Swatka poklepała ją po łyde.

– Uklęknij – szepnęła.

Ven opadła na kolana niczym marionetka. Tacę z zupą uniosła na wysokość oczu i widziała już teraz tylko boczną ściankę ławy.

– Pierwsza Matko – powiedziała, patrząc na inkrustowaną boginię współczucia – proszę, poczęstuj się zupą z wróblego gniazda.

Pierwsza Żona zignorowała ją, lecz machnęła fajką ku Drugiej, która siedziała naprzeciwko niej na aksamitnej bordowej poduszce. Ten gest natychmiast ożywił kobietę. Wyciągnęła spod bluzki srebrne pudełko na tabletki, wielkości orzecha palmy betelowej. Ven dostrzegła kątem oka, jak wyłuskuje stamtąd za pomocą złotej szpilki grudkę brązowej, gumiatej substancji. Przez chwilę przypiekała ten rodzynek nad płomieniem lampy, a potem sprawdziła jego konsystencję kciukiem i palcem wskazującym, utoczyła małą kapsułkę i umieściła ją w fajce starszej żony.

Nieco dalej spoczywała w wielkim fotelu najmłodsza z kobiet, trzymając na piersi lutnię. Ven domyśliła się, że musi to być ukochana Trzecia Żona pana Nguyena. Drobne bosc stopy oparła na skraju otomany. Ven spostrzegła, że musiały być krępowane w dzieciństwie na modłę chińską, przez co były teraz równie małe jak stopy jej siedmioletniego syna. Nie hołdowała jednak tradycji w całości, gdyż zęby miała białe, a nie poczernione, jak to było w zwyczaju, łąkowym barwnikiem.

Przy siedzisku Trzeciej Żony klęczał półnagi młody mężczyzna i masował jej delikatne stopy olejkim kokosowym. Przy każdym ruchu rąk napinał pod brunatną skórą mięśnie przypominające naprężone rybackie liny.

Trzecia Żona, tak jak mówiła Song, była kobietą wyjątkowej urody. Mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Jej przepiękne kruczoczarne włosy, rozdzielone dokładnie na środku równym przedziałkiem, upięte były w ciasny kok. Kilka pasemek wysunęło się i muskało nieskazitelną skórę twarzy niczym smużki czarnego atramentu na białym płótnie. Oparła policzek o ozdobną szyjkę lutni, a jej palce brzdąkały na strunach leniwą, melancholijną melodię. Przecinająca pierś czerwona krepdeszynowa taśma, na której wisiał instrument, podkreślała smukły kształt długiej szyi.

Druga Żona wstała i rozstawiła przed najstarszą z kobiet dekoracyjny parawan z wyhaftowanym bażantem. Zasłaniał on fajkę Pierwszej Żony od przeciągu, który mógł zdmuchnąć płomień. Poza tym stara wołała oczywiście kryć się ze swoim nawykiem przed wzrokiem ciekawskich. Teraz Druga Żona zdjęła z lampy przezroczystą osłonę. Ven usłyszała zza przepierzenia głośny odgłos ssania i bulgot płynu w zbiorniku fajki.

Nagle wszystko zamarło, łącznie z muzyką wydobywającą się spod długich palców najmłodszej kobiety. Pierwsza Żona puściła fajkę i osunęła się na oparcie sofy. Powieki jej opadły. Usta się zacisnęły. Pierś jakby przestała się unosić. Przez kilka sekund nikt nie wydał dźwięku.

Potem muzyka rozbrzmiała na nowo. Druga Żona odwróciła się do Ven.

– Teraz możesz podać Pierwszej Matce zupę. Pomoże przedłużyć działanie opium.

Pierwsza Żona uniosła głowę i otworzyła oczy, wciąż wstrzymując oddech. Wzięła z rąk Ven czarkę z zupą i wypila łyk, po czym skrzywiła

się, odstawiła ją na tacę i wypluła zupę do miedzianej urny na podłodze.

– Jest zimna – warknęła.

Ven zobaczyła, że ścianki czarek straciły już swój szmaragdowy poblask i znowu były białe. Stojąca obok swatka wydała okrzyk przerażenia.

– Co z ciebie za beznadziejna kucharka? – ciągnęła najstarsza żona. – Kiedy ugotowałeś tę zupę? Wczoraj? Zmarnowałaś porcję świętego opium, które pomaga mi na mój artretyzm, nie wspominając już o drogim wróblim gnieździe. Czy matka niczego cię nie nauczyła w domu?

Ven chciała coś powiedzieć, lecz z jej ust wydobyły się tylko nieartykułowane dźwięki. Wreszcie wybąkała:

– Jestem... ja... bardzo przepraszam, Pierwsza Matko.

– Przepraszasz? – Stara rzuciła jej groźne spojrzenie. – Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Powściągnij swój gniew, pani Nan – rozległ się męski głos. – To jej pierwszy dzień w naszym domu i ma prawo do kilku błędów. – Po kręconych schodach schodził pan Nguyen z wachlarzem w ręce. Poruszał się z gracją i swobodą lwa opuszczającego swoje leże. Miękkość jego kocich kroków zmniejszyła panujące w pokoju napięcie. Wszystkie trzy żony usiadły prosto, z wyrazem oczekiwania na twarzach.

– Ta nędzna dziewczucha ośmieliła się okazać mi lekceważenie, le-dwie zaczęła pełnić obowiązki żony – oznajmiła mężowi Pierwsza Żona. – Jeżeli teraz nie zwrócę jej uwagi, później nie będzie mi okazywała należącego szacunku.

– Oczywiście, że będzie – odparł Nguyen. – W końcu jesteś jej Pierwszą Matką. Przypomnij sobie, jak sama byłaś w podobnej sytuacji, Nan. Miej że trochę litości dla biednej dziewczyny. – Podszedł do Ven i wziął z tacy czarkę z zupą. Powąchał ją i upił mały łyk. Dziewczyna opuściła głowę, skupiając wzrok na skomplikowanym hafcie

jego pantofli. Pan Nguyen odstawił zupę i poklepał Ven po głowie rączką wachlarza.

– Dobrze smakuje – powiedział. – Następnym razem każ Song przynieść gliniany piecyk i dość rozżarzonych węgli, żeby go porządnie rozpalić. Podawaj nam zupę albo herbatę dopiero wtedy, kiedy jesteśmy gotowi ją spożyć. Zrozumiałaś?

– Tak, ojcze.

– To dobrze. – Nguyen odwrócił się do Trzeciej Żony.

– Życzę ci miłego dnia, panie – rzekła Ven. – Niechaj bogowie w niebiosach obdarzą cię tysiącem szczęśliwych lat.

Lecz on już jej nie słuchał. Całą uwagę skupił na najmłodszej żonie. Skrzywił się na widok klęczącego na podłodze młodego mężczyzny, chwycił go za ramię i pchnął tak mocno, że chłopak przewrócił się na bok.

– Wynoś się! – rozkazał. – Nie masz tu już nic do roboty. Zajmij się ogrodem i innymi obowiązkami.

Młodzieniec bez słowa opuścił pokój.

Pan Nguyen przyklęknął przy podnóżku Trzeciej Żony. Wyciągnął z rękawa satynową chustkę, wytarł dokładnie stopy kobiety z olejku kokosowego, po czym ułożył je na powrót na otomanie.

– No, gotowe – rzekł, patrząc na nią z czułością. – Wezwij Song, żeby zawięła ci stopy, zanim zaczną cię znów boleć.

Trzecia Żona uśmiechnęła się, obnażając białe zęby.

– Dziękuję, drogi mężu – zaszczębiotała.

Ven poczuła odrazę do tych okropnych białych ząbków, przypominających równiutko ułożone ziarna w kolbie kukurydzy. Były to zęby, które nie zaznały nigdy goryczki łąkowego czernidla. Z drugiej strony w skrytości ducha podziwiała odwagę, z jaką ta młoda kobieta hołdowała nowoczesności pomimo swych skrępowanych stóp. Ven nigdy nie marzyła nawet o takiej swobodzie w zachowaniu.

Spojrzenie Trzeciej Żony spoczęło na niej.

– Możesz już wstać, synowo – powiedziała. – Skoro panu smakowała twoja zupa, jesteś wolna. Zabierz mojego syna do waszego pokoju i zajmij się nim.

– Jeszcze nie – wtrąciła się Pierwsza Żona. – Ponieważ nie masz już tutaj niczego do zrobienia, powinnaś popracować na polu ryżowym. Jest tam mnóstwo roboty. Potem wróc, żeby ugotować nam obiad. Pewnie już wiesz od tej plotkary Song, że mamy w tym domu mało służby, nie próbuj więc się migać od obowiązków.

– Ja nie jestem służącą – odparła Ven, czując suchość w gardle.

– To prawda – rzuciła ostro kobieta. – Jesteś kimś o wiele późniejszym. Jesteś synową i według prawa niebios powinnaś nam służyć bez słowa protestu. Czy myślisz, że mnie było łatwo dojść do pozycji, jaką mam dzisiaj? Czy masz w ogóle pojęcie, jak ciężko musiałam pracować i ile lat spędzić pod rządami mojej teściowej, zanim zasłużyłam na odpowiednie miejsce w tym domu? Jesteś Pierwszą Żoną i pewnego dnia zdobędziesz takie same przywileje, jakie mam ja. Ale do tego czasu będziesz tu niewolnicą. Jeszcze jedno słowo i odprawię cię do rodziców. Osobiście odetnę uszy pieczonej świni i pošlę jej łeb razem z tobą, żeby świat się dowiedział, jaka z ciebie niewdzięcznica.

Ven przełknęła z trudem ślinę. Zostać odesłaną do domu, w dodatku z okaleczonym łbem świni, to była rzecz nie do pomyślenia. Tak karano zazwyczaj rozwiązłe kobiety, które nie zachowały dziewictwa do nocy poślubnej. Nie potrafiłaby żyć w takim pohańbieniu, choć w jej wypadku byłaby to nieprawda. Przecież jej mąż miał wejść w okres dojrzewania najwcześniej za sześć lat. Ven skłoniła się nisko i opuściła pokój tylnymi drzwiami.

Na ceglanej dróżce spotkała Song, niosącą dużą tacę z miedzianą pokrywą. Wystawały spod niej tu i ówdzie liście bambusa. Służąca słyszała ostatnie słowa reprimendy Pierwszej Żony i widząc rozdrażnienie Ven, zatrzymała się przy niej.

Lecz w tym momencie otworzyły się drzwi i wybiegł z nich chłopiec.

– Śniadanie, śniadanie! – zakrzyknął na widok Song, podskakując z ekscytacji.

Kobiety w pokoju wybuchnęły śmiechem, a Pierwsza Żona zawołała do Ven:

– Nie zapomnij o swoim mężu! Na razie zostanie z nami, ale jak skończysz w kuchni, możesz tu przyjść i zabrać go ze sobą na pole.

Rozdział trzeci

Posłaniec

5 MAJA 1916

Kiedy Dan Nguyen wydorósł, ze swego ślubu z Ven, swoją Pierwszą Żoną, pamiętał niewiele. Na zawsze jednak pozostały mu w pamięci długie godziny spędzane na jej plecach, kiedy pracowała w polu. W owych czasach uprawiano ryż w prowincji Thua Thien wyłącznie ręcznie. Był to wielogodzinny, ciężki wysiłek, a Ven, inaczej niż pozostali rolnicy z wioski Cam Le, pracowała zawsze samotnie.

Co wieczór, mniej więcej w porze, kiedy kurczęta układały się w klatkach do snu, Ven kładła się do łóżka ze swoim młodziutkim mężem. Dan przyglądał się w przyćmionym świetle lampy, jak się rozbiega, aż jej złocistą skórę zakrywała już tylko jedna warstwa odzienia. Nabrał zwyczaju zasypiania z głową wtuloną w miękką poduszkę jej piersi. Zapach świeżego mułu, zmieszany z wonią olejku miętowego uspokajał jego ruchliwy umysł i prowadził w świat marzeń sennych.

Każdego ranka budził się skulony w koszu uplecionym z dzikiego bambusa, który kołysał się w rytm jej poruszeń. Ani razu nie pamiętał, jak podnosiła go z łóżka. Budził się dopiero, gdy słońce zaczynało razić go w oczy pomimo słomkowego kapelusza, którym Ven zakrywała mu głowę. Czując jego ruchy, dziewczyna przerywała harówkę, żeby się

nim przez chwilę zająć.

Dawała mu śniadanie na kamienistej ziemi w cieniu drzewa karamboli. Dan uwielbiał plasterki banana oblepione ryżem, które gotowała na parze w mleczku kokosowym. Umiała sprawić, że zawieszisty kokosowy opar wnikał w zawinięte w bananowe liście kulki ryżu tylko na tyle, żeby środek zmięknął. Po śniadaniu Dan wracał do kosza na kolejną przejażdżkę na grzbiecie Ven. Czasami zostawał w cieniu drzewa i bawił się pacynkami, które uszyła mu ze starych ubrań. Na spłowiałych tkaninach wyhaftowała oczy, nosy, uszy, a nawet włosy postaci. Kiedy zamykał powieki, czuł pod palcami szorstkość nici na twarzach pacynek. Ven podczas pracy spoglądała co pewien czas ku niemu i machała ręką. Oczy miała tak wąskie jak listki wierzyby. Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, Dan czuł, że jest bezpieczny.

W połowie marca jego ojciec wyruszył na morze wraz z Pierwszą i Drugą Żoną. Minęło sześć tygodni i dom bez ich żywej obecności wydawał się pusty. Dan nie pamiętał, żeby rodzice byli kiedyś nieobecni przez tak długi czas. Zaczęło to niepokoić nawet jego Trzecią Matkę, panią Yen. Co wieczór po kolacji, zamiast patrzeć, jak jej synek bawi się pacynkami z Ven, siadywała w swym ulubionym fotelu na werandzie, wyczekując męża. Jej palce błędziły po strunach lutni, wydobywając z niej muzykę tak smutną, że mogłaby skłonić do płaczu niebios.

Ojciec Dana był właścicielem dużego statku o nazwie *Lady Yen*. Wypływał nim na połowy. Dan nigdy nie widział kutra, wiedział jednak, że kotwiczy gdzieś daleko, po drugiej stronie góry. Ojciec opowiadał mu o zielonej gęstwinie dżungli, dochodzącej do brzegów głębokich morskich lagun, i o tysiącu kilometrów wybrzeża, wzdłuż którego pływał statek.

Dan zastanawiał się, czy i on także zostanie w przyszłości żeglarzem. Bardzo chciał zobaczyć kiedyś to niesamowite morze, które według słów ojca było sto razy większe od Rzeki Perfumowej. Pociągały go również podróże do odległych miejsc. Nie pragnął natomiast wpływu

na innych ludzi z wioski i ponoszenia za nich odpowiedzialności, tak jak to było w wypadku ojca jako właściciela *Lady Yen*. Samo to, że załoga wolała po długim rejsie pozostać przez parę dni w domu kapita-
na, zamiast wrócić prosto do swoich żon i dzieci, świadczyło o władzy, jaką miał nad swoimi marynarzami.

Pewnego ranka na początku maja Ven dała Danowi śniadanie i wróciła do pracy na polu ryżowym, a on został pod drzewem ze swoimi zabawkami. Godziny wlokły się powoli. Ze swego miejsca mógł dojrzeć tył domu, do którego prowadziła ścieżka biegnąca pod górę wśród tarasowych pól. Harmonię słonecznego poranka zakłócił nagle odór alkoholu. Dan poczuł zimny dreszcz, gdy dostrzegł Dużego Cona, wybijacza godzin, który szedł chwiejnie w jego stronę. Rozpoznał jego poznaną bliznami twarz, niepewny chód i odgłos gulgoczącego w gardle wina. Mężczyzna przystawał raz po raz i mamrotał coś pod nosem, najpewniej przekleństwa. Ze swego miejsca Dan wpatrywał się niecierpliwie w pracującą Ven, chcąc pochwycić jej spojrzenie. Pragnął, żeby go stąd zabrała.

Podobnie jak inni chłopcy w wiosce, dobrze znał Dużego Cona. Wybijacz godzin stał się w ustach matek potworem, którym straszły wieczorami dzieci, chcąc zapędzić je do łóżka. Nikt nie wiedział, skąd wziął się ten człowiek ani kim byli jego rodzice. Dan wierzył, że pewnej nocy ktoś zapomniał przypilnować bram piekła i różne stwory uciekły stamtąd na ziemię, by nawiedzać dzieci. Jednym z tych monstrów był Duży Con. Chłopiec przepelzł na czworakach za pień karamboli, by skryć się przed wzrokiem mężczyzny.

Ven pogrążona była w pracy trzydzieści kroków dalej. Stała po kolana w błocie, zginając plecy równoległe do ziemi. Ona także spostrzegła pijaczną kątem oka, uznała jednak, że jest wystarczająco daleko i nie może im zaszkodzić. Gdyby coś zagrażało chłopcu, zdążyłaby się przy nim znaleźć przed Dużym Conem. Widząc, jak krąży w

bambusowym gąszczu, przypuszczała, że szuka po prostu miejsca na drzemkę.

Ven nie obawiała się wybijacza godzin. Dla niej Duży Con był raczej tajemniczą postacią niż zagrożeniem. Znała jego historię od wieku niemowlęcego. Pewnego dnia znalazła go o świcie nad rzeką handlarka rybami. Był nagi i szary jak zeschnięta trawa, a jego twarz pokrywały pijawki. Kobieta zawinęła dziecko w dwa pasy plecionki z liści banana i jeszcze tego dnia sprzedała niewidomej wieszczce, która nie miała męża ani dzieci. Zażądała od niej dwadzieścia miedziaków. Wróżka zapłaciła i przyjęła dziecko pod swój dach, jak własnego syna. Dała mu na imię Con.

Imię nie wzbudziło w dziecku większych ambicji, gdyż słowo *con* znaczyło dosłownie „chłopiec”. Wróżbitka nazwała go tak z rozmysłem. Chociaż cieszyło ją to, że ma syna, niespodziewany uśmiech losu budził w niej strach. Ziemia skrywała mnóstwo złośliwych duchów, które zazdrościły żywym wszelkiego powodzenia. Nazywając chłopca Con, staruszka liczyła na to, że tak proste imię uchroni go przed zazdrością podziemnego świata.

Kiedy Con podrosł, wróżbitka posłała go do szkoły, żeby nauczył się nowego alfabetu, który pojawił się wraz z francuską obecnością w Wietnamie, zastępując tradycyjne pismo z demotycznymi znakami. Mały Con był dzieckiem łagodnym i tak delikatnym, że podczas festynu Księżycowych Żniw udział w popularnej grze złap kurczaka sprawiał mu trudność. Choć starał się jak mógł, nigdy nie udało mu się pochwycić ptaka na łąso. Przez całe dzieciństwo ani razu nie podniósł głosu i nigdy nie sprawił kłopotu żadnemu z mieszkańców wioski.

W wieku osiemnastu lat Con podjął pracę w domu asesora Toana, ówczesnego burmistrza, jako nauczyciel dzieci jego Trzeciej i Czwartej Żony. Czwarta Żona była młodą kobietą o zaróżowionych policzkach, lubiącą wypoczywać za dnia w hamaku rozwieszonym między drzewami rambutanu. Nalegała na Cona, żeby stawał w nogach bujanego

posłania i czytał na głos długie rozdziały ze słynnej powieści *Kirn Van Khieu* autorstwa poety Nguyena Du. Była to przygodowa opowieść o losach dziewczyny, która porzuciła miłość swego życia i została prostytutką, by ratować rodzinę od nędzy. Historia kończyła się szczęśliwie i kochankowie po wielu niedolach powrócili do siebie. Zawsze gdy Con dochodził do ostatnich linijek, Czwarta Żona przyciskała dłonie do bujnego biustu, żeby wyrazić swą radość z takiego zakończenia. Czasami nawet podciągała nogawki spodni aż do kolan i kazała, żeby masował jej stopy.

Pewnego popołudnia asesor Toan przyprowadził do domu policjantów, którzy na oczach kilku zaszokowanych świadków zakuli Cona w kajdanki i zabrali go do więzienia. Tylko niebiosy i wtajemniczone osoby wiedziały, co się naprawdę wtedy wydarzyło i dlaczego. Nikt nie odważył się kwestionować decyzji asesora. Con poza swą przybraną matką nie miał bliskich i niewiele osób zainteresowało się jego aresztowaniem.

Biedna wróżbitka wpadła w rozpacz z powodu tego nieszczęścia. Nie opuszczała swej chaty na wzgórzu, doglądając małego ogrodu, który zamierzała kiedyś sprzedać, żeby zdobyć żonę dla Cona. Zapomniana przez wszystkich, wyczekiwała powrotu syna. Jednakże wkrótce po jego uwięzieniu pewien rolnik znalazł zwłoki Czwartej Żony asesora Toana, ukryte w stogu siana. Ktoś pobił ją i udusił, a ręce przycisnął jej do piersi. Twarz kobiety zastygła w wyrazie szoku.

Asesor Toan oświadczył wieśniakom zgromadzonym przed wiejską salą zebrań, że jego żonę zamordował Duży Con. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że to kłamstwo. Cała wieś pamiętała, że kobieta żyła jeszcze w dniu, kiedy aresztowano Cona. Poza tym ludzie nie wierzyli, żeby spokojny i uprzejmy młodzieniec mógł popełnić tak ohydny zbrodnie. Nikt jednak nie odważył się sprzeciwić możnemu asesorowi Toanowi, gdyż narażenie się na jego gniew było niczym samobójstwo. W obronie Cona nie podniósł się ani jeden głos i chłopak został uznany za mordercę

żony Toana. Skazano go na śmierć.

Wkrótce potem jego przybrana matka zmarła w skrajnym ubóstwie. Asesor Toan natomiast ze względu na swój podeszły wiek przeszedł na emeryturę. Stanowisko burmistrza objął po nim jego syn, pan Long.

Con, osadzony w więzieniu w Da Nang, podjął desperacką próbę uratowania się przed plutonem egzekucyjnym. Podpisał z władzami francuskimi kontrakt na pracę bez wynagrodzenia na jednej z niebezpiecznych plantacji kauczuku. Plantacja dla większości ludzi była tym samym co obóz śmierci, z powodu nieludzko ciężkiej pracy, strasznych warunków życia i nieuleczalnych chorób. Dla chłopaka jednak oznaczała jedyną szansę przetrwania. Zniknął tam na blisko dziewięć lat.

Po dziś dzień Duży Con często śpiewał popularną piosenkę o życiu na plantacji kauczuku. Nawet teraz dobiegało do uszu Ven jego żałośliwe zawodzenie.

*Z obozu na plantacji nie ma powrotu
Mężczyźni wchodzą tam w pełni sił
A wychodzą dopiero wtedy,
gdy stoją już u wrót śmierci.*

Ignorując go, otarła pot z czoła i powróciła do swojego zajęcia. Żeby coś zająć umysł, zaczęła powtarzać wiersz, którego nauczyła się jako dziecko – tradycyjną mantrę rolników w intencji udanych zbiorów ryżu.

Styczeń to czas, gdy świętuje się Nowy Rok

Rozdzielając wiązkę sadzonek ryżowych, zaśpiewała pierwszy wers, zagłuszając w swojej głowie głos wybijacza godzin. Styczeń kojarzył się jej z ciemnym pokojem dla nowożeńców, w którym siedziała bez ruchu przez wiele godzin, czekając na przyście męża. Weselna zabawa niemal wyparowała z jej Pamięci, poza stłumionym hukiem fajerwerków i rozradowanym bełkotem pijanych gości za oknem sypialni.

*Luty to czas, gdy sadi się fasolę, ziemniaki i pomidory
A później czeka na lzy niebios
Z nadejściem marca zbiera się plony
Zawezwij pomocników i susz fasolę w stertach*

Głos pracującej samotnie w polu dziewczyny niósł się ponad ma-
leńkimi pędami, które właśnie posadziła. Jeden z marcowych dni za-
pamiętała tak, jakby to było wczoraj. Ręce miała wówczas pokryte
świeżymi bąblami po dziesięciu dniach łuskania strączków grochu. Na
wielu z nich zostawiła ślady krwi. A Pierwsza Żona, jej teściowa, po
całej tej ciężkiej harówce oświadczyła, że groch nadaje się tylko do
zjedzenia przez kury. Przy każdej garści, którą sypała ptakom co rano,
Ven ronila gorzkie łzy; wiedziała jednak, że skargi nie zdadzą się na
nic.

Kwiecień to czas, gdy wynajmuje się parę wołów

Znajoma pieśń rozbrzmiewała w jej głowie, nim jeszcze słowa zdą-
żyły wydobyć się z ust.

*Potem przychodzi czas odwracania ziemi,
by przygotować ją do majowego sadzenia ryżu*

Od kwietnia Ven przemierzyła już wiele kilometrów w upalnym
słońcu, odwracając pługiem glebę i szykując ją na przyjęcie ziarna.
Para wodnych bawołów szła przodem. Drewniany pług, którego jarzmo
otaczało barki zwierząt, ciął ziemię, odwracał ją i zostawiał za sobą
bruzdy. Gleba, nawodniona obficie przez kanał doprowadzający wodę z
rzeki, nabrała gęstej, gliniastej konsystencji. Ven, podobnie jak zwie-
rzęta, czuła, jak zagięty uchwyt narzędzia napiera na jej plecy i wpycha
coraz głębiej w błocko, które sięgało jej już do kolan. Woły były zmę-
czone i kierując nimi, musiała wyteżać wszystkie mięśnie, żeby bruzdy
biegły prosto nawet w miejscach, gdzie uparta ziemia nie chciała ustą-
pić.

*Wczesnie rano nie zapomnij namoczyć ryżu,
aż łuska ziaren stanie się żółta*

Słyszała, jak wybijacz godzin nierównym głosem usiłuje naśladować jej śpiew.

*Kiedy rozpocznie się kielkowanie, rozrzucić ziarno na
błotnistej łące*

Po kilku tygodniach zalążki wyrosną w młode pędy.

Wyciągnij je z korzeniami

A potem wynajmij parobków, żeby zasadzić je na polu.

Dopiero wtedy będziesz mógł wrócić do domu

i dać odpocząć zmęczonym stopom

Ven się roześmiała. Optymistyczne zakończenie wiersza zawsze ją złościło. Poruszała się od rzędu do rzędu, wciskając mocno w mokrą ziemię kolejne sadzonki. Ból w krzyżu się nasilił i zacisnęła mocno usta.

Dla dziewczyny imieniem Ven nie będzie odpoczynku – zaśpiewała.

*Aż do dnia, kiedy stanie się bezużyteczna jak stara kulawa kura –
dokończył z rubasznym śmiechem wybijacz godzin.*

Ven wyprostowała się, słysząc tętent końskich kopyt, rozbrzmiewający w cichej poza tym okolicy. Poprzez obłok pyłu na końcu głównej drogi dojrzała jeźdźca, który przywarł do grzbietu galopującego konia. Mężczyzna bił wierzchowca cugłami, chcąc go zmusić do jeszcze szybszego biegu.

Poznała białą uniformę, chociaż stał się teraz szarobrazowy od pyłu. Był to jeden z marynarzy pana Nguyena. Na jego twarzy dostrzegła taki sam wyraz przerażenia, jaki widywała na twarzach pracowników swego teścia, gdy karał ich za przewinienia, chłoscząc długim biczem zrobionym z ogona płaszczki. Koń miał rozdęte nozdrza, a spod jego kopyt przysnął deszcz ziemi na Dużego Cona, który zaległ w cieniu bambusowych zarośli. Wybijacz godzin zerwał się z gniewnym okrzykiem,

wymachując zaciśniętymi pięściami.

Ven rzuciła na ziemię wiązkę sadzonek ryżowych i pobiegła w kierunku jeźdźca, machając postrzępionym kapeluszem w próżnym wysiłku zwrócenia na siebie jego uwagi. Po chwili marynarz zniknął za zakrętem drogi.

Dziewczyna pospieszyła do Dana. Nic nie mówiąc, chwyciła go w pasie. Instynktownie wybrała najkrótszą drogę do domu i jej mocne nogi pomknęły przez usypane z miękkiej ziemi groble, które oddzielały poletka ryżu.

Weszła do budynku tylnymi drzwiami, ciągnąc za sobą chłopca. W salonie nie było nikogo. Trzecia Żona wyszła na frontowy dziedziniec, gdzie ogrodnik wyjaśniał jej podstawowe zasady przycinania krzewów różanych. Nawiedzający ją przez ostatnie dni smutek gdzieś się ulotnił. Ven usłyszała jej perlisty śmiech, dźwięczący echem w ścianach pustego domostwa.

Znalazła ją na środku ogrodu, wspartą o ramiona ogrodnika. Jego dłonie obejmowały jej delikatne palce, pomagając trzymać wielkie nożyce. Ziemię wokół nich pokrywał dywan różanych płatków. Odcinali z pędów kolejne kwiaty, opadające szkarłatną kaskadą.

Przez główną bramę wpadł na dziedziniec zbryzgany błotem jeździec. Jego koń napierał na wodze i przebiegł jeszcze kilka kroków, zanim marynarz zdołał osadzić go w miejscu tuż przed Trzecią Żoną i jej towarzyszem. Zeskoczył z siodła, lecz jedna stopa uwięzła w strzeżeniu i padł jak długi na ziemię.

– Niebezpieczeństwo, Trzecia Żono! – załkał, bijąc pięściami w ziemię u jej stóp. – Wybacz mi, błagam, przynoszę bowiem złe wieści o naszym panu.

Twarz teściowej Ven powlokła się nagle bledością. Trzecia Żona puściła nożyce i chwyciła ogrodnika za rękę.

– Pan Nguyen i jego dwie żony zostali w nocy aresztowani, razem

z resztą załogi – relacjonował marynarz. – Wykonawcą nakazu aresztowania był francuski urzędnik, który przyprowadził żołnierzy z pałacu. Pan nie chciał się temu podporządkować i wybuchła bójka. W końcu zabrali wszystkich do więzienia, ale mnie udało się uciec. – Mężczyzna zgiął się wpół, chwytając łapczywie oddech.

Pani Yen osunęła się ogrodnikowi na pierś.

– Zabierz mnie do domu – wyszeptała drżącym głosem. – Głowa mnie rozboleła od tego gorąca.

Młodzieniec wziął ją w objęcia, podniósł i zaniósł do salonu. Nawet gdyby nie była w szoku, tej krótkiej podróży nie mogła odbyć o własnych siłach z powodu skrępowanych stóp. Marynarz szedł chwiejnie kilka kroków za nimi. Kiedy mijali Dana, chłopiec chwycił matkę za rękę. Ogródnik jakby w ogóle nie zauważył stojących w progu Ven i chłopca. Minął ich i położył swoją panią na szeszlengu.

Następnie zaczął masować policzki pani Yen delikatnymi muśnięciami, dopóki znów się nie zaróżowiły. Spojrzenie jej wielkich smutnych oczu odnalazło marynarza.

– Pod jakim zarzutem aresztowano mojego męża? – zapytała.

– Pod zarzutem piractwa, pani Yen. Jego Cesarska Mość został tej nocy uprowadzony z własnej sypialni. Przywódcami porywaczy są Thai Phien, Le Ngung, Tran Cao Van, Phan Thanh Thai i Vo Van Tru. Prawie wszyscy są rybakami. Poza tym Phan Thanh i Tran Cao Van to długoletni zaufani przyjaciele naszego pana. Krążą pogłoski, że planowali wzniecić rewoltę przeciwko Francuzom. Jeśli nasz pan zostanie uznany za winnego zarzucanych mu czynów, to znaczy rozboju na morzu albo konspiracji, skazą go na śmierć. – Mężczyzna odczekał chwilę, jakby uświadamiając sobie grozę tych słów, po czym mówił dalej: – Myślałem, że słyszała już pani wieści na temat cesarza. Francuzi rozpowszechnili wczoraj po całym kraju specjalne obwieszczenie w tej sprawie.

– Cesarz zaginął, a Sąd Cesarski uważa, że mój mąż jest w to

zamieszany? – Trzecia Żona podniosła głos. – Nigdy nie słyszałam większego idiotyzmu. Każdy mieszkaniec wioski Cam Le wie doskonale, że pan Nguyen nie jest politykiem ani złodziejem. Jest i zawsze był jedynie ojcem rodziny i dumnym rybakim. Nikt tutaj nie pozwoli, żeby przez takie niesprawiedliwe posądzenie został pokrzywdzony jeden z najbardziej kochanych obywateli.

– Musimy się dowiedzieć – wtrącił napiętym barytonem ogrodnik – co dokładnie napisali Francuzi w tym obwieszczeniu.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Ven, obserwującej całą scenę w milczeniu. Trzecia Żona uniosła się na łokciu i w jej oczach zamigotała iskierka nadziei.

– Ven, proszę cię, postaraj się dowiedzieć czegoś więcej. Nikt inny nie wykona tego zadania lepiej od ciebie. Przybyłaś tu ukryta pod welonem i żaden z gości cię nie widział. Wyglądasz tak pospolicie, że nikt nie podejrzewałby cię o jakiegokolwiek związku z rodziną Nguyenów. Song jest zanadto niezręczna w takich sprawach. A mężczyźni muszą tu zostać, żeby mnie chronić.

– Nie mogę tego zrobić! – zawołała Ven. – Przecież nie umiem czytać ani pisać. Jak więc miałabym poznać treść obwieszczenia?

– Zapewniam cię, że jesteś idealna do tego – nie ustępowała pani Yen. – Nie musisz wcale znać liter, żeby się czegoś dowiedzieć. Wystarczy, że zapytasz kogoś, co napisano w obwieszczeniu. Pamiętaj, że jesteś synową pana Nguyena i moją. Twoja niechęć do udzielenia mi pomocy w jednej prostej sprawie rozczarowuje mnie i może ci bardzo zaszkodzić w przyszłości. Jeżeli jednak spełnisz moją prośbę, jestem przekonana, że gdy tylko wszystko zostanie wyjaśnione, pan Nguyen hojnie wynagrodzi twoją odwagę i lojalność.

Ven wiedziała, że nie ma wyboru.

– Gdzie powinnam szukać tych informacji, pani Yen? – zapytała.

– Takie komunikaty zazwyczaj dostarczane są albo do chaty wybijacza godzin, albo do wioskowej sali zebrań – odpowiedział ogrodnik, przyglądając się swoim paznokciom. Rysy jego twarzy miały w sobie

pewne wyrafinowanie, uwidocznione szczególnie w czerwieni warg i ciemnych oczach. Na pierwszy rzut oka mógłby nawet uchodzić za brata Trzeciej Żony. – Każdy wie, że tak się rozpowszechnia wiadomości od setek lat. Czy musisz w tak trudnej chwili zadawać głupie pytania?

Pani Yen uniosła w jego stronę palec, nakazując mu milczenie. Zatrzepotały jej długie rzęsy.

– Idź do chaty Dużego Cona – zwróciła się do Ven. – Unikaj sali zebrań, bo na pewno będzie tam mnóstwo ciekawskich gapiów. Weź Dana ze sobą. Nie chcę zostać z nim sama, bo ciągle czegoś się domaga.

Ven wzięła męża za rękę i opuściła dom frontowymi drzwiami. Dan nie opierał się, lecz spoglądał na nią zalęknionym wzrokiem. Kiedy zbliżali się do wyjścia, dobiegł ich z kuchni głos Song.

– Zaczekajcie! – zawołała służąca. – Pójdę z wami.

Rozdział czwarty

Wybijacz godzin

– Nie zostawię cię sam na sam z tym okropnym człowiekiem – powiedziała Song, gdy wyszły z domu. – Słyszałaś, co o nim opowiadają. Uważam, że powinnam iść z tobą.

– Jeżeli chcesz – odparła Ven.

Song skierowała się ku ścieżce prowadzącej przez bambusowe zarośla.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, kiedy się tu zjawiłaś po raz pierwszy – ciągnęła – że nie można ufać jego punktualności w odmierzaniu czasu? To w żadnym razie nie jest jeszcze najgorsza z jego cech. Duży Con to jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w wiosce, szczególnie kiedy się upije.

– Dlaczego starszyzna nie odsunie go od tych obowiązków? – zapytała Ven.

– Wolą się raczej godzić na jego złe zachowanie, niż narazić na gniew tego szaleńca – odparła Song.

Mniej więcej przed sześcioma miesiącami Duży Con przybył do Cam Le. W niczym jednak nie przypominał młodego człowieka, który dziewięć lat temu opuścił wioskę. Ludzie z początku w ogóle go nie

poznali. Jego twarz zmieniała się w maskę pokrytą bliznami, które bie-
gły w różnych kierunkach, jak linie na mapie Pałacu Cesarskiego. Głó-
wę miał ogoloną na tyso, jak mnich. Był niewysoki i żyłasty, lecz biła
od niego zawzięta dzikość walczącej o życie mangusty.

Znalazł gospodę w rynku, usiadł przy stole i zabrał się do picia ry-
żowego wina i do jedzenia mięsa. W ciągu dwóch godzin opróżnił trzy
litrowe butelki trunku i pochłoniął trzy porcje pieczonej wieprzowiny.
Potem wstał chwiejnie, tocząc ślinę spomiędzy purpurowych warg, i
wybełkotał do szynkarki:

– Daj mi weksel. Zapłacę ci później.

Gospodyni była niską, kręłą kobietą o płaskim nosie i czarnych
nozdrzach, które rozszerzyły się z przestrawu. Zadygotała, jakby brało
ją przeziębienie.

– Bardzo pana proszę, niech pan zapłaci teraz – zwróciła się do
przybysza. – Nie mam dość pieniędzy, żeby udzielić tak dużego kredy-
tu.

Mężczyzna nastroszył brwi niczym bóg wojny, jednym ruchem ręki
wywrócił drewniany stół i kopnął w stronę kobiety stołek.

– Ośmielasz się mi nie ufać? – warknął. – Jestem Duży Con. – Od-
czekał, aż jego słowa dotrą do wszystkich obecnych.

Pozostali goście wbili wzrok w swoje talerze. Con stał przez chwilę
nieruchomo, po czym mówił dalej: – Urodziłem się i wychowałem w
tej dziurze. Ten sukinsyn Toan jest mi winien pieniądze. Znajdę go i
odbiorę, co mi się słusznie należy. Wtedy przyjdę tu i ci zapłacę, ty
głupia kobyło.

Szynkarka otarła załzawione oczy ręką brudnej koszuli.

– Nie śmiałybym ci nie ufać, panie – rzekła. – Lecz jestem zbyt
uboga, żeby móc sobie pozwolić na udzielenie takiej pożyczki. Moje
dzieci pójdą dzisiaj spać głodne.

Con sięgnął za kontuar po dwie kolejne flaszki wina. Zanim wyto-
czył się z gospody, dorzucił jeszcze:

– Siedź cicho, bo spalę tę psią budę do gołego czerwonego klepiska.

Wtedy dopiero poznasz, co to długi. Jeżeli mi nie dowierzasz, zagdakaj, stara kuro, i wezwij policję. Wtedy się przekonamy, które z nas jest wilkiem, a które tylko grzebie pazurem w ziemi.

Kobieta zasłoniła usta obiema dłońmi, usiłując stłumić łkanie i udawać, że to tylko atak czkawki.

Con rzucił jej ostatnie groźne spojrzenie i wyszedł z szynku. Pobiegło za nim dwoje ciekawskich dzieci, lecz ich matka wyskoczyła z ukrycia, by je pochwycić i przytulić do piersi. Pijany mężczyzna nie zwrócił na to w ogóle uwagi; ruszył szeroką drogą, prowadzącą do domu asesora Toana. Było samo południe. Po listopadowym niebie sunęły rzadkie obłoki. Twarz Cona była nie mniej czerwona niż tarcza słońca. Jego ciało przesiąkło alkoholem, w głowie kręcił się wielki kołowrót. Zdawało mu się, że jest olbrzymem, niezwyciężonym i przepelnionym wściekłością.

Okropny upał doprowadzał go do obłądu. Pot wgrzyzał się w skórę na plecach jak tysiąc głodnych mrówek. Con wyłopał obie butelki wina, usiłując w ten sposób odegnać gorąco. Skwar zamiast osłabnąć, zdawał się rozsadzać czaszkę. Con szarpnął koszulę, obnażając pierś pokrytą tak jak twarz siatką blizn. Zataczając się, śpiewał jedyną piosenkę, jaką znał:

*Z obozu na plantacji nie ma powrotu
Mężczyźni wchodzą tam w pełni sił
A wychodzą dopiero wtedy,
gdy stoją już u wrót śmierci.*

Duży Con rozmyślał czasem nad tym, że nigdy nie zaznał przyjemności zatrzymania się u wrót śmierci. Niebiosa już dawno go odrzuciły. Co do piekła zaś, to przeniosło się do jego głowy, więc nie musiał już zabiegać o diabelski tron. Skojarzenia z diabłem znów przywiodły mu na myśl asesora Toana i zaczął wyrzaskiwać przekleństwa.

To wówczas mieszkańcy Cam Le przekonali się po raz pierwszy, w

jak wulgarnej formie potrafił się objawiać jego gniew. Pijany Con był gorszy od handlarza ryb, który nie sprzedał niczego przez cały dzień. Przeklinał Toana i jego przodków przez całą drogą, aż pod same frontowe schody domu tego potężnego człowieka. Wszyscy byli pewni, że urzędnik za chwilę wyjdzie ze swej biblioteki i bez wahania wpakuje Conowi kulę w pierś. Był to w końcu skazaniec, który odsiedział swoje w więzieniu.

Gdy Con wtoczył się przez bramę na podwórze swego wroga, zamiast Toana ujrzał złego psa wielkości niemal jelenia i takiej samej brunatnej barwy. Pies wypadł zza krzaka bzu i rzucił się na niego. Bestia wczepiła ociekające spienioną śliną kły w jego przedramię i powaliła na ziemię samym ciężarem. Con spadł z frontowych schodów prosto na kolczasty krzew. Rozwścieczone zwierzę wciąż go szarpało, warcząc groźnie. Duży Con wywrzaskiwał przekleństwa. Wolną ręką rozbił o schodek trzymaną za szyjkę pustą butelkę po winie. Odłamki szkła zalśniły w ostrym słońcu.

Con jednak nie użył tej broni przeciwko napastnikowi. Krzycząc i wierzgając nogami, podrapał sobie szkłem twarz, robiąc kilka głębokich cięć. Niczym obłąkany, wyrzucił oczami i rozdziawił usta. Z ran popłynęła krew, wsiąkając w piasek.

Pokieraszował sobie twarz z rozmysłem. Rany miały być dla policji dowodem winy jego wroga. Żaden sędzia nie uwierzyłby przecież, że ktoś może być na tyle szalony, żeby samemu aż tak się poranić. Wbrew obiegowej opinii, Con nigdy nie brał udziału w żadnej bójce. W obliczu konfrontacji po prostu się okaleczał. Blizny, z którymi się obnosił, były trofeami, opowiadały burzliwą historię jego życia.

Pies, widząc szaleńcze wygibasy intruza, znieruchomiał i zapomniał nawet o warczeniu. Po chwili, jak gdyby zachowanie Cona było zbyt nienormalne nawet dla zwierzęcia, puścił go i wycofał się w cień pod drzewem, żeby wylizać łapy z krwi. Con w dalszym ciągu z wrzaskiem kaleczył sobie twarz i pierś ostrym szkłem. Nikt z ulicy nie przyglądał się tej krwawej scenie; nawet słońce skryło się dyskretnie za kłaczkiem białego obłoku.

Nagle powietrzem wstrząsnął huk, zagłuszając szaleńcze krzyki Dużego Cona. Na ganek domu wyszedł asesor Toan z pistoletem w ręce. Ze skierowanej ku niebu lufy unosiła się strużka dymu. Pies, skomląc, umknął z powrotem za krzak bzu.

– Którym to z diabłów jesteś? – zapytał Toan swym najgroźniejszym tonem. – Czego szukasz w moim domu?

Duży Con wciąż leżał na ziemi, zakrywając twarz dłońmi. Przesłał jednak krzyczeć i przeklinać. Z jego krtani wydobywało się tylko ciche, żałosne kwilenie.

– Czy imię Duży Con coś ci mówi? – zapytał jęklonie starego człowieka. – Już raz w przeszłości mnie zabiłeś, łotrze Toanie. Może spróbujesz ponownie? Zobaczymy, czy potrafisz dokończyć dzieła.

Oczy asesora zmieniły się w dwie wąskie szparki. Starzec wycelował lufę pistoletu w pierś pijaka leżącego na ziemi.

– Wynoś się z mojej posiadłości! – warknął.

Duży Con rozchylił koszulę. Złote promienie słońca padły na jego nagie, poraniony tors.

– Jeżeli umrę – powiedział do Toana – zostanę najstraszliwszym z demonów i będę już zawsze nawiedzał twoją rodzinę.

Stary człowiek się zawahał. Urzędnikami nie zostawali ludzie, którym brakowało oleju w głowie. Usiadł w stojącym na ganku fotelu, trzymając kolbę pistoletu przy ustach. Jego twarz wtopiła się w cienie pod blaszonym dachem ganku. Rozchyliwszy usta, Toan przygryzł ostrymi zębami stal pistoletu i oddał się rozmyśleniom. Wiele się zmieniło od czasów, kiedy on rządził wioską. Dziś nawet taki cichy i tchórzliwy Con, zwyczajny nauczyciel, potrafił zmienić się w zdolnego do morderstwa potwora.

Usta Toana ułożyły się w uśmiech zadowolenia. Przy odrobinie pomysłunku potrafił znaleźć rozwiązanie problemu.

Nie odbierze życia temu nędznemu psu. Zamiast tego zrobi z niego zabójcę. Odpowiednia dawka perswazji powinna wystarczyć, żeby Duży Con pomógł mu rozprawić się z kilkoma wrogami, z tymi,

którzy dzierżyli władzę i zajmowali ważne stanowiska. A jeśli Con sam zginie, asesor Toan pozbędzie się zakąły, nie brudząc sobie rąk. Tak czy inaczej, wyjdzie na swoje. Poczul się głęboko usatysfakcjonowany wspaniałością własnego pomysłu.

– Dajże już spokój – zwrócił się do pijaka. – Nie poznałem cię w pierwszej chwili. Dlaczegoż miałbym cię zabijać, nauczycielu Con? Ty i ja jesteśmy przecież związani braterską przyjaźnią. Byłem nieutulony w żalu z powodu nieszczęścia, jakie na ciebie spadło. Kiedy przybyłeś do miasta? Jestem rozczarowany, że nie powiadomiłeś mnie wcześniej; kazałbym kucharzowi przygotować ucztę. Drób o tej porze roku jest wyjątkowo soczysty.

– Jesteś jadowitym wężem – uciął Duży Con. – Doskonale wiem, z jakim demonem mam do czynienia.

– Proszę, nie wypowiadaj się w ten sposób o starym przyjacielu. – Urok Toana był nie do odparcia. – Wejdz do środka i usiądź ze mną. Powiedz, czego ci potrzeba. Rozkazuj, a ja będę wykonawcą.

Duży Con podniósł się z ziemi. Alkohol wyparował mu z głowy i czuł tępe rwanie w ranach, które sam sobie zadał. Ból sprawiał, że nogi miał jak z waty. Bardzo pragnął znów się napić wina, gdyż tylko ono mogło go uczynić silnym i niepokonanym.

– Przyszedłem odebrać, co mi się słusznie należy – powiedział do urzędnika. – Żądam zadośćuczynienia za moje uwięzienie.

– Ile chcesz? – zapytał Toan.

– Pięć srebrnych monet – odparł Con, podając najwyższą sumę, jaką potrafił sobie wyobrazić.

Asesor Toan odłożył pistolet na podłogę przy swoich nogach. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę, w którą zwykł zawijać pieniądze. Odliczył pięć srebrnych monet, które załśniły kusząco na jego dłoni. Lecz Duży Con nie ufał staremu kojotowi i nie wyciągnął ręki po pieniądze.

– Nie obawiaj się – zachęcił go Toan. – Weź je. Jak sam stwierdziłeś, to twoja rekompensata.

Duży Con wyciągnął brudną dłoń, lecz stary był szybszy. Zaciśnął

kościste palce na monetach i zwrócił się do niego tonem żartobliwym i gorzkim zarazem:

– Czy aby na pewno te pięć monet zaspokoi twoje potrzeby, nauczycielu Con? Obawiam się, że jeśli ci je dam, jutro wrócisz po więcej. Nie mam zamiaru stać się bankiem, który będzie cię kredytował w nieskończoność. Chyba lepiej się porozumiemy, jeżeli spróbujesz wymienić wyższą sumę.

Duży Con przełknął nerwowo ślinę.

– Pięć srebrnych monet to dużo, panie Toan – odpowiedział.

Asesor pokręcił głową.

– Niechaj to będzie pięćdziesiąt srebrnych monet. Powinny ci wystarczyć na picie przez najbliższy miesiąc. Co byłbyś skłonny zrobić za takie pieniądze, nauczycielu Con?

– Pięćdziesiąt? – Con aż się zachłusnął powietrzem. – Za taką sumę oczywiście zrobię wszystko, czego pan sobie zażyczy.

Asesor otworzył dłoń, prezentując znów lśniące srebrne monety. Con dotknął ich nieśmiało. Tym razem Toan pozwolił mu wziąć pieniądze.

– W moim domu będzie na ciebie czekało pięćdziesiąt takich monet, w zamian za małą przysługę, jaką mógłbyś mi wyświadczyć. Czy pamiętasz oficera Dao, człowieka, który aresztował cię przed dziewięcioma laty?

Duży Con skinął głową. Przywołał na pamięć obraz policjanta.

– Od pewnego czasu – ciągnął Toan – ten szubrawiec chce się mnie pozbyć. Jeśli zginę, kto się o ciebie zatroszczy w tej wiosce? Rozumiesz?

– Proszę nic więcej nie mówić! – zakrzyknął Con. – Ten człowiek już nie będzie panu sprawiał kłopotów, panie Toan. Zajmę się nim.

– Znakomicie. Postaraj się, żeby zginął.

Asesor Toan otworzył bramę i pożegnał gościa. Gdy tylko pijak wytoczył się na ulicę, starzec wrócił na swój fotel. Na jego wychudłej twarzy pojawił się uśmiech.

Żeby dotrzeć do chaty wybijacza godzin, Song musiała prowadzić Ven i Dana przez godzinę ścieżką wśród splątanego bambusowego gąszczy. Ostre, szpiczaste liście drapały im twarze, robiąc czerwone pręgi na skórze. Ven, patrząc na spokojną buzię Dana, marzyła o chłodnym powiewie, który odpędziłby gorąco. W końcu dotarły do polany u podnóża gór.

Chata Dużego Cona stała na niewielkim wzniesieniu, otoczona niezmierną dżunglą. Song dała Ven znak, żeby szła za nią. Okrążyli domek, idąc do tylnego wejścia przez wąski splachetek zielonej trawy.

Kiedy wyszli za nędzną siedzibą Dużego Cona, Ven wzięła Dana za rękę. Chata stała przed nimi na czterech krzywych, przeżartych przez termity słupach. Przez prostokątny otwór okna, w którym powiewała wystrzępiona szmata, Ven dostrzegła ciemne i zatęchłe wnętrze. Na delikatnych nitkach wiszących w wejściu pajęczych sieci igrały promienie słońca.

– Popatrz tam – powiedziała Song.

Ven spojrzała i zobaczyła wybijacza godzin, rozciągniętego na ziemi przed domem. Usta miał szeroko otwarte i widać było obłożony język. Chrapał głośno, a koło jego ręki leżała pusta flaszka po winie. Wzrok Ven zatrzymał się na jego kroczu. Wygnieciony materiał spodni pociemniał od ekskrementów.

Ven odwróciła się do Song. Chciała natychmiast stąd uciekać, lecz jej sandał zahaczył o wystający korzeń i potknęła się, wydając zduszony okrzyk. Wybijacz godzin otworzył oczy i spojrzał prosto na nią. Tęczówki miał tej samej barwy co język, wyblakłe i zamglone.

Uniósł się z ziemi, chwytając butelkę za szyjkę i trzymając ją przed sobą jak broń. Jego oczy przesłoniła wściekłość. Kobiety przypadły do siebie, a uwięziony w ich uścisku Dan wspiał się na palce, żeby móc coś zobaczyć. Wybijacz godzin odchrząknął chrapliwie.

– Czego chcecie? Dlaczego mi przeszkadzacie? – zapytał szorstkim tonem.

Przy jego kroczu zawirował rój much. Ich brzęczenie rozbrzmiewało głośno w upalnym powietrzu. Duży Con próbował rozgniatać owady dnem butelki. Po kilku nieudanych próbach stracił cierpliwość i cisnął flaszką o drzewo. Rozprysnięte szkło posypało się na ziemię wokół jego bosych stóp. Ven zrobiła krok do przodu.

– Przyszłam zapytać o wiadomości – powiedziała. Jej ostry głos działał mu na nerwy, lecz gest otwartą dłonią świadczył o tym, że nie ma złych zamiarów.

Spojrzał na dziewczynę. Jego oczy straciły posępny wyraz, lecz wciąż miał na twarzy maskę ospałości.

– Ach, to ty. Czego chcesz?

– Przyszłam po wiadomości – powtórzyła Ven.

– Co za wiadomości?

– O panu Nguyenie i jego żonach – dodała Song.

Duży Con machnął dłonią w powietrzu.

– Plotek możecie się dowiedzieć w sali zebrań, tak jak wszyscy.

Ven zbliżyła się doń jeszcze o krok. Widziała wyraźnie blizny na jego twarzy.

– Kazano mi przyjść tutaj – nie ustępowała. – Proszę, powiedz mi, czy pojawiło się jakieś nowe obwieszczenie.

Nie zamierzała zrezygnować. Ich spojrzenia spotkały się na kilka sekund, po czym Con wzruszył ramionami i wypiął pierś. Majestatycznym, niemal królewskim gestem wyciągnął rękę w stronę dębu rosnącego obok chaty. Do pnia przybito kilka afiszy. Na paru widniały portrety pana Nguyena i pani Nan. Pod wizerunkami maszerowały równymi rządkami litery, wypisane czarnym tuszem.

– Oto są pani obwieszczenia – powiedział. – Przynieśli je dziś rano.

– Czy możesz mi powiedzieć, co tam jest napisane? – Ven pokazała na afisze z wizerunkami jej teściów.

– Nie pisałem i nie czytałem od kilku lat. – Duży Con pokręcił głową. – Już mało co pamiętam. Skoro nie umiesz czytać, to wynoś

się z mojego domu.

Ven sięgnęła ku afiszom. Dwoma palcami próbowała wyciągnąć gwoździe, którymi przybito je do drzewa.

– Co ty wyczyniasz?! – wrzasnął wybijacz godzin.

Dan przestraszył się jego ryku i rozplakał się. Song utuliła go w ramionach.

– Skoro mi nie chcesz powiedzieć, co tu jest napisane, zabieram te ogłoszenia ze sobą – odparła Ven.

– Ani mi się waż ich stąd zabierać! – Duży Con ruszył ku niej z groźną miną. Ven odwróciła się twarzą do niego. Sosna za jej plecami rozłożyła dwie nisko wiszące gałęzie w lewo i w prawo, niczym ramiona, które zagradzały jej drogę. Dziewczyna oparła się o pień, czując wzbierający w piersi lęk.

– Proszę, nie rób mi nic złego – szepnęła. – Chcę się tylko dowiedzieć, co jest na tych afiszach. Co mam zrobić, żebyś mi pomógł?

Con przystanął, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tęsknię za towarzystwem winnej czarodziejki – odparł. – Prze-czytam ci to obwieszczenie za dziesięć miedziaków.

Ven sięgnęła pod wiązanie swego pasa, gdzie chowała pieniądze. Jej palce odnalazły ciepłe monety, śliskie od jej własnego potu. Były nani-zane w pętlę, same grosiki. Przesuwały się pod jej palcami, wydając metaliczny odgłos. Oczy Dużego Cona rozbłysły i zacisnął pięści, jak gdyby walczył z pokusą wyrwania jej pieniędzy.

Ven kilkakrotnie dokładnie przeliczyła monety.

– Mam tylko osiem miedziaków. – Spojrzała na niego, otwierając dłoń i pokazując swoje zasoby.

Duży Con przełknął ślinę. Chwycił pieniądze, a złote promienie słońca zatańczyły na jego ogolonej głowie.

– Odsuń się – powiedział. – Jak mam czytać, skoro mi zasłaniasz? – Odepchnął ją na bok.

Podszedł bardzo blisko pnia, niemal wtykając nos w afisze. Mrużąc oczy i drapiąc się po bezwłosej czaszce, sylabizował z trudem, jak

uczeń, czytający trudny poemat pod okiem surowego nauczyciela.

– Schwy-ta-ni bun-tow-ni-cy – zaczął. – Ob-wiesz-cze-nie wy-da-ne na dwo-rze w Hue.

W miarę jak czytał, oswajał się z dziwnymi znakami na afiszu i wypowiadał słowa szybciej i z większą pewnością:

„W dniu drugim kwietnia Roku Smoka (w kalendarzu księżycowym), a w kalendarzu zachodnim trzeciego maja, roku tysiąc dziewięćset szesnastego, wykryto, że grupa spiskowców namówiła naszego młodego cesarza Duy Tana do ucieczki z Purpurowego Zakazanego Miasta. Buntownicy początkowo udawali, że przyплыnęli na połów ryb w Hau Ho, i podrobili przepustki do pałacu, żeby odwiedzić cesarza. Następnie zacumowali swoją łódź w Thuong Bac, żeby przyjąć na pokład Jego Cesarską Mość. Dwór cesarski do dnia dzisiejszego nie zdołał ustalić miejsca pobytu młodego władcy. Przywódcy grupy rebeliantów, Thai Phien, Le Ngung, Tran Cao Van, Phan Thanh Thai i Vo Van Tru, konspirowali przeciwko francuskiemu protektoratowi nad Wietnamem. Nie powinni byli mieszać do tego naszego młodego władcy. Jego Cesarska Mość nie obchodził jeszcze swych szesnastych urodzin i daleko mu do dojrzałości, niezbędnej do podejmowania decyzji o przenoszeniu gór i podboju mórz. Aresztowano również innych członków tej samej grupy, łącznie z Tatem Nguyenem, kapitanem kutra rybackiego z Cam Le, oraz jego dwiema żonami, Nan Nguyen i Ly Nguyen. Zostaną skazani na śmierć. Wyrok będzie wykonany za dwa tygodnie w ich rodzinnej miejscowości. Celem tej akcji jest uzmysłowienie innym rebeliantom, że dwór cesarski w Hue nie będzie tolerował działalności buntowników...”

Twarz Ven poszarzała mocniej niż pień drzewa, o które się opierała, żeby nie upaść.

– To niemożliwe! – wyszeptała. – Absolutnie niemożliwe!

Duży Con czytał dalej:

„Podczas przeszukania statku *Lady Yen* znaleziono w jego ładowni trzydzieści pakunków z prochem strzelniczym...” – przerwał i przyjrzał

się badawczo Ven.

– Co to ma znaczyć? – zapytał. Wyraz nietrzeźwości zupełnie zniknął z jego oczu.

– Ja chyba popadłam w obłąd – wymamrotała dziewczyna. Odepchnęła się od drzewa i chwyciwszy w objęcia Dana, pobiegła ścieżką w dół wzgórza. Song popędziła jej śladem.

Wybijacz godzin obwąchał nanizane na sznurek monety, patrząc za znikającymi w bambusowym gąszczu kobietami. Siorbnał głośno ślinę i mruknął pod nosem:

– Gdzie ten przeklęty szynk? Muszę się napić.

Rozdział piąty

Piećło

Kiedy dwie kobiety ze swoim małym podopiecznym skrzyły na ścieżkę prowadzącą na skróty do głównej bramy domu pana Nguyena, robiło się już ciemno. Światło dzienne dogasało i po przeciwnej stronie nieba pokazał się księżyc, jak gdyby chciał zaćmić ostatnie blaski słońca. Mimo ich połączonych wysiłków wieczór był mroczny. Na niebie wisały ciężkie chmury. Z rosnących przy drodze chryzantem i orchidei niosło się ćwierkanie świerszczy.

Gdy zbliżyły się do domu, Ven zobaczyła przed główną bramą powóz zaprzężony w dwa kasztanki. Te piękne konie były dumą i radością pana Nguyena i używano ich tylko w wyjątkowych okolicznościach. Dziewczyna ujrzała w wyobraźni swoich teściów siedzących na szeszlunku w salonie i ogarnęło ją uczucie ulgi. Jeden z koni zarżał, drugi zaś grzebnął nerwowo kopytem w żwirze podjazdu.

Brama z granitu obróciła się na zawiasach. Za nią ukazała się Trzecia Żona, trzymająca pod pachą małe pudełko. Przez plecy przewiesiła swoją lutnię, podzwaniającą strunami przy każdym kroku. Stangret zeskoczył z kozła, żeby jej pomóc. Ven rozpoznała młodego ogrodnika. Przystojna para wyszła za bramę, która zamknęła się za nimi, sunąc niemal bezgłośnie na kółkach.

Na widok Ven ogrodnik się przeraził. Wepchnął szybko panią Yen do powozu, a sam wskoczył na kozioł i szarpnął cugle, zmuszając konie do biegu. W oknie ruszającego powozu ukazała się zaambarasowana twarz pani Yen.

– Stójcie! – zawołała Ven. – Dokąd jedziecie?

Jej głos zaniknął bez echa na pustej ulicy. Powóz nabierał szybkości. Ven spostrzegła, że stangret z trudem panuje nad podekscytowanymi końmi. Szarpały dyszel za każdym razem, gdy strzelał z bata.

Dziewczyna rozumiała zachowanie zwierząt. Zajmowała się nimi w stajni od kilku miesięcy, szczotkując je i karmiąc. Nie tak należy się z nimi obchodzić, pomyślała.

– Trzymaj go – powiedziała do Song, podając jej Dana.

Zanim służąca zdążyła zareagować, Ven puściła się w pogoń za powozem. Mocne nogi niosły ją szybko i wkrótce biegła już obok koni. Ogródnik poganiał je do jeszcze bardziej szalonego galopu, lecz Ven nie zostawała w tyle.

– Odejdź! – krzyknął. – Przestań nas gonić!

Determinację dziewczyny podsycił gniew. Chwyliła mocno za uszy zwierzę, obok którego biegła, pozwalając się wlec po żwirze drogi.

Ogródnik zamierzył się batem na prześladowczynię, w nadziei, że zrezygnuje z pościgu. Pierwsze uderzenie rozplotło jej związane w węzeł włosy. Drugi cios trafił ją w głowę, a kolejny smagnął plecy.

Przy każdym uderzeniu skórzanego bata czuła, jak piekący ból kąsa jej skórę. Krew spływała po twarzy, zalewając oczy i wypełniając usta dobrze znanym metalicznym posmakiem. Zaciśnęła zęby i jeszcze silniej chwyciła końskie uszy. Zwierzę parsknęło, czując ból. Jego przednie nogi się ugięły i stanął, szarpiąc drugiego konia do tyłu. Dyszel pękł na dwoje i powóz zatrzymał się w miejscu.

Ven, nie mając się czego złapać, poleciała siłą bezwładu do przodu, niczym armatnia kula. Przetoczyła się dwukrotnie i runęła twarzą do ziemi na środku drogi.

Adrenalina opadła i dziewczyna czuła teraz tylko ból i oszołomienie. Oczy zalewała jej krew, a kłęby wzbitego przez powóz pyłu przesłaniały widok. Gdzieś za plecami słyszała zawodzenie pani Yen.

Dźwignęła się na nogi i utykając, powlokła się w tamtą stronę. Miała pozdieraną w wielu miejscach skórę, lecz wyglądało na to, że niczego sobie nie złamała. Przez płataninę włosów widziała księżyc, który wyglądał zza chmur i zalewał bladym światłem kamienistą drogę. Kilka metrów dalej ogrodnik wyciągał spomiędzy koni złamany drąg. Ven podeszła do powozu.

– Dlaczego uciekasz z tym człowiekiem?! – zawołała, przekrzykując przenikliwe zawodzenie Trzeciej Żony. – Za dwa tygodnie uśmiercą połowę twojej rodziny! I co mam zrobić z twoim synem?

– A co ja mam począć? – odpowiedziała płaczkliwie jej teściowa, wyglądając przez okno powozu. Ścisnęła uchwyt tak mocno, że aż pobielaly jej kłykcie. – Dowiedziałam się wszystkiego wkrótce po twoim wyjściu. Jeżeli zostanę w domu, mnie też na pewno zabiją. Uznają mnie za winną z powodu pokrewieństwa. Nie jesteś głupia, Ven, przecież rozumiesz, że jestem zbyt młoda, żeby ponieść chwalebny śmierć jako oddana żona. Tego nie było w moim kontrakcie z rodziną Nguyenów. Mój syn jest twoim mężem i w dniu waszego ślubu obowiązkiem opieki nad nim przeszedł na ciebie. Teraz ty za niego odpowiadasz, nie ja. Pozwól nam odjechać w spokoju, błagam!

W oknie z przodu powozu pojawiła się głowa ogrodnika.

– Czas ruszać – oznajmił.

Pani Yen wyciągnęła z rękawa jedwabną chusteczkę i przycisnęła ją do oczu. Z delikatnej tkaniny popłynął piękny zapach i Ven zrobiło się słabo. Nie potrafiła podjąć sporu z teściową. Słowa więzły jej w gardle za każdym razem, gdy ta piękna młoda kobieta spozjrzała na nią z żalością w oczach. A jej wymowność! O tak, pani Yen była niezwykle elokwentna; słowa płynęły z jej ust tak gładko jak olej wlewany do lampy.

– Weź ten nefryt i lutnię. – Pani Yen zdjęła złoty łańcuszek i podała

go dziewczynie przez drzwiczki powozu, razem z delikatnym instrumentem. Ven przyjrzała się z ciekawością ozdobie. Łańcuszek był świetnej roboty, lecz nie dorównywał urodą wiszącej na nim owalnej bryłce nefrytu, wielkości chińskiej monety. Powierzchnia kamienia połyskiwała zielenią w świetle księżyca. Na środku delikatny spłot złotych linii układał się w chiński znak.

– Te dwa cenne przedmioty należały do mnie jeszcze w Chinach, gdy byłam dziewczyną niezwiązaną z przeklętym domem Nguyenów. Aż do dzisiaj nigdy się z nimi nie rozstawałam. Litera na nefrycie to moje imię po chińsku, a lutnia... chyba znasz jej historię. Grą na niej zarabiałam na życie, kiedy występowałam w operze. Teraz mam inne plany. Daj, proszę, te rzeczy mojemu synowi, kiedy dorośnie, żeby choć cząstka mnie z nim została. Zaopiekuj się Danem i weź sobie z domu wszystko, czego ci potrzeba do rozpoczęcia nowego życia.

Zanim Ven zdążyła odpowiedzieć, konny powóz potoczył się znowu kamienistą drogą. Pani Yen usadowiła się i zasłoniła okno. Ven opadła na kolana i wybuchnęła po raz pierwszy w życiu głośnym, niepohamowanym płaczem. Łzy miały słonogorzki smak, taki sam jak jej krew.

Dan, wtulony w objęcia Song, obserwował rozmowę Ven ze swoją matką. Narastało w nim poczucie opuszczenia. Choć nie rozumiał wszystkiego, wyczuwał burzę uczuć, miotającą obu kobietami – grzmoty krzyków, grad smutku, deszcz gniewu i pomieszania. Dopiero gdy powóz zniknął za zakrętem drogi, chłopiec zdał sobie sprawę, że to koniec.

Służąca pomogła Ven podnieść się z ziemi. Cała trójka, obejmując się nawzajem, ruszyła do domu. Po wejściu za bramę Dan poczuł się tak, jakby przytulne mieszkanie zamieniło się w pusty grobowiec. Zapadła noc. Wiejący od rzeki silny wiatr rozgonił chmury. Księżyc i baldachim gwiazd rozświetlały szarość nieba. Wyobraził sobie, że wszystkie lampy rozjaśniające budynek wzniosły się do niebios, żeby

odtańczyć dziki taniec, a jego dom pogrążyć w ciemności.

Kobiety zaprowadziły go do sypialni i Song zapaliła lampę olejną. Jej płomień odgonił mrok, nie zmniejszył jednak lęku, jaki odczuwał Dan. Jego strach wzmagał się jeszcze, gdy patrzył na ogromne cienie obu kobiet, skaczące złowrogo po ścianach. Chociaż Ven i Song były blisko, czuł się samotny.

Ven zaczęła się rozbierać, oparta o parapet. W migotliwym świetle ukazały się jej nagie, poznaczone czerwonymi pręgami plecy. Dan patrzył zafascynowany na te gniewne stygmaty. Niektóre nabrzmiały i ciekła z nich krew. Włosy Ven też pozlepiane były zaschłą krwią. Na zewnątrz wzmagał się wiatr. Przez szparę w oknie wdarł się do pokoju zimny powiew. Ven zadrżała, lecz nie ruszyła się z miejsca, zbyt osłabiona, żeby zrobić cokolwiek.

Song wpłynęła do pokoju niczym duch. Niosła miskę z wodą, której powierzchnia kołysała się w rytm kroków dziewczyny. Ven trzymała się framugi okna, głowę wsparłszy na uniesionym ramieniu, z twarzą pobladłą z bólu. Kiedy służąca obmywała jej rany, z ust Ven wydobywały się nieartykułowane dźwięki, które nagle zagłuszył dużo głośniejszy odgłos zza okna – warkot silnika samochodu.

Psy z sąsiedztwa przebudziły się i ich ujadanie spotęgowało hałas. Wkrótce droga przed domem ożyła szczekaniem, płaczem dzieci i bieganiną rozdrażnionych sąsiadów.

Ven sięgnęła po koszulę.

– Zgaś lampę – poleciła służącej. Pokój pogrążył się w ciemności.

Dan szukał Ven po omacku, a ona poczuła, że jej potrzebuje, i przypadła do niego niczym orzeł do swego pisklęcia. Silne ramiona utuliły chłopca w uścisku; łagodnym jak zwykle głosem szeptała mu do ucha magiczne słowa, które go zawsze uspokajały.

– Która to godzina, Song? – zapytała. Do tej pory nie słyszały wybijacza godzin. Bez tego dźwięku czas zdawał się rozciągać w wieczność.

– Godzina Szczura, proszę pani – odparła Song.

Dan próbował sobie przypomnieć, co Ven mówiła mu o mierzeniu czasu. Zgodnie z astrologicznym chińskim cyklem czasowym, dwanaście zwierząt reprezentowało określone części doby. Według używanego przez Francuzów systemu zachodniego, każdemu zwierzęciu odpowiadały dwie godziny. Godzina Szczura trwała od jedenastej do pierwszej w nocy. Następnym dwugodzinny okres, od pierwszej do trzeciej, był godziną Wołu.

– Północ – powiedziała Ven, jakby potwierdzając jego myśli. – Kto przychodzi o tej porze, poza złodziejem i policjantem? Zresztą nieważne, co to za ludzie. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że tu jesteśmy.

Song pokiwała w ciemności głową.

Dan poczuł, że czyjeś ręce podnoszą go z łóżka i niosą przez pokój, by złożyć w ciasnej przestrzeni. Jego nozdrza wypełniła woń mokrego bambusa. Ven ułożyła chłopca w koszu, w którym nosiła go na grzbiecie podczas pracy w polu. Teraz ten pojemnik stał się jego schronieniem.

Położyła obok Dana lutnię. Sięgnął do jej dłoni, opartych na uchwytach nosidła, chcąc pokazać, jak bardzo się boi. Ven także ogarnęła niepokój.

Za oknem, pod zbiegającym księżycem, podjechał do bramy domu samochód osobowy. Za pojazdem biegli uformowani w dwuszereg żołnierze w brązowych mundurach i ciemnoniebieskich skarpetach, co wskazywało, że jest to oddział gwardii pałacowej. Na żwirowej drodze rozbrzmiewał tupot butów, dudniąc w uszach Dana. Każdy żołnierz niósł pochodnię zrobioną z pasa wysuszonego kauczuku, zanurzonego w benzynie i owiniętego wokół bambusowego kija.

Dan, zgodnie z poleceniem Ven, skulił się głębiej w koszu. Samochód się zatrzymał i oddział wojska również. Żeby dojść do głównego budynku, musieli minąć sypialnię Dana, położoną na prawo od ścieżki, na tyłach ogrodu.

Song wymknęła się przez okno jako pierwsza. Ukryta za drzewami

wiśniowymi, wyciągnęła ręce ku Ven i wzięła od niej nosidło z Danem. Chłopiec zamknął oczy, czując się jak arbuż, kołyszącym ruchem przekazywany z rąk do rąk. Mimo lęku to doświadczenie było dlań bardzo ekscytujące.

Usłyszał szum wiatru, a leżąca obok lutnia zadźwięczała; zupełnie jakby powiew zmienił się w błędzące po strunach palce. Kiedy Song chwyciła kosz, granie umilkło.

Ven zeskoczyła z głuchym tupnięciem na mokrą ziemię. Służąca umocowała na jej plecach kosz ze skulonym w środku Danem. Ven wpelzła na czworakach pod drewniany chodnik, przecinający ogród. Song posuwała się kilka kroków za nią.

Kiedy znalazły się w kryjówce, Ven zdjęła kosz z pleców i postawiła go przed sobą, żeby Dan także bez przeszkód obserwował rozwój wypadków. Z tego miejsca pod podestem cała trójka mogła podglądać przybyszów, nie obawiając się, że zostanie odkryta. Od góry zasłaniały ich grube deski chodnika, a wiatr tłumił wszelkie odgłosy.

Z wnętrza samochodu padł rozkaz. Żołnierze rozerwali szyk i podbiegli do głównej bramy domu. Ustawili pochodnie po obu stronach drogi i oparliszy dłonie na czarnym granicie, otworzyli bramę na całą szerokość. Potem odsunęli się, żeby przepuścić samochód. Ciemny luksusowy sedan miał barwę skrzydełek karalucha. Karoseria odbijała refleksy światła z pochodni, a grube szyby okien skrywały pasażerów.

Majestatyczny wehikuł potoczył się ścieżką z białej cegły i zatrzymał przed werandą. Żołnierze sunęli za nim niczym ogon ogromnego skorpiona. Słyszając stukot ich butów na ceglach, Dan poczuł zimny dreszcz.

Otworzyły się tylne drzwiczki auta i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Ven zakryła Danowi oczy dłonią. Chciał ją odsunąć, lecz była silniejsza. Stwardniałe od pracy palce dziewczyny zacisnęły się na jego twarzy, zostawiając tylko szparę do oddychania. Usłyszał nad swoją głową jej pełen niedowierzania szept:

- O dobry Boże, przecież to pan Long!
- I jego ojciec, asesor Toan – dodała Song.

Z samochodu wysiadł jeszcze jeden człowiek. Miał na sobie dziwne czarne ubranie, a na jego twarzy jaśniała szczecina, stercząca sztywno niczym włosy ryżowej szczotki. Oczy mężczyzny odbijały światło jak oczy kota. Przybierając władczą pozę, rozejrzał się wokół. Obaj Wietnamczycy stanęli przy nim. Wydawali się bardzo mali, gdy się skłaniali, kiwając głowami jak dwa podniecone gołębie podczas godów.

Cudzoziemiec spojrzał na pana Longa i wypowiedział dziwnie brzmiące słowa. Jego grube palce przecięły powietrze, kontrapunktując dziwną mowę. Asesor Toan nachylił się do syna, obrzucając mężczyznę krótkim, lecz wymownym spojrzeniem.

- Co powiedział francuski urzędnik? – zapytał.

– Chce się upewnić, że przywieźliśmy go rzeczywiście do domu buntowników – odparł Long. Jego krótkie, wypomadowane włosy naśladowały styl Francuza, w przeciwieństwie do tradycyjnej fryzury ojca.

- Potwierdź, że tak. Szybko – ponaglił go Toan.

Pan Long powiedział coś do francuskiego urzędnika. Asesor Toan stanął tuż przy swoim synu, z niecierpliwością wyczekując na przetłumaczenie słów cudzoziemskiego dygnitarza.

– Co teraz powiedział? – zapytał, szarpiąc syna za rękaw, gdy tylko obaj mężczyźni zamilkli.

– Kazał przeszukać całą posesję. Chce znaleźć dowody przeciwko buntownikom – wyjaśnił Long. – Kazał też aresztować wszystkich w domu, niezależnie od wieku.

W cieniu swej kryjówki Ven ciężko westchnęła.

– Łotry – szepnęła. – To wielkie nieszczęście, że nasz pan obdarzył zaufaniem te jadowite kanale. Ci ludzie są niebezpieczni nie tylko dla naszej rodziny, ale nawet dla powietrza, którym oddycha wioska Cam Le.

Song przyłożyła palec do ust, błagając Ven, żeby zamilkła.

Pan Long ze swymi ludźmi przemierzył długą werandę i wszedł do głównego pokoju. Kiedy zniknęli za drzwiami, do uszu Dana dotarł łoskot przewracanych i ciskanych o ścianę mebli. Dostrzegł w środku światło pochodni, przeskakujące z pomieszczenia do pomieszczenia. Na półprzejrystym pergaminie okien tańczyły cienie mężczyzn; obrazy te kojarzyły mu się z historiami opowiadanymi przez ojca o potworach, pół ludziach, pół kozach, które wychodziły z piekieł, żeby kraść żyjącym dusze. Dan zasłonił uszy dłońmi, lecz odgłosy płańdrowania i tak do niego docierały.

Asesor Toan i francuski urzędnik stali przy dekoracyjnej wazie, ustawionej na drewnianym postumencie, z wyraźnym zniecierpliwieniem czekając na powrót żołnierzy. Toan obserwował Francuza z lękiem w oczach, mając nadzieję usłyszeć jakąś pochwałę i bojąc się ujrzeć grymas niezadowolenia. Upłynęło ponad pół godziny, dla Dana cała wieczność, zanim pan Long i jego ludzie wyszli różnymi drzwiami z budynku i zebrał się znów na podwórzu.

Pan Long wyłonił się z drzwi salonu, uginając się pod niesionym na ramieniu ciężarem. Z jego przedniej kieszeni zwisało kilka sznurów pereł. Szczyrzył zęby w uśmiechu. Żołnierze także dźwigali na plecach spore pakunki. Przy każdym ich kroku metalowe przedmioty podzwaniały w nocnej ciszy jak upiorne kajdany. Inni wyszli z za budynku, niosąc klatki z drobiem i prowadząc całą gromadę zwierząt gospodarskich – krowy, konie, świnki – oraz parę wołów wynajętych przez Song miesiąc wcześniej od chłopca z sąsiedniej wioski. Poszturchiwane przez żołnierzy zwierzęta podążały za pochodniami, które mężczyźni trzymali wysoko nad głowami.

Francuski urzędnik i pan Long wymienili między sobą jakieś zdania. Cudzoziemiec wydawał się jednak niezadowolony z odpowiedzi Wietnamczyka. Odwrócił się, krzyżując ręce na piersi. Pan Long próbował coś dodać, ale Francuz nagle się ożywił. Na oczach zaskoczonych żołnierzy wykrzyczał jakieś gniewne uwagi, po czym podszedł do auta i kopnął przednią oponę.

– Zapytał, czy znaleźliśmy dowody winy – wyjaśnił ojcu Long. – Kiedy mu powiedziałem, że nie, chciał zobaczyć, co jest w pakunkach. Wytłumaczyłem mu, że to skonfiskowany majątek rebelianta, i wtedy się rozzłościł. Nazwał nas nawet „bandą zachłannych małp”.

– Rozumiem – wyszeptał stary, usiłując zapanować nad przerażeniem.

– Nie martw się, ojcze – rzekł Long. – Francuz wkrótce ochłonie. Przedstawię mu wtedy dowody, których tak bardzo pragnie, oczywiście w zamian za pozostawienie w naszych rękach tej fortuny. Możesz się już radować, bo dzisiaj trafiło nam się wielkie bogactwo.

Dan nie widział ze swego miejsca asesora Toana, usłyszał za to wyraźnie jego śmiech. Wszystko to wydawało mu się jakimś koszmarem. Wydarzenia, których był świadkiem, przekraczały jego zdolność pojmovania. Jednakże zakrywająca mu usta dłoń Ven upewniała go, że to nie sen.

Od siedzenia przez długi czas w tej samej pozycji zdrętwiały mu nogi. Poruszył się, lecz Ven przytrzymała go mocniej. Próbował odebrać od twarzy jej palce i jednocześnie kopnął ściankę bambusowego kosza. Ven nie ustąpiła. Choć jej siła nie dawała mu szans, chłopiec nie przestał się wrywać. Dno kosza zaszurgotało o piasek pod pomostem.

– Kto tam jest? – zawołał w mrok ogrodu asesor Toan, wychylając się z werandy. Dan ujrzał twarz starego, patrzącą wprost w jego stronę.

Chłopiec zamarł w bezruchu. Ostre spojrzenie Toana zdawało się go hipnotyzować, a przerażenie obezwładniało. W stronę drewnianego chodnika zaświeciło kilka pochodni. Na nieszczęście dla uciekinierów, ten blask był wystarczająco silny, żeby dotrzeć do ich kryjówki. Ponieważ jednak tkwili w niej nieruchomo, żołnierze nie dostrzegli skulonych pod podestem postaci.

– Kto tam jest? – powtórzył Toan. W kontaktach z mieszkańcami wioski starał się zawsze mówić najgroźniejszym tonem. Jego głos odgrywał kluczową rolę w sprawowaniu przezeń urzędu.

Francuz wyciągnął spod surduta pistolet, odbezpieczył go w milczeniu

i wycelował w ogród. Ciemny, okrągły otwór lufy hipnotyzował Dana. Czuł się bezradny jak kurczak przed ciosem topora, który za moment odrąbie mu głowę.

Song dotknęła dłoni Ven i odezwała się szeptem, ledwie słyszalnym w poszumie wiatru.

– Proszę posłuchać, pani Ven. Ja im się poddam, a pani niech się jak najszybciej stąd oddali. Proszę się opiekować młodym panem. Jeżeli ma pozostać przy życiu, nie może wpaść w ręce tych ludzi.

Nie czekając na odpowiedź, Song wybiegła z ukrycia, z rękoma uniesionymi wysoko nad głową.

– Nie strzelajcie! – krzyknęła. – Jestem tylko służącą. Miejcie litość!

Pan Long powiedział coś do Francuza, który schował pistolet do kabury wiszącej u pasa pod jego surdudem. Jednocześnie asesor Toan skinął dłonią ku Song i dwaj żołnierze podbiegli, żeby ją pochwycić. Powlekli dziewczynę przez podwórze przed oblicze starego. Wyrwała się, lecz wykręcili jej ręce do tyłu, zmuszając do ugięcia kolan. Przesłonięta włosami twarz dziewczyny była tak biała jak jej koszula. Niemal mdlała i głowa opadła jej na ramię.

– Słyszałem kilka głosów! – ryknął Toan, przywracając ją do przytomności. – Kto tam z tobą był?

– Byłam sama – wyszeptała. – Modliłam się głośno i pewnie to pan słyszał.

Ven cofnęła się głębiej pod drewnianą kładkę, wciągając kosz z Danem w najgłębszą ciemność.

– Widzisz, w jakie kłopoty wpędziłeś Song – szepnęła mu do ucha. – Błagam cię, młody panie, siedź już cicho. – W jej głosie brzmiał raczej smutek niż pretensja.

Prośba była już zresztą zbędna, bo chłopiec, po tym, co się wydarzyło, nie ośmielił się nawet drgnąć. Nie odrywał jednak oczu od rozgrywającego się trzydzieści kroków dalej spektaklu.

Asesor Toan pomimo swego podeszłego wieku przyskoczył do Song

ze zwinnością pantery. Wziął od jednego z żołnierzy płonącą pochodnię, a drugą ręką schwycił ją za włosy i odgiął głowę do tyłu, żeby móc patrzeć dziewczynie w oczy. Przysunął pochodnię do jej twarzy. Ich spojrzenia się spotkały.

– Mów, niewolnico! – krzyknął. – Kto jeszcze się tam ukrywa? Odpowiadaj, zanim przypalę ci twarz ogniem.

– Jestem tu sama, panie Toan – odparła dziewczyna.

Przysunął pochodnię tak blisko jej włosów, że nabrały barwy płomienia i z daleka mogło się wydawać, że się palą. Song zacisnęła powieki.

– Gdzie wobec tego są pozostali? Gdzie jest pani Yen?

– Moja trzecia pani wyjechała po południu powozem razem ze swoim synem. Nie wiem, dokąd się udała. Dobra służąca nie powinna wypytywać swoich państwa o ich zamiary, lecz tylko wykonywać polecenia. Zostałam tu, bo i tak nie mam dokąd pójść, a pani życzyła sobie, żebym została.

– Po co? – zapytał Toan, oddając pochodnię żołnierzowi.

– Żeby pilnować domu, dopóki ona albo pan Nguyen nie wrócą. Byłam sama i przestraszyłam się, kiedy do domu wpadł oddział wojska. Nie wiedziałam, co zrobić, więc się schowałam.

Wydawało się, że asesor Toan nie może oderwać wzroku od twarzy Song. Cofnęła się o krok, lecz żołnierze przytrzymali ją mocniej za ramiona, nie dając się poruszyć. Migotliwe języki ognia zabarwiły jej różową skórę ciemnym rumieńcem i lśniły w oczach. Toan bawił się pierścieniem, który nosił na środkowym palcu lewej dłoni. Wsuwał palec prawej pod złote kółko i wysuwał, coraz prędzej. Jego głos stracił nieco ze swej surowości.

– W rzeczy samej, atrakcyjna z ciebie służąca – rzekł z namysłem. – Twój pan musi być ślepy, skoro nie dostrzegł, jak piękny kwiat rośnie pod jego dachem.

– Jestem mężatką – odparła chłodno Song. – Pomimo że mój mąż nie żyje, do końca życia należę do niego. Proszę, panie Toan, niech pan okaże szacunek zmarłemu.

– Hm – mruknął starzec, marszcząc brwi. – Skoro wspomniałaś o małżeństwie, gdzie jest ta młoda synowa Nguyenów?

– Także uciekła. Na pewno wróciła do swojej rodziny.

– Nieszczęsna niewiasta – rzekł Toan. Po chwili namysłu zwrócił się do jednego z żołnierzy. – Rano roześlijcie list gończy za nimi wszystkimi. Nie mogli uciec daleko, szczególnie ta chłopka. Jednakże znaleźć ją będzie bardzo trudno, bo nikt w wiosce nie wie, jak ona wygląda. Zdaje się, że ukryli ją przed ludzkim okiem nawet w dzień wesela. Wstydziła się, że ma zbyt prostackie rysy, żeby uchodzić za damę. Chyba bardziej nam się poszczęści, jeśli poszukamy jej rodzinnego domu, zamiast czekać, aż pokaże się gdzieś w tej wiosce.

Pan Long ujął swego ojca pod łokieć.

– Ojcze, chyba czas się stąd zabierać.

Stary asesor skinął głową.

– Dopilnuj, żeby nie zostało tu żadne zwierzę – powiedział. – Po-tem spalimy to miejsce. Właściciel tego domostwa zajmował kiedyś wysoką pozycję wśród rybaków z tej wioski. Jeżeli jego własność obróci się w popiół, będzie to dla tych ludzi przestrogą i zniechęci szabrowników. A co do ciebie, dziewczeczko – zwrócił się do Song – jesteś aresztowana i zostaniesz później osądzona. Zdecyduję o twoim losie osobiście. Zaprowadźcie ją do mojego domu – rzucił do żołnierzy.

Następnie asesor Toan pomaszerował ku głównemu budynkowi domostwa Nguyenów, wznosząc pochodnię ponad głowę niczym płonący miecz. Kroczył naprzód, już nie słaby starzec, lecz srogie, kościste wojak, gotów do bitwy. Przy drzwiach zaczekał kilka minut, żeby żołnierze zdążyli wyjść za bramę posiadłości. Pan Long stał w ogrodzie, patrząc, jak jego ojciec macha pochodnią w nocnym mroku. Na twarzy syna wykwitł uśmiech dumy.

Na początek asesor Toan podpalił drewniany postument, na którym ustawiono eukaliptus uformowany w kształt feniksa. Stare, suche drewno zajęło się natychmiast. Słaby płomień szybko dosięgnął drzewka i w powietrze uleciały z trzaskiem iskry. Toan podpalił teraz drzwi i wbiegł do budynku. Dan widział przez okno, jak staje w płomieniach

biblioteka ojca. Starzec buszował po pokojach, podpalając wszystko, co mogło się zająć. Niewielkie z początku płomienie jaśniały jak liczne lampy, stopniowo łączące się w jęzory i pełzające po ścianach niczym setki czerwonych węży. Mocny wiatr pomagał rozniecić ogień. Po niedługim czasie barwy piekielnej siarki dotarły do wspianego dachu i niebo rozgorzało jaskrawym oranżem.

Powietrze zrobiło się ciemne od rozwiewanego wiatrem dymu. Przestraszone wróble wyfruwały spod rzeźbionych okapów, uciekając z przyklepionych do dachówek gniazd. Ich przerażony świergot ginął w potężnym huku ognia.

Część dachu zwała się na ziemię. Ponad płomienie wzbiła się chmura pyłu i popiołów, w które zamieniał się stuletni dom. W drzwiach pojawił się znów asesor Toan, niczym demon, za którego plecami szalał ogień piekielny. Starzec rozpostarł szeroko ramiona, jego twarz pokrywał pot. Dan usłyszał dobywający się z piersi mężczyzny tubalny rechot. Początkowo pojawienie się asesora i żołnierzy wzbudziło w nim przerażenie; później zachwycił się wspianością pożaru. Teraz zrozumiał, że oto stracił swój dom na zawsze.

Ven ponownie zakryła mu usta dłonią. Jej łzy kapały na twarz chłopca, mieszając się z jego własnymi. Zanim przestał widzieć cokolwiek, dojrzał jeszcze pana Longa, który także przyglądał się pożarowi. W jego okularach odbijały się małe ogniki.

Przed opuszczeniem posesji asesor Toan wrzucił jeszcze swoją pochodnię do sypialni Ven i Dana. Spadła na ich małżeńskie łóżko i rozkwitła niczym płomienna chryzantema.

Rozdział szósty

Spotkanie

Pożar szalał aż do rana i zniszczył większą część domu. Z jednej strony runęła cała ściana z cegieł. Dachówki zasypały pokoje na dole. Wspaniałe meble, kunsztowne dekoracje i nękające Dana wspomnienie szczęśliwej niegdyś rodziny – wszystko to zginęło w płomieniach i pogrzebane zostało pod zgliszczami.

Mieszkańcy wioski Cam Le z lęku przed starym asesorem nie odważali się zbliżyć do pogorzelniska. Okazała rezydencja budziła zawsze dumę w ich sercach i cieszyła oczy; teraz patrzyli ze zgrozą przez uchylone drzwi swoich domów, jak najokazalszy budynek w okolicy zmieniła się w kompletną ruinę.

Dan wygramolił się ze swego kosza, stojącego nieopodal drewnianego chodnika. Kilka czerwonych kwiatów wiśni zakołysało się na wietrze i opadło na głowę i ramiona chłopca, a potem na ziemię. Szkarłatne płatki wyglądały na tle nieruchomej trawy jak krople krwi. Dan ze zmartwiałym sercem podreptał chodnikiem w poszukiwaniu Ven.

Głośny łomot spowodował, że zwrócił wzrok ku pozostałości sypialni. Na spieczoną ziemię runął duży cementowy blok, a wyżej widać było ziejący w ścianie otwór. Wyłoniła się stamtąd Ven, otrzepując z

brudu dłonie. Ledwie ją poznał, gdyż twarz i odsłonięte części ramion wysmarowała sobie sadzą. Na głowie miała stożkowy kapelusz, zawiązany szeroką czarną taśmą, żeby nie zwiął go wiatr. Normalnie wiązała sobie tę taśmę pod brodą, lecz teraz zakrywała jej usta i nos.

Dan spojrział w oczy swojej żony. Choć skryły się niemal całkiem pod zbyt wielkim nakryciem głowy, poczuł przyływ ulgi. Rozpostarł ramiona i czekał, aż się doń zbliży.

– Obudziłeś się, młody panie – powiedziała Ven, biorąc go na rękę.

Zaczęła rozprowadzać palcami sadzę po skórze i ubraniu Dana. Usiłował się wywinąć, odpychał ją i wycierał sobie policzki wierzchem dłoni. Na skutek tych zmagañ tłusty brud jeszcze bardziej go oblepił; chłopiec przypominał nieszczęśliwego klauna ze zbiedniałej trupy operowej.

– Przestań! – krzyknął, próbując się wyrwać.

– Proszę, nie sprzeciwiaj się, młody panie! – napomniała go. – Musimy się zamaskować. Sam się przekonałeś dzisiejszej nocy, jacy to niebezpieczni ludzie, ten asesor Toan i jego syn. Musimy zrobić wszystko, żeby nas nie rozpoznali.

– Czy nie możemy odejść gdzieś indziej? – zapytał.

Ven pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Będziemy zebrać o jedzenie i postaramy się dowiedzieć czegoś o twoich rodzicach w sali zebrań – tłumaczyła mu cierpliwie. – I musimy pozostać w wiosce. Nie mogę cię zabrać do domu mojego dziadka, bo Toan powiedział, że będzie nas tam szukał.

– A gdzie będziemy spać? – dopytywał się Dan. Zawsze bał się ciemności i drżał na myśl o spędzeniu kolejnej nocy w ogrodzie.

– Nie martw się, panie. Znajdę dla ciebie ciepłe i bezpieczne miejsce na noc, z daleka od policji i żołnierzy.

Brzmiące w jej głosie zdecydowanie powstrzymało na razie Dana od zadawania dalszych pytań.

Dwa tygodnie upłynęły w zwodniczym spokoju. Nikt w Cam Le nie zwrócił uwagi na dwoje żebraków, którzy dołączyli do pozostałych, wystających przed wioskową salą zebrań. Krępa kobietę w brudnych łachmanach i chłopca, którego nosiła w koszu na plecach, wszyscy brali za matkę i syna. Choć większość mieszkańców nie przepadała za widokiem obcych, którzy prosili o strawę zamiast pracować, nędzarze byli tu stale obecni i gdy jedni odchodzili, na ich miejsce pojawiali się nowi. Ziemia dostarczała dość pożywienia i opału. A przez wspieranie jałmużną tych, którym się nie szczęściło, bogatsi zyskiwali uznanie niebios.

Miejscowi mieli zresztą dość własnych zmartwień. Wyczekiwali wciąż wieści o zaginionych synach, mężach i ojcach. Aresztowania w porcie dotknęły niemal każdą rodzinę, a los wioski był nierozzerwalnie związany z losem śmiałego kapitana Nguyena, którego spotkało teraz nieszczęście.

Dan spędzał większość czasu, bawiąc się uwalanymi ziemią pacynkami, a jego „matka” żebrała o pieniądze i jedzenie. Smutne oblicze dziecka, zbyt posępne i dojrzałe jak na jego wiek, chmurniało, gdy tylko w pobliżu pojawiał się żołnierz. Opiekunka chłopca prosiła czasem przechodniów, żeby odczytywali jej informacje z nowych obwieszczeń. Wydawała się nie okazywać przy tym żadnych emocji i słuchała wieści z kamienną twarzą. Bystry obserwator mógłby jednak zauważyć, że w jej oczach, skrytych pod wielkim słomkowym kapeluszem, rozbłyskiwała iskierka uczucia, zdradzająca głębokie cierpienie.

Pewnego przedpołudnia tłum zrozpaczonych wdów i matek, zgromadzonych jak co dzień przed salą zebrań, ożywił się na odgłos warkotu nadeżdżających pojazdów. Za pozwoleniem strażników kobiety wyległy na drogę. Pędził nią ciemny sedan, wzbijając za sobą chmurę rdzawego pyłu. Na ostatnim zakręcie zatrzymał się i skierował na

gapiów reflektory.

Za osobowym autem toczył się o wiele większy pojazd. Nikt w wiosce jeszcze takiego nie widział. Podobnie jak pierwszym, nie poruszała nim siła ludzkich ani zwierzęcych mięśni. Wielki korpus wydawał się równie ociężały jak cielsko wodnego bawołu. Wehikuł prychał dymem i wodą. Na jego platformie, pod prażącym z góry słońcem, mieszkańcy wioski Cam Le ujrzeli wreszcie swoich zaginionych krewnych.

Uwięzieni wpatrywali się w nich z wyrazem udręki w oczach. Jechali z Hue od poprzedniego wieczoru, siedząc na drewnianej podłodze otwartej skrzyni ciężarówki. Pilnowali ich uzbrojeni po zęby żołnierze gwardii cesarskiej.

Sedan nagle ruszył, połykając dystans z szaleńczą szybkością. Zaskoczeni ludzie rozpierchli się na wszystkie strony. Wśród tego zamieszania w ślad za zgrabnym autem przejechała przez tłum ciężarówka.

Kiedy kobiety zobaczyły skazańców z bliska, podniosły głośny lament. Każdy z nich nosił wyraźne ślady brutalnego traktowania. Na stare obrażenia nakładały się nowsze, w różnych odcieniach błękitu i czerwieni, zmieniając ich twarze w żywe maski. Ręce mężczyzn także dawały świadectwo ich udręki. Po aresztowaniu strażnicy przebili ich dłonie żelaznym szpikulcem i założyli w te otwory ciężkie pierścienie. Przewleczony przez nie łańcuch połączył więźniów w ludzki naszyjnik. Ta brutalna metoda skutecznie zapobiegała próbom ucieczki podczas transportowania ich z miejsca na miejsce.

Mieszkańcy wioski mimo swej rozpaczki rozumieli wagę zarzucanego rybakom przestępstwa. Okropieństwa popełniane przez piratów zawsze budziły gniew rządzących. Morscy bandyci napadali na nadbrzeżne miasta, a urządzone przez nich rzezie latami uchodziły bezkarnie. Gdy któryś wpadł jednak w ręce władz, choć zdarzało się to rzadko, nie mógł liczyć na litość. Kobiety na widok swoich mężczyzn puściły się biegiem za ciężarówką i goniły ją, nie zważając na własne

bezpieczeństwo, dopóki się nagle nie zatrzymała.

Pan Nguyen wraz z obiema żonami też znajdowali się wśród uwięzionych. W przeciwieństwie do reszty, wszyscy troje mieli oczy zawiązane czarnymi opaskami. Ich drogie stroje były podarte, brudne od pyłu drogi i zaplamione zaschłą krwią. Nakrycie głowy Nguyena, elegancki jedwabny zawój, który nosił zawsze zwinięty w zgrabnych warstwach na jej czubku, było postrzępione i zsunięte na jedno ucho. Kapitan zachowywał jednak stoicki spokój, jak przystało na człowieka o jego pozycji.

Pierwsza Żona natomiast przypominała zniszczoną lalkę. Wstrząsały nią drgawki, a jej twarz powlokła się chorobliwą szarością, właściwą osobom uzależnionym od opium w fazie głodu. Odwróciła się w stronę głośnej ludzkiej cizby, wołając o litość. Jej błaganie urwało się nagle, gdy jeden z żołnierzy uderzył ją kolbą karabinu w twarz. Cios złamał kobiecie nos i runęła na podłogę. Z rany trysnęła krew. Siedząca obok Druga Żona próbowała po omacku jej szukać. Żołnierz szarpnął kopnięciem łączący je łańcuch, zmuszając młodszą z kobiet do pozostania na miejscu.

Kiedy zegar w budynku wybił dwunastą, więźniowie zaczęli przeżywać prawdziwe katusze. Asesor Toan, który krył się dotąd za ciemną szybą samochodu, wysiadł, żeby obwieścić, że nadeszła godzina egzekucji i wieśniacy mają teraz ostatnią sposobność pożegnania się ze swymi bliskimi. Na jego rozkaz część żołnierzy utrzymywała tłum na miejscu, podczas gdy inni otwierali tylną kłapę ciężarówki. Więźniowie przesuwali się gęsiego ku wyjściu, schodzili po kilku szczeblach drabinki i zeskakiwali z niej na ziemię.

Pan Nguyen i jego żony szli jako ostatni. Nic nie widząc, macali wokół w poszukiwaniu ściany, wzdłuż której mogliby się posuwać, lecz ściany nie było. Czuli promienie słońca, przenikające przez szorstki materiał opasek, lecz nie mogli go zobaczyć. To doświadczenie musiało być dla nich przerażające.

Żołnierze na ciężarówce popchnęli pana Nguyena, który zachwiał się i wpadł na Pierwszą Żonę. Ona z kolei poleciała do przodu i po chwili więźniowie zaczęli przewracać się jeden na drugiego niczym kostki domina, ciągnąc się nawzajem za uczipione do rąk łańcuchy. Rodzinę Dana powleczono po podłodze ciężarówki za rozkrwawione ręce i spadła z niej na ziemię, jak trzy worki ryżu. Ponad okrzyki rozpaczających wieśniaków wzniósł się gromki rechot żołnierzy.

Wśród rozhisteryzowanych kobiet znajdowała się także żebraczka, skrywająca twarz pod za dużym stożkowym kapeluszem i obserwująca całą scenę z wyraźnym przygnębieniem. Kiedy więźniowie zostali ustawieni przed frontem budynku sali zebrań, żebraczka wycofała się do cienistego lasku na skraju placu. Czekał tam na nią pod dębem mały chłopiec. Jego brudne policzki znaczyły ślady łez. Wyciągnął ku niej ramiona.

– Proszę, uratuj mojego tatę – powiedział.

Żebraczka ujęła głowę chłopca w dłonie, przyciągnęła go do siebie i kilkakrotnie ucałowała w czoło. Do jej oczu także napłynęły łzy.

– Nie mogę tego zrobić, młody panie – odrzekła. – Mogę jedynie spróbować uratować ciebie.

Podniosła go i wsadziła do kosza. Kołyszącym ruchem zarzuciła sobie kosz na plecy i ruszyła w drogę.

– Dokąd idziemy, Ven? – zapytał słabym głosem Dan.

– Do naszego domu, młody panie. Twojego ojca zgładzą na progu własnego domostwa, ponieważ zwyczaj wymaga, żeby tak właśnie odbywała się egzekucja pirata. Związana z nim załoga podzieli jego los w tym miejscu, ci ludzie bowiem spędzali tam wiele czasu. Twoim obowiązkiem jest obejrzyć to wszystko z silnym i spokojnym umysłem, a potem zdecydować, czy krwawa rzeź powinna zostać pomszczona. Niechaj to doświadczenie wprowadzi cię w dorosłość. Mam nadzieję, że pewnego dnia podniesiesz głowę i rzucisz wrogowi prosto w twarz: „Jestem synem człowieka, którego zabiłeś z powodu własnej

zachłanności. Nadszedł czas, bym teraz ja zażądał twojego życia”. I odsuniesz się, żeby patrzeć, jak ono uchodzi z jego oczu. Kiedy ten czas nadejdzie, chcę być tuż przy tobie.

Skulony w koszu na grzbiecie swojej żony, Dan płakał, aż w końcu zmogło go wyczerpanie. Jednakże nawet we śnie dręczył chłopca obraz ojca i przyrodnych matek pogrążonych w kompletnej bezradności. Ven nie próbowała ukoić żalu swego młodego męża, lecz kiedy w końcu przestał szlochać i zasnął, z wdzięcznością powitała ciszę.

Minęła jeszcze kilka zakrętów czerwonej, pylistej drogi i stanęła przed wysoką ceglana ścianą ich byłego domu. Pod rosnącymi przy wejściu wysokimi jodłami leżeli na gołym cemencie dwaj żołnierze, pogrążeni w głębokim śnie. Twarze zakryli sobie wojskowymi słomkowymi kapeluszami, które ozdobione były kępkami końskiego włosia.

Dziewczyna wspięła się na słupek pod murem, żeby zajrzeć do ogrodu. Nie było tam nikogo. Opuszczony dziedziniec, bardziej samotny od cmentarza, prażył się w słońcu. Popiół wirował na wietrze jak drobiny kwiatowego pyłku.

Ven wyjęła z kosza Dana i zarzuciła go sobie na plecy. Chłopiec obudził się. Przerzuciła pusty bambusowy kosz na drugą stronę muru. Dan otoczył ją swoimi chudymi ramionkami, a jego oddech grzał jej kark jak podmuch parnego powietrza. Obejmował ją nogami w talii, a rękami za szyję, jak uciepiona matki małpka. Dzięki temu miała wolne ręce i mogła przejść ponad murem, korzystając ze słupka jako podpory. Wisiała chwilę na szczycie przeszkody, po czym zeskoczyła na miękką trawę. Jej plecy zamortyzowały upadek chłopca.

Kiedy wstali z ziemi, Dan usłyszał nagle poprzez szum wiatru nad ich głowami odgłos silnika samochodu. Złowrogi warkot, który dzwonił mu w uszach przez dwa ostatnie tygodnie, przybliżał się. A może wskutek lęku tak mu się tylko zdawało? Wyraz przestachu na twarzy jego żony świadczył jednak o tym, że ona też to słyszała. Złapała

bambusowy kosz i kazała chłopcu wejść do środka.

Ponad wysokim murem mignęło oślepiające światło, odbite od lśniącego dachu sedana. Za autem sunęła ciężarówka z ładunkiem ludzkiego nieszczęścia. Po kilku sekundach w parnym powietrzu rozległ się miarowy tupot żołnierskich butów. Ponad te odgłosy wzbijały się krzyki rodzin skazańców, którzy biegli za samochodami, w próżnym wysiłku dotknięcia choćby ręki swych bliskich.

Ven pośród tego chaosu zachowała spokój. Stała na skraju dziedzińca, rozglądając się badawczo po otoczeniu. Ogród składał się z prostokątnych, starannie przystrzyżonych trawników, rozdzielonych drewnianymi kładkami-chodnikami. Część bardziej oddalona od domu nie ucierpiała od ognia. W narożnikach pod murem rosły mangowce i drzewa guawy o gęstym listowiu. Ich gałęzie splątały się ze sobą, tworząc baldachim nad bogato zdobioną bramą. Konary jednego z najwyższych mangowców zwisały nad główną drogą. Ven bez wahania zaczęła się wspinać na drzewo, łapiąc się coraz wyższych gałęzi.

Dan otoczył rękami szyję żony i schował się głębiej w koszu. Mimo niewygodnego ciężaru dziewczyna wspinała się zwinnie i uważnie. Po krótkim czasie znaleźli się niemal dziewięć metrów nad ziemią i mogli wyrzucić na drogę przez kurtynę liści.

Balansując na poziomym konarze, Ven umieściła kosz przed sobą. Dan nie poruszył się, choć zżerała go ciekawość. Naokoło jego głowy wisiały na szypułkach owoce mango w różnych stadiach dojrzałości.

Przypomniały mu o upominkach, które przed rozpoczęciem obchodów Nowego Roku wieszał na gałęziach wiśni jego ojciec. Odkąd sięgał pamięcią, ojciec wynagradzał w ten sposób ciężki trud swoich pracowników. Chłopiec potarł nos i zamrugał, żeby powstrzymać łzy. Ven nie starała się go pocieszyć.

- Już dość się napłakałeś, młody panie – rzekła. – Teraz siedź cicho.
- Ja nie chcę tu być. – Spojrzał na nią błagalnie. – Proszę, Ven.

Nie masz prawa mnie do tego zmuszać, nie jesteś moją matką!

Ven umieściła kosz na grubej poziomej gałęzi, która rozwidlała się jak szczypcy, prawie pół metra od pnia drzewa. Spojrzała na chłopca w nieznanym mu dotąd sposób, co przejęło go łękiem.

– Powinieneś się cieszyć, że nie jestem twoją matką – odrzekła. – Ona cię zostawiła. Myślała przede wszystkim o sobie, i zwyczajnym ogrodnik był dla niej ważniejszy niż ty. Na mnie zaś bogowie rzucili przekleństwo w chwili, gdy dziadek przyprowadził mnie do domu Nguyenów. Teraz ty stałeś się moim brzemieniem, lecz wedle prawa niebios jestem z tobą związana. Zapewniam cię, młody panie, że wiele razy kusiło mnie, żeby cię porzucić. Wiem jednak, że gdybym to zrobiła, sumienie nie dałoby mi spokoju do końca życia. Przysięgałam, że się tobą zaopiekuję. I mam nadzieję, że zawsze będziesz mnie traktował z szacunkiem, jaki należy się poślubionej zgodnie z prawem Pierwszej Żony. Rozumiem, że nie chcesz oglądać okropnych szczegółów tej egzekucji. Obawiam się jednak, że nie mogę ci oszczędzić tego straszego widoku. Musisz być świadkiem śmierci swego ojca z rąk jego wrogów, żeby nie zapomnieć o zemście i wypełnić serce goryczą. Tylko wtedy twoja rozpacz będzie wystarczająco wielka, żeby cię popchnąć do szukania odpłaty. A teraz nic już nie mów.

Dan próbował zakryć oczy dłońmi, Ven zmusiła go jednak, żeby patrzył w dół. Harmider na drodze obudził dwóch śpiących na ziemi strażników, którzy zerwali się na równe nogi i stanęli na baczność, trzymając broń przy szwie spodni. Pod dom podjechał ciemny sedan. Za nim podążała ciężarówka i oddział gwardzistów.

Kiedy konwój się zbliżył, Dan mógł dojrzeć twarze nieszczęśników i usłyszeć ich głośne modlitwy. Poznał swą Pierwszą Matkę, choć cios kolby karabinu zmienił jej nos w obrzmiałą purpurową miazgę, przypominającą przejrzałą oberżynę. Przęd czarnej sukni pokrywały rdzawe plamy krwi. Była starsza od męża o szesnaście lat, lecz Dan po raz pierwszy dostrzegł u niej oznaki podeszłego wieku.

Spojrzał teraz na ojca. Tat Nguyen, choć wciąż z opaską na oczach, trzymał głowę prosto, wydając się nieporuszony w obliczu cierpień fizycznych. Żołnierze powtórzyli całą procedurę wyładowywania więźniów z ciężarówki i pan Nguyen pomaszerował wzdłuż szpaleru gwardzistów, skuty łańcuchem. Przebitą w dłoni otwór stał się jego drogowskazem.

Mieszkańców Cam Le zgromadzono za specjalnie wzniesioną barykadą. Ich rozpaczliwy lament narastał niezym sztorm, wyrażając coraz głębszą rozpacz. Rodziny wykrzykiwały imiona swoich bliskich z miłością, czułością i nadzieją. W tym zgiełku rozlegały się też przekleństwa pod adresem asesora Toana i jego syna oraz wołania o pomstę i sprawiedliwość.

Na terenie posiadłości tymczasem grupa żołnierzy przygotowywała pod kierunkiem asesora Toana plac egzekucji. Wyładowali z ciężarówki mocne bambusowe słupy, około metrowej długości, dość silne, by nadawać się na belki do budowy. Następnie ciężkimi drewnianymi młotami wbili je w ziemię wzdłuż muru, między kładką a ogrodem.

Teraz zaczęło się kopanie. Mniej więcej metr przed każdym słupkiem żołnierze wykopali w kamienistej ziemi dół. Dan naliczył ich trzydzieści trzy. Widziane z jego kryjówki, miejsce egzekucji jakby wisiało udrapowane na konarze mangowca, dziewięć metrów niżej, oddzielone od chłopca tylko pustą przestrzenią i cienką kurtyną listowia.

– Przyprowadzić więźniów! – rozkazał Toan.

Skazańcy wmaszerowali główną bramą, eskortowani przez gwardzistów. Stary urzędnik czekał na nich w kącie ogrodu, przy pierwszym dole. Zdejmował kolejno łańcuchy każdemu z więźniów, po czym delikwenta prowadzono do przeznaczonego dlań słupka, przy którym stał na baczność żołnierz.

Nikt się nie odezwał ani nie próbował uciekać. Tortury fizyczne i psychiczne, jakim poddano ofiary podczas dwóch poprzednich tygodni,

kompletnie ich wyczerpały, a stan ten pogłębiały jeszcze głód i pragnienie. Kazano więźniom uklęknąć przed katami, którzy przywiązali im ręce do bambusowych drągów. Klękali na żwirze, patrząc w świeżo wykopane groby, które ziały czarnymi, pustymi oczodołami Śmierci.

Pan Long czekał przy trzech pierwszych słupkach po prawej stronie drewnianej kładki. Tat Nguyen i jego żony klęknęli przed nim ze związanymi na plecach rękami. Prażyło ich popołudniowe słońce. Pan Long przechylił na bok głowę, żeby się pozbyć jaskrawego odbłasku na okularach. Otarł chusteczką pot z czoła i zaszurgał drogimi skórzanymi butami po spieczonym piasku.

– Sai, przynieś mi coś do picia – zwrócił się napiętym głosem do najbliższego z żołnierzy.

Młody mężczyzna pobiegł do głównej drogi i po chwili powrócił z czarką świeżego soku kokosowego. Pan Long chwycił napój i trochę wylało się na klęczącego skazańca. Tat Nguyen wysunął język, żeby podelektować się odrobiną świeżego smaku. Long opróżnił czarkę z głośnym mlaskaniem i rzucił ją żołnierzowi. Ten złapał czarkę niezdarnie w obie ręce i wyszczerzył się w szerokim, głupawym uśmiechu.

Siedzący na mangowcu Dan czuł, jak grzeją go promienie słońca, przenikające przez listowie. W panującej ciszy słyszał w piersiach dudnienie, jakby bicie bębna. Rodzice na ziemi wydawali się oddaleni o wiele kilometrów. Obserwował każdy ich gest. Był publicznością patrzącą z wysokości dziewięciu metrów ponad sceną na wyreżyserowany przez los spektakl. I jak każdy widz nie mógł ingerować w przedstawienie, lecz tylko biernie się przyglądać.

Asesor Toan wyciągnął spod swego *ao dai* zegarek kieszonkowy i spojrzał na jego tarczę. Przeszedł przez białą drogę i stanął przed panem Nguyenem. Skazaniec podniósł głowę.

– Czy ma pan ostatnie życzenie? – zapytał Toan.

– Jeżeli to pytanie jest skierowane do mnie – odparł Nguyen – to odpowiedź brzmi tak.

– Jakie to życzenie, panie Nguyen?
– Chciałbym, żeby zdjęto mi opaskę z oczu. I nalegam, żeby moim żonom okazano te same względy. Jeśli odmówicie im tej drobnej łaski, ja również zatrzymam opaskę.

Asesor Toan namyślał się przez kilka sekund, stukając stopą w ziemię. W końcu swym najsurowszym tonem rozkazał jednemu z żołnierzy:

– Zdejmij im opaski z oczu!

Żołnierz wykonał polecenie natychmiast.

Pan Nguyen zamrugał, przyzwyczajając wzrok do jasności. Ogarnął spojrzeniem obie żony i swoich ludzi, po czym odwrócił się ku ruinom domu. To, co zobaczył, przekroczyło wszelkie wyobrażenie. Wydał zduszony okrzyk, całą siłą woli usiłując się opanować. Lecz mimo tych wysiłków jego emocje eksplodowały i zawył jak raniony wilk. Obie kobiety uderzyły w płacz.

Ten wybuch przestraszył asesora Toana, który cofnął się odruchowo o kilka kroków i z okrzykiem zaskoczenia wpadł do jednego z wykopanych dołów. Pan Nguyen zaczął szarpać bambusowy drąg, do którego przywiązano mu ręce. Strażnicy obezwładnili go ciosami pięści, nie przestając bić, dopóki nie stracił wszelkiej woli oporu.

Dan zobaczył, jak głowa ojca opada nisko na pierś i nieruchomieje. Nie był pewien, czy bicie go nie uśmierciło. Po chwili jednak bezwładnym ciałem wstrząsnął dreszcz i Tat Nguyen otworzył oczy.

Nieszczęsny kapitan *Lady Yen* zaczekał, aż asesor Toan przy pomocy syna wygramoli się z dołu, po czym zaczął wykrzykiwać do niego:

– Co się stało z resztą mojej rodziny? Gdzie jest mój syn i jego matka? Kto odpowiada za zniszczenie mojego domu?

– Wszyscy członkowie pańskiej rodziny uratowali się przed pożarem – oznajmił Toan. – Nie zdołają jednak długo się ukrywać, bo rozesałam za nimi listy gończe. A co do zniszczenia pańskiego uroczego domu, to odpowiadam za to osobiście.

Pan Nguyen ryknął śmiechem. Był to okropny dźwięk, zdradzający większe cierpienie niż poprzedni krzyk rozpacz.

– Wszyscy uratowani – mruknął, jak gdyby powtórzenie tego na głos potwierdzało prawdziwość informacji. – Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał, patrząc Toanowi w oczy. – Ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie uczynił nigdy niczego, co by cię mogło dotknąć!

– Zdrada – odparł stary. – Popęłnił pan wielką zbrodnię wobec swego kraju. Uczestniczył pan w spisku w celu dopomożenia w ucieczce następcy tronu, co było częścią większego planu... obalenia rządu Francuzów. Ja jestem tylko starym człowiekiem, który niczego nie wie. Wykonuję rozkazy dworu w Hue. Biuro Prokuratora Cesarskiego wymaga ode mnie, bym reprezentował jego władzę i wymierzał sprawiedliwość w tym regionie.

– Jestem całkowicie niewinny – odpowiedział Nguyen. – Jeżeli chce pan znać fakty, proszę zapytać syna. Pan Long wie o moich interesach i stosunku do polityki tyle, ile ja sam, ponieważ zajmuje się niektórymi moimi sprawami. Może zaświadczyć o mojej neutralności w kwestiach politycznych. Jestem i zawsze byłem człowiekiem interesów, a to, że jestem kapitanem niedużego kutra, nie daje mi takiej władzy, żebym mógł uczestniczyć w polityce. Mam pod sobą zaledwie trzydziestu marynarzy, którzy także nie popełnili zarzucanych im przestępstw. Ktoś musiał to ukartować...

– To, o co pan prosi, jest niemożliwe – przerwał mu Toan. – Mój syn niczego nie wie o panu ani o pańskich sprawach.

– Proszę mi wobec tego powiedzieć, jako że jest to powód moich nieszczęść, co się stało z cesarzem Duy Tanem?

– Jego Cesarska Mość został aresztowany w mieście An Cuu trzy dni po swej niesławnej ucieczce. Do osądzenia następcy tronu i jego popleczników wyznaczono premiera, pana Ho Dac Trunga. Wynik tego procesu mam tutaj. – Stary wyciągnął z długiego rękawa złoty zwój, cesarski rozkaz przysłany z dworu w Hue. Zamaszystym gestem rozwinął papier i zaczął czytać:

List ten jest adresowany do wszystkich mandarynów dworu w Hue. Cesarski prokurator stwierdził, co następuje: „Po pierwsze, ludzie ci udawali, że łowią ryby w jeziorze Tinh Tam i podrobili podpis cesarza, żeby spreparować fałszywe pozwolenie. Następnie dopomogli cesarzowi w ucieczce łodzią z portu Thuong Bac. W Ha Trung nakarmili młodego następcę tronu ryżem pośledniej jakości, a na górze Ngu Binh zupą z kurczaka. Jego Cesarską Mość nękały podczas podróży liczne burze, wiatry i kurz drogi. Wszystkie te występki stanowiły część planu ukarowanego przez oskarżonych”.

Asesor Toan zwinął dokument.

– W przeciwieństwie do was wszystkich – dodał – Jego Cesarska Mość uniknął wyroku śmierci, lecz musiał natychmiast abdykować i obecnie jest na wygnaniu gdzieś w Afryce, na wyspie o nazwie Réunion. Dwór wyznaczył nowego cesarza, który rządzi teraz Wietnamem. Jest to Khai Dinh, pochodzący z królewskiego rodu, jak zapewne panu wiadomo. Władanie krajem było jego przeznaczeniem już od kołyski. Ojcem cesarza był nieboszyk Dong Khanh. – Toan znów zerknął na zegarek. – Już czas – powiedział. – Otrzymałem rozkaz, żeby życie więźniów dobiegło kresu w godzinie Kozy. Godzina Kozy właśnie nadeszła. – Uniósł rękę, żeby dać znak żołnierzom.

– Proszę poczekać – odezwał się pan Nguyen. – Mam jeszcze jedną prośbę.

Stary pokręcił głową.

– Przysługiwało panu tylko jedno życzenie i spełniłem je, odwiązując wam oczy.

– Musi mnie pan wysłuchać – upierał się pan Nguyen. – Oddam za to ostatnie życzenie całą moją fortunę.

Toan parsknął śmiechem.

– To doprawdy niepoważna propozycja. Przecież i tak już posiadam całą pańską własność.

– Bez wątpienia – odrzekł więźni. – Jednakże prawdziwe skarby ukryłem gdzie indziej. I tylko ja mogę panu pokazać mapę tego miejsca. Warto mi zaufać w tym względzie; przecież jestem piratem, a jak panu wiadomo, piraci często ukrywają swoje bogactwa. Ten wielki skarb może należeć do pana, asesorze Toan. Musi pan tylko spełnić moje ostatnie życzenie, zanim opuścę ten świat.

– Skąd mam mieć pewność, że ten rzekomy skarb w ogóle istnieje? – zapytał Toan, nieco już zniecierpliwiony.

– Prośba jest bardzo prosta. Życie mojego syna i mojej załogi nic dla pana nie znaczy, ja jednak jestem odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Niech pan wypuści tych ludzi albo zamknie w więzieniu, jeśli to konieczne, lecz błagam, żeby darował im pan życie. W niczym panu nie zagrażają, zresztą żaden sąd nie uznałby ich za winnych.

– O jakiej sumie rozmawiamy? – zainteresował się asesor.

– Większej, niż może pan sobie wyobrazić, panie Toan – odparł kapitan Nguyen, przymykając oczy. – Ten majątek spoczywa w ziemi, czekając, aż ktoś go odnajdzie.

Asesor Toan spojrział na syna. Pan Long tylko wzruszył ramionami, i stary znów zwrócił się do więźnia.

– Nie mam powodu, żeby panu wierzyć.

– Ja także nie mam powodu ufać pańskiemu słowu – odparł kapitan. – Mogę tylko mieć nadzieję, że oszczędzi pan życie tych ludzi, kiedy ja odejdę już z tego świata. Przecież życzenie umierającego musi zostać spełnione, niezależnie od okoliczności.

– Dobrze więc – zgodził się starzec. – Dotrzymam tej umowy.

– W takim razie wszyscy muszą się stąd oddalić. Tę informację mogę przekazać tylko panu, w największej tajemnicy.

Asesor Toan znów spojrział na syna.

– Każ żołnierzom rozwiązać więźniów i niech wyprowadzą ich

na ulicę – poleciał. – Nikomu nie wolno pozostać w ogrodzie poza mną, kapitanem i jego żonami.

– Czy ja również muszę odejść, ojcze? – zapytał pan Long, usiłując ukryć rozczarowanie.

– Oczywiście, ktoś musi przecież nadzorować więźniów.

Long przekazał żołnierzom rozkazy ojca i wkrótce rybacy zostali odwiązani od bambusowych słupków. Przez ich obrzmiałe dłonie znów przełożono obręcze kajdan i przeciągnięto łańcuchy. Otwarto granitową bramę. Marynarze wychodzili na drogę, a mijając swego kapitana, żegnali go pełnymi szacunku słowami.

Asesor Toan odwrócił się do pana Nguyena, na którego twarzy malował się wyraz dumy.

– Proszę mi teraz powiedzieć, gdzie jest mapa – zażądał. – Jak pan widzi, ja ze swej strony zamierzam dotrzymać obietnicy.

– Dziękuję – odparł Tat Nguen. – Połowa mapy jest wytatuowana na moich plecach. Może pan sprawdzić, jeśli wola.

Asesor Toan przyjrzał się swemu przeciwnikowi. Powoli okrążył związanego więźnia, stanął za nim i nagle z szybkością jastrzębia rozewał jego tunikę, obnażając grzbiet. Oczom starego ukazała się mapa pokrywająca sporą część pleców kapitana szczegółowo rozrysowanym krajobrazem, z inskrypcją w dawnym alfabecie u samego dołu. Asesor przysunął się bliżej i odczytał ją:

Kapłani rzucają zaklęcia za sprawą natury, gdy w jednej linii ustawiają się konstelacje, Księżyc i Słońce.

– Co to znaczy? – zapytał, pocierając podbródek.

– To mój ulubiony wers, napisany w siedemnastym wieku przez taoistycznego mnicha w Chinach. Znaczy tylko to, co znaczy, nic więcej. Sama mapa wystarczy, żeby dotrzeć do skarbu.

Ven na mangowcu powtórzyła cicho wers niczym mantrę. Oczy Toana się zwęziły.

– Na życie pańskiego syna i załogi, proszę mi po prostu powiedzieć, gdzie jest ten skarb. Nie mam cierpliwości do zagadek.

Kapitan się uśmiechnął.

– Gdybym potrafił zapamiętać, gdzie zakopałem swoje bogactwa, nie kłopotalbym się robieniem tego tatuażu – odparł. – Poza tym poszukiwanie skarbu będzie ekscytującą przygodą dla takiego starego lisa jak pan. Czy teraz już mi pan wierzy, asesorze Toan?

– A gdzie jest druga połówka mapy?

– Zanim odpowiem, proszę pozwolić mi zapytać o ostatnią rzecz, żeby rozjaśniło mi się w głowie.

– Co znów takiego, na niebiosa?! – wykrzyknął stary, mocno już rozdrażniony.

– Dlaczego zniszczył pan mój spokojny dom? Czy możliwe, że zrobił pan to po prostu z zemsty? Ale za co? Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek się panu naraził.

– Rzeczywiście – odparł Toan. – Właściwie nie było powodu poza jednym...

– Jakim?

– Nie mogą istnieć dwa słońca na niebie ani dwaj królowie w jednym państwie. Pan i ja nie możemy istnieć obok siebie w tej samej miejscowości. Musiałem pana zniszczyć, zanim pańska siła i potęga przyćmi moją. Lepsza sposobność do tego już się nie nadarzy.

– Pańskie słowa zawierają prawdę – rzekł pan Nguyen. – Dziękuję za uczciwe postawienie sprawy.

– A teraz proszę mi wyjawić, gdzie jest druga część mapy.

– Została wytatuowana na plecach mojego syna – odparł kapitan. – Jeżeli uda się panu go odnaleźć, może pan skopiować mapę, ale zgodnie z naszą umową musi mu pan darować życie.

Dan, słysząc te słowa, aż podskoczył ze strachu w swoim koszu. Z gardła Ven wydobył się zduszony okrzyk zdumienia. Pomimo że dość dobrze znała już ciało chłopca, Dan poczuł, jak jej dłonie pełzną po jego plecach. Uniosła cienki materiał koszuli. Lekki podmuch wiatru musnął go po krzyżu, gdzie skórę miał białą jak kość słoniowa. Dan nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go tatuowano, i nie rozumiał też, dlaczego

jego ojciec okłamał starego Toana. Ven jednak rozumiała. Ścisnęła małe ciało swymi mocnymi dłońmi.

– Przygotować się do egzekucji skazanych... Tata Nguyena i jego rodziny – obwieścił asesor Toan.

Do ogrodu wrócił Sai, żołnierz, który przyniósł panu Longowi napój. W ręku trzymał małą tacę, z bryłką czerwonego tuszu i dużym chińskim pędzelkiem z włosia sobola. Część suchego tuszu została pokruszona i zmieszana z wodą w glinianej miseczce, tworząc kleistą pastę. Żołnierz stanął przed Toanem, unosząc tacę na wysokość oczu.

Starzec wziął do ręki pędzelek i zanurzył w gęstym tuszu. Kiedy przysunął do twarzy pana Nguyena, z czubka spadło na biały piasek kilka czerwonych kropeł. Asesor kontynuował rytuał, zaznaczając miejsce cięcia czerwoną linią wokół szyi skazańca. Od bramy poniósł się warkot werbla, głuchy i nerwowy jak tętent galopujących dzikich koni. Asesor namalował także linie na szyjach obu żon. Czując na skórze dotyk pędzla, wybuchnęły głośnym szlochem.

Zbliżył się jeszcze jeden żołnierz. Podał staremu Toanowi zakrzywiony miecz, *scimitar*. Ostra klinga rozbłysła w słońcu, odbijając jego promienie jak lustro o kształcie półksiężyca.

Ven wiedziała, co się teraz wydarzy. Zakryła dłonią usta Dana, uciszając go, nim zdążył krzyknąć. Dziewięć metrów niżej asesor Toan obiema rękami uniósł nad głowę miecz. Dan skulił się i zacisnął powieki. Kiedy je znów otworzył, głowa jego ojca frunęła w powietrzu jak piłka do wolanta. Wylądowała z głuchym odgłosem na ziemi, dokładnie pod konarem, na którym siedzieli.

Chłopiec nie mógł oderwać spojrzenia od odciętej głowy, zwróconej twarzą ku niebu. Oczy ojca, jeszcze wilgotne i żywe, wpatrywały się weń, jakby go poznawały. Na okrwawionej twarzy igrał słaby uśmiech, lecz po chwili jej rysy zmartwiały, jak gdyby życie dopiero teraz uszło z niej do końca.

Dan stracił kontrolę nad pęcherzem i po nogach spłynął mu strumień ciepłego płynu. Ven pochylała się nad nim, oplatając go ciasno ramionami. Asesor Toan stał wyprostowany, w triumfującej pozie. Wziął głęboki oddech, jakby wchłaniał w siebie ducha pokonanego wroga, a potem, dzierżąc w dłoniach miecz, odwrócił się do obu kobiet.

Pas zielonej trawy pod drzewem mangowym zabarwił się z wolna jasną czerwienią.

Rozdział siódmy

Dwie srebrne monety

Na widok krwi tryskającej z szyi pana Nguyena Ven oparła się o pień drzewa, czując, że zaraz zemdleje. Dzikie spojrzenie Dana przypomniało jej jednak o powinnościach. Nie mogła dopuścić, żeby rozgrywająca się pod mangowcem scena odebrała jej wolę walki. Gniew dławił ją w krtani; miała chęć krzyczeć, wygrażać pięściami niebiosom lub rzucić się na wrogów pod drzewem. Jednakże przez wzgląd na swego młodego męża starała się skoncentrować na obmyślaniu planu uratowania jego i siebie.

Z ziemi unosiła się kwaśna woń krwi, jak odór z rzeźni. Asesor Toan wypiął pierś. W ręce wciąż trzymał zakrzywiony miecz. Przyklęknął i wytarł krew z klingi, wbijając ją kilkakrotnie w ziemię. Ciała zabitych zawisły na bambusowych słupkach niczym bezwładne marionetki. Podszedł do nich żołnierz i przed każdym grobem umieścił małą drewnianą tabliczkę z wypisaną treścią wyroku.

Ven spojrzała na swego męża. Jeszcze nigdy nie widziała dziecka płaczącego w tak absolutnej ciszy. Obojętne na to wszystko słońce paliło z góry tak mocno, że pod jego promieniami mogły wkrótce zmarnieć liście mangowca. Ścieżką nadszedł kolejny żołnierz. Niósł

uplecione z ryżowej trawy koliste tace wielkości kapelusza Ven. Z grymasem na twarzy podszedł do odciętych głów pana Nguyena i jego żon, podniósł je za włosy kciukiem i palcem wskazującym i umieścił na tacach. Patrząc na pozbawioną wyrazu, okrwawioną twarz swego teścia, Ven poczuła nudności i także zaczęła bezgłośnie płakać.

Asesor Toan podszedł do zwłok i przeciął mieczem sznury, którymi były przywiązane do słupków. Z rozmysłem splunął na pokryte skorupą zakrzepłej krwi torsy, celując w żywe mięso ich karków, skąd wyzierały przecięte arterie. Żołnierze zepchnęli trupy do otwartych grobów. Nie zapalono nawet kadzidła, które ułatwiłoby duszom zmarłych odejście. Ich kosztowne stroje były w strzępach i przezierały spod nich gliniaste ciała. Jeden z żołnierzy na polecenie Toana zdarł z pleców kapitana Nguyena skórę z wytatuowaną mapą i dopiero wtedy stary asesor pozwolił go pochować.

Kiedy na groby padła ostatnia łopata żwiru, żołnierze opuścili posesję, zabierając ze sobą odcięte głowy. Ven śledziła wzrokiem asesora Toana, który wsiadł do ciemnego sedana, gdzie czekał już na niego syn, pan Long. Starzec, jakby pod wpływem nagłego impulsu, otworzył okno auta i kazał żołnierzom umieścić odcięte głowy swoich wrogów przed bramą domu. Wkrótce trzy tace zawisły pod palącym słońcem na gałęziach jodły, jako przestroga dla mieszkańców wioski.

Ven patrzyła, jak samochód oddala się zwirową drogą, w ślad za nim ciężarówka z pozostałymi więźniami oraz oddział gwardzistów. Potem straciła to wszystko z oczu i ogród znów pogrążył się w samotności.

Tej nocy położyli się na spoczynek ukryci za jedyną ocalałą ścianą kuchni. Ven leżała na plecach, wpatrzona w ciemne niebo. Ubywający księżyc pojawił się dopiero po trzecim przejściu wybijacza godzin. Dan wtulił się w zgięcie jej ramienia i zasnął. Serce krajało jej się na widok oznak udręki, jaką zgotował temu chłopcu los w ostatnim czasie. Po

tygodniach spędzonych na żebraniu ciało Dana było wychudłe i kanciaste, niemal ptasie. Ven trzymała w swej szorstkiej dłoni jego rękę, tuż pod nosem, i w nieprzeniknionej ciszy wdychała nikłe, dziecięce ciepło.

W głowie czuła pulsowanie, jakby pod płaską powierzchnią skroni formowały się kamienie i przy każdym poruszeniu przetaczały się niespokojnie z jednej strony na drugą. Ven zacisnęła zęby i z cichym jękiem uderzała pięściami w skronie. Pomyślała, że przez ostatnie dni zbyt dużo przebywała na słońcu. W końcu wyczerpanie wzięło górę i odpłynęła w niespokojny sen.

Kiedy się obudziła, na bezchmurnym niebie wschodziło słońce. Dan siedział tyłem do niej w cieniu ceglanej ściany. W popiołach kuchennego ogrodu znalazł kilka kolokazji i wydłubywał teraz z płataniny korzeni najdrobniejsze bulwy, wkładał je nieobrane do ust i rozgryzał. Przy jego stopach leżała kupka większych bulwiastych kłaczy, które zawierały nieco więcej pożywienia.

Ven leżała na ziemi, niezdolna się poruszyć. Gorączka trawiła jej ciało niczym pożar. Czuła straszliwe pragnienie, lecz język miała tak odrtwiałą, że nie była w stanie wypowiedzieć słów prośby. Skoncentrowała wzrok na plecach męża i poruszyła palcami w spalonej trawie, żeby tym szmerem zwrócić jego uwagę. Wreszcie udało się jej wychrypieć jedno słowo:

– Wody!

Dan się odwrócił i spojrzał na nią, jakby była obcą osobą. Po chwili jednak wstał i zniknął jej z pola widzenia. Wróciwszy z miseczką mętnej wody, nachylił się i przytknął ją do ust Ven. Wypiła trochę, obiema rękami ściskając głowę, żeby nie pękła.

– Chodź, Ven – rzekł chłopiec z wyrazem zatroskania na brudnej buzi. – Zjedz trochę bulw. Nie umiem ich ugotować, ale odłożyłem największe dla ciebie.

Woda przywróciła jej nieco sił, lecz straszny ból nie ustępował. Aż do tej pory zupełnie nie myślała o sobie. Zagryzła w milczeniu dolną wargę, zastanawiając się gorączkowo. Była bez pieniędzy. Ostatnie miedziaki wydała dawno temu. Ale to nie ubóstwo było teraz najważniejsze, skoro nie miała nawet siły wstać i pójść do wioskowego lekarza.

Dźwignęła się z wysiłkiem na nogi. Łupanie w czaszce się spotęgowało. Wspierając się na mężu, podreptała do ogrodu. Pamiętała, że pod ogrodzeniem rosły rycynusy o purpurowych liściach. Każdy rolnik wiedział doskonale, że to dzikie ziele usuwa ból głowy szybciej niż jakiegokolwiek pigułki. Z wdzięcznością stwierdziła, że roślina przetrwała pożogę. Obłożyła sobie liśćmi czoło i zawiązała czarną tkaniną. Wyczerpana wróciła pod kuchenną ścianę i osunąwszy się w cieniu na ziemię, usiadła nieruchomo jak kamionkowy dzban.

Podążając za jej wskazówkami, Dan zmiażdżył kawałek korzenia imbiru i zmieszał go z sokiem z cytryny, którą znalazł na ziemi w pobliżu. Ven rozpięła koszulę, a chłopiec rozprowadził imbirowo-cytrynową miksturę ręką po jej ciele. Ogarnęły ją fale gorąca. Zatopiona w myślach, usłyszała jak odległe echo słowa swego męża:

– Kochani bogowie, uratujcie moją Ven.

Obudziła się po południu, w gorączce, zlana potem. Ból głowy, zamiast minąć podczas snu, jeszcze się nasilił. Oddech miała chrapliwy, a bezwładnymi kończynami wstrząsały drgawki.

Dan siedział dwadzieścia kroków dalej, wpatrując się w nią z napięciem. Dreszcze i emanujące z jej ciała nienormalne gorąco przejmowały go lękiem. Kiedy nań spoglądała, nie widział w jej wąskich oczach czułości, za którą tak tęsknił.

– Nie mogę się już tobą opiekować, młody panie – powiedziała.

– Nie, Ven, nie mów tak! – zakrzyknął. Przyskoczył do niej i dotknął pieszczotliwie jej twarzy. – Zjedz coś, od razu poczujesz się lepiej – namawiał ją.

Dziewczyna pokręciła głową. Odezwała się głosem podobnym do szumu wiatru.

– Leżąc, myślałam tylko o tobie i doszłam do pewnych wniosków. Ta decyzja nie będzie dla mnie prosta, tobie zaś nie będzie łatwo się z nią pogodzić. Wierz mi, nieszczęsny dzieciaku, rozumiem twój ból. Los zesłał na ciebie wielkie nieszczęście, a nie żyjesz jeszcze na tym świecie dość długo, żeby znieść kolejne. Och, Dan, gdybym tylko potrafiła, bez wahania odciąłabym kawałek mojego ciała, żeby cię nakarmić. Siły mnie opuszczają. Dopadła mnie straszna choroba i nie wiem, jak bardzo mój stan jeszcze się pogorszy. Nazywa się malaria, już kiedyś ją przechodziłam. Być może tym razem mnie pokona. Lecz zanim ogarnie mnie zimno śmierci, muszę coś wymyślić, żeby zapewnić ci przeżycie. – Przerwała, chwytając łąpczywie oddech.

– Przestań! – krzyknął chłopiec. – Ja się boję!

– Musisz mnie posłuchać, młody panie – ciągnęła Ven. – Musisz zrozumieć. Należę do ciebie i pozostanę z tobą, dopóki w moich żyłach płynąć będzie życie. Tylko śmierć nas rozłączy, czuję to aż do szpiku kości. Zanim umrę, chcę ci znaleźć dom, w którym cię przygarną i wyżywią. Nie wolno mi z tym zwlekać. Nie możemy odejść z tej wioski, musimy więc znaleźć sposób na zapewnienie ci bezpieczeństwa wśród twoich wrogów, mimo że wciąż na ciebie polują. Gdzie mogłabym cię ukryć? Gdzie jest to miejsce, w którym na pewno nikt nie będzie cię szukał? Znalazłam odpowiedź na to pytanie. I w nasilającej się chorobie pociechę stanowi dla mnie to właśnie, że obmyśliłam plan uratowania ciebie.

Dan nie do końca rozumiał jej słowa, lecz wyczuwał ich powagę.

– Nie każ mi odchodzić – błagał. – Usiądź tu przy mnie i zjedzmy razem.

Ven wstała i znalazła swój kapelusz, leżący nieopodal z resztą rzeczy. Chłopiec przyglądał się temu zalęknionym spojrzeniem. Zebrał w rękach wiązkę kłaczy kolokazji.

– Proszę, Ven, zjedz coś – powtórzył. – To ci doda sił. Potem razem stąd odejdziemy.

Dziewczyna usiadła na ziemi, wpatrując się w okopconą ścianę. Ramiona jej drżały.

– Nie mogę, młody panie – odparła głucho. – Zjedz sam. Nie odbiorę ci ostatniego posiłku w tym domu.

Chłopiec znieruchomiał, niczego nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz, Ven?! – zawołał. – Gdzie będę potem jadł? Z kim będę mieszkał?

Ven skryła twarz w dłoniach.

– Dziś wieczór będziesz jadł w domu Toana, razem z resztą służby.

Dan aż odskoczył do tyłu, zdjęty zgrozą. Bulwy wypadły mu z rąk.

– Nie! – krzyknął płaczliwie. – Nie chcę iść do domu Toana!

– Nie mamy innego wyjścia. Żeby cię uratować, muszę cię sprzedać rodzinie asesora Toana. Jeśli umrę, musisz sam pomścić śmierć swoich rodziców i moją. Jeśli przeżyję, będę czuwać nad tobą.

Dan wybiegł z kuchni. Ven jakoś znalazła w sobie siłę, żeby go dogonić i chwycić za rękę. Chłopiec próbował się wyrwać, lecz pomimo jego wrzasków nie zwolniła uścisku i przewrócił się na ziemię.

– Nienawidzę cię! – szlochał, bijąc ją pięściami po stopach.

Podniosła go i wzięła w ramiona. Pod ciężarem dziecka zachwiała się i musiała się oprzeć o ścianę, czekając, aż minie słabość.

– Wybacz mi – wymamrotała. – Lepiej stąd idźmy, nim całkiem stracę siły. Ponieważ już nie mogę służyć ci pomocą, muszę się z tobą rozstać.

Pozbierała jego rzeczy i związała w tobołek. Dan płakał, wtulony w jej szyję. Nałożyła na głowę słomkowy kapelusz, by chronić piekące oczy przed okrutnym słońcem. Wymykając się przez furtkę na tyłach ogrodu, poruszała się tak powoli, że wydawało jej się, że nigdy nie dotrze do głównej drogi, prowadzącej do wioski.

Niosła swego męża przez niemal pół godziny, nim osłabła tak bardzo, że groziło to upadkiem. Było późne popołudnie. Jej sylwetka rzucała na mokre ryżowe pole cień, długi jak cień palmy. W oddali, po ziemnej grobli wlokły się w poszukiwaniu trawy dwa znużone woły. Dostrzegła kilka srok na grzbiecie tych wielkich zwierząt. Ich pióra, podświetlone zachodzącym słońcem, lśniły jak krople czarnego tuszu.

Ven przystanąła, postawiła chłopca na ziemi i ruszyła dalej przez pole, trzymając go za ramię. Wysychająca błotnista gleba pod ich stopami była nierówna, poznaczona śladami pospiesznych kroków.

– Czy naprawdę chcesz mnie sprzedać? – zakwilił Dan.

Łzy spływały mu po zakurzonej twarzy czarnymi strużkami. – Zlituj się nade mną, Ven, proszę. Nie chcę umrzeć tak jak mój ojciec. Ja chcę żyć.

Przyspieszyła kroku.

– Proszę cię, Ven – nie rezygnował. – Nie chcę zostać bez ciebie. Już za tobą tęsknię. Zostań ze mną chociaż jeszcze na jedną noc, błagam cię.

Za szpalerem palm areka ujrzeli wejście do wioski. Dom Toana stał po prawej stronie drogi. Przed frontową bramą, obok kępy drzew ułożono kilka stogów siana, przypominających łyse pagórki. Obeznana z pracą na roli Ven doszła do wniosku, że aby zebrać tak wiele ryżowej słomy, asesor Toan musiał mieć setki akrów ziemi.

Czuła się tak, jakby miała zaraz wkroczyć do matecznika tygrysa. Jak się zachowa na widok wroga? Co będzie, jeśli asesor Toan lub jego syn rozpoznają w nich parę uciekinierów? Teraz mógł o tym zdecydować już tylko los. Kręciło jej się w głowie. Obezwładniały ją choroba i głód.

Stała przed bramą, trzymając swego męża za rękę. Daszek nad wejściem, wsparty na dwóch słupach z czarnego drewna, pokrywały czerwone dachówki. Skrzydła wielkich żelaznych wrót, również

pomalowane na czarno i ozdobione białym porcelanowym karpem – symbolem dobrobytu – zachodziły na siebie i zamknięte były na metalowy hak. Trzyakrową posiadłość otaczał gruby mur z suszonych na słońcu cegieł. Za bramą długi dziedziniec prowadził ku piętrowemu głównemu budynkowi. Frontowy ganek ocieniał podwójne drzwi o złotych płycinach, zdobionych niebieskimi i czerwonymi smokami i feniksami.

Ven odwróciła się nagle. To było niewykonalne. Jej mąż miał rację, powinna najpierw najeść się i odpocząć. Lecz inny głos w jej głowie zagłuszał tę myśl, ponaglał ją, by doprowadziła swój plan do końca. Po plecach spływał jej pot, jak po całodziennej harówce na polu ryżowym. Otarła sobie czoło przodem koszuli, po czym powoli odwróciła się znów w stronę bramy.

Na dziedzińcu nie było nikogo, tylko kilka gołębi wydziobywało leniwie okruchy ryżu z miski. Rosnące obok wielkolistne orchidee o obwisłych kwiatach kąpały się w ostrym słońcu.

– Trzeba to zrobić i już – mruknęła do siebie i wsunęła palec w otwór wizjera, żeby odczepić hak.

– Zaczekaj tutaj – zwróciła się do męża. – Od tej chwili, jeżeli ktoś cię o to zapyta, pamiętaj, że ja jestem twoją matką, a na imię masz Myszka.

– Ja się nie nazywam Myszka – zaprotestował chłopiec, patrząc na nią zdziwiony. – Mam na imię Dan i mój tata powiedział, że w starym języku to znaczy tygrys, a nie żadna myszka.

– Urodziłeś się w godzinie Szczura, prawda? Ludzie Toana szukają chłopca o nazwisku Dan Nguyen. Jeżeli się nie pomylisz i będziesz pamiętał, że masz od tej pory na imię Myszka, nic ci nie będzie groziło. Rozumiesz teraz?

– Tak.

Ven weszła za bramę, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo. Jej mąż oparł się o drewniany słup i spoglądał w ślad za nią.

Z kuchni wypadł brązowy pies i popędził przez podwórze w jej stronę. Skoczył, próbując zatopić ostre kły w jej szyi. Ven krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na ziemię, by chronić twarz. Jej głos poniósł się echem po pustym ogrodzie, a basowe ujadanie psa zadudniło jak grzmot.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! – błagała.

Z zaplecza kuchni wybiegła młoda kobieta w czarnym jedwabnym stroju. W ręce trzymała długi bambusowy kij. Z kącika jej ust wystawała wykałaczką. Pomimo swego straszego położenia Ven wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Choć krępa sylwetka jakby się zaokrągliła, rozpoznała służącą. Song smagnęła psa kijem przez grzbiet i pogoniła go z krzykiem przez podwórze, aż ukrył się za krzakiem bzu.

Kiedy zwierzę zniknęło, Song wróciła do leżącej na ziemi Ven. Na widok jej chorobliwej bledkości upuściła kij, a wykałaczką wypadła jej z ust.

– Jesteś chora, pani? – zapytała.

Ven wstała z trudem. Z ran na pogryzionej przez psa prawej ręce płynęła krew. Oderwała pas tkaniny z przodu koszuli i owinęła sobie dłoń.

Song patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Czemu pani tu przyszła? Czy pani oszalała? Nie wie pani, że Toan właśnie kazał ścinać trzydziestu rybaków? Proszę stąd uciekać, zanim wróci i panią też zabije!

Ven chwyciła kobietę za rękę, żeby się opanować.

– Co za potwór! – wykrzyknęła. – Niebiosa go ukarzą za sprzeniewierzenie się ostatniemu życzeniu umierającego. Lecz ten stary diabeł nie widział nigdy Dana ani mnie. Nikt w tym domu nas nie zna. Błagam cię, Song, pomóż nam. Nie wydaj im młodego pana!

– Czy uważa mnie pani za swojego wroga? – zawołała Song. – Służyłam i zawsze będę wiernie służyć rodzinie Nguyenów. Po co się

pani zjawiała w tym przeklętym domu? I jak mogłabym wam pomóc?

Oblicze Ven rozjaśnił nikły uśmiech.

– Jak widzisz, Song, nie czuję się dobrze – rzekła. – Nie dam już rady opiekować się moim mężem. Przyprowadziłam młodego pana do tego domu, bo to jedyny sposób, żeby go uratować. Tutaj na pewno nikt nie będzie go szukał.

Song zakryła usta dłonią, by ukryć szok. Ven sama nie rozumiała, co ją opętało, że tak łatwo ujawniła swój plan. Ufając służącej, wiele ryzykowała, lecz z drugiej strony nie miała innego wyjścia.

– Song, odkąd cię znam, choć to krótki czas, okazywałaś mi zawsze tylko dobroć – powiedziała. – Proszę, pomóż mi uratować ostatniego potomka rodziny Nguyenów. Zyskasz tym sobie moją głęboką wdzięczność. – Padła przed dziewczyną na kolana.

Z budynku poniósł się w gorącym powietrzu kobiecy głos, pełen pogardy i wyniosłości jak popołudniowe słońce.

– Kto tam jest, Piąta Żono? Jeśli to żebrak, nie trać na niego czasu. Ryżem z obiadu lepiej nakarmić świnie; nie potrzebujemy, żeby nędzarze wychwalali nasze nazwisko. Słyszysz mnie czy nie?

Ven spostrzegła na twarzy dziewczyny wyraz przestachu.

– Piąta Żona? – zapytała. – Który to z mężczyzn zapewnił ci ten tytuł, ojciec czy syn?

– Moje życie należy teraz do asesora Toana – odparła Song. – Jeżeli chcesz zostawić tu młodego pana, musisz się dogadać ze starą damą, Pierwszą Żoną. Chodź ze mną. – Odwróciła się i ruszyła przodem.

Przemierzyły długi dziedziniec, a potem Song kazała Ven zaczekać na ganku, sama zaś zniknęła za skrzydłem drzwi. Dziewczyna stała samotnie w dużym pomieszczeniu, przypominającym kulisy opery, i zaglądała do wnętrza domu przez uchylone wierzaje.

– Dlaczego to tak długo trwało? – usłyszała znowu pogardliwy głos, dobiegający zza przedzielającego pokój parawanu z kości słoniowej. Jego powierzchnię ozdobiono mozaikową płaskorzeźbą nagiej

kobiety, wykonaną z maleńkich płytek błękitnego nefrytu. Dziewczyna z parawanu odpoczywała na plaży. Ven zdawało się, że się do niej uśmiechnęła i puściła oko.

Na prawo i na lewo od parawanu, w drewnianych belkach domu wyryto dwa starożytne wersety, pociągnięte złotą farbą. Oryginalna barwa już wypłowiła i nabrała rdzawego odcienia. Nad inskrypcjami wisiała reklama odżywki dla dzieci, wycięta z francuskiego czasopisma. Zadowolone, pulchne twarzyczki niemowląt na zdjęciu były dla Ven równie obce, jak blaszane puszkki, na których je umieszczono.

W odległym kącie pokoju dostrzegła bogato zdobiony mahoniowy kredens. Za przeszklonymi drzwiczkami stała porcelanowa waza wypełniona jajkami, czekającymi na zjedzenie. Naczynie ustawiono na białej marmurowej tacy.

Ven zwróciła teraz wzrok ku rosnącym tuż przy ganku krzewom różanym. Mogła dosięgnąć ręką białych kwiatów, w pełni rozkwitłych w zachęcającym słonecznym ciepłe. Pomimo przygnębienia wpatrywała się w kwiaty, zachwycając się ich kruchym pięknem. Była w nich prostota i niezmacony spokój, kontrastujące z resztą tego domostwa. Przyjrzała się swojej dłoni. Rana, przewiązana zakrwawionym bandażem, chyba już się zasklepiła.

Song odsunęła parawan. Ven pozostała jednak na ganku i zaglądała do wnętrza przez drzwi, nie odważając się przekroczyć progu. Na środku pokoju siedziała stara kobieta ubrana w lśniącą czarną satynę. Spoczywała na ławie z czarką herbaty w ręce. Między jej kościstymi palcami Ven poznała szmaragdowy poblask porcelanowej miseczki z serwisu pana Nguyena. Opuściła oczy, by ukryć wzbierający gniew. Przy podnóżku starej damy bawiła się dziewczynka, może sześćioletnia. W rękach trzymała butelkę z kolorowym płynem i małą obręcz z metalu. Kiedy machała obręczą w powietrzu, w miękkim świetle pokoju fruwały mydlane bańki.

Pierwsza Żona asesora Toana przyjrzała się Ven swymi szarymi, zapadniętymi oczami. Spękania na wargach starej kobiety wypełniała

gęsta ślina, mieszanina soku z betelu i wapiennego proszku. Ze swym przenikliwym spojrzeniem, z pomarszczoną chudą twarzą i szokująco czerwonymi ustami przypominała Ven małą w kosztownym kostiumie. Dziewczyna opadła na kolana, stukając głową o kamienną posadzkę.

– Coś ty za jedna? – zapytała stara. Jej głos poniósł się echem po przestronnym pomieszczeniu.

– Jestem żebraczką, wielka pani – odparła Ven.

– Nasze drzwi są zamknięte przed żebrakami. Wyjdź stąd natychmiast.

– Nie przyszłam żebrać o jedzenie. – Ven spojrzała na nią. – Chciałam omówić z panią pewną drobną sprawę.

– Co to za sprawa?

Stojąca nieopodal Song postanowiła się wtrącić.

– Ona chce sprzedać domowi Toanów swego siedmioletniego syna – wyjaśniła.

– Dlaczego nie mówi za siebie? – zirytowała się stara. – Gdzie ten chłopak? Nie widzę tu nikogo poza żebraczką.

Ven podpełzła na kolanach po marmurowej posadzce, żeby znaleźć się bliżej kobiety. W ustach czuła suchość wywołaną gorączką.

– Mój syn czeka przy bramie – odpowiedziała.

– Siedem lat – mruknęła stara, głośno siorbiąc herbatę. – Jest za młody na służącego. Cóż mógłby robić taki dzieciak, co byłoby warte chociaż ryżu, którym go nakarmimy?

– Ja mogę go nauczyć wypełniać obowiązki dobrego służącego, Pierwsza Żono – powiedziała Song.

Stara rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Pamiętaj, że jesteś teraz żoną – niknęła. – Przy służbie powinnaś się zachowywać jak dama. Nie uczy się nikogo, jak być niewolnikiem. To musi być wrodzone, jak u wołu orzącego pole albo u psa strzegącego domu.

– Miej serce, wielka pani – błagała Ven. – Potraktuj to jako dobry

uczynek, zyskujący ci łaskę niebios. Możesz niewielkim kosztem uratować głodne dziecko i jego matkę.

Do pokoju wszedł pan Long z książką w ręku. Zdjął już z głowy filcowy kapelusz w stylu zachodnim i chłodził się wachlarzem.

– Pierwsza Matko, co robi w naszym salonie żebraczka? – zapytał, dotykając czarnych włosów dziewczynki.

– Sprzedaje swojego syna – odparła stara. – To drobna sprawa domowa, nie na twoją głowę. – Odwróciła się do Ven. – Przyprowadź chłopca. Chcę zobaczyć, czy nadaje się na służącego mojej pierwszej wnuczki. Za siedmioletniego niewolnika mogę dać trzy srebrne monety.

Ven pomyślała o czekającym za bramą Danie. Wezbrały w niej opiekuńcze instynkty i miała chęć natychmiast opuścić to miejsce. Stara kobieta spostrzegła jej wahanie i dorzuciła z irytacją:

– No idźże już, na co czekasz!

Przed zejściem z ganku Ven nie zapomniała uklonić się żonie Toana. Po drodze przez podwórze podniosła z ziemi kij i swój podarty kapelusz. Tym razem była gotowa bronić się przed psem. Zwierzę kryło się gdzieś za gęstym krzakiem i warczało na nią.

Dan czekał, siedząc na ziemi przy bramie. Gdy tylko spostrzegł jej spłowiała brązową koszulę, zerwał się na równe nogi. Ven pomachała mu. Na widok zakrwawionej ręki chłopiec wydał okrzyk przestachu. Na twarzy miał wypisany smutek tak głęboki, jak gdyby był już częścią jego osobowości.

– Chodź ze mną – rzekła Ven. – Pierwsza Żona Toana chce cię zobaczyć. Proszę, zachowuj się należycie i pamiętaj o wszystkim, co ci mówiłam.

Zawróciła ku domowi, oglądając się raz po raz za siebie, by się upewnić, że Dan podąży za nią. Chłopiec włókł się noga za nogą. Wzrok utkwił w gęstych zaroślach, z których dochodziło powarkiwanie psa. Po chwili stanęli przed frontowym wejściem.

Na ganku siedział na krześle pan Long. Przyglądał się Ven i jej mężowi przez grube szkła okularów. Bez słowa chwycił garść płatków różanych i otarł sobie nimi buty z kurzu, po czym rzucił zgniecione na ziemię i powrócił do lektury.

Ven pchnęła Dana, by ukląkł przed starą kobietą. Ta spoczywała na ławie z przymkniętymi oczami i otwartymi ustami, z których wydobywało się lekkie gardłowe chrapanie. Song nachyliła się nad nią i szepnęła jej coś do ucha. Obudziło to starą z drzemki.

– Gdzie jest moja wnuczka? – zapytała, lustrując pomieszczenie wiekowymi oczami. Ujrzawszy, że dziewczynka wciąż bawi się w pobliżu bańkami mydlanymi, kobieta uśmiechnęła się i przybrała swobodną pozę. – A gdzie ta żebraczka i jej syn? – zapytała.

– To właśnie mój syn, czcigodna pani – odparła Ven. Przytrzymała chłopca za ramię, żeby nie wstawał z klęczek.

– Jak się nazywasz? – zapytała żona Toana, przyglądając się Danowi.

Chłopiec zerknął na twarz Ven, nim odpowiedział:

– M... Myszka.

– Ile masz lat?

– Siedem.

Twarcz starej kobiety ściągnęła się gniewem. Kopnęła ze złością podnózek.

– Ty niewychowany łobuzie! – krzyknęła. – Masz zawsze mówić do mnie „czcigodna pani”, zrozumiałeś?

Dan skulił się, bardziej zdziwiony niż przestraszony.

– Tak, czcigodna pani – odparł.

– Twoja matka także twierdzi, że masz siedem lat – ciągnęła starucha. – Ale sądząc po tych drobnych rączkach i nóżkach, myślę, że oboje kłamiecie. Żebracy mają kłamstwo we krwi. Nie myślcie, że waszymi sztuczkami wyciągniecie ze mnie więcej pieniędzy. Przecież widzę, że ten dzieciak ma najwyżej sześć lat. Jest za młody do pracy w tym domu. A jednak przez litość nad waszym opłakanym stanem kupię

tego niewolnika pomimo jego wieku. Moja wnuczka potrzebuje służącego. Oczywiście ze względu na jego kiepską jakość mogę dać ci za niego najwyżej dwie srebrne monety.

– Miej miłosierdzie, wielka pani – zakrzyknęła Ven. – Mój syn naprawdę ma siedem lat. Urodził się w lutym, w roku Koguta. Nie ośmielibyśmy się ciebie okłamywać.

– Zamilcz! – ucięła stara. – Postanowiłam już. Jeżeli nie podoba ci się cena, możesz go sobie zabrać, i głodujcie razem.

Pan Long wyprostował się na krześle i pstryknął palcami, żeby Dan zwrócił nań uwagę.

– Podejdź tu, Myszko – rzucił.

Dan ścisnął dłoń swojej żony i nie ruszył się z miejsca. Ven odepchnęła go od siebie.

– Dalej, pan cię wzywa – powiedziała surowo. – Powinieneś natychmiast podejść.

Chłopiec zbliżał się do mężczyzny krok po kroku, niczym idący na gilotynę skazaniec. W pamięci wciąż miał bolesny obraz śmierci ojca.

Pan Long chwycił go za chude ramię i przyciągnął do siebie. Twarz chłopca stężała z przerażenia. Long uniósł jego koszulę i dokładnie obejrzał pierś i plecy. Nie zobaczywszy niczego szczególnego, rzekł:

– Możesz iść pożegnać się z matką.

Ven wiedziała, że Long i jego ojciec poszukują chłopca z tatuażem. Pomodliła się w myśli za swego teścia, który w ostatnich chwilach życia wykazał się taką przemyślnością.

Stara dama nachyliła się do wnuczki:

– Mała May – szepnęła – ten chłopiec to mój prezent dla ciebie. Od dziś będzie twoim służącym. Podoba ci się podarek od babci?

Dziewczynka się roześmiała, klaszcząc w dłonie i chlapiąc mydlnym płynem na podłogę. Przemierzyła pokój, sunąc tanecznym krokiem i kręcąc piruety, aż znalazła się twarzą w twarz ze swym prezentem. Wyciągnęła nieśmiało rękę i otarła łzę z jego twarzy. Dan cofnął się o krok.

– Nie płacz – szepnęła May. Metalowe kółko w jej ręce musnęło policzek Dana, zostawiając na nim mały bąbelek o kwiatowej woni. Chłopiec zapomniał na chwilę o sobie i uśmiechnął się do niej.

Stara kobieta odwróciła się do Song.

– Piąta Żono – rzekła – przyrowadź do mnie nauczyciela Lo. Musi sporządzić dla mnie kontrakt, który podpisze ta żebraczka. Z osobami z marginesu trzeba być ostrożnym.

Kiedy Ven opuściła dom Toanów, w jej kieszeni obok kopii kontraktu pobrzękiwały dwie srebrne monety. Jeszcze czuła na skaleczonej dłoni zimny dotyk tuszu, w którym maczała palce, by je odcisnąć na dokumencie. W uszach miała histeryczny krzyk chłopca czepiającego się jej podartej koszuli. Czuła silne ręce służących, którzy go od niej oderwali. Nie mogła powstrzymać płaczu.

Tej nocy i wielu następnych walczyła z chorobą w ruinach spalonej kuchni. Ukryta w posępnym bezruchu opuszczonego domu, raz po raz zapadała w nieświadomość. Nękały ją koszmary, w których klęczała przywiązana do bambusowego słupka przed świeżo wykopanym grobem. Kilkakrotnie obudziły ją własne krzyki. Półksiężyc nad jej głową zmienił się w wąski zakrzywiony miecz. W tym pomieszaniu wciskała ciało coraz mocniej w ziemię, a majaki się nasilały. Krzyczała i szlochała aż do utraty przytomności.

Po kilku tygodniach poczuła, że siły jej wracają. Powlokła się pod salę zebrania, żeby wyzebrać jedzenie pożywniejsze od tego, co zdołała wygrzebać w zdewastowanym ogrodzie. Okazało się, że po wiosce Cam Le krąży pogłoska, iż dom Nguyenów nawiedzają demony. Opowiadano niesamowite historie o snujących się po pogorzelsku upiorkach. Wielu wieśniaków słyszało nocą nieziemskie wrzaski. Prawie nikt nie odważył się teraz zapuszczać w poblize zgliszcz okazałej niegdyś rezydencji.

Ven wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie opuścić tych ruin. Co dzień po zebraniu wracała do miejsca swej udręki i wpatrywała się w

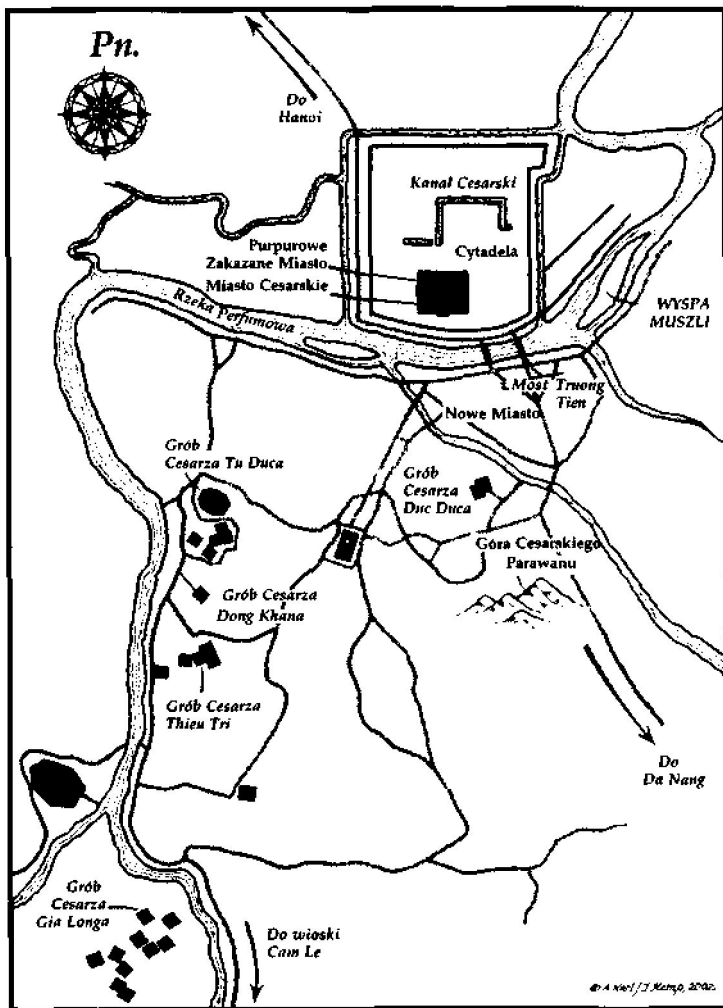
wędrujący po niebie księżyc.

Pylista droga przed domem z wolna popadła w zapomnienie, gdyż nikt jej nie używał. Rozwalone wejście porosło wysokimi chwastami. Ocalałe z pożaru fragmenty budynku rozpadały się w strugach ulewnych deszczy. Gołą ziemię zaścielały owoce mango, gnijące na słońcu.

Nocami jednak, gdy srebrzysty księżyc oblewał niesamowitą poświatą wierzchołki drzew, a nad cichą ziemią wstawała rzadka mgiełka, słychać było wyraźnie łkanie duchów, niesione łagodnym wiatrem jak niekończąca się pieśń.

Część druga

DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ



Rozdział ósmy

Korzystne małżeństwo

CYTADELA W HUE, WRZESIEŃ 1925

Wczesną jesienią roku 1925 pewnego mandaryna z Cesarskiego Miasta Hue zaproszono wraz z synem na święto Księżycowych Żniw, które miało się rozpocząć za kilka tygodni w wiosce Cam Le, sześć kilometrów na południe od cytadeli. Minister Chin Tang i panicz Bui Tang zgodzili się wziąć udział w trzydniowych obchodach nad brzegami Rzeki Perfumowej jako reprezentanci cesarza. Suwereni świata ziemskiego mieli przewodzić ludności wioski w dziękczynnych ceremoniach poświęconych bogom ziemi i plonów.

Minister Chin napisał list do burmistrza Cam Le, potwierdzając swój udział, a przy okazji wskazując, że jego syn, który skończył właśnie siedemnaście lat, jest odpowiednim kandydatem na męża dla jedynej córki pana Longa, pani Tai May. Rodzina Toanów skwapliwie przystała na tę propozycję, wyraziła jednak życzenie, by młodzi ludzie poznali się ze sobą podczas święta przed dokonaniem ostatecznych ustaleń co do ich związku.

Młody pan Bui spędził dzieciństwo przy ojcu za wysokimi, kamiennymi murami cytadeli. Odkąd pamiętał, jego matka mieszkała osobno, w apartamentach Pierwszej Żony cesarza, w sercu Purpurowego

Zakazanego Miasta, służąc jako dama dworu Cesarzowej Matki, dostojnej pani Thuc. Pomieszczenia te były najbardziej niedostępną częścią cytadeli, oczywiście jeśli nie liczyć cesarskiej sypialni, do której nikt z zewnątrz nie miał wstępu pod żadnym pretekstem. W wyobraźni młodego Bui utrwaliły się pełne życia obrazy wystawnego i dekadentckiego stylu życia dostojników, opisywane przez matkę podczas odwiedzin. Zjawiała się dwa razy w tygodniu w porze obiadu i zostawała na kilka godzin.

Wokół mieszczącego się w cytadeli Cesarskiego Miasta znajdował się kompleks sześciu ministerstw – Ministerstwo Skarbu, Wydział Sprawiedliwości, Kancelaria, Ministerstwo Lasów, Marynarki i Budowy Statków, Ministerstwo Religii i Ceremonii oraz Ministerstwo Wojny. Ojciec Bui, minister Chin Tang, zajmował w tej elitarnej społeczności znaczące stanowisko w Ministerstwie Religii. Pozycja mandaryna trzeciej rangi była dla nazwiska Tangów pewną nobilitacją. Bui jednak szybko się nauczył, że sam tytuł nie gwarantował nikomu na dworze ani dochodów, ani poważania. Jego ojciec był w oczach innych mandarynów jedynie uczonym, nauczycielem i sekretarzem rodziny cesarskiej. Chin Tang nie posiadał gruntów ornych ani żadnego dochodowego interesu. Zdaniem matki, gdyby nie jej posada w pałacu cesarzowej, przejedliby dość szybko cały majątek i po ich śmierci Bui nie odziedziczyłby ani grosza.

Chłopak wychowywał się w niewielkiej, strzeżonej enklawie, znanej jako „sekcja ministerialna”. Był to zespół mieszkań za wschodnią bramą, przeznaczony przez cesarza dla mandarynów o statusie jego ojca. Poza kilkoma świętami i wydarzeniami szczególnej rangi, kiedy to pozwalano mu wyrwać się na trochę z domu, chłopiec spędzał cały swój czas we własnym pokoju na studiowaniu starożytnych pism pod okiem prywatnego nauczyciela lub ewentualnie na zabawach z rówieśnikami z sąsiedztwa. Teraz miał wreszcie odbyć swą pierwszą podróż poza cytadelę.

Perspektywa wydostania się z zamkniętego świata rodzinnego domu wywołała w nim wyobrażenia przyprowadzające o dreszcz ekscytacji. Jego dusza tęskniła do wolności istniejącej poza tą sformalizowaną i monotonną egzystencją. Nie tylko czekał go udział w wiejskich rozrywkach, lecz jednocześnie wyprawa miała zaowocować jego małżeństwem. Opuściwszy to miejsce jako chłopiec, miał powrócić do swego świata już jako mężczyzna.

Oczekiwanie było dla niego udręką. Służebne kobiety, które na polecenie ojca pomagały mu się przygotować do wyjazdu, jakby celowo go denerwowały. Były to starsze, bardziej doświadczone służące, związane z rodziną Tangów od wielu lat. Powinny więc już dawno się nauczyć odczytywać jego życzenia i wyczuwać nastroje. A jednak ku zdumieniu Bui zachowywały się niczym stado wołów, równie jak one powolne i tępe. Do wściekłości doprowadzało go patrzenie, jak wpadają na siebie, potykają się o własne wielkie stopy i upuszczają jego drogie zachodnie stroje na podłogę. Dając upust złości, Bui wysmagał je po grzbietach szpicrutą i wypędził rozwrzeszczane do ogrodu. Jednakże ten nagły wybuch go nie uspokoił. Żałował, że nie jest dość silny i zręczny, by rozorać batem ich grubą skórę i zostawić szramy, żeby nie zapomniały tej lekcji do końca życia.

W dniu wyjazdu, jak zawsze na godzinę przed świtem, wystrzał z armaty obwieścił otwarcie bram cytadeli. Wkrótce potem rozległo się uporczywe bicie dzwonu w odległej Pagodzie Niebiańskiej Pani, położonej na zachód od Zakazanego Miasta. Głębokie, donośne dźwięki towarzyszyły rdzawemu świtowi. Koguty z najbliższej wioski odpowiedziały na to natychmiast pełnym zapału paniem.

Jako pierwsi spośród mieszkańców cytadeli wstawali zawsze mnisi. Bui leżał jeszcze w wygodnym łóżku i patrzył przez wółprzymknięte powieki na przemykające za oknem ciemne sylwetki, kiedy udawali się do wschodniej bramy, by błagać niebiosa o zachowanie cesarza w dobrym zdrowiu. Po upływie kolejnej godziny słyszał, jak skrzypią

drewniane zawiasy drzwi do pokoju ojca. Potem zjawiały się młode służące, niosąc czerwone lampy i szurgając cicho po korytarzu bawełnianymi pantoflami. Czekał zawsze, aż miękkie dłonie służącej dotkną nerwowo jego ramion przez cienki koc, i dopiero wówczas wstawał.

Tego ranka w przytulnej ciemności sypialni zbudziła Bui mocna woń olejku sandałowego, którym służba skropiła stojący w ogrodzie ołtarz bogów ziemi. Po raz pierwszy nie czekał, aż ktoś go obudzi. Zerwał się, owinięty w niebieskie satynowe prześcieradło, opuszczając ciepło sprężystego materaca sprowadzonego z Hongkongu. Nowe łóżko przysłała mu w darze, na poczet przyszłej ślubnej wyprawy, rodzina Toanów. Bui był zachwycony prezentem. Polakierowane i ozdobione mosiężnymi okuciami, modne podnoszone łóżko służyło dwojakiemu celowi: jako miejsce do spania i jednocześnie jako skrzynia, w której mógł chować swoje skarby. Uważano również, że znane ze swych magicznych właściwości drewno hebanowe odstrasza złe duchy.

Na środku pokoju stała biało-niebieska urna, wypełniona olejem sezamowym, w którym zanurzono knot, płonący nieprzerwanie od wielu lat, by wzmocnić życiową energię słabego chłopca. Pan Chin tłumaczył swemu synowi po wielokroć, że jest prezentem zesłanym przez zaświaty w odpowiedzi na modlitwy rodziców i dlatego należy nieustannie składać ofiarę bogom, żeby zyskać ich opiekę. Bui nigdy nie protestował przeciwko tym przesądom, ponieważ mogły one usprawiedliwić wiele z jego niesfornych wybryków i chroniły go przed ich konsekwencjami.

Stanął przed miedzianym dzbanem, rozchylił okrycie na tyle, żeby móc oddać mocz, i kołyszac biodrami, starał się skierować strumień do naczynia. Bez powodzenia. Wiedział jednak, że służące sprzątną później kałużę, jaką zostawił na podłodze. Odsunął drzwi sypialni i wyszedł w chłód poranka.

Nad ziemią unosiła się jeszcze mgiełka wilgotnego oddechu nocy. Drżąc z chłodu, Bui patrzył, jak zimny jesienny wiatr hula po rozległej

zamkniętej przestrzeni, rozpędzając mgłę po ogrodzie pełnym kwiatów, uroczynów, drzewek wiśniowych i drzew o jaskrawoczerwonych kwiatach *. Wszystko to wraz ze ścieżkami otaczało niewielki staw – było to rozwiązanie typowe dla siedzib w tej części cytadeli. Kilka przebiegających między rezydencjami alejek łączyło się w szerszą drogę, która prowadziła do innych części fortecy. Droga ta biegła wzdłuż ogrodzenia Miasta Cesarskiego. Majestatyczny, wysoki i gruby mur oddzielał cesarską rezydencję od siedzib pozostałych mieszkańców cytadeli; było to miasto w mieście.

* *Flame tree* (ang.). Chodzi o *Brachychiton aceryfolium*; nie znaleziono polskiej nazwy.

Ponad Wielką Bramą Wschodnią wzeszło słońce, przyćmiewając dogasające na spizowym niebie gwiazdy. Bui usiadł na rozpostartej na ziemi pikowanej macie i dotykając srebrnego łańcuszka na kostce, wpatrywał się w cztery jasno świecące latarnie, rozwieszane na murach ogrodu. Przed sobą miał wazy z orchideami o różnych kształtach i kolorach, stojące na tle miniaturowego krajobrazu, wykonanego z jednej bryły kamienia. Kiedy był mały, wymyślne formy rzeźb nad stawem kojarzyły mu się z górami, zwierzętami i postaciami ludzkimi; stanowiły magiczny, pełen tajemnic świat.

Ojciec wytyczył nad brzegiem wąską dróżkę prowadzącą wśród skałek do ciemnej jaskini, wykutej między granitowymi ramionami miniaturowej góry. Powiedział mu, że jest to droga do nirwany, taka jak opisano ją w naukach Buddy. Bui przez długi czas mocno w to wierzył. Czasami zrywał się w środku nocy z łóżka, wybiegał na dwór i przyglądał się ścieżce, wypatrując najdrobniejszych zmian. Nikła księżycowa poświata opromieniała rzeźbę przedstawiającą dwie postacie pogrążone w grze w szachy. Kiedy Bui się im przyglądał, zdawały się przezywać grę i patrzeć nań ze zdziwieniem. Złote ryby w stawie, skubiące księżyc pod wysepką lilii wodnych, przemieniały się powoli w iluzoryczne smoki albo białe karpie. Jednakże figurki chłopów, świętyń i

wrózek utraciły już dawno czar, jakim emanowały w oczach dziecka. Cała ta sceneria wydawała się młodzieńcowi głupia i prostacka. Wstał, zastanawiając się, czy nie powinien poszukać ojca i przypomnieć mu o dzisiejszej podróży; postanowił jednak poczekać i porozmawiać o tym dopiero przy śniadaniu.

W małym pomieszczeniu za jego sypialnią służące napełniły już do połowy balię gorącą wodą. Para buchała w ciemność, a nozdrza wypełnił mu zapach cytryny i jaśminu. Zasuwał jedwabny parawan i zrzucił na podłogę prześcieradło, po czym wszedł do gorącej kąpieli. Dziś musiał wymyć dokładnie całe ciało. W jakimś momencie wizyty miał szczerą nadzieję na skonsumowanie swego związku z przyszłą małżonką.

Jako członek uprzywilejowanej rodziny, Bui poznał już miękkość kobiecego ciała młodych, dojrzewających dopiero służących. Nie potrzebował kąpieli, żeby wyrzucić wrażenie na tych pokornych sługach o skórze spieczonej przez ostre słońce na brązową barwę błota. Kiedy uda mu się – jeśli w ogóle – zdobyć własną narzeczoną, będzie zupełnie inaczej. Wówczas zakosztuje po raz pierwszy rozkoszy umalowanej twarzy i delikatnego ciała. Na samą myśl o tym poczuł przypływ podniecenia, jak pałac opium przed zapaleniem fajki.

Po kąpieli pospieszył do garderoby i z pełnej ubrań szafy wybrał białą koszulę i parę brązowych spodni w stylu francuskim. Choć wpływ Francuzów na kulturę wietnamską rozpoczął się w roku 1862, większość mieszkańców cytadeli wciąż ubierała się tradycyjnie. Jednakże całe poczucie stylu zmieniło się diametralnie, odkąd trzynastoletni książę Bao Dai powrócił do pałacu po kilku latach nauki w Paryżu.

Cesarskie Miasto nie otrząsnęło się jeszcze po szoku, jakiego doznało na widok swego przyszłego władcy w dziwnym garniturze zachodniego kroju i z gładko przylizanymi włosami. Podobną transformację wyglądu przeszło jednak wkrótce wielu młodych mężczyzn, z Bui włącznie. Powodem tak nagłego powrotu młodego księcia do Purpurowego Zakazanego Miasta była ciężka choroba jego ojca, cesarza Khai

Dinha. Pod naciskiem ambasadora Francji w Hue wietnamska rada cesarska – arystokraci z rodu monarszego – uprawomocniła wybór jedynego dziedzica Jego Cesarskiej Mości na następcę tronu.

Tego dnia, przed kilkoma zaledwie miesiącami, gdy w sali tronowej odbywała się formalna inwestytura księcia, Bui znajdował się wśród tłumu mandarynów. Wówczas jedyny raz widział młodego władcę w ceremonialnym wietnamskim kostiumie. Kultura francuska przyciągała chłopaka tak, jak pole magnetyczne przyciąga żelazny gwóźdź. Gdyby to zależało od niego, już nigdy w życiu nie włożyłby na siebie *ao dai*.

Bui stanął przed dużym lustrem, w białej koszuli, brązowych spodniach i czarnych welwetowych pantoflach, i przyjrzał się sobie. Czy obraz, jaki ujrzał w zwierciadle, mógł zrobić wrażenie na wiejskiej dziewczynie, która miała go poślubić? Czarne włosy, lśniące od pomady, przyczesał gładko do tyłu nad uszami i uformował nad karkiem w szpic podobny do kaczego kupra. Przyjrzał się nieskazitelnie białej bawełnie koszuli i poprawił wielką klamrę pasa, spoczywającą na brzuchu. Od talii do kieszeni spodni zwisał łańcuch z dwudziestoczerokaratowego złota, jeden z nielicznych cennych przedmiotów, którego nie sprzedali jeszcze, by utrzymać rodzinę na odpowiednim poziomie. Bui wpatrywał się w swoje odbicie z taką intensywnością, że mógłby niemal przebić wzrokiem powierzchnię lustra. Nagle uśmiechnął się. Każda wiejska dziewczyna, choćby z nie wiedzieć jak bogatej rodziny, mogłaby mówić o szczęściu, mając go za męża.

Przez szparę w drzwiach usłyszał głos ojca. Służące przysły go powiadomić, że śniadanie gotowe. Bui wygładził gors koszuli, sprawdził po raz kolejny kant spodni i wyszedł z pokoju.

Na ścieżce przed swoim mieszkaniem zobaczył kilku mężczyzn niosących hamaki i parasole w pięciu barwach. Byli to służący, którzy syzkowali się do zaniesienia go wraz z ojcem na brzeg rzeki. Bui

wszedł do jadalni, gdzie czekali już nań rodzice. Matka, wysoka i nerwowa, siedziała na samym brzeżku krzesła u szczytu stołu. Powitała go uśmiechem, ukazując lśniące czarne zęby. Cesarzowa Matka zwolniła ją tego ranka z obowiązków, i oto zjawiała się, bliska płaczu na widok syna. Przed jej opartymi na stole łokciami stała miska z lepkiem ryżem w rosole, nietknięta. Nie było w tym niczego niezwykłego, pani Chin bowiem nigdy nie jadła w domu. Taniej było jeść wraz z innymi damami dworu w pałacu. Jej porcję po skonsumowaniu swojej zjadał zwykle Bui. Przy drugim końcu stołu siedział ojciec. Nachylił się tak nisko nad jedzeniem, że tył jego łysej głowy był niemal równoległy do talerza. Minister zerknął na syna i powitał go lekkim skinieniem, po czym wrócił do posiłku. Przyjaciele rodziny często mówili Bui, jak bardzo jest podobny do ojca, jakby to był dla niego komplement. Chłopak zawsze po usłyszeniu takiej uwagi wstawał i wychodził z pokoju, trzaskając drzwiami.

Kiedy usiadł przy stole, matka pomachała doń palcami, a przy tym ruchu jej liczne złote bransolety zadzwoniły jak małe dzwoneczki.

– Cesarzowa Matka zgodziła się mnie zwolnić – zwróciła się do Bui – bym mogła się z tobą pożegnać przed wyjazdem. Choć, gdyby to ode mnie zależało, pojechałabym z wami. Nie mogę jednak tego zrobić, i to nie tylko dlatego, że jestem kobietą, lecz również dlatego, że wiąże mnie odpowiedzialność poważniejsza niż obowiązki matki. Wybaczysz mi tę nieobecność, prawda?

Bui siedział na krześle, drżąc z ekscytacji przed podróżą. Ojciec raz po raz podnosił głowę, by nań spojrzeć. Rysy twarzy ministra znikwały w fałdach jego pulchnej, okrągłej twarzy, która przypominała chłopakowi daleki księżyc w pełni. Dziwiło go zawsze, jak ojciec może nosić tak wielką głowę na szyi, nie nadwężając sobie karku, szczególnie że na wypowiedzi swej żony reagował wyjątkowo zważnym kiwaniem. Bui skupił się na talerzu z jedzeniem, które powoli przestawało parować. Matka przemawiała dalej, w ogóle nie zwracając na niego uwagi.

– Tylko sobie wyobraź, twój syn będzie mógł wkrótce zdjąć srebrny łańcuszek z kostki. Czyż mnich nie powiedział nam, że jego więź z bogiem zostanie nadwątlona, gdy znajdzie sobie żonę? – Spojrzała na Bui. – A teraz, zanim staniesz się szanowanym dorosłym mężczyzną, pospiesz się ze śniadaniem. Nie mogę siedzieć tu przez cały dzień.

Bui niemal machinalnie dotknął łańcuszka czubkiem buta. Czuł na skórze chłód srebra. W głowie dźwięczały mu zabobonne słowa matki. Musiał jednak przyznać, że miały w sobie mądrość. Łańcuszek spełniał swoje zadanie przez z górą siedemnaście lat, nie tyle jako biżuteria, ile raczej paranormalne ogniwo, łączące jego duszę z ziemskim padolem. Wkrótce nadejdzie moment zrzucenia tych więzów. Bui odczuwał pewien niepokój na myśl o wejściu w dorosłe życie, podobnie jak więzień tuż przed wyjściem na wolność. Nie był w stanie zjeść posiłku do końca, wstał więc od stołu i wyszedł za rodzicami na dwór.

Służący stali na baczność, trzymając na ramionach płócienny hamak, rozpięty na drewnianym drągu. Bui usadowił się w nim. Jego zachodni strój kontrastował ze stłumionymi barwami uniformów niosących go mężczyzn. Drąg ugiął się pod jego ciężarem.

Nawet nie oglądając się za siebie, młodzieniec czuł, że matka stoi w drzwiach mieszkania. Starał się uniknąć kłopotliwego pożegnania z nią, bo chociaż potrafiła zrozumieć jego niepokój, jej łzy przypominały mu, że wciąż jest jeszcze dzieckiem. Nie chciał już zwlekać ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Czekał na ten dzień wystarczająco długo. Kiedy zbliżyli się do rzeki, zobaczył zacumowaną przy brzegu niedużą brązową łódź. Na jej burcie wypisano czarnymi literami jego rodowe nazwisko. Bui zeskoczył z hamaka i nie czekając na ojca, pobiegł w tamtą stronę.

Po kilku minutach rzucili cumę i wypłynęli na środek nurtu, kierując się na zachód. Chłopak wychylił się za burtę i patrzył, jak ostry dziób łodzi przecina wodę. Marynarze siedzieli przy wiosłach w dwóch rzędach. Pośpny północny wiatr smagał rzekę swymi niecierpliwymi

mackami, zmieniając białe grzywy niewielkich fal w lodowatą szarość. Bui był zanadto podekscytowany, by zwrócić uwagę na zimno. Niczym przelatujący nad rzeką wróbel, patrzył na zbliżający się, a potem zostający w tyle krajobraz, a łódź niosła go ku przyszłości. Mniej więcej po godzinie sternik pokazał im wioskę Cam Le. Wyglądała z daleka jak unoszący się na wodzie kawałek kory.

Wzdłuż brzegu Rzeki Perfumowej ustawił się tłum ciekawskich gapiów. Bui łatwo rozpoznał rodzinę burmistrza. Tylko oni odziani byli w kosztowne szaty i machali do nich rękami.

Nagle tłum rozstał się przed starym człowiekiem, który kroczył ostrożnie, podpierając się laską. Ścisnął cienki kij szponiastymi palcami, jakby to była jego najważniejsza kończyzna. Postać starca wyglądała jak szkielet skryty pod kilkoma warstwami drogich jedwabnych tunik, przytrzymywanych złotym pasem. Cienką szyję wyciągał ptasim ruchem do przodu, a przygarbione ramiona unosił tak wysoko, że zdawały się dotykać obwisłych uszu. Nagą czaszkę porastały gdzieś tam pęki białych włosów, podobne do wypalonych przez słońce źdźbeł trawy i znikające za kołnierzem jego stroju.

Obok starego człowieka szła dziewczyna. Jej delikatną twarz ocieśniał elegancki kapelusz z żółtej organdy, otaczający głowę sztywnym rondem. Włosy z boków miała zaczesane do góry i ukryte pod kapeluszem, z tyłu zaś rozpuszczone kaskadą na plecy według najnowszej mody. Bui dostrzegł jej usta, pełne i czerwone jak pączek lotosu. Zaciśnięta je mocno, prowadząc starca wąską, rozmokłą ścieżką. Biała tunika dziewczyny trzepotała wokół jej wąskiej talii w porywach szemrzącego nad wodą zimnego wiatru.

Kiedy łódź dobijała do brzegu, Bui usłyszał pełne skargi słowa:

– Musisz poczekać, aż dziadek przestawi swoje stare nogi, mała May. Staram się z całym siłą, ale ta droga jest taka długa!

Dziewczyna otoczyła go ramieniem, podtrzymując przy każdym kroku, by mógł przejść przez oczekującą na brzegu ciżbę.

Bui z pomocą marynarza zeskoczył z łodzi. Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrowały jego oczy, była uroda dziewczyny. W jednej chwili wszystko inne odsunęło się gdzieś daleko. Ledwie docierało do niego, że służący wykrzykuje nazwisko ojca. Ruszył w stronę dziewczyny po mokrym piasku, nie mogąc oderwać od niej spojrzenia. Oblizwał łakomie spieczone wargi i przelknął ślinę. Jej wielkie, hipnotyzujące oczy patrzyły przez niego na wskroś, jakby w ogóle nie istniał.

Odrzucił się, lecz nie zobaczył za sobą nic szczególnego poza służącym, mniej więcej w tym samym wieku co on. Chłopak wypowiadał jego nazwisko, anonsując przybycie gości zebranej na brzegu rodzinie Toanów. Paniczowi wystarczyło jedno spojrzenie na tamtego, by w jego głowie wykiełkowała pewna myśl.

Pragnął mieć taką twarz jak ten niewolnik! O kształtnym czole, mocnych kościach policzkowych i pełnych ustach, okoloną gęstą grzywą włosów, związanych na karku w koński ogon. Twarz wyrażającą wiele ciekawych cech, których brakowało jego własnej. Choć wystrojony w ekstrawagancki strój i obwieszony biżuterią, Bui dobrze wiedział, że jego oblicze ma nijaki wyraz. Czuł się jak paw, któremu opalono najpiękniejsze pióra w ogonie.

Usłyszał łagodny głos dziewczyny, tak czysty jak dźwięk dzwonu z pagody.

– Dziękuję, Myszko – powiedziała. I jej twarz rozpromienił uśmiech.

Rozdział dziewiąty

Taniec feniksa

– Panowie, proszę za mną – zwrócił się niewolnik do ministra i jego syna. – Tam czeka powóz.

Bui wyjął z kieszeni chustkę i wytarł sobie czoło. Kawalek przed nim szli ścieżką asesor Toan z wnuczką. Młodzieniec podążył za nimi, prowadzony przez służącego i wciąż wpatrzony w dziewczynę. Duma mieszała się w jego sercu z odrobiną niepewności. Nie wątpił, że jest najpiękniejszą z kobiet wysokiego rodu, jakie do tej pory spotkał, i że wkrótce będzie należeć do niego. A jednak jej wygląd go onieśmiał.

Jej ojciec dla kontrastu był korpulentnym mężczyzną po czterdziestce i nosił okulary. Obok niego, wczepiona weń jak gałązka dzikiego bluszczu, szła kobieta, a właściwie jej cień. Oblicze miała białe jak kartka papieru i osłonięte bujnymi czarnymi włosami. W wąskiej twarzy i wielkich, wystraszonych oczach można było dostrzec resztki urody, lecz ogólnie robiła na młodzieńcu wrażenie pięknego obrazu, wyblakłego z upływem czasu. Ciekaw był, czy to matka dziewczyny, gdyż podczas powitań nie została mu przedstawiona.

Na zakręcie drogi czekał na nich połyskujący metalicznie niebiesko-biały powóz na czterech kołach. Służący wskoczył na kozioł. Wehikuł

w pierwszej chwili wydawał się Bui połączeniem dwóch riks, bez drzwi, z dwiema ławeczkami do siedzenia i odsuwającym dachem. Zaprzężony był w krzepkiego białego konia, który stał, mrugając spokojnie oczami, między dwoma metalowymi dyszlami.

Asesor Toan dał im ze środka znak, żeby wsiadali, i Bui z ojcem weszli do przytulnego wnętrza powozu, wybitego czerwonym aksamitem. Leżały tam haftowane poduszki do podłożenia pod plecy, a wyszorowaną podłogę zakrywała niedźwiedzia skóra. Bui potknął się na stopniu i byłby padł na twarz, gdyby asesor Toan nie chwycił go za ramię kościstą dłonią. Chłopak poczerwieniał i wymamrotał słowa przeprosin, po czym usiadł wyprostowany naprzeciwko dziewczyny, mając nadzieję, że jego pełne niepewności milczenie zostanie wzięte za wyraz opanowania. Ona siedziała z jednym łokciem opartym na poręczy i patrzyła na niego. Miała w oczach tę samą inteligencję, którą dostrzegł w spojrzeniu starca, lecz wyraz jej twarzy był o wiele miłszy.

– Ten pojazd przypomina cesarski powóz, używany przez Jego Cesarską Mość tylko do przejażdżek po ogrodzie z ważnymi gośćmi – odezwał się ojciec Bui.

– Pan i pański syn jesteście moimi ważnymi gośćmi – odparł Toan i zwracając się do chłopaka, zapytał: – Jak się paniczowi podobał mój prezent? To łóżko było własnością mojej rodziny od bardzo dawna. Tym drobnym upominkiem chciałem wyrazić moją szczerą nadzieję na przyjaźń między nami oraz szacunek dla pańskiego nieskazitelnego gustu.

Minister Chin odpowiedział za syna.

– Cała dzielnica mandarynów rozbrzmiewała pochwałami dla szczodrego daru Toanów. Mój syn ma wyjątkowe szczęście, że doświadczył takiego zaszczytu ze strony pańskiej rodziny, zaszczytu, na który w żadnej mierze nie zasłużył.

Starzec machnął ręką, a w jego oczach pojawił się cień smutku.

– To było moje pierwsze małżeńskie łóżko – powiedział z żalem.

– Nie używam go już, odkąd zmarła moja Pierwsza Żona. Druga i Trzecia wołały skromne, cnotliwe i proste życie w świecie religii i wstąpiły do klasztoru. Pozostało mi towarzystwo Piątej Żony. Życzą młodemu panu wielu lat szczęścia, jakiego sam doświadczałem w młodości.

– A co się stało z pańską Czwartą Żoną? – zapytał Bui.

Toan zbył jego pytanie milczeniem. Młodzieniec, zniecierpliwiony, zaczął się przyglądać targowi; tak małego jeszcze nie widział. Umiejscowiony na środku placu za głównym wjazdem do wioski, składał się z mniej niż dwudziestu straganów i garstki kupujących.

Powóz przejechał wzdłuż ceglaneanego muru i droga wkrótce zmieniła się w wąską ścieżkę, którą przecinały kanaliki zakryte deskami. Był to system nawadniający, który doprowadzał wodę z rzeki na pola. Bui oglądał coś takiego po raz pierwszy w życiu. Zdumiewał go fakt, że jadą po cienkiej warstwie drewna, i krzywił się za każdym razem, gdy powóz się zachwiał. Bał się, żeby nie wypaść z pojazdu i nie pobrudzić sobie drogiego ubrania. Wreszcie koń zatrzymał się pod szerokim zadaniem pokrytym czerwoną dachówką. W głębi stał dom, chroniony przez grube mury i bramę z żelazną sztabą. Stary asesor wyszczerzył się w uśmiechu.

– No, jesteśmy na miejscu – powiedział. – Ministrze Chin Tangu i paniczku Bui Tangu, witamy i zapraszamy w nasze skromne progi. Jesteśmy zachwyceni i zaszczytzeni waszą wizytą.

Gdy powóz minął żelazne wrota, Bui naliczył co najmniej piętnaście młodych służących w różowych uniformach, krzątających się po obejściu pod nadzorem pulchnej kobiety w czarnych jedwabiach. Niektóre zamiatały podwórze miotłami z liści palmy areka. Inne rozwieszały laseczki kadzidła na długich bambusowych drągach.

Wjechali na rozległy dziedziniec i znaleźli się pośrodku dużego zespołu budynków. Zauważył, że ta bogata wiejska rezydencja ma wiele

wspólnych cech stylowych z domami Chińczyków, które oglądał w Nowym Mieście, za rzeką naprzeciwko cytadeli. Zanim zbudowano taki dom, przyglądano się wszystkim elementom otoczenia – kierunkom wiatrów, nurtowi rzeki, rzeźbie terenu, gór, drzewom i krzewom. Rozciągająca się przed nim posiadłość stała na kwadratowej działce gruntu i zbudowano ją tak, by wykorzystała dobroczynne działanie sił ziemi.

Rezydencja dzieliła się na trzy odrębne części. Główną stanowił piętrowy dom, stojący poprzecznie, frontem do bramy, z wąskim skrzydłem na każdym końcu. Jego plan przypominał literę H. Kuchnia znajdowała się w narożniku północno-wschodnim, w pobliżu tylnego wyjścia. Od wspaniałego rzeźbionego dachu po solidny fundament z piaskowca całą konstrukcję pokrywały złote płytki, znak wdzięczności właściciela wobec bogów. Powóz zatrzymał się na środku dziedzińca.

Bui sięgnął do srebrnego łańcuszka na kostce, którego ogniwa zahaczały o brzeg jego nogawki od początku podróży.

– Czy już mogę zdjąć to świecełko, ojczu? – zapytał.

– Jak najbardziej – odrzekł minister. – Jesteś teraz dorosły, możesz postępować wedle własnej woli. Co zamierzasz zrobić z łańcuszkiem?

– Podaruję go komuś mniej obdarzonemu przez los – odparł młodzieniec i odpiął łańcuszek. Wysiadając z powozu, przyglądał się otoczeniu. Przechodząc obok Myszki, który wyładowywał ich bagaże z tyłu pojazdu, Bui rzucił mu swój szczęśliwy talizman, mówiąc:

– Masz tu napiwek, dobry człowieku.

Na spotkanie asesora Toana i jego gości wybiegła Piąta Żona starego. Była to owa kobieta w czarnym jedwabnym stroju, którą Bui zauważył już wcześniej. Wydawała mu się nieco za gruba, lecz mimo to atrakcyjna.

– Song, moja Piąta Żona, pragnie was przywitać, panowie – rzekł Toan, po czym zwrócił się do niej: – Zaprowadź mandaryna i młodego

pana do ich pokojów, żeby odpoczęli po podróży.

Asesor wykpił się pilnymi zajęciami i oszedł, minister Chin Tang zaś skłonił się, mówiąc:

– Proszę prowadzić, pani Song.

Służący wziął po dwie walizy gości do każdej ręki.

– Pomogę ci, Myszko – powiedziała Song, chwytając za największą, po czym ruszyła jako pierwsza długim chodnikiem.

Kwatery dla gości składały się z szeregu pomieszczeń połączonych wewnętrznymi galerijkami. Mieściły się w części dobudowanej do okazałego głównego budynku, a dwa pierwsze przedśionki mogły rywalizować przepychem z Pałacem Cesarskim. Udekorowano je dziełami sztuki z dawnych wieków, a obramienia wychodzących na dziedzińiec okien pomalowano białą farbą. Nikła woń stęchlizny potwierdziła domysł Bui, że tej części domu nie używano od dość długiego czasu. W każdym mijanym pomieszczeniu Piąta Żona otwierała okna, wpuszczając do zakisłych wnętrz świeże powietrze.

Chłopak przyglądał się przez owalne wejście pozostałym budynkom rezydencji. Po drugiej stronie głównego domu podobną boczną przybudówkę zajmował pan Long wraz z żoną i córką. Na tyłach, pod wysokim murem, znajdowała się kuchnia i mieszkania służby. Bui wiedział, że jego przyszli teściowie są bardzo bogaci, lecz mimo to zaskoczył go ogrom ich posiadłości. Dostrzegł długie stożki kadzidła, wiszące w spiralach od sufitu niemal do samej ziemi. Jako syn ministra do spraw religii wiedział, że tę wonną żywicę palono od pełni księżyca w ubiegłym miesiącu. Dopóki kadzidło się żarzyło, chroniło właścicieli od złego losu.

Wzdłuż ceglanego muru rozwieszono lampiony w kształcie ryb, motyli i bawołów, przygotowane na pierwszą noc święta. Obok stały tace z ciasteczkami księżycowymi z kwiatów lotosu i żółtek jaj. Piąta Żona wyjaśniła ojcu Bui, że byłoby nierozsądnie, gdyby w domu kogoś tak

wysoko postawionego jak pan Long zlekceważono moce zaświatów, szczególnie gdy jego gościem jest minister do spraw religii i ceremonii. Dlatego burmistrz specjalnie sprowadził znawcę, który precyzyjnie określił miejsce wystawienia świętych ofiar, w nadziei przywołania życzliwych duchów następnej nocy, kiedy żniwny księżyc stanie w zenicie. Po przybyciu do rezydencji duchy te miały strzec i chronić żyjących.

Doszli do końca korytarza i pani Song przystanąła pod zwyczajnymi niebieskimi drzwiami.

– Tu jest twój pokój, młody panie – powiedziała, stawiając na ziemi jego walizkę. – Rozgość się wygodnie i odpocznij. Służący powiadomi cię, gdy nadejdzie pora obiadu.

Skloniła się i zniknęła szybko wraz ze służącym za bambusową zasłoną, prowadzącą na małe tylne podwórko przy kuchni. Bui ziewnął, znużony podróżą. Pchnął nogą drzwi i wkroczył w przestronną biel wnętrza.

Tej nocy lśniące oblicze ósmego księżyca pokazało się na rozgwieżdżonym niebie wcześniej niż zazwyczaj. Jego promienne piękno przyćmiły jednak potoki światła na ulicach wioski Cam Le.

Była to noc lampionów, o najróżniejszych kształtach i wielkościach, wzmacniających nawzajem swoje światło jak tysiące robaczków świętojańskich. O siódmej wieczorem służący domu Toanów otworzyli ciężkie wrota, by wpuścić do środka dwa tuziny mnichów. Oni także nieśli w rękach lampiony.

W centrum dziedzińca stał ołtarz w formie schodkowej piramidy, zbudowany ze świeżo ściętego drewna i bambusowych drągów. Na schodkach umieszczono świece, kadzidło, korę sandałowca i ciasteczka księżycowe. Służący rozdali świątobliwym mężom bębny, gongi i kastaniety. Każdy mnich po wybraniu sobie instrumentu stawał przy ołtarzu i w ten sposób uformowali wokół niego krąg. Światło lampionów

podkreślało nieruchomość ich twarzy. Dla wielu patrzących nie byli już istotami z krwi i kości, lecz posągami z kamienia.

Minister Chin stał na podeście, w pewnym oddaleniu od reszty uczestników ceremonii, twarzą do ołtarza i głównej bramy. Dłonie złożył na piersi. Spomiędzy jego palców wystawały długie laseczki kadzidła, z których unosił się wonny dym. Minister przyknuł oczy i rozpoczął rytuał otwierający uroczystość – recytację świętych wersów. Tej nocy musiał naprawić wiele spraw dotyczących tej wioski, prowadząc z mnichami długie obowiązkowe śpiewy. Dzięki temu ziemia miała odzyskać swe nadnaturalne moce i wydać w przyszłym roku jeszcze obfitsze plony. Tylko jego szczerzy wysiłek mógł zapewnić harmonię mieszkańcom i dobrobyt gospodarzowi uroczystości.

Rodzina Toanów stawiała się w komplecie, zajmując miejsce za plecami wyjątkowego gościa. Stary asesor, zbyt słaby, żeby stać, siedział zgarbiony na krześle. Reszta ustawiła się pod lampionami, z laseczkami kadzidła w dłoniach. Ich szaty wydawały cichy szelest w chłodzie wieczoru. Minister Chin, nie oglądając się za siebie, czuł na karku palącą ciekawość obecnych. Jednakże wiele lat wystawiania w sali tronowej pośród innych urzędników uodporniło go na takie spojrzenia.

Delektował się natomiast sposobnością okazania podczas tej żniwnej ceremonii swego dostojęstwa i autorytetu. Chociaż miejscowość sama w sobie była nędzna, cieszyły go oznaki zamożności tego domu. Jeśli zaś chodziło o syna, pan Chin nie potrzebował zawodowej swatki, by mu opisała, jak bardzo nieszczęsny chłopak umiera z miłości, oczarowany urodą tej smukłej dziewczyny. Wydawali mu się idealną parą, a podróż mogła zaowocować bardzo korzystnym dla obu stron małżeństwem. Wiedział, że tym bardziej powinien uzmysłowić przyszłym teściom, z jaką osobistością mają do czynienia.

Kiedy recytacja dobiegła końca i służący uderzył w gong o głębokim dźwięku, minister wypiął pierś i oznajmił donośnie w nagłej ciszy:

– Ja, minister Chin Tang, przybyłem do tej miejscowości w imieniu cesarza!

Święto Księżycowych Żniw mogło się teraz rozpocząć.

Bui podczas śpiewania mantry opuścił nisko głowę i obgryzał paznokcie, starając się zapanować nad zniecierpliwieniem. Nie do zniesienia było to, że może tylko patrzeć na dziewczynę z oddali. Noc mijała szybko, a przecież chciał jeszcze zostać z nią sam na sam. Przy każdym powiewie wiatru pragnął, by rozwiązał jej włosy, pokazując szyję w miejscu, gdzie kołnierz tuniki pieścił białą skórę dziewczyny. Pragnął trzymać ją w objęciach i ściągać z niej po trochu ubranie, żeby móc podziwiać jej ciało. Tymczasem musiał stać w migotliwym świetle lampionów i patrzeć, jak jego wybranka recytuje buddyjskie teksty, dopóki jego ojciec nie odśpiewał wreszcie zakończenia ceremonii.

Przed burmistrzem zjawiała się młoda służąca, by poinformować go, że podano herbatę. Pan Long rozsunął drzwi prowadzące do salonu. Ogromne pomieszczenie, którego sufit wspierały pięknie rzeźbione mahoniowe słupy, urządzone było z przepychem i zastawione wspaniałymi meblami. Zdumionym gościom wydało się niemal starożytną świątynią. Wszyscy, z wyjątkiem starca, który udał się do swojej sypialni, wkroczyli w milczeniu do wielkiego pokoju, prowadzeni przez gospodarza.

Kiedy zajęli miejsca wokół stołu z czerwonym marmurowym blatem, pan Long zwrócił się do ministra:

– Czy miałby pan ochotę na odrobinę opium w moim towarzystwie, kiedy dzieci pójdą już na festyn nad rzeką?

Zanim minister zdążył odpowiedzieć, odezwał się jego syn.

– Festyn? – zawołał. – Uwielbiam wszelkie festyny. – Choć jeszcze nigdy w żadnym nie uczestniczył, nie umniejszało to wcale jego entuzjazmu. – Z największą przyjemnością będę towarzyszył młodej

damie – ciągnął – lecz nie wiem, czego oczekiwać podczas tej ulicznej zabawy. Proszę mi wyjaśnić jej naturę.

Pan Long spojrzął na swego honorowego gościa.

– Niechaj wyjaśni to minister – odparł. – W tym pokoju bowiem nikt nie zna się na tych sprawach lepiej od niego.

Minister Chin skinął na służącą, by dołała mu jaśminowej herbaty. Spojrzął na dziedziniec. Mnisi już sobie poszli, lecz za murem rezydencji narastał gwar zabawy.

– Nie powinienesz mnie pytać o wyjaśnienia – rzekł spokojnym głosem do syna. – Jestem zwolennikiem doktryny introspekcjonizmu, najnowszej filozofii europejskiej. Głosi ona, że wszelkie doświadczenia życiowe powinniśmy obserwować własnymi oczami, nie zaś poprzez pryzmat myśli i uczuć innych ludzi. I ty, mój syn, powinienesz przyjąć nieznanę z otwartymi rękami. Zaufaj mi, z pewnością będziesz się dobrze bawił.

Bui pochylił się, opierając dłonie o marmurowy blat.

– Ależ ojczcie – powiedział – nie wystawisz mnie przecież na ryzyko kompromitacji w oczach młodej damy z powodu braku odpowiedniej wiedzy. Cieszę się na myśl o tym tajemniczym festynie, lecz zabawa sprawi mi mniej radości, jeśli popełnię jakiś głupi błąd.

Na twarzy ministra pojawił się uśmiech.

– Sądzę, że masz prawo do krótkiego wykładu – odrzekł. – Święto Księżycowych Żniw to czas, w którym młodzi ludzie okazują swą wiarę w romantyczną miłość. Jestem bardzo zadowolony, że będziesz miał okazję wziąć w tym udział, bo w Purpurowym Zakazanym Mieście nie mamy takich rozrywek. Lecz przed włączeniem się do zabawy powinienesz poznać jej zasady. – Minister upił łyk herbaty i roześmiał się. – No i tyle z mojego introspekcjonizmu – stwierdził nieco zmieszany, po czym zaczął swoje objaśnienia. – Co roku, tej właśnie nocy, kiedy księżycowi brakuje do pełni jednego dnia, wszyscy ludzie młodzi i wolnego stanu mogą wziąć udział w festynie, by znaleźć prawdziwą miłość.

Przebierz się w jakiś kostium i odpowiednią do niego maskę, żeby nikt cię nie mógł poznać. W przebraniu możesz uczestniczyć w tańcu feniksa. Dzięki temu będziesz traktowany na równi z innymi, niezależnie od swej pozycji czy majątku. Bez pośrednictwa swatki i bez mojej pomocy będziesz mógł się wykazać inteligencją, żeby zdobyć względy wymarzonej dziewczyny. Sztuka polega na tym, żeby dobrze zrozumieć jej charakter, aby później móc ją odnaleźć w tłumie przebierańców. Nie przejmuj się, jeżeli ci się nie powiedzie. I tak znajdziesz swoją wybrankę, czy też raczej jej rodzice jutro znajdą ciebie. Jeżeli zmęczy cię ta dziecinada albo będziesz potrzebował mojej pomocy, możesz zawsze tu wrócić. – Spojrzał teraz na burmistrza. – Czy nie opisałem tego wszystkiego z nadmierną pewnością siebie, panie Long? – zapytał.

Gospodarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– W żadnej mierze – odparł. – Sądzę, że dokładnie pan przewidział rezultat dzisiejszej zabawy. Taki więc jak panicz Bui byłby zaszczytem dla każdej rodziny w tej wsi. Chcę tylko zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół, żeby w pełni przygotować go do udziału w zabawie. Mianowicie, taniec feniksa odbywa się u nas nie na lądzie, lecz na rzece.

– Co to jest taniec feniksa? – zapytał Bui.

– Legenda powiada, że feniks zdobywa serce ukochanej, wyrażając swe uczucia tańcem – wyjaśnił burmistrz. – Cóż może zrobić większe wrażenie na pięknej pannie niż specjalnie dla niej skomponowana pieśń miłosna czy poemat wychwalający jej urodę? Jako że jesteś młodzieńcem wielkiej cnoty i odwagi, nie wątpię, że dzisiejszej nocy bóg księżycy wynagrodzi cię, młody panie, posyłając najpiękniejszą dziewczynę festynu wprost w twoje objęcia.

Przegroda w wejściu do salonu odsunęła się i do pokoju wszedł służący. Bui poznał przystojnego niewolnika imieniem Myszka.

– Wszystko gotowe – oznajmił. – Konie już zaprzężone do powozu. Czy pan Bui i pani May zechcą teraz udać się na festyn?

Bui wstał od stołu i podszedł do służącego. Żeby mu spojrzeć w twarz, musiał podnieść głowę i tę różnicę wzrostu odczuwał jako obelgę.

- Czy to ty masz dzisiaj powozić? – zapytał.
- Tak, panie – odparł Myszka.

W przeciwieństwie do innych służących nie bał się patrzeć młodzieńcowi w oczy. Zachowywał się uprzejmie, lecz ze swobodą. Jego opanowanie budziło w Bui niechęć. Odruchowo zacisnął dłonie w pięści, po czym, nie patrząc na burmistrza, podniósł głos i rzekł tonem pełnym sprzeciwu:

– Czy musimy być narażeni na niebezpieczeństwo, które może nam grozić przy tak niedoświadczonym woźnicy? Czy nie ma w tym domu innego stangreta?

Nagle odezwała się mocno podekscytowana Tai May, która aż do tej chwili zachowywała milczenie.

– Zaklinam cię, panie. Myszka jest moim osobistym służącym, a poza tym przyjacielem i powiernikiem. Dostałam go dziewięć lat temu w prezencie od mojej nieboszczki babki. Zawożąc nas na festyn, wypełnia tylko moje polecenie. Możesz być pewien, że twoje bezpieczeństwo spoczywa w rękach najlepszego woźnicy w wiosce.

Te pełne emocji słowa z jej pięknych ust sprawiły, że Bui aż poczerwieniał ze wstydu.

Myszka skłonił się swej młodej pani, jakby jej dziękował.

– Możliwość zawiezienia pana na festyn będzie dla mnie zaszczytem – powiedział.

Zanim Bui zdążył odpowiedzieć coś sensownego, służący skłonił się ponownie i zniknął za parawanem. Reszta rodziny Toanów powstała z miejsc.

– Chciałabym towarzyszyć pańskiej córce podczas festynu – zwróciła się do pana Longa Piąta Żona asesora Toana. – Przeworność nakazuje, żeby młoda dama miała przyzwoitkę. Obiecuję, że nie będę się

wtrącać do ich zabawy.

Burmistrz z uśmiechem skinął głową.

– W rzeczy samej, to dobry pomysł. Powierzam więc szczęście mojej córki w twoje ręce, pani Song.

Po drodze do powozu pan Long odciągnął młodego gościa na stronę. Zatrzymali się w cieniu rozłożystego hibiskusa w pobliżu bramy.

– Czy pragniesz mojej córki? – zapytał go półgłosem burmistrz.

Bui pokiwał głową. Chciał wyznać mężczyźnie, jak bardzo pożąda tej pięknej dziewczyny, lecz słowa więzły mu w gardle. Pan Long przyjrzał się jego twarzy. W głębokim cieniu mógł dostrzec właściwie tylko jego małe oczy. Na pospolitym, aroganckim obliczu nie dojrzał niczego atrakcyjnego. Ale to nic, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Chłopak tym bardziej będzie cenił urodę jego córki.

– Czy przyrzekasz postąpić dokładnie według moich wskazówek? – dociekał pan Long.

Bui ponownie pokiwał głową.

– Słuchaj więc uważnie. – Pan Long ścisnął go za ramię dla podkreślenia wagi swych słów. – Łódź mojej córki jest pomalowana na białą. Na jej dziobie będą wisiały dwa lampiony o kształcie motyli. Istotne jest, żebyś rozpoznał May przed jedenastą. Dzięki temu zyskacie czas na lepsze poznanie się, zabawa bowiem kończy się o północy. – Przerwał i dał znak stojącemu w pobliżu mężczyźnie, żeby się zbliżył. – Proszę, byś zabrał tego człowieka ze sobą, paniczu. Słyszałeś zapewne o panu Jeanie Luu, sławnym śpiewaku operowym?

Jean Luu miał beczkowatą klatkę piersiową, a jego androgeniczną twarz pokrywała gruba warstwa białego pudru. Jako mieszkaniec cytadeli, Bui słyszał o tym sławnym artyście i zdumiało go, że uczestniczy w wiejskim święcie.

– Oczywiście – odparł.

– Na moją prośbę – ciągnął burmistrz – pan Luu wykona dziś

wszystkie ulubione pieśni mojej córki. Korzystając z pomocy tego śpiewającego ptaka z pewnością odniesiesz sukces.

W jasnej księżycowej poświacie srebrzył się ten sam powóz, który przywiózł ich znad rzeki. Pani Song i Tai May usiadły razem na ławeczce za siedzeniem stangreta. Nie było wiatru, a temperatura zaczęła się podnosić. Służący opuszczał daszek z obu końców powozu. Bui podszedł bliżej, lecz Myszka był tak pochłonięty pracą, że nie usłyszał jego kroków. Bui chwycił go ze złością za długie włosy i odciągnął do tyłu.

– Nigdy nie stawaj mi na drodze, ty durniu – rzucił i kopnąwszy niewolnika, wspiął się do powozu i zajął miejsce naprzeciwko pięknej dziewczyny. Ich kolana zetknęły się przez moment, lecz był to bardzo przelotny kontakt. Unikała go wyraźnie, jak ogień, który kurczy się pod strumieniem wody. W niezręcznym milczeniu napawał oczy jej widokiem. Twarz May była nieruchoma.

Błady i pulchny śpiewak usadowił na ławeczce obok niego swój nazbyt szeroki zadek i natychmiast zaczął coś nucić. Palcami o czerwonych paznokciach pogrzebał w sakiewce zawieszanej na ramieniu. Bui patrzył zdumiony, jak tenor wyciąga skrawek powleczonego czerwienią papieru i małe lusteczko, po czym barwi sobie usta. Kiedy jego wargi nabrały już koloru paznokci, mężczyzna westchnął z głębokim zadowoleniem. Odwrócił się do Bui i ujrawszy jego szeroko otwarte oczy, zaferował mu z uśmiechem swe kosmetyczne przybory.

– Może zechce pan ubarwić sobie usta, panie Bui? – zapytał.

Młodzieniec pokręcił głową i odsunął się na sam skraj wąskiej ławeczki.

Myszka smagnął konia batem i powóz wytoczył się z posiadłości Toanów na ulice wioski, rozbrzmiewające już gwarem zabawy. Wszyscy młodzi i wolnego stanu, a także starsi, lubiący uczestniczyć w

radosnym festynie, wylegli z domów z lampionami lub świecami w rękach. Noc wypełniły głośnie śmiechy i rozmowy. Tłum uformował długi pochód migotliwych lampek, sunący w dół ku rzece jak wielki świetlisty wąż. Księżyc w górze zdawał się okrągłym oknem do świata niebios, przez które wlewała się złocista poświata.

Powóz przejechał przez całe Cam Le zatłoczonym ludźmi traktem i dotarł do Rzeki Perfumowej. Myszka tak wybrał drogę, żeby pasażerowie mogli podziwiać skąpany w księżycowym świetle krajobraz. Siedząc naprzeciwko May, Bui rzucił jej kilka ukradkowych spojrzeń. Ona jednakże odwróciła głowę i wpatrywała się w mijane widoki. Nikt nie zamienił z nikim ani słowa i jedynym dźwiękiem w powozie było jednostajne nucenie śpiewaka. Po prawej Bui dojrzał długą wyboistą ścieżkę, biegnącą w głąb niekończącego się pola kukurydzy.

Kiedy powóz skręcił w zatłoczoną, pełną świateł ulicę, Bui dostrzegł w pewnym oddaleniu wielką niezamieszkaną posesję. Wśród gąszczy drzew i krzewów majaczyły wałące się ceglane mury porośnięte bluszczem. Poświata księżycza przedzierała się przez listowie, wydobywając ruiny z mroku. Ostre krawędzie spalonych ścian sterczały w niebo jak upiorne fantomy. Opustoszałe miejsce emanowało niesamowitą atmosferą. Bui poczuł na twarzy powiew chłodnego wiatru – a może tak mu się tylko zdawało?

– Co to za dom? – zapytał.

Dziewczyna zignorowała jego pytanie. Odpowiedziała mu pani Song.

– To dom nawiedzany przez demony. Należał niegdyś do rodziny Nguyenów. Jego właściciele już od dawna nie żyją.

– Nawiedzany przez demony? – zapytał podekscytowany młodzieniec. – Czy rzeczywiście mieszkają tam niespokojne duchy? Czy ktoś je widział? Jak wyglądają?

Nagle szarpnięcie powozu na ostrym zakręcie cisnęło nim o ścianę. Bui przeklął stangreta, a kiedy znów usiadł prosto, jego uwagę zaprzętałą radosny zgielk na zewnątrz.

Wkrótce dojechali do końca ulicy, która rozwidlała się tu na dwie węższe drogi, prowadzące nad rzekę. Wylot każdej z nich oświetlono pochodniami.

Zza drzewa wyszedł jakiś mężczyzna i dał im znak, żeby stanęli.

– Przepraszam – zawołał do Myszki – ale jeżeli chcecie wziąć udział w festynie, musicie zostawić tutaj swój pojazd.

– A jak się tam dostaniemy? – zapytał stangret.

– Tymi ścieżkami. Ta po prawej jest przeznaczona dla mężczyzn, a ta po lewej dla kobiet.

Myszka zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki powozu i wytłumaczył pasażerom, o co chodzi. Bui odchylił się na oparcie i spojrzał na swą przyszlą żonę. Jego nogi, wyciągnięte w poprzek przejścia, zagrażały jej drogę. Musiała zwrócić na niego uwagę, zanim wysiądą.

Dziewczyna siedziała na białej watowanej podkładce. Na przypudrowanej gładkiej skórze delikatnej twarzy Bui dostrzegł drobinki mielonych pereł. Mimo niechętniej postawy Tai May, jej oczy wyrażały zdecydowanie, i musiał odwrócić wzrok. Dziewczyna wyciągnęła ku niemu uniesioną dłoń. Opuszki jej palców ledwie dotknęły jego ręki. Ten delikatny kontakt przejął go drżeniem.

– Z całego serca życzę ci udanego wieczoru, panie – rzekła spokojnym głosem Tai May.

Ujął jej dłoń w obie ręce. Ciepło skóry poraziło go jak grom. Otworzył usta, nie wiedząc nawet, co chce powiedzieć.

– Obiecuję, że znajdę cię dzisiaj na tej rzece – usłyszał w końcu własne słowa.

Bui ruszył wraz ze śpiewakiem ścieżką po prawej. Wciąż jeszcze był oszołomiony dotykiem dziewczyny i magiczną mocą jej spojrzenia. Ponad ogólny gwar wzbily się nowe dźwięki – okrzyki sprzedawców masek. Każdy z przekupniów oferował setki różnych kostiumów, wykonanych z kolorowego papieru lub taniej bawełny. Uczestnicy festynu

zaopatrywali się pospiesznie w maski i pasujące do nich przebrania.

Bui wybrał dla siebie ciemnoniebieską maskę pawia i bogato zdobiony kostium, odtwarzający barwne upierzenie ptaka. Dla śpiewaka kupił przebranie brązowej mały. Zniewieściały tenor zachnął się i mruczał coś z oburzeniem pod nosem, lecz w końcu wziął strój od młodzieńca. Bui rozglądał się za Myszką, lecz służący zniknął. Zapewne ukrył swą chłopską powierzchowność pod jakimś kostiumem, żeby wmieszać się w tłum jako jeden z wielu przebierańców.

Na brzegu rzeki podszedł do nich człowiek wynajmujący łódzie. Twarz miał poznaczoną dziobami po ospie. Niektóre były tak głębokie, że wyglądały jak czarne dziurki w skórze. Mężczyzna skłonił się przed Bui.

– Czy chciałbyś wynająć łódź, wielki panie?

Młodzieniec spojrział na jego oblicze i ze śmiechem dziabnął go palcem w nos.

– Ze wszystkich tu obecnych tobie chyba najbardziej przydałaby się maska, dobry człowieku – powiedział. – Wystraszysz sobie klientów. Daj mi swoją najlepszą łódź.

Przewoźnik pokłonił się jeszcze niżej.

– Tędy, mój panie – rzekł. – Czy życzy pan sobie także sternika?

– Oczywiście – odparł z entuzjazmem Bui. – Życzę sobie wszystkiego. – Wcisnął garść monet do ręki mężczyzny. – To ma być najpiękniejsza noc w moim życiu. Chyba dość za to płacę?

Powietrze nad rzeką było chłodne, lecz wibrowało podnieceniem. Łódź Bui wpłynęła w rojowisko innych łodzi. Nad nimi niósł się śpiew wysokich kobiecych głosów, któremu towarzyszyło głucho dudnienie bębnow z brzegu. Odpowiadał mu, niczym w godowym rytuale ptaków, nieśmiały zaśpiew mężczyzn, którzy dodawali nowe zwrotki do znanych pieśni wykonywanych przez kobiety. Pary porozumiewały się i odnajdywały nawzajem za pośrednictwem muzyki. Setki łódek

unosily się na wodzie jak opadłe liście, manewrując i przepychając się w celu zajęcia najdogodniejszej pozycji. Powierzchnia rzeki odbijała światło lampionów, jarzących się tak jasno, jak najrzadsze i najcenniejsze klejnoty na ziemi.

Wynajęty sternik manewrował łodzią z wyjątkową biegłością. Wkrótce udało mu się przedostać przez męską flotyllę i podpłynąć do kobiecych łodzi. Panicz wstał, chociaż pod jego papierowy kostium wdzierał się zimny wiatr. Słyszał skrzyp wiosel i chlupot wody o burty. Nieopodal dostrzegł biały sampan Tai May, unoszący się na powierzchni niczym łabędź wśród stada czarnych kaczek. Na dziobie, zgodnie ze słowami pana Longa, wisiały dwa lampiony o kształcie motyli. Bui rozpoznał dziewczynę niemal natychmiast. Miała na sobie biały kostium i jej sylwetka rysowała się wyraźnie na tle nocnego nieba. Maską May przypominała motyla z rozpostartymi skrzydłami. Obok niej dojrzał Piątą Żonę asesora Toana. Krępa pani Song nie włożyła przebrania. Wiosłowała w równym, mocnym rytmie i wyprzedzała nieco pozostałe łodzie.

Bui trącił sternika w ramię.

– Płyn do tej białej łódki – powiedział, wskazując ręką, po czym zwrócił się do tenora. – Śpiewaj już, szybko. Niech usłyszają twój głos.

Brązowa małpa otworzyła usta i z jej piersi popłynął śpiew. Głęboki, melodyjny głos natychmiast zwabił w ich stronę kilka kobiecych łodzi. Okrzyki i oklaski gapiów napelniły serce Bui dumą. Dopiero teraz zrozumiał, jak bezcenną wartość ma dlań ten śpiewak.

– Głośniej – polecił pieśniarzowi, klepiąc go otwartą dłonią w plecy jak w bęben. Jean Luu posłuchał i jego śpiew wzbił się jeszcze wyżej w niebo. Wydawało się, że dziewczyna w białej łodzi go usłyszała, gdyż przechyliła głowę, jakby nadstawiając ucha.

Łódź Bui otoczyły wkrótce inne, wypełnione zagorzałymi wielbiczkami śpiewaka. Wiele kobiet poznało głos słynnego tenora i w nocną ciemność niosły się okrzyki zachwytu. Niektóre rzuciły Bui kwiaty,

uznając widocznie, że tak sławnego artystę musiał wynająć jakiś wielki bogacz. Kobiety z najbliższych łodzi wyciągały do niego ręce, próbując zerwać mu z twarzy maskę pawia i ujrzeć jego prawdziwe oblicze. Bui usiadł i zakrył głowę rękami. Łódź zakołysała się gwałtownie. Sternik pomimo swej bieglności z trudem utrzymał ją w równowadze.

– Przestań śpiewać, durniu! – krzyknął Bui do Jeana Luu. – A wy, brudne wieśniaczki, odczepcie się ode mnie! – warknął do swoich nowych wielbicieli.

Kobiety poczuły się obrażone i ich radosne nawoływanie zmieniło się w okrzyki gniewu. Jednej z nich udało się zerwać jego maskę. Po chwili pawie pióra pływały wokół łodzi jak płatki z oskubanego kwiatu.

Na szczęście dla Bui, nagle zaniechały ataku. Coś innego zaabsorbowało ich uwagę i zaczęły się oddalać od jego łodzi. W ogólnym zgiełku usłyszał uwodzicielskie tony lutni. Melodia płynęła w powietrzu, studząc rozgorączkowane głowy. Chaos na rzece powoli się uspokajał.

Bui wciąż zakrywał twarz i patrzył na wszystko przez rozstawione palce. Ujrzał sunącą po wodzie łódź, której właściciel miał na sobie czarną opończę z kapturem i wyglądał jak przebrany za Śmierć. W słabym świetle nie było widać szczegółów jego wyglądu ani tańczących po strunach lutni palców. Do łodzi lutnisty podpłynął biały sampan. Smukła dziewczyna, która miała zostać żoną panicza Bui Tanga, podniosła się z miejsca. Człowiek w czerni wziął ją w objęcia.

Zaszokowany Bui spojrział na swego sternika. W świetle księżyca zobaczył jego tępy uśmiech i aby wyładować złość, uderzył w tę uśmiechniętą twarz pięścią.

– Zawieź mnie tam! – krzyknął z nutą hysterii w głosie. – No płyniż! Muszę zobaczyć, kto to jest!

Uśmiech sternika zmienił się w grymas przestachu. Mężczyzna krzyknął z bólu, lecz siedział dalej nieruchomo.

– Głuchy jesteś? Kazałem ci płynąć do białego sampana – złościł się Bui.

Wieśniak pokręcił głową i odpowiedział bezbarwnym głosem:

– Nie mogę, wielki panie. Jest już za późno. Dziewczyna przeszła na jego łódź.

Wokół Bui trwał w najlepsze festyn. Dla niego jednak zabawa już się skończyła. Taniec feniksa przyniósł mu sromotną porażkę.

Myszka czuł suchość w ustach. Spojrzał na dziewczynę, którą trzymał w ramionach. Była jedyną córką burmistrza wioski, a on był jej niewolnikiem. Stanowili chyba najbardziej nieprawdopodobną parę na tym rzeczonym festynie. Ale wybrała właśnie jego. Przechodząc na jego łódź, nie tylko sprzeciwiła się woli rodziny i ryzykowała utratę wszystkiego, włącznie ze swą reputacją, lecz także odrzuciła konkury syna samego ministra. Myszkę to bardzo podbudowało. Atmosfera święta i nocny mrok sprawiły, że w tej chwili jego status był nieistotny. Zdecydowanie dziewczyny wyzwoliło w nim odwagę i pragnął kochać, tak jak wszyscy ludzie.

Maska motyla przylgnęła do jego piersi, jej skrzydła falowały wraz z rzeką. Opuścił głowę niżej i wdychał woń włosów dziewczyny, zapach gardenii. Odkąd ją znał, pachniała zawsze gardenią. Na obrzeżu flotylli łódek dostrzegł młodego mandaryna z pobladłą od gniewu twarzą. Wiedział, że później będą oboje cierpieć za swój uczynek, lecz nie dbał o to. Świat wokół odpłynął gdzieś daleko.

Tai May zdjęła maskę. Myszka śledził jak zahipnotyzowany każdy jej gest. Dziewczyna zebrała włosy, opadające czarną falą aż do pasa, i przerzuciła je przez ramię na jedną pierś. Księżyc podkreślał rysy jej twarzy. Oczy nad wysokimi kośćmi policzkowymi miały kształt rozpostartych skrzydeł odlatującej jaskółki. Gdy patrzyła na niego, otwierały się szerzej. Uśmiechała się. Wstrzymał oddech, niezdolny oderwać od niej wzroku.

Stali tak na środku sampana przez dłuższy czas, obejmując się i nie mówiąc słowa. Łódź kołysała się lekko i dryfowała coraz dalej od

pozostałych uczestników zabawy. Myszka myślał tylko o tym, jaki jest szczęśliwy. Jego miłość przestała wreszcie być tajemnicą. Przycisnął ją do siebie, obejmując mocno w talii. Ręka dziewczyny wsunęła się pod jego ubranie i gładziła po plecach. Tai May uniosła głowę i czubki ich nosów zetknęły się na moment. Usłyszał swój szept:

– Pani May.

Odsunęła się, marszcząc brwi. Łódź się zakołysała. Dziewczyna straciła podporę w jego krzepkiej postaci i zachwiała się, chwytając dłońmi powietrze. Myszka złapał ją za ręce i pomógł usiąść na drewnianej ławeczce, a sam uklęknął obok. Dotknęła z westchnieniem jego twarzy.

– Nie zwracaj się do mnie tym okropnym tytułem – powiedziała. – Ani dzisiaj, ani już nigdy.

Skinął głową, zafascynowany jej ustami. Słyszał, jak młodzi pastarze rozmawiali o francuskich pocałunkach, podczas których mężczyzna zagłębia swój język w ustach kobiety. Dziwaczność tego aktu miała w sobie coś tak erotycznego, że aż skręcało go z pragnienia, by tego doświadczyć. Wietnamczycy nigdy się nie całowali; wyrażali uczucie, wdychając długo i głęboko zapach skóry kochanej osoby. Lecz w nikłym poblasku lampionu usta May były tak pełne i wilgotne, tak zapraszające, że strasznie pragnął ich posmakować. Siedział u jej stóp, oszłomiony wzbierającym pożądaniem.

Dziewczyna spojrzała na lutnię leżącą na dnie łodzi.

– Kto cię nauczył grać tę smutną pieśń? – zapytała.

Przebiegł palcami po strunach i spod jego dłoni wydobyły się melancholijne tony.

– To ulubiona ballada mojej matki – odparł.

– Twojej matki – powtórzyła jak echo. – Tej, która mieszka w niewiedzanym przez demony domu?

Myszka poczuł, jak krew odpływa mu nagle z głowy. Słowa dziewczyny go przeraziły. Sądził, że skrywał dotąd tę tajemnicę bardzo

starannie, a mimo to została ujawniona.

– Co wiesz o Ven? – zapytał.

Jej figlarny nastrój zmienił się w zmieszanie. Myszka był tak głęboko wzburzony, że nawet tego nie zauważył. May złożyła ręce na podołku.

– Przepraszam za wtrącanie się w twoje sprawy – powiedziała. – Wybacz mi wścibstwo, chciałam się tylko dowiedzieć czegoś więcej o tobie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – dodała po chwili.

– Czy powiedziałaś o tej kobiecie komuś z twojej rodziny? – zapytał ze ściągniętą twarzą.

Pokręciła w milczeniu głową.

Ujął jej dłonie i spojrzał prosto w oczy.

– Jeżeli to zrobisz, Tai May, ja i Ven znajdziemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Są w tej wiosce ludzie, którzy dybią na nasze życie.

Myszka dostrzegł kątem oka nadpływający sampan. Puścił dłonie dziewczyny i odwrócił się, zasłaniając twarz kapturem.

W łodzi siedziało dwoje ludzi w niebieskich strojach piratów. Kobieta uniosła maskę i pomachała radośnie do Tai May, a jej towarzysz rzucił Myszcze skórzany bukłak z winem.

– To dla was, młodzi zakochani! – zawołał. – Napijcie się, by okazać szacunek starym bogom księżycy. Niechaj pobłogosławią waszą przyszłość w małżeństwie.

Mężczyzna roześmiał się i po wiosłował dalej. Sampan oddalał się w dół rzeki i głosy obojga cichły. Wreszcie dołączyli do innych łodzi.

Myszka i Tai May zostali znów sami. Młodzieniec odrzucił kaptur i usiadł tak, by móc patrzeć w jej oczy. Odchrząknął i powiedział:

– Zostałem porzucony przed dziewięciu laty. Ven, kobieta, którą widziałas w tym domu, nie jest moją matką.

– Kim jest w takim razie? – zapytała.

Jej spojrzenie wyrażało niewinność. Nie potrafił zdobyć się wobec niej na kłamstwo. Bolało go jednak, że musi ją zasmucić.

– To moja żona – odpowiedział.

Tai May wzdrygnęła się, jakby uderzył ją w twarz. Wyraz rozpaczy w jej oczach był dlań nie do zniesienia. Uzmysłowił sobie, że to właśnie mają na myśli muzykanci, kiedy śpiewają o złamanym sercu. Nic dziwnego, że ludzie zawsze płakali przy pieśniach o miłości.

– Kochasz ją? – usłyszał łagodny głos dziewczyny.

– Tak – przyznał. – Ale nie tak samo jak ciebie.

Kiedy zdobył się na odwagę, by znów na nią spojrzeć, Tai May trzymała w rękach bukłak z winem.

– Musimy dziś wypić to wino do ostatniej kropli – rzekła, potrząsając płynem – żeby zapomnieć o twoim strasznym położeniu. Zamiast o tym myśleć, opowiedz mi lepiej jakąś historię.

– Tak jak to zwykle robię, zanim zaśniesz? – zapytał.

– Nie. – W jej oczach zaigrała znów iskierka wesołości. – Tym razem musisz akompaniować sobie grą na lutni, jak prawdziwi bajarze na rynku.

Wysunęła stopę, by dotknąć jego nogi. Usłyszał jej lekki, dźwięczny śmiech. Czy próbowała w ten sposób ukryć rozczarowanie z powodu jego przeszłości? Rzeka stopniowo cichła; do ich uszu dochodził plusk wody o burty sampana i niknące w oddali odgłosy zabawy. Myszka zagryzł wargę.

– Czy przyszedłbyś do mnie, gdybyś wiedziała, że mam żonę? – zapytał.

– Kocham cię bardzo, Myszo – szepnęła, przysuwając się bliżej. – Jesteś lojalny, uczciwy i zasługujesz na to. Niech niebiosy w górze i zaświaty w dole poświadczą prawdę moich słów. Nigdy nie będę żałować swego dzisiejszego czynu i nie zawahałabym się tego powtórzyć.

Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i przylgnął ustami do jej ust. W pierwszej chwili dotyk był tak lekki, że poczuł się tak, jakby pocałował tylko powietrze między nimi. A potem May rozchyliła nieco wargi; jej oddech pieścił jego twarz, na dolnej wardze przesunął się

koniuszek języka. Myszka uniósł powieki i spojrzął na nią ukradkiem poprzez rzęsy, pełen niedowierzania. Dziewczyna patrzyła wprost w jego oczy.

Otoczył ją ramionami i położył na dnie łodzi. Kaptur kostiumu zsunął mu się na głowę i oddzielił ich od reszty świata. Myszka smakował usta May, czując, jak drży w jego objęciach. Instynkt kazał mu przyciskać biodra do jej bioder, pieścić miękkie piersi, stać się z nią jednym ciałem. Oderwał się od dziewczyny z cichym jękiem.

- Muszę przestać – wyszeptał – zanim stracę panowanie nad sobą.
- Nie – zakwiliła.

Księżyc skrył się za nawałą ciemnych chmur. Festyn powoli dobiegał końca i większość lampionów zgasła. Światła dostarczały jedynie te, które wisiały na dziobie ich łodzi.

- Zabiorę cię do domu – powiedział Myszka.
- Jeszcze nie – poprosiła. – Zostań ze mną. Nie chcę być sama.

Wiatr wzmógł się nieco. Myszka spojrzął na dziewczynę. Poczul, jak drży pod cienką bawełnianą suknią. Podniósł się i zdjął lnianą pelerynę kostiumu.

- Czy powiesz mi, kim są ludzie, którzy ci zagrażają? – zapytała, gdy okrywał jej plecy.
- Najgroźniejszym z nich jest asesor Toan, twój dziadek.

Rozdział dziesiąty

Przełom

Świt wstał zimny i pochmurny. Nocą wiatr pozrywał większość złotych plakietek z zewnętrznych ścian domu i porozrzucił je na ziemi. Gdy niestrudzone słońce wspięło się nad horyzont, otworzyły się ciężkie rzeźbione drzwi kwater dla gości w domu Toanów. Chwilę później wypadły stamtąd dwie ciemne postacie. Był to minister Chin wraz z synem. Mandaryn nie zapiął w pośpiechu szarej satynowej tuniki i jej poły powiewały na wietrze ku zdumieniu dwóch służących, które zamiatały dziedziniec. Żadna nie odezwała się do gości. Odsunęły się tylko, żeby zrobić im przejście.

– Cóż za zły los – rzucił do syna minister, gdy schodzili po schodkach wiodących do salonu gospodarzy. – Jednakże zanim porozmawiam z ojcem dziewczyny, muszę się upewnić co do jednego. Czy opowiedziałeś mi wszystko na temat wypadków ostatniej nocy?

– Wszystko, co zapamiętałem, ojcze – odparł młodzieniec.

Bui jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z odmową, aż do tej chwili podczas tańca feniksa. Choć minęło już kilka godzin, jego serce wciąż przepełniała wściekłość. Wiedział, że nigdy nie zapomni widoku Tai May przechodzącej na łódź obcego mężczyzny, prosto w jego objęcia.

Poczuł się wówczas jak najędzniejszy wieśniak. Teraz jednak nadzedł moment, gdy miał zawstydzić ją w obecności rodziny. Jego ojciec, cesarski minister, już zadba o to, żeby nazwisko Toanów przestało się liczyć na dworze w Hue, jeśli nie zgodzą się oddać dziewczyny. Bui obgryzał sobie paznokcie aż do krwi. Co jakiś czas wycierał czubki palców o biały materiał koszuli i połyskliwą bawełnę pokryły wkrótce czerwone smugi.

Minister Chin sięgnął do klamki, lecz drzwi okazały się zamknięte na klucz. Odwrócił się do chudej służącej, która stała nieopodal, ściskając w rękach miotłę.

– Wpuść mnie – zażądał.

– Czy coś się stało, panie? – zapytała. Była tak wystraszona, że przez lewą stronę jej twarzy przebiegał nerwowy tik. – Czy sprzątałyśmy za głośno i zakłóciłyśmy twój odpoczynek? Jeśli tak, to błagam ciebie i młodego pana, byście przyjęli tysięczne przeprosiny.

– Zamknij gębę – warknął. – Nie chodzi o ciebie. To z twoim panem chcę się zobaczyć. Obudź go i powiedz, że...

Przerwał mu odgłos przesuwanych mebli, dochodzący zza cienkiej ściany. Po posadzce zastukały drewniane chodaki i po chwili wejście do salonu stanęło przed nimi otworem. Zobaczyli Piątą Żonę asesora Toana, ze świecą w ręku. Włosy miała w nieładzie i mrużyła oczy. Ujrawszy ministra, cofnęła się o krok, przykładając dłoń do piersi.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – spytała cichym głosem.

Minister Chin minął ją i wszedł do ciemnego pomieszczenia.

– Opuszczamy ten dom bezzwłocznie, lecz muszę wpierw porozmawiać z ojcem dziewczyny – oświadczył.

Młoda kobieta wskazała mu tapicerowany szezlong ze srebrnymi okuciami przy krawędziach. W lśniącym metalu odbijał się płomień świecy, mrugając na przybyłych.

– Proszę zająć najlepsze miejsce w tym domu – rzekła Song. – Zaraz zawołam mojego zięcia. Tymczasem służąca poda wam gorącą herbatę na rozgrzewkę. Błagam o cierpliwość i wybaczenie wszelkich

nieprzyjemności, które mogły się panom przytrafić.

Minister Chin nie usiadł jednak, gdyż zza parawanu z kości słoniowej dobiegł go głos burmistrza. Za płaskorzeźbą nagiej kobiety, zdobiącą przesłonę, poruszał się cień pana Longa. Jego głos zdawał się wydobywać z niebieskich, nefrytowych ust postaci.

– Nieprzyjemności? Nie pozwolę, żeby w moim domu goście odczuwali jakiegokolwiek niewygodę.

Pan Long odsunął parawan i wszedł do salonu. Za nim wyłoniła się flegmatyczna, milcząca kobieta, której do tej pory gościom nie przedstawiono. Minister Chin wywnioskował – z jej drogiego stroju i skrzęcych się we włosach klejnotów, a także z prostego faktu, że trzymała się zawsze trzy kroki za burmistrzem – że musi to być jego żona. Kobieta stanęła za malowaną kolumną i wtopiła się w mrok. Jej mąż podszedł do gości i skłonił się przed ministrem.

– Służąca poinformowała mnie, że chce pan ze mną mówić – zaczął. – Szanowny panie Chin, moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby niczego panu nie brakowało. Jestem więc do pańskiej dyspozycji. Mam na początek dwa pytania: Czy któryś z członków mojej rodziny obraził pana lub panicza? I czy może to mieć cokolwiek wspólnego z tańcem feniksa podczas nocnego festynu? Proszę mówić bez ogródek. Pańska obecność w moim domu jest dla nas wielkim honorem. Nalegam, żeby rozważył pan ponownie swój zamiar wyjazdu, powzięty pod wpływem chwilowego wzburzenia.

Minister zebrał automatycznym gestem luźne poły swej tuniki i przytrzymał je blisko ciała.

– A więc jest pan już świadom upokorzenia, jakie spotkało mojego syna podczas festynu? – skonstatował gorzkim tonem. – Zastanawiam się, czy było to przemyślane działanie. Czy chodziło o odrzucenie jego konkurów i pokazanie, iż nie jest odpowiednim kandydatem na męża pańskiej córki?

– Na niebios! – wykrzyknął pan Long. – Jakże pan mógł pomyśleć

coś takiego? Ręczę honorem, że nie mam pojęcia, co się wydarzyło między moją córką i młodym panem. To, co powiedziałem przed chwilą, było czystą spekulacją. Teraz, skoro już znam sprawę, pozwoli pan, że wezwę córkę. Będzie musiała błagać o wybaczenie za tak niegodne zachowanie. Chcę podkreślić, panie ministrze, że niczego bardziej nie pragnę niż doprowadzenia tych dwojga młodych ludzi na ślubny kobierzec. Zaraz po święcie znajdę odpowiednią swatkę i przekona się pan, jaka to prosta sprawa. – Burmistrz się zaśmiał i zabrzmiało to jak gdarkanie kury. Otarł czoło rękawem.

– Obawiam się, że jest już za późno – odrzekł minister Chin, sadowiąc się na szezlongu. – Obydwoj dobrze wiemy, co czuje pańska córka do mojego syna. Możliwe, że po prostu przeznaczony jest jej związek z wieśniakiem takim jak ona, na przykład z tym mężczyzną, z którym spotkała się podczas festynu.

– Z mężczyzną? – Twarz burmistrza wyrażała zdumienie. – Czy Tai May nie zaprosiła cię do tańca feniksa, młody panie? – zwrócił się do Bui. – Któż inny na tej rzece mógł zaśpiewać lepiej od mojego tenora lub mieć sławniejsze nazwisko?

Bui siedział zgarbiony na krześle. Po słowach Longa wyprostował się i odpowiedział:

– Był tam człowiek w przebraniu Śmierci. Grał na motylej lutni. Dla mnie to nikt specjalny, lecz pańska córka wzięła go chyba za jakiegoś księcia. Przeszła nawet na jego łódź. Wróciłem z festynu sam, prosto do pańskiego domu. Po drodze omal nie zabłądziłem.

Pan Long osunął się na najbliższe krzesło.

– Kto to mógł być? Czy udało ci się zobaczyć jego twarz?

– Nie, panie. Była schowana pod kapturem kostiumu. Chciałem podплыnąć bliżej jego sampana, lecz nie pozwoliły mi na to zasady gry.

– Muszę się rozmówić z córką – rzekł burmistrz, jakby do siebie. Spojrzał na honorowego gościa, wciąż spoczywającego na bogato zdobionej sofie. Głos pana Longa zniżył się do szeptu. Cała werwa gdzieś

się zeń ulotniła. – Jeszcze nie jest za późno – zwrócił się do ministra. – Proszę zostawić wszystko mnie. Może początek nie był zbyt udany, ale obchody Księżycowych Żniw jeszcze się nie skończyły. Błagam, byście zostali. Echo jego słów rozległo się w pomieszczeniu, jakby przeдрzeńając całą tę suplikację. Minister Chin wbił wzrok w fałdy swej szarej tuniki. Pan Long spojrział srogo na Piątą Żonę starego Toana.

– Pani Song, powierzyłem ci wczorajszej nocy moją córkę – rzekł z pretensją. – Jak mogłaś być tak nieodpowiedzialna i dopuścić do tego haniebnego wydarzenia? Czy starczy ci choć uczciwości, żeby ujawnić nam tożsamość tego tajemniczego człowieka, czy też mam rozpocząć dochodzenie?

– Udałam się na festyn jako towarzyszka młodej pani – odrzekła żona asesora. – Powiedziałam ci wczoraj, panie, że zadbam o jej bezpieczeństwo, lecz nie zamierzam się wtrącać do gry.

– Nie mów do mnie tym tonem, pani! – krzyknął burmistrz. – Pamiętaj, jaka jest twoja pozycja w tym domu, i odpowiadaj na moje pytania. Z kim była May? Skąd się wziął ten człowiek?

Na twarzy Bui pojawił się nagle wyraz obrzydzenia, jak gdyby właśnie zobaczył na środku pokoju zdechłego szczura. Pan Long podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

W progu salonu ujrzał Myszkę. Wyprostowany, wysoki, w triumfującej postawie, trzymał za rękę Tai May, jakby należała do niego. Dziewczyna mrugała niepewnie, lecz jej ciemne oczy emanowały głębokim szczęściem. Okryta była narzuconą na ramiona ciemną peleryną.

– Nie obwiniaj za moje czyny Piątej Żony, proszę cię, ojcze – zwróciła się doń spokojnym tonem. Najwyraźniej nie rozumiała w ogóle, jakich narobiła kłopotów. – To nie jej wina. Jeżeli jest coś, o czym chciałbyś usłyszeć, zapytaj mnie albo Myszkę. – Spojrzała na służącego.

Pan Long zerwał się z krzesła.

– Nie rozmawiaj ze mną, nosząc na sobie tę brudną szmatę! –

krzyknął, ściągnając z córki pelerynę jednym szarpnięciem. – Wynos się stąd w tej chwili. Masz siedzieć w swoim pokoju, dopóki nie zdecyduje o odpowiedniej karze dla ciebie. Odejdź, żebym nie musiał cię uderzyć na oczach naszych gości. – Pchnął dziewczynę tak mocno, że runęła jak długa na kafelki posadzki.

Myszka przyskoczył do niej natychmiast.

Zza malowanej kolumny rozległ się jęk przestrachu żony pana Longa. Na dźwięk jej głosu uszedł z niego gniew jak powietrze z przebitego balonu.

– Nie obawiaj się, pani – rzekł do żony burmistrz. – Przykro mi, że musiałaś być świadkiem takiej sceny. Proszę jednak, żebyś zabrała tę dziewczynę sprzed moich oczu. Muszę dokończyć rozmowę z naszymi gośćmi.

Pan Long skupił teraz uwagę na Myszcze. Pod skórą na skroniach burmistrza nabrzmiały błękitne żyły.

– Nie dotykaj mojej córki swoimi brudnymi rękami – warknął do służącego. – Jak śmiesz tak traktować swego pana? Gdzie twoje poczucie obowiązku i przyzwoitości? Przyjąłem cię pod swój dach w czasie wielkiego głodu i dałem schronienie, pożywienie i wykształcenie. Wiązałem z twoją przyszłością ambitne plany, dostrzegłem bowiem twoje uzdolnienia. Jeszcze żaden obcy mężczyzna nie cieszył się w tym domu takimi łaskami. Ale ty chcesz mi ukraść jedyną córkę. O bogowie, przez dziewięć lat hodowałem rój zabójczych pszczoł w rękawach własnej szaty! – Czoło burmistrza było śliskie od potu. Pokazał na drzwi. – Zejdź mi z oczu! Masz siedzieć w kuchni i czekać na mnie. I módl się do niebios o zmiłowanie, kiedy się tam zjawię.

Bui uniósł pergaminową zasłonę okna i wyjrzał na dwór. Słońce przedarło się przez chmury. Skrzące się na listkach róż kropelki rosy prawie już wyparowały. Gdzieś w oddali zabrzmiał ostatni gong wybijacza godzin, obwieszczający poranek. Bui pragnął podejrzeć

dziewczynę, lecz zniknęła w swoim pokoju. Na matowej przesłonie jej okien widział poruszającą się smukłą sylwetkę. Poirytowany, skupił znów uwagę na osobach siedzących w salonie Toanów. Jego ojciec właśnie wstał z sofy.

– Panie Long – powiedział, ostentacyjnie ziewając przy wymawianiu nazwiska burmistrza – niech się pan nie kłopotczy dyscyplinowaniem swojej córki i naprawianiem jej kiepskich manier i rozwiązłego zachowania. Dziewczyna w jej wieku już się niczego nie nauczy. Zdecydowałem, że mój syn wycofuje się z tego małżeństwa. Wyjdziemy stąd jak najszybciej.

– Nie możecie wyjechać, panie Chin – upierał się burmistrz. – Przrzekam, że zachowanie May się zmieni. Proszę na nią nie zważać. Mówi i robi to, co każda piętnastolatka, samowolna i rozpuszczona z powodu nadmiaru uczuć ze strony matki. Pod tą powłoką buntowniczości kryje się jednakże wspaniałe dziecko.

Minister przebiegał palcami po twardej szczecinie porastającej jego podbródek. Na końcu pokoju poruszył się bordowy gobelin, zasłaniający wejście z przedsionka, i zmaterializowała się przed nimi twarz asesora Toana. Nikt nie wiedział, jak długo stary człowiek stał za zasłoną i obserwował całą tę pełną napięcia scenę. Toan ruszył w ich stronę, powłócząc nogami. Przed nim niósł się jak zwykle jego władczy głos.

– Nie wolno ci błagać gości, żeby nie odjeżdżali, mój synu – powiedział. – Nikt z rodziny Toanów nie powinien o nic prosić nikogo obcego. Może nasze nazwisko niewiele znaczy na dworze cesarskim i nie mieszkamy w cytadeli, lecz jesteśmy ludźmi interesu i mamy swoją klasę. Posiadamy rozległe ziemie i całą wioskę pracowników. Los nie dał nam sławy ani tytułów, przywilejów, które poza reputacją nie przynoszą żadnych korzyści. Minister Chin ma obowiązek pozostać tutaj jako reprezentant cesarza. Święto zakończy się dopiero jutro wieczorem. Panie Chin, nie pozwól pan przecież, żeby sprawy prywatnej natury zakłóciły pańskie obowiązki, wynikające z roli prowadzącego

ceremonie, nieprawdaż? A ślub powinien się odbyć tak, jak zaplanowano. – Starzec opadł na hebanowe krzesło z rzeźbionymi smokami na oparciu.

– Może w istocie nie mam wyboru co do wyjazdu z wioski – odparł minister. – Lecz na jakiej podstawie pan sądzi, że w dalszym ciągu pragniemy związać się z waszą rodziną, szczególnie po ujawnieniu hańbiącego sekretu pańskiej wnuczki?

– Wiano dziewczyny – powiedział stary asesor ze śmiechem. – To w zupełności powinno wystarczyć, żeby zmienił pan zdanie. Nie wspominając już o spadku w postaci ziemi wartej sto dwadzieścia pięć tysięcy sztuk srebra. Odziedziczą ją po mojej śmierci. Całe to bogactwo uświetni dom Tangów jako nagroda za waszą współpracę. To hojna oferta za tak pozbawionego wszelkich talentów chłopaka jak pański syn, czyż nie?

Bui postąpił krok naprzód, sapiąc z oburzenia.

– Proszę mnie nie obrażać! – wykrzyknął piskliwie.

Jego ojciec uciął jednak ten wybuch jednym gestem dłoni.

Minister Chin przemierzył wzdłuż cały salon, po czym wrócił na swoje miejsce na szezlongu.

– Szczęść się tym, że jestem człowiekiem uczciwym – oznajmił. – Przyznaję więc, że trudno mi jest odrzucić tak szczodłą propozycję. Mój syn jednak, pomimo że niezbyt uzdolniony, zasługuje na coś lepszego niż znoszone buty po służącym.

Wstał, skłonił się obu mężczyznom i ruszył do wyjścia. Bui podążył za nim.

– Dwieście tysięcy srebrnych monet jako jej spadek, plus posag – zawołał za nimi Toan. – To moja ostatnia oferta. Nie musi pan odpowiadać od razu. Wieczorem moi służący przygotowują fajkę z opium najlepszego gatunku i zazna pan przyjemnych chwil. Proszę nie odmawiać, bo wszystko już ustalone. Ostrzegam pana, że mój upór jest legendarny.

Minister Chin otworzył drzwi i wyszedł, a Bui wybiegł za nim. Znaleźli się na pustym dziedzińcu, skąpanym w słonecznej jasności. Błękitne niebo znaczyły białe pierzaste chmurki. W powietrzu pachniało różami, co przypominało młodzieńcowi aromatyczny opar unoszący się nad poranną filiżanką herbaty jego matki.

– Z takim wianem – zwrócił się do ojca, gdy zeszli z ganku – moglibyśmy zostać właścicielami ziemskimi i kupić sobie wielki dom, taki jak ten. Chyba nikt inny wśród mandarynów nie mógłby sobie pozwolić na coś takiego?

Minister złapał chłopaka za ramię i potrząsnął nim.

– Czyżbyś stracił wiarę i moralność, że takie rzeczy chodzą ci po głowie?! – zawołał. – Co ci się nie podoba w życiu, jakie wiemy w cytadeli, ciesząc się tak wysoką pozycją wśród elity tego kraju?

– Nie jesteśmy bogaci, ojcze – odparł Bui. – Musisz ze swojej skromnej pensji wyżywić trzy osoby, nie licząc służby. Jak długo jeszcze będziemy mogli tak egzystować? Dlaczego musimy odrzucać propozycję tego starca w takim pośpiechu? Dzięki temu małżeństwu nasze nazwisko zyskałoby uznanie, a ja szansę na odpłacenie się tej arogantkiej dziewczynie. Wybacz mi, ojcze, że mówię tak bez ogródek. Nigdy nie poważylem się na sprzeciw wobec ciebie, mojego rodzica, lecz błagam, żebyś zastanowił się jeszcze nad propozycją Toana. Mamy wiele do zyskania i nic do stracenia.

Minister Chin westchnął ciężko i poprowadził syna w stronę pokojów gościnnych.

– Dobry z ciebie chłopak, Bui – powiedział – lecz jesteś za młody, by zrozumieć, że pieniądze nie są źródłem szczęścia. Nasza duma i dziedzictwo to prawdziwe skarby, których nie da się kupić za żadne bogactwa. Przystając na ich ofertę, przyjęlibyśmy zepsuty owoc, poświęcając w zamian rodzinną tradycję i wartości. Czy tego naprawdę chcesz?

Głos ojca odpłynął nagle gdzieś w dal. Na końcu długiej ścieżki prowadzącej do kuchni, poprzez gąszcz drzew durianu, których

cuchnące owoce o kolczastych łupinach przypominały mu odór chłopskiego potu, Bui dojrzał niewolnika Myszkę. Wymykał się przez małą tylną furtkę, z czarnym tornistrem na plecach. Na dziedzińcu nie było nikogo poza ministrem, który patrzył na syna pytająco. Tylko Bui zauważył służącego. Czy powinien go śledzić, na wypadek gdyby Myszka próbował uciec? Wyobraził sobie straszną karę, jaka spotkałaby tamtego, gdyby został złapany, i oczywiście reakcję Tai May na niedolę ukochanego. Pragnął, żeby przeżyła nagły, przerażający i druzgoczący wstrząs; chciał ujrzeć, jak cierpi. Myślał gorączkowo, drapiąc się po głowie, jak gdyby zaczęła go swędzić pod palącymi promieniami słońca. Ojciec stał obok, czekając na wyjaśnienie. Bui walczył z chęcią powiadomienia rodziny Toanów o ucieczce ich niewolnika.

Spojrzał w okno pokoju Tai May. Na półprzezroczystym pergaminie wciąż tańczył jej cień. Dziewczyna pochyliła się i zaczęła czesać włosy – tę długą, lśniącą czarną rzekę. Kątem oka Bui dostrzegł plecy Myszki, który oddalał się wąską dróżką. Oszacował dzielący ich dystans, wziął głęboki oddech i bezgłośnie wypuścił powietrze. Wysoki, ostry głos ojca dobiegał doń jak ze studni. Pan Chin mówił coś o szacunku dla przodków.

Bui puścił się biegiem.

– Przemyślę później twoje słowa, ojcze – rzucił do zdumionego ministra. Rozgarnął gałęzie durianu, wypadł przez furtkę na wąską, pylistą drogę i pospieszył za Myszką, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Myszka szedł między polami kukurydzy, które rozciągały się po obu stronach wąskiej drogi. Bui zorientował się, że zdąża ku głównej ulicy. Był to ten sam trakt, którym poprzedniego wieczoru jechali na festyn. Za placem targowym wznosiły się dwie kolumny, masywne szare słupy, stojące w pełnym słońcu niczym dwóch potężnych strażników. Ich głowice o kształcie rzeźbionych kamiennych lotosów kryły się wśród

listowia starych dębów. Za tą bramą rozpościerała się złocista ziemia, tak nieskończona jak niebo w górze. Bui wiedział, że kiedy służący wydobędzie się za bramę i opuści wioskę, będzie wolny.

Ku jego zdziwieniu jednak Myszka, zamiast skierować się na targowisko, skręcił ku wschodowi i wszedł w łąk kukurydzy. Ponad morzem kasztanowatych kukurydzianych pióropuszy Bui widział tylko jego ciemną głowę i górę tornistra. Panicz nie wahał się ani chwili i także zniknął w gąszczu zieleni.

Szli w słonecznym skwarze przez niemal pół godziny, w odległości kilkudziesięciu kroków od siebie. Bui się zmęczył i dokuczало mu pragnienie. Spod wierzchniej warstwy ziemi sączyła się woda i stopy grzęzły w błocie. Gdzieś w samym środku niekończącego się łąki zgubił pantofle. Niewolnik w przodzie nie zwalniał ani na chwilę. Po kilku kolejnych zwrotach pole się wreszcie skończyło.

Kiedy otwarło się przed nim niebo, Bui ujrzał zrujnowany budynek. Myszka pewnym krokiem wszedł do środka przez zburzoną bramę. Bui poznał ostre krawędzie ceglanych ścian i gąszcz zdziczałych krzewów i chwastów. Niewolnik doprowadził go przed tylne wejście do nawiedzanego przez demony domu. Wiatr pojękiwał w górze jak niespokojny duch, wzywając go, żeby wszedł i odkrył tajemnicę tego miejsca. Młodzieniec przemknął wąską ścieżką, a kiedy znalazł się wewnątrz posiadłości, skrył się za krzakiem dzikiej chryzantemy.

Na spotkanie niewolnika wyszła kobieta mniej więcej trzydziesto-pięcioletnia. Bui nigdy nie widział podobnej osoby. Wyglądała tak, jak gdyby wszystkie duchy tego miejsca zmaterializowały się w tej jednej kobiecej postaci. Była odziana w brudne i podarte łachmany i tak brunatna jak ziemia pod jej stopami. Zmierzwiłone czarne włosy opadały jej na plecy. Rozpostarła ramiona i zamknęła Myszkę w swych objęciach.

– Ven – odezwał się niewolnik głosem dziecka – przyszedłem się cię poradzić. Narobiłem sobie strasznych kłopotów w domu Toanów.

Rozdział jedenasty

Róża

Dan Nguyen tkwił nieruchomo w silnym uścisku swej żony. Jej zapach – znajoma woń świeżo rozkopanej ziemi, czosnku i listków mięty – przypominał mu dni dzieciństwa, które spędzał w koszu na jej grzbiecie. Przez dziewięć lat strzegła jego duszy, żyjąc samotnie wśród tych ruin. Przychodził do niej mnóstwo razy, przybity albo przerażony. I ciepło jej spojrzenia zawsze podnosiło go na duchu. Chwytał dłoni kobiety, najmiłszą dlań część jej ciała. Była gładka z wierzchu, a zgrubiała pod spodem i kojarzyła mu się z łapą psa.

Przez kilka minut wsłuchiwał się tylko w kojący głos Ven. Nagle uzmysłowił sobie wilgotny powiew w koronach drzew i swym chłopskim instynktem wyczuł nadchodzący deszcz. Spojrzał w górę. Przez kurtynę kołyszących się na wietrze wierzbowych gałązek przezierało bezchmurne niebo. Czyżby się mylił co do tego deszczu?

Z rozmyślań wytrącił go głos żony, melodyjny jak śpiew.

– Wiedziałam, że będą kłopoty, gdy tylko zobaczyłam tę dziewczynę w twojej łodzi.

Dan odsunął się, by na nią spojrzeć.

– Widziałas nas na festynie? – zapytał.

– Widziałam. I reszta wioski także. Zakłóciłeś taniec godowy panicza

w kostiumie pawia. Czy nie mówiłam ci, żebyś się trzymał z daleka od problemów rodziny Toanów? Gdybyś mógł słyszeć te plotki, które krążą po Cam Le! Ale stało się i jest już za późno. Z powodu twojego niepohamowania znaleźliśmy się w opałach.

– Miałem prawo do udziału w festynie, tak samo jak wszyscy – powiedział Myszka. – Zeszłej nocy mogłem po raz pierwszy spotkać się z Tai May nie w roli służącego, który czeka na rozkaz swej pani, ale jako mężczyzna podziwiający urodę swej kobiety.

Ven wymierzyła mu policzek, po czym natychmiast tego pożałowała.

– Nie wolno ci patrzeć z podziwem na córkę wroga! – zawołała. – Czy już zapomniałeś, że jedynie z powodu zemsty na Toanach pozostaliśmy w tej wiosce? – Spojrzała nań badawczo. – Chyba nie muszę ci przypominać, że z gałęzi mangowca oglądałeś okrutny mord popełniony na twoich rodzicach? A ich zabójca, stary asesor Toan, wciąż żyje i chodzi w haftowanych jedwabnych szatach. Jego ubranie jest wyszywane tak drobnym ścięciem, że mogły go wykonać tylko ręce dzieci, które w końcu od tego oślepną. Co roku kupuje nowy zagraniczny kapelusz z czarnego jedwabiu, ozdobiony wyszukаныmi piórami. Wczoraj zaprosił ponad dwieście osób na obchody Księżycowych Żniw w sali zebrania; poczęstował wszystkich zupą z ptasich gniazd i opium. Jak tak może być? Jak spojrzysz w oczy rodzicom, gdy się spotkacie w zaświatach?

– Już za późno – odparł Dan. – Wróg wie, że ją kocham. To ty sprzedałaś mnie Toanom, a los połączył z Tai May. Nikt nie powstrzyma porywu serca. Nigdy nie będę taki, jakim chciałabyś mnie widzieć.

Ven odsunęła się o krok i zamknęła oczy. Twarz miała ściągniętą.

Do uszu Dana dobiegło nagle dudnienie, które rozlegało się jakby ze wszystkich stron. Poznał nieustępliwe bicie bębna; trzy interwały po dziewięć uderzeń. Był to sygnał alarmowy dla wioski, obwieszczający katastrofę. Ujrzał w oczach żony, że ona także rozumie znaczenie rytmicznego bębnienia.

Odwrócił się ku północy. Za rozległymi, złocistymi polami Cam Le dojrzał maleńkie z tej odległości kolumny bramy, a za nią piękny pagórkowaty krajobraz. Skrzydła wrót zbliżały się do siebie, powoli zasłaniając ten widok. Wiedział, że za tymi zamkniętymi wrotami został przypieczętowany jego los. Nabrzmiąte słońce w górze usiłowało przebić się przez gąszcz liści. Dan patrzył, jak promienie przenikają przez cienisty baldachim i tworzą na ziemi plamisty wzór, jakby padały przez kraty więziennej celi. Ven objęła go za ramiona.

Odepchną ją, rozglądając się za drogą ucieczki. Północnej bramy strzegli czujni strażnicy. Na południu skraj wioski wyznaczało srebrzyste koryto rzeki, rozgałęziającej się w system kanałów i strumieni, dzielących zielone pola aż po krańce ziemi.

Poprzez odgłos bębnow przedarł się krzyk Ven. Spojrzał na nią. Pojedyncze pasmo włosów sterczało na jej głowie niczym grzebień zagniewanego koguta. Kępa rosnących przy płocie krzaków zatrzęsła się raptownie. Ku swemu zaskoczeniu Dan zobaczył okrągłą czerwoną twarz Bui Tanga, syna dumnego ministra z Hue. Bui zrozumiał, że przyłapano go na szpiegowaniu, wyskoczył z ukrycia i popędził do bramy. Dan rzucił się w pogoń jak jastrząb polujący na królika. Ven pobieгла za nim; jej podarte łachmany trzepotały na wietrze.

Dan sięgnął dłonią do starannie ułożonych włosów młodzieńca i mocno pociągnął. Bui stęknął. Szarpnięcie odchyliło jego głowę do tyłu, a reszta ciała wygięła się siłą rozpędu jak łuk, wycelowany prosto w jaskrawe słońce. Stracił równowagę i runął jak kłoda na ziemię. Dan nie zdołał się zatrzymać i przebiegł po leżącym. Uwalane ziemią stopy zostawiły na modnej koszuli chłopaka ciemny ślad. Z ust Bui wyrwał się gulgoczący dźwięk. Przetoczył się na bok, ściskając rękami brzuch. Nadbiegła Ven i przyjrzała się leżącemu.

– Podnieś go! – rzuciła do Dana.

Bui jęknął. Przymknął oczy, zdając się ignorować ciemne sylwetki nad sobą.

Nagle drżący ludzki tłumok wyskoczył w górę. Oczy Dana smagneła struga piachu, piekąca jak płomień. Opadł na kolana, zakrywając twarz dłońmi. Zanim ogarnęła go ciemność, mignęła mu na tle błękitu nieba biała koszula, za którą pofrunął czarny płaszcz długich włosów Ven. Zamachnęła się ręką i Dan usłyszał krzyk, a potem jakiś szurgot. Ven zamachnęła się znowu i rozległ się łomot, jakby drewniany tłuczek uderzał w pusty moździerz. Znow krzyk. I cisza.

Dan przechylił głowę ku ciepłemu słońcu i nasłuchiwał. Po twarzy ciekły mu łzy.

– Ven! – zawołał, macając po omacku w powietrzu. Powróciła woń czosnku i mięty, zapewniając go o kojącej obecności żony.

– Jestem tu, Dan – powiedziała. – Co z tobą?

– Nic nie widzę. Co się stało, zabiłaś go?

– Nie.

– Czy uciekł?

– Nie, ogłuszyłam go i stracił przytomność.

– Na niebiosa! – krzyknął, zapominając na moment o bolących oczach. – I co teraz zrobimy?

Nie odezwała się. Uspokajający zapach przestał docierać do jego nozdrzy.

– Ven! – krzyknął. – Gdzie jesteś? Nie zostawiaj mnie!

Odpowiedziało mu tylko odległe dudnienie bębna.

Chwycił za poję koszuli i zaczął wycierać sobie oczy. Napływające łzy wypłukiwały z nich piasek kłującymi strużkami. Mgła przed nim rozpraszała się stopniowo w tysięczne drobinki światła. W środku tego świetlistego kręgu ujrzał twarz Ven.

Stała tuż przed nim, ściskając w ręce kuchenny nóż. Kilka kroków od niej leżał na brzuchu Bui. Zgięte w kolanach nogi miał związane mocnym sznurem na wysokości pośladków, razem z rękami. Przekręcił głowę na bok i dyszał ciężko kątem ust. Mrugał oczami, ciemnymi i szklistymi jak u kaczkę, lecz niczego nie widział. Na jego policzku widniał czerwony ślad dłoni.

– No już, już, spokojnie – rzekła Ven. – Poszłam tylko po kawałek jakiegoś sznura, żeby związać tego szpiega, zanim odzyska przytomność. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Dan wziął głęboki oddech. Odzyskał wzrok i poczuł wyraźną ulgę, lecz wiedział, że stał się teraz wyrzutkiem społeczeństwa, banitą. W ciągu jednego dnia przepadły wszystkie jego nadzieje na życie z Tai May. Kiedy wrócili z festynu, był pewien, że zostaną razem i będzie ją całował do końca swoich dni. Hipnotyczne dudnienie bębna narastało albo przybliżało się coraz bardziej. Nie potrafił go odróżnić od bicia własnego serca.

Ven odłożyła nóż i zniknęła ponownie za ścianą zburzonej kuchni. Kiedy wróciła, niosła w jednej ręce duży słomkowy kapelusz, a w drugiej mokrą szmatę.

– Masz, powycieraj się – powiedziała. – Lepiej się poczujesz.

Dan przycisnął wilgotny materiał do czoła.

– I co teraz zrobimy? – zapytał ponownie.

Ven zawiązała kapelusz pod brodą.

– Zanim coś postanowimy, muszę pójść do wioski i dowiedzieć się wszystkiego. Jeśli się okaże, że polują na nas, opuścimy to miejsce jeszcze dzisiejszej nocy – dodała, czując jego wahanie. – Na razie musimy się ukryć przed strażami. A wieczorem, jeżeli zabawy świąteczne nie zostaną przerwane, może uda nam się wymknąć.

Dan wskazał na panicza, związanego na ziemi jak świnia przed zaszlachtowaniem.

– Kiedy go uwolnimy? – zapytał.

– Nigdy – odparła.

– Wypuście mnie! – wrzasnął Bui.

Ven, nie zwracając na niego uwagi, podniosła nóż. Chłopak szarpał krępujący go sznur. Spojrzał na Dana.

– Kim wy jesteście? – zawołał. – Co to za wendeta między wami i rodziną Toanów? Skoro to oni są waszymi wrogami, nie ma powodu, żebyście więzili mnie! Porwanie syna przedstawiciela dworu cesarskiego

to wielkie przestępstwo. Jeżeli chcecie liczyć w przyszłości na moją litość, uwolnijcie mnie natychmiast.

– Nie możemy tego zrobić, młody panie – mruknął Dan. – Szpiegowaliśmy nas, a to zagraża naszej wolności.

Bui nie odrywał oczu od noża w ręce Ven. Mięśnie jego karku się naprężyły i krzyknął z całej mocy:

– Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

– Zamknij gębę! – zawołała Ven. Przyskoczyła do więźnia i przystawiła mu nóż do szyi. – Chcesz umrzeć? Jeszcze jedno słowo i uczynię ci tę przysługę.

– Spokojnie – odezwał się Dan. – Nic złego ci nie zrobimy.

Bui zamknął oczy. Postać krępej kobiety rzucała cień na jego twarz.

Nie śmiał na nią spojrzeć. Stała nad nim jak jakiś olbrzym, gotowa odebrać mu życie równie łatwo, jakby rozgniatała robaka. Zaczął płakać, cicho i gorzko.

– Czy coś cię boli? – zapytał Dan.

Bui w odpowiedzi tylko pociągnął nosem i zerknął spod oka na żebraczkę.

– Możesz mówić – dodał Dan – tylko nie podnoś głosu.

– Co chcecie ze mną zrobić? – Bui jakby zmuszał się do mówienia.

– Nie możecie mnie zostawić w tym strasznym domu na noc, i to podczas pełni. Przecież wiecie, że duchy żywią się energią jin, którą wytwarza księżyc. Umarłbym z przerażenia.

– Jeżeli nawet są tu jakieś duchy – przerwała mu kobieta – to nie będzie im się chciało straszyć ciebie. Zajmą się raczej tymi, którzy w oczach niebios są niegodziwcami. Jakże mógłbyś bać się martwych, gdyby prawdziwym źródłem tych demonów nie było twoje własne sumienie? Czy to nie przed tym właśnie się wzdragasz... przed refleksami twego nienawistnego serca?

– Nie boję się żadnych wewnętrznych demonów! – krzyknął Bui. – Moją obawę wzbudzają tylko legendy o duchach nawiedzających to przeklęte miejsce i wasza wrogość.

– To miejsce jest naszym domem – odparł Dan. – Z własnej woli wtargnąłeś na nasz teren i stałeś się nieproszonym gościem. Nie wstydzisz się takiego zachowania?

– Wybacz mu – wtrąciła Ven – gdyż ten wytworny młodzieniec jest doskonale świadom swoich ograniczeń. Ty, mój mężu, jesteś od niego bogatszy pod wieloma względami, mimo że jesteś niewolnikiem. Zależy mu na tym, by cię zdruzgotać, pozbawić czci, żeby samemu odzyskać w ten sposób męskość, którą mu odebrałeś. Nie wspominając już o pięknej dziewczynie i jej fortunie.

– Kimże ty jesteś, kobieto? – wyszeptał ze zgrozą Bui. – Jak taka nędzna żebraczka może znać moje myśli? Dlaczego mówisz jak ktoś wykształcony? Czy to ty straszysz w tych ruinach?

– Nie – odparła. – Chociaż niektórzy wieśniacy mają mnie za zjawę, która nie dojrzała jeszcze do postaci demona, w rzeczywistości jestem żoną tego niewolnika, jedyne ocalałego potomka rodu Nguyenów. Muszę już iść. Jeżeli ci życie miłe, leż spokojnie i nie próbuj ucieczki. – Odwróciła się do Dana i szepnęła do niego: – Postaram się szybko wrócić, młody panie. Pilnuj dobrze naszego jeńca. Jeżeli znów zacznie wrzeszczeć, zaknebluj go szmatą.

– Uważaj na siebie – rzekł.

Ven pochyliła się nisko do ziemi, oddając zwyczajowy pokłon swemu mężowi. Zanim się wyprostowała, ukryła nóż w fałdach ubrania.

– Postaram się wrócić przed nadejściem nocy – powiedziała. – Jeżeli zgłodniejesz, zajrzyj za mur kuchni. Masz tam na palenisku z cegieł ciepłą strawę.

Zniknęła za tylną furtką, na drodze prowadzącej do wiejskiej sali zebrań.

Dan podniósł więźnia i oparł go na siedząco o pień wierzby płaczącej, pozostawiając ręce związane za plecami. Sam usiadł nieopodal i sięgnął po swój tornister. Wyjął z niego pudełko z kory brzoźowej,

z wrytym na powierzchni symetrycznym wzorem bambusów i śliw, symbolizującym wieczną przyjaźń. Otworzył pojemnik, w którym znajdował się bambusowy tamborek i pozostałe przybory do haftowania.

Rozłożył wszystko na kolanach, nawłókł jedwabną nić na igłę, po czym zręcznym ruchem prawej ręki unióśł ją czubkiem w dół, lewą zaś naciągnął materiał na tamborku. Niczym dobrze naoliwiona maszyna, jego dłonie i palce zaczęły się poruszać automatycznymi gestami, zajmując umysł monotonnym, kojącym rytmem haftowania.

Mijały godziny. Dan prowadził nić długimi pociągnięciami, a na napiętej powierzchni tkaniny nabierał kształtu czerwony płatek kwiatu. Pracował coraz szybciej, nie zwracając uwagi na więźnia. Jego oczy śledziły ruchy lśniącej igły z bystrością polującego drapieżnika.

Nadciągał deszcz, który Dan wcześniej przewidział. Wraz ze zmianą pogody odległe niebo zapadło się jak przekłuty balon. Błyskawice raz po raz rozdzierały niebiosa. Wiatr targał wierzby nad jego głową i co jakiś czas rozlegał się huk gromu. Nad ziemią zawisł mrok i dalsze haftowanie stało się niemożliwe.

Dan wstał i schował starannie robótkę do torby. Podeszedł do furtki i wyjrzał na pola, wypatrując Ven. Nie dostrzegł jednak żywej duszy. Główna droga, przecinająca uprawne równiny Cam Le, poczerniała od miotanego wiatrem pyłu. Ponad falistymi pagórkami i tarasami rozposcierała swe wilgotne pasma mgła. Dan stał bez ruchu, nasłuchując. Dudnienie bębna umilkło i słychać było tylko ruch powietrza.

Więzień za jego plecami przesunął nogi po trawie. Dało się słyszeć szuranie pleców o pień wierzby i trzask kłykci, gdy wykręcał ręce, usiłując uwolnić je z więzów. Dan się odwrócił i Bui natychmiast oklapł. Siniak na jego policzku spuchł i błyszczał teraz jak skórka dojrzałej śliwy daktylowej.

– Podniosłem cię i posadziłem pod drzewem, żeby ci było wygodniej – upomniał go Dan. – Nie zmuszaj mnie, żebym cię znów skrepował, jak zrobiła to Ven.

– Przepraszam – szepnął Bui. Jego słowa zagłuszył grzmot.
– Co powiedziałeś? – Dan zbliżył się do związanego chłopaka, czując, jak wiatr targa mu włosy.

– Przepraszam! – krzyknął więzień. – Ręce mi drętwieją. Jestem zmarznięty i głodny, a przede wszystkim bardzo się boję. Nadciąga deszcz; jeśli zmoknę, na pewno się rozchoruję. Więc zostaw mnie w spokoju i nie dręcz dodatkowo swoimi groźbami.

Wzmianka o głodzie wywołała w żołądku Dana bolesny skurcz. Uniósł palec.

– Trochę jedzenia pomoże ci zapomnieć o niewygodzie – rzekł. – Podzielę się z tobą kolacją. Lecz kiedy będę za murem kuchni, nie próbuj ucieczki. Nie zawaham się odebrać ci życia, jeżeli moja wolność będzie zagrożona. I przestań już jęczeć, bo to niewieścia cecha.

Bui spojrzał na przybornik do szycia.

– Cóż może być bardziej niewieściego od haftowania? – powiedział. – Mężczyzna nie powinien w ogóle dotykać kobiecych przyborów, a co dopiero wyszywać kwiatków, jak jakaś posłuszna gospodyni domowa. Czy w tym właśnie wyszkolono cię w domu Toanów, w hafciarstwie?

Dan przycisnął pięść do jego twarzy.

– Licz się ze słowami. Nie jesteśmy tu po to, żeby wymieniać poglądy albo udawać, że się zaprzyjaźniamy. Jesteś moim więźniem i nie wolno ci naigrawać się ze mnie. Siedź cicho, bo nie dostaniesz jedzenia.

Dan zniknął za zrujnowaną ścianą kuchni. Poczul woń mleczka kokosowego i zaburczało mu w żołądku. Ven przygotowała na kolację cały kamionkowy garnek bananów z kleistym ryżem, owiniętych w liście bambusa. To był jego ulubiony posiłek. Przez szpary paleniska dostrzegł, że ogień już wygasł; została tylko warstwa szarego popiołu, który zachował jeszcze kształt bryłek węgla drzewnego. Zdjął pokrywkę i chwyciwszy zimny gar za uszy, wyniósł go na zewnątrz.

Na widok Dana powracającego z jedzeniem więzień przymrużył oczy i oblizął wargi. Jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół.

Powietrze wypełnił zapach bananów i ryżu, mieszając się z wilgotną wonią wieczornej mgły. Dan postawił garnek na ziemi obok związanego chłopaka. Bui nachylił się i przyjrzał zawartości.

– To takie jedzenie gotuje żebraczka? – skrzywił się. – Nie masz tam jakiegoś mięsa?

Dan odwinął bananowe liście i podsunął potrawę pod nos więźnia. Kluskę kleistego ryżu pokrywała brązowa glazura soku z bananów. Z boku wyciekło kilka lśniących jak perły kropeł gęstego mleczka kokosowego. Słodki opar wypełnił nozdrza Bui. Chłopak przełknął głośno ślinę, wyciągnął szyję i ugryzł duży kęs. Wyraz zadowolenia zmiękczył rysy jego twarzy.

Dan odwrócił się, wypatrując znów swojej żony. Poczul na policzkach zimne krople deszczu. Stał nieruchomo, nie odrywając oczu od bezkresnych, opustoszałych pól. Nie czuł zimna porywistego wiatru, nie zważał na zacinający deszcz. Był świadom tylko przekłętej ziemi pod swymi stopami i unoszącej się wokół aury śmierci. Uzmysłowił sobie, jaką głupotą było liczyć na to, że będzie mógł w spokoju kochać wnuczkę swego wroga. Ven miała rację, jego impulsywne zachowanie kosztowało ich utratę tej odrobiny wolności, która im jeszcze pozostała. Teraz mściwy starzec ładował strzelbę i skrzykiwał armię ludzi, żeby zapolować na nich jak na zbiegłych skazańców.

Im więcej myślał o Tai May, tym większą czuł boleść w sercu. Przez dziewięć lat stanowiła tak ważną część jego życia. Strzegł jej bezpieczeństwa niemal instynktownie. Nie wyobrażał sobie świata bez jej uśmiechu, głosu i obecności. Ponad wszystko zaś nie mógł zapomnieć długiego pocałunku w noc festynu. Pragnął być znów jej niewolnikiem i kochać ją skrycie, w milczeniu. Zarazem chciał uciec jak najdalej, by pozbyć się wszystkich kłopotów. Nie mógł się jednak ruszyć, dopóki Ven nie wróci. Był uwięziony w tym strasznym domu, tak samo jak Bui.

– Na co czekasz?! – usłyszał okrzyk panicza. – Daj mi jeszcze tego chłopskiego jedzenia!

Rozdział dwunasty

Ropucha i złota rybka

Ven czuła palące słońce. Opuściła zrujnowany dom i ruszyła skrajem drogi, ściskając w dłoni ukryty pod koszulą nóż. Podmokłe pola po obu stronach traktu lśniły kałużami, które zdawały się wypływać w nieskończoność jej cień.

Na zakręcie przystanęła i obejrzała się za siebie. Zobaczyła swego męża, który stał w dawnej kuchni. Jego ciemnymi włosami targał wiatr. Dan grzebał jedną ręką w tornistrze. Znała każdą rzecz, jaką tam miał, wszystkie przybory do haftu, które nosił przy sobie od lat. Niegdyś należały do niej, a teraz były jego własnością.

Dan kochał pacynki, które uszyła mu w dzieciństwie ze starych ubrań. Była jednak pewna, że to nie ona go zainspirowała, i nie te proste zabawki, wyszywane kolorowymi nićmi. Pragnienie zajęcia się haftem obudziła w nim smukła dziewczyna z domu Toanów.

Dwa lata wcześniej, pewnego wiosennego dnia przyszedł do ruiny jak wiele razy przedtem, żeby poprosić Ven o radę. Oczy błyszcząły mu dziwną gorączką, policzki miał zaróżowione. Podniecenie w jego głosie pozwoliło jej zrozumieć, że chłopiec zapadł na chorobę, której nawet ona nie będzie umiała wyleczyć.

Nie przestawał się uśmiechać i jego zęby lśniły w słońcu jak kość słoniowa. Poczowała w sercu bolesne ukłucie niechęci.

– Ach, Ven! – powiedział łamiącym się z powodu mutacji głosem.
– Wczoraj byłem z Tai May na targu, wiesz? – Przeszłobyś podkaszczony na nogę. – Nie zgadniesz, co tam widzieliśmy!

– Nie, panie, nie zgadnę.

– Róże! – wypalił. – Przepiękne czerwone róże, jak te, które rosły w naszym ogrodzie przed pożarem. Kupiłem za własne pieniądze jeden pęk dla mojej pani, ale zmarniał od gorąca. – Przerwał i przysunął się do niej, po czym zapytał szeptem: – Ven, czy nauczysz mnie haftowania? Chciałbym zrobić dla mojej pani taki kwiat, który nigdy nie zwiędnie.

Wtedy zrozumiała, że Dan nie myśli już o krwawej zemście na rodzinie Toanów. Jeszcze tego popołudnia dała mu swoje brzoszowe pudełko z przyborami do haftu. Śliwy i bambusy na ściankach pudełka wyglądały jak żywe. Ich wyrzeźbienie zajęło jej dwa lata, bo jedynym dostępnym narzędziem był zaostrzony róg kozła sarny. Kilka dni później kupiła Danowi pierwszy kawałek tkaniny. A potem nauczyła go haftu, skrywając zazdrość w jedwabnych niciach, które wspólnie dobierali. Jak liście herbaty naciągają wrzątkiem, tak emocje Ven wzbierały, potęgowane jej milczeniem.

Nawet teraz, gdy wioska oszalała, a jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, chłopak wciąż chciał haftować. Było to dla niej niemal nie do zniesienia. Słusznie obwinał ją o to, że oddała go do domu wroga. Planując zemstę doskonałą, nie przewidziała siły oddziaływania tej dziewczyny ani tego, że Dan będzie się czerwienił na sam dźwięk imienia Tai May.

Przyszła jej na myśl stara piosenka, niczym wyblakłe wspomnienie dzieciństwa.

Ropucha urodziła młode w stawie złotej rybki.

Kijanki były bardzo podobne do rybiego potomstwa,

Więc złota rybka wzięła je na wychowanie.

„Gdzie są nasze dzieci?” – krzyknął ropuch do żony.

I w środku nocy przyszedł nad staw, prosić, by oddano

mu synów.

*Złota rybka poniżyła go, mówiąc, że to nie mogą być
jego dzieci,*

Ropuchy bowiem to stworzenia lądowe.

Słyszała to żaba drzewna i dała ropuchowi taką radę:

*„Po co się kłócić? Każde zwierzę reprodukuje tylko
swój gatunek.*

Uspokój się i porzuć tę dyskusję.

Niech złota rybka sprawuje opiekę nad twoimi dziećmi;

*Pewnego dnia ogony im odpadną i wtedy wrócą do
ciebie.*

To jest zgodne z naturą „.

Upalne powietrze wionęło ponad ognistym oceanem kukurydzy i piekło ją w twarz. Myśląc o ropuchach z piosenki, Ven pragnęła, żeby jej mąż także wrócił do niej. Nie tylko w taki sposób, jak podczas krótkich cotygodniowych odwiedzin, kiedy udawało mu się wywinąć od obowiązków w domu Toanów, lecz także jako jej jedyny związek z czymś, co choć trochę przypominało rodzinę.

Przyspieszyła kroku, jakby chcąc pozostawić kłopoty za sobą. Z jej ust popłynęła piosenka. Początkowo cicha, po chwili wzbiła się w powietrze jak poświstujący wiatr:

Te złote rybki były złodziejami.

Chciwość przesłoniła im oczy jak szumowina na stawie

I nie miały nawet czasu na zastanowienie się.

Kijanki wyrosły na ropuchy i wróciły do rodziców.

Podczas gdy złote rybki lamentowały nad stratą,

Rodzina ropuch znów żyła szczęśliwie razem.

Ven płynęła ze swą piosenką wzdłuż szachownicy złotych pól. Nagle usłyszała za sobą odgłos kroków. Stała bez ruchu, w pełni świadoma tego, co się dzieje.

– A gdzież to się udaje ta głupia żebraczka w samym środku godziny policyjnej? – rozległ się ironiczny męski głos.

Powolnym gestem chwyciła rękojęść ukrytego pod ubraniem noża i odwróciła się, przyciskając splecione ręce do brzucha. Na jej przedramionach nabrzmiały ciemne żyły, podkreślając ich muskularność. Ven wbiła wzrok w zabłocone czubki męskich butów i ciemnoniebieskie skarpety nad nimi. Naliczyła cztery pary buciorów, chrzęszczących w żwirze drogi w charakterystyczny sposób, który miał wywoływać w ludziach lęk. Jeden z mężczyzn, dowódca straży, pchnął ją pięścią w ramię i musiała się cofnąć o krok.

– Zadaliśmy ci pytanie. Czy mamy tak stać przez cały dzień, podczas gdy ty będziesz się wgapiać w ziemię?

– Nie, panie...

– Nie, panie, i co dalej? Jesteś aresztowana za naruszenie godziny policyjnej. Nie słyszałaś ostrzegawczego bębna?

– Słyszałam, panie, głośno i wyraźnie. Czy mogę wiedzieć, co się stało?

– Szukamy niewolnika, który zbiegł z domu Toanów. Możliwe, że jest też porywaczem. Nikomu nie wolno przebywać na ulicach, dopóki go nie znajdziemy.

– Dlaczego nękanie mnie? Przecież ja nim nie jestem? – wyszeptowała Ven. Spod opuszczonych powiek obserwowała każdy ruch mężczyzn. Buty dowódcy przysunęły się w jej stronę, aż przód jego brunatnej koszuli dotknął jej nosa. Jego skóra wydzielała charakterystyczną woń opium, słodką i cierpką jednocześnie.

Jeden z żołnierzy chwycił Ven sękatymi palcami za ramię.

– Słuchaj no, małpiszonie – odezwał się basowym głosem. – Nie mów takim tonem do kapitana Sai, który jest szefem policji w tej wiosce.

Otoczyli ją jak sfora gończych psów. Wydmuchiwali gwałtownie powietrze przez nozdrza, jakby czekali na rozkaz rozszarpania zdobyczy.

Ven podniosła wzrok i po raz pierwszy spojrzała w twarz dowódcy. Miał szpeceniaste czarne włosy i duże żółte zęby z brunatnymi plamami od smółki. Mrużył oczy, a usta wyduł w głupawym, lunatycznym uśmiechu. Obiema rękami drapał się nieustannie po głowie i ten gest jeszcze wzmagał wrażenie, że jest nie całkiem obecnym duchem.

Kapitan przyglądał się przez dłuższą chwilę polom kukurydzy; wreszcie jego spojrzenie wróciło do Ven. Przez cały ten czas nikt się nie poruszył. Oczy mężczyzny straciły nagle szklisty wygląd.

– Związać ją – warknął. – Kto ma sznur?

Ven odtrąciła rękę trzymającego ją policjanta i skoczyła naprzód. Kapitan błyskawicznie zagroził jej drogę. Pochwyciły ją kolejne dłonie. Walczyła, próbując się wyrwać.

Brwi kapitana Sai uniosły się, tworząc dwa wysokie półkola. Uderzył ją kilkakrotnie w pierś zaciśniętą pięścią. Były to ciosy zadawane ręką wyszkolonego żołnierza, nie takie jak w zwykłej bójce. Zabrakło jej oddechu, by krzyzczeć; z płuc dobywały się tylko stłumione czknięcia. Oprawca, wciąż mrużąc oczy, złapał ją za kark i unióś w górę, a pozostali wykręcili jej ręce do tyłu, owinęli sznurem w przegubach i mocno zawiązali. Kapitan zwolnił uścisk. Ven runęła jak sparaliżowana w pył drogi.

Policjanci poderwali ją z ziemi. Znów stała przed kapitanem Sai. Miała poczerwieniałą twarz, po brodzie ściekała jej strużka śliny.

– Dlaczego chciałaś uciec? – zapytał.

– Nie muszę odpowiadać na wasze pytania – odparła. – Nie macie prawa mnie aresztować.

– Ośmielasz się nam sprzeciwić? – Sai wciąż używał liczby mnogiej, i było w tym coś dziwnego.

Ven usiłowała udawać potulną.

– Nie, panie – wymamrotała.

– A my uważamy, że tak – warknął Sai.

Znów posypały się na nią ciosy, jeszcze silniejsze, rozrywając pierś tępym bólem. Mężczyźni puścili ją i upadła na twarz. W jej oczach

ekspłodowały błyskawice. Na języku czuła metaliczny posmak ziemi, przypominający smak krwi. Kaszłała, niezdolna wykrztusić słowa.

– I co, uparte bydlę, czemu tak nagle zamilkłaś? – sztychł kapitan.
– Gdzie się podział twój ostry język?

Ven zamknęła oczy. Ujrzała świat wypełniony tylko szarością nieba. Głos kapitana smagał powietrze jak bezlitosny wiatr.

– To tylko żebraczka włócząca się po wiosce. Ale prędzej czy później złapiemy zbiegłego niewolnika.

Ktoś chwycił ją za włosy i zaczął ciągnąć. Ven z trudem podniosła się na nogi.

Stare drzewo figowe ocieniało plac przed wiejską salą zebrzań. Targ ożywiały różnobarwne płody rolne, dając niezbite świadectwo urodzajnego roku. Na prostokątnej werandzie ułożono kopce ziarna soi, przeznaczone do podziału wśród rolników. Przed wejściem do budynku rozwieszono między drzewami sznury wysychających w słońcu kłósów. Plac zastawiony był różnymi pojazdami. Stały tu konne powozy i dwukółki, a także obryzgany błotem ciemny sedan.

Na tyłach budynku z czerwonej cegły rozgrywała się posępna scena. Przypadkowa zbieranina wołów i krów usiłowała się paść na splachetkach przywędłej trawy, wyrastającej z twardej, spieczonej słońcem ziemi, a właściciele zwierząt – nieszczęśni wieśniacy, którzy naruszyli zakaz wychodzenia z domów – leżeli związani w środku. W górze, ponad koronami drzew, porywisty wiatr gonił masy ciemnych chmur. Nadciągała burza.

W wielkiej sali dobiegała końca żniwna biesiada. Na wyłożonym grubym, miękkim dywanem podium – najwyższym i najbardziej honorowym miejscu – siedzieli ze skrzyżowanymi nogami pan Long, jego stary ojciec i ich gość, minister Chin Tang. Oświetleni lampą olejną, dzielili się fajką z opium. Kąciki ust Longa opadły, a z jego gardła wydobywało się chrapanie podobne do bulgotu wrzątku w kociołku.

Po jego prawej spoczywał stary asesora, odziany w formalny strój –

ciemnoniebieską jedwabną tunikę i tegoż koloru nakrycie głowy. W zniekształconych palcach ścisnął na wpół objedzoną goleń wołową, a gdy odrywał od kości skrawki mięsa, sino-różowe wargi rozciągały się niemal do płatków uszu.

Minister do spraw religii ubrany był w oficjalny uniform cesarskiego urzędnika, z tuniką z połyskliwej czerwono-niebieskiej satyny. Siedział z posępną miną, a przed nim stała miska z laki z pieczonym kurczakiem, wołowiną w sosie curry i smażonymi krewetkami, zawiniętymi w papier ryżowy. Jedzenie wyglądało na nietknięte.

Przed podestem przysiadło kilka psów. Wpatrywały się w trzymaną przez Toana kość, dysząc i śliniąc się. Rozdrażnione, raz po raz kąsały się nawzajem po łapach.

Trochę dalej, na matach tatami, wokół brudnych talerzy, rybich ości i pustych pancerzyków homarów, zajmowali miejsca mniej ważni mieszkańcy Cam Le – wioskowi urzędnicy i starszyzna. Podawali sobie z rąk do rąk czarną fajkę, lśniąca od dotyku powalanych tłuszczem palców. Gorące powietrze nad lampą wydawało dźwięk podobny do brzęczenia much, które żerowały na resztkach. Niektórzy z mężczyzn czekali na swoją kolejkę do fajki, inni półleżeli, zatrzymując dym w płucach, z ustami pełnymi gorącej herbaty podawanej przez służbę.

Ven skuliła się w odległym kącie sali, wśród kilkunastu innych związanych aresztantów. Była jej słabo od skisłego zaduchu jedzenia i chłopskiego potu. Ręce miała skrępowane za plecami tak mocno, że prawie już nie czuła palców, które napuchły jak dziesięć grubych pędów bambusa. Drżała za każdym razem, gdy przez otwarte drzwi wpadał do środka poryw chłodnego wiatru.

W pobliżu czaiła się banda padlinożerców – bezdomnych, narkomanów i posługaczy – mętów wioski Cam Le, żerujących na resztkach jedzenia i opium. Był między nimi wybijacz godzin. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami i zakrzywioną łyżką wyskrobywał z fajki niedopalone pozostałości. Pracował zawzięcie, w milczeniu. Twarz miał rozognioną od dymu, który już wchłonał; nawet jego blizny, zwykle

szarawe i nabrzmiące, poróżowiały i lśniły od potu.

Ven przemieściła pośladki, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Była przytomna duchem, lecz czuła się tak, jakby jej ciało zostało przygniecione ciężkimi blokami cementu. Rozprostowała podkurczone nogi, potrącając przy tym ruchu stos brudnych naczyń, ułożony przez kogoś na podłodze. Brzęk tłuczonej porcelany wzniosł się ponad ogólny zgiełk.

Dźwięk ten obudził pana Longa. Jego zamglone i przekrwione oczy zwróciły się w stronę żebraczki. Po chwili spojrzenie burmistrza nabrało ostrości i pojawił się w nim gniew. Trzasnął pięścią w miedzianą tacę, aż zadzwoniły stojące naokoło naczynia. Zapadła nagła cisza.

– Kto...?! – Jego krzyk poniósł się po sali jak krowi ryk. Próbował podnieść się z podłogi, lecz przydeptał skraj własnej tuniki i usiadł z powrotem. Nikt nie przerywał milczenia, dopóki znów nie rozległ się głos burmistrza.

– Kto potłukł naczynia? – Potoczył wzrokiem po sali i jego spojrzenie zatrzymało się na wybijaczu godzin. – Duży Conie, mój ulubiony sługo – rzekł – siedzisz blisko tych wieśniaków. Z pewnością wiesz, kim jest to niezdarne bydlę. Rusz no się i daj mu w twarz w moim imieniu.

Duży Con podniósł wzrok i oblizał kącik ust. Ven zadrżała na widok jego czarnego, obłożonego języka. Wszystko w tym człowieku ją przerażało. Rzucił jej spojrzenie przypominające otchłań pustej studni. Znieruchomiała, lecz mężczyzna opuścił wzrok i powrócił do oskrobывania fajki.

Pan Long przemówił ponownie, ostrym, zniecierpliwionym głosem:

– Wstawaj, wybijaczu godzin, i uderz tego nędznego durnia, który zniszczył woskowe naczynia. Daj mu nauczkę, Duży Conie. Musisz okazać nam swoją siłę, zapłaciliśmy już za to darmową kolacją i winem ryżowym.

Tym razem Con dźwignął się na nogi. Łyżka wypadła mu z ręki i odbiła się od kamiennej posadzki z głuchym brzękiem.

Ven patrzyła, jak się zbliża, aż wypełnił swoją postacią całą widoczną przestrzeń. Uniosła głowę, zamknęła oczy i czekała. Nagle usłyszała jego głos, po raz pierwszy od tylu lat. Miała wrażenie, że zwraca się wprost do niej.

– Nie uderzę jej – wychrypiał, jak gdyby jego krtań zardzewiała od długiego nieużywania.

– Dlaczego, ty tchórzliwy słabeuszu? – zdumiał się Long.

Usłyszała, jak Con się poruszył. Jego wielki cień odpłynął.

– Nie jestem aż taki pijany, żeby bić związaną kobietę – powiedział.

Obecni wybuchnęli dzikim śmiechem, naigrawając się ze słabości wybijacza godzin.

– Zamknijcie się w tej chwili! Cisza! – krzyknął ktoś z podestu.

Ven otworzyła oczy. Na środku platformy stał minister Chin Tang, nadymając pierś i zaciskając dłonie w pięści. Jego małe oczka podobne były do oczu panicza uwięzionego przez Dana w ruinach spalonego domu. Jednakże w przeciwieństwie do tamtych patrzyły władczo.

– Niech nikt mi tu nie mówi o przyzwoitości! – minister starannie akcentował słowa. – Dlaczego zajmujecie się jakąś nędzną żebraczką zamiast poszukiwaniem mojego syna? Moja cierpliwość już się wyczerpała. Siedziałem tu przez całe rano i część popołudnia, wyczekując wieści o jego powrocie, a wy tymczasem potraficie tylko jeść, pić, palić, naigrawać się i wypowiadać sądy na temat spraw, które was nie dotyczą. Skoro burmistrza tej wsi nie obchodzi los mego syna, wezwę z mojej łodzi trzech wioślarzy, którzy czekają na przystani, i sam go odnajdę. Nie będę siedzieć tu beczynn timer, bezpieczny, gdy życie mojego syna może być zagrożone. Żegnam was, panowie. Cieszcimer się biesiadowaniem i nie oczekujcimer przychylności wobec swej wioski w dorocznym raporcie, który przedstawię radzie cesarskiej.

Stary asesor wstał z trudem, wspierając się na ramieniu syna. Nie odezwał się, dopóki jego oczy nie znalazły się na wysokości oczu rozeźlonego ministra.

– Panie Chin – zwrócił się do niego – zapewniam pana, że nie zapomnieliśmy o pańskim synu. Poszukiwania są prowadzone nawet w tej chwili. Moi ludzie przeczesują wieś kwartał po kwartale, gromadząc wszelkie poszlaki, mogące naprowadzić na jego ślad. Jak dotąd, nikt go nie widział i nie rozmawiał z nim. Jeżeli tylko panicz nie opuścił Cam Le, prędzej czy później go znajdziemy. Na razie jednak błagam pana o cierpliwość. Wywoływanie niepokoju wśród tych tępych wieśniaków nie przyniesie niczego dobrego. Proszę się zgodzić na to, żebyśmy mogli, jako pańscy prawdziwi sprzymierzeńcy, okazywać panu naszą wierną przyjaźń i pomoc jeszcze przez kilka godzin.

– Nigdy go nie znajdziecie! – krzyknęła Ven. – Jestem tu jedyną osobą, która zna miejsce pobytu panicza!

W sali zaległa głucha cisza. Jesienna ziemia za oknami wyglądała tak, jakby unosił się z niej dym. Zbliżała się ulewa. Ven skuliła się i zamknęła oczy. Stary asesor usiadł. Kiedy znów podniosła wzrok, ich spojżenia się skrzyżowały.

– Kim jesteś? – zawołał minister, zeskakując z podestu.

Ven poczuła przypływ paniki. Posunęła się o krok za daleko, pomyślała. Już nie da się zawrócić z tej drogi, najwyżej po to, żeby ponieść konsekwencje. Jednakże nie widziała innego sposobu uratowania Dana.

– Gdzie jest mój syn? Powiesz mi to, czy mam wydobyć z ciebie tę informację siłą?! – krzyknął minister, idąc ku niej przez długą salę. Jego szata szeleściła przy każdym kroku. Ven poczuła na ramieniu ciężką dłoń.

– Proszę mnie nie bić – wyszeptwała. – To na nic się panu nie zda. I tak nie powiem ani słowa, dopóki mi pan nie przyrzeknie na wszystko co święte, że uchroni pan moją rodzinę od krzywd i zgryzoty. Tylko pan, cesarski minister, może dopilnować sprawiedliwego zakończenia historii, którą panu zaraz opowiem. Pański syn jest bezpieczny. To raczej my, nędzni żebracy i niewolnicy, znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie.

Słyszając jej słowa, asesor Toan przybrał swą poprzednią pozycję, pół leżąc, pół siedząc na dywanie. Teraz jednak każdy jego mięsień był czujnie napięty. Siedzący obok pan Long także otrząsnął się z letargu.

– Przyrzekam, szczerze i głęboko – rzekł minister. – Powiedz, gdzie znajdę syna, a dołożę wszelkich starań, żeby ci to wynagrodzić. Przemawiasz tak, jakbyś stała się ofiarą wielkiej niesprawiedliwości, a to, czego byłem świadkiem w tej wiosce, każe mi wierzyć twoim słowom. Na początek powiedz mi, kim jesteś. Jak to możliwe, żeby żebraczka wykazywała się taką elokwencją, przewyższając w tym niejednego z wykształconych mężczyzn na tej sali?

Szczerza wypowiedź ministra wzbudziła zaufanie Ven.

– Jestem córką poety – odparła. – Mój ojciec zmarł, gdy byłem bardzo młoda. Chociaż nie miałam sposobności nauczenia się poprawnego języka tradycyjnego, wzrastałam wśród poetów i pisarzy, dzięki czemu zdobyłam wykształcenie innego rodzaju – umiejętność słownego wyrażania myśli. Przyznaję, że to ubóstwo skłoniło moich dziadków do tego, żeby posłać mnie przed dziesięcioma laty do tej wsi. Zostałam żoną-niewolnicą w bogatej rezydencji pana Nguyena. W tym przeklętym domu byłam świadkiem masakry. – Ven jednym skokiem zerwała się z podłogi, czując na policzkach ciepłe łzy. Spojrzała na starego asesora i krzyknęła: – Czy teraz już wiesz, kim jestem, Toan? Zgadłeś sam, czy mam ci powiedzieć, jak się nazywam?

Starzec miał w dłoniach materiał tuniki. Jego wygląd budził taką samą grozę jak zawsze, a spojrzenie miał równie jadowite jak przed dziewięćmi laty. Pokiwał głową z drwiącym uśmiechem i kazał Ven zamilknąć.

– Panie Chin, wiem doskonale, gdzie jest pański syn – powiedział. – Niech pan nie słucha tej kobiety. To kryminalistka, której przez kilka lat udawało się ukrywać przed sprawiedliwością. Straże, brać ją natychmiast!

– Nie ruszać się! – Minister uniósł rękę. – Przecież ona i tak nie

może uciec, panie Toan. Nie pozwolę, by ją pan uciszył. – Zwrócił się do Ven już łagodniejszym tonem: – Pojedziemy tam natychmiast. Wezmę powóz i po drodze opowiesz mi szczegółowo o swoim życiu. Przyrzekam, że dopóki będziesz ze mną szczerą, będę cię chronił przed twoimi wrogami.

Poczuła jego rękę na swoich związanych dłoniach. Nagle tłum się rozstał i zobaczyła zbliżającego się pana Longa. Czarne włosy opadły mu na okulary. Miał taką minę, jakby właśnie zobaczył upiora.

– Wracajcie do domów – nakazał obecnym. – Od tej chwili obowiązuje godzina policyjna. Jadę z panem – oznajmił ministrowi. – Mój ojciec dołączy do nas później, gdy załatwi tu pewną sprawę.

– To nie jest potrzebne, panie Long – odparł minister Chin. – Jeśli pan musi, proszę jechać za nami, ale ja chciałbym przez jakiś czas być z tą kobietą sam na sam. Wezmę jeden z pańskich powozów.

– Jak pan sobie życzy – mruknął burmistrz, kłaniając się.

Ven nie słuchała tego, co mówi, i nie patrzyła na bladą, nalaną twarz. Szła wolnym krokiem. Minister wyprowadzał ją z wielkiej sali na plac przed budynkiem. Nareszcie zaczęło padać. Śpiew deszczu rozbrzmiewał w powietrzu i poświstywał wśród krzewów jak świergot wróbli. Krople zmywały z udręczonej kobiety cały niepokój. Minister był tuż obok. Obiecał ją chronić i nie musiała się niczego obawiać.

Trzymała głowę wysoko, a pan Chin poprowadził ją do polakierowanego na czarno powozu i pomógł wsiąść do wnętrza wyłożonego miękką tapicerką. Stangret wskoczył na kozioł i powóz osiadł lekko na resorach. Ven poczuła, że koła pojazdu zaczynają się toczyć.

– Gdzie jest mój syn? – zapytał minister.

Ven pewnym głosem kazała stangretowi jechać główną ulicą na wschód, w kierunku spalonej rezydencji.

Rozdział trzynasty

Serce motyla

Widok sedana jadącego długą, prostą drogą przebudził w Danie Nguyenie wszystkie straszne emocje, których doświadczył w dzieciństwie, gdy ukryty na gałęzi drzewa patrzył, jak głowa jego ojca frunie w powietrzu.

Stał samotnie na najwyższym pagórku wśród ruin, ściskając swój tornister, a deszcz przenikał przez jego cienkie ubranie, jakby stał pod wodospadem. Warkot silnika przebijał się przez syk ulewy i wibrował w uszach – głęboki, ciągły, nieustęplicy. Przysadzisty, metaliczny kształt pełzł rozmokłą drogą jak gigantyczny żuk gnojarsz.

Bui za jego plecami zaczął krzyczeć. On także zobaczył pojazd.

Krew odpłynęła Danowi z twarzy. Wrogowie się zjawili, szukali panicza i jego także. Podbiegł do pnia wierzby płaczącej. Związany więzień wił się, jakby go ktoś podpalił. Dan ściągnął koszulę i zarzucił sobie tornister na gołe plecy. Uwolniwszy ręce, zakneblował swoją ofiarę oddartym z koszuli kawałkiem tkaniny.

– Zamkniesz się teraz?! – krzyknął.

Z gardła chłopaka dobywał się stłumiony dźwięk. Dan dostrzegł na nabiegłej krwią twarzy wyraz triumfu, świadczący o tym, że już się nie

boi.

Skoczył za pień drzewa, żeby rozwiązać sznur krępujący ręce ofiary. Odgłos silnika osaczał go coraz bardziej. Podniósł wzrok. Zanim zdążył rozplatać węzeł, samochód podjechał pod główną bramę. Sto dwadzieścia metrów od ruin, które były kiedyś jego domem, za opustoszałą werandą i zapuszczonym ogrodem widniały wrota z czarnego granitu, przesłonięte częściowo ciernistymi krzewami. Kamienne skrzydła odbijały światła samochodu, tworząc niesamowity prostokąt blasku. Wyglądały jak wrota piekieł. Ta niesłabnąca jasność sprawiała, że Dan czuł się bardzo mały. Musiał poszukać jakiejś kryjówki. Bez Ven, z jej niezmierną mądrością, nie odważyłby się stawić czoła wrogom.

Rozplatał supeł i uwolnił dłonie Bui, a potem uwięził jego głowę w uścisku ramion i poczołgał się z nim za ścianę kuchni. Ku swemu zdziwieniu ujrzał, że sedan pozostał przed bramą, z reflektorami skierowanymi na główną drogę.

Dan skrył się przy glinianym piecu, ustawionym na trzech stosikach cegieł mniej więcej trzydziestocentymetrowej wysokości. Ven wykorzystywała tę ścianę podczas gotowania dla ochrony przed wiatrem. Teraz zburzony mur osłaniał Dana przed prześladowcami. Położył się na swoim więźniu, przygniótł go całym ciężarem do ziemi i nasłuchiwał. Ponad jednostajnym pomrukiem auta usłyszał inny, wyraźniejszy dźwięk: tętent galopujących koni, dobiegający gdzieś zza jego pleców. Obejrzał się i zobaczył dwa powozy pędzące wyboistą drogą wprost na tyły domostwa. Obydwa należały do rodziny Toanów.

Skulił się, sparaliżowany strachem. Został otoczony, odcięto mu drogę ucieczki z obu stron. Przerażenie jednak dodało mu sił. Usiadł na chudym grzbiecie leżącego Bui, przyciskając go do błotnistej ziemi. Pochylony nisko, wysunął głowę zza krawędzi paleniska i obserwował powozy, które zatrzymywały się właśnie przed krzakami kolokazji, znaczącymi dawną granicę ogrodu.

Na czerwonej satynowej przesłonie w wejściu do powozu dostrzegł cień postaci. Po chwili ujrzał, zdumiony, wysiadającą Ven, skuloną w strugach deszczu. Widział jej pozlepiane w strąki włosy i podarte łachmany. Ręce miała związane za plecami i kroczyła niepewnie, jak powłóczący nogami pijak.

Za nią szedł minister Chin Tang. Pomimo ulewy trzymał się prosto. Jego surowe oblicze ukazywało się raz po raz ponad linią ogrodzenia, ciemniejąc, w miarę jak się zbliżał do furtki. Dwadzieścia kroków za pierwszym powozem zatrzymał się drugi. Wysiadł z niego pan Long, ubrany w długi czarny płaszcz. Stąpał po kałużach jak kwoka. Na końcu kroczyli czterej umundurowani mężczyźni, wszyscy uzbrojeni w metalowe pałki, i stangret. Żwir chrzęścił pod ich butami.

Bui zaczął się wić i wykręcać. Siniak przy zewnętrznym kąciku oka nabral barwy wina. Zmierzwione czarne włosy miał powalane błotem i wywianym z paleniska popiołem. Otwierał i zamykał usta, usiłując gryźć knebel. Przy każdym oddechu wydmuchiwał kropelki śliny i wyglądał jak wyrzucona na piasek ryba.

Pierwsza przeszła przez furtkę Ven. Przechyliła głowę, rozglądając się po ruinach w poszukiwaniu swego męża. Mokre kosmyki jej włosów targał wiatr, a w oczach odbijało się światło.

– Dan, gdzie jesteś?! – zawołała. Ogród zdawał się odrzucać jej słowa pogardliwym tonem, jak echo świątynnego dzwonu. – Wyjdź już z ukrycia razem z paniczem! Przywitaj się z ministrem Chinem.

Wiatr drażnił drzewa; rozległ się chichot liści. Dan wciąż milczał.

– Proszę cię, Dan, usłuchaj mojej prośby – mówiła Ven. – Opowiedziałam ministrowi całą naszą historię, opisałam mu wszystkie podłe czyny popełnione przez naszych wrogów. Pan Chin obiecał, że nie stanie ci się krzywda. Musisz wyjść z kryjówki i odpowiedzieć na pytania, które chciałby ci zadać, lecz nie jak sędzia oskarżonemu, tylko jak współczujący przyjaciel swemu bliźniemu.

Do uszu Dana dobiegł władczy głos ministra, który zwrócił się do Ven:

- Czy to dokładnie tutaj popełniono tę zbrodnię?
 - Nie było żadnej zbrodni, panie ministrze – odezwał się pan Long.
- Przed dziewięćmi laty wioska Cam Le istotnie skrywała pewną tajemnicę, lecz historie opowiadane przez tę chłopkę to jawna próba wzbudzenia pańskiej sympatii dla okrutnego złoczyńcy. Właściciel tej rezydencji był piratem skazanym na śmierć przez sąd w Hue. Nie zasługuje nawet na jeden okrucuch twojej litości, panie. Mój ojciec był tylko wykonawcą wyroku, wypełniał swe obowiązki wobec dworu cesarskiego. Nie powinno się go teraz potępiać za to, że służył własnemu krajowi.
- Skończ tę obłudną mowę, człowieku – prychnęła Ven. – Czy służenie krajowi obejmowało także spalenie domu skazańca, zrabowanie jego fortuny i polowanie z wojskiem na jego ocalałego potomka? Czy wyrok śmierci obejmował całą rodzinę? A może sprawiał ci przyjemność widok cierpień spowodowanych twoim rozkazem?
 - Gdzie jest mój syn? – zapytał minister, tym razem proszącym tonem. – Bui, słyszysz mnie?

Na dźwięk swego imienia chłopak szarpnął się pod ciężarem Dana. Jego twarz rozjaśnił uśmiech, jakby nabrał pewności, że niewola wkrótce się skończy. Rozmyślnie puścił do Dana oko, choć było mocno opuchnięte.

Dan rozglądał się gorączkowo. Rozbłyskujące niebo, poskręcane pnie drzew, zieleń zarośli i ludzie przed nim, wszystko to rozmyło się jak na akwareli, z której deszcz wypłukał kolory. W oszołomieniu zsunął się z ciała więźnia. Uderzył ramieniem w ceglany mur i przeszył go ból. Lęk gdzieś odplynął, pozostała pustka.

Zerwał się na nogi, pociągając za sobą Bui. Jego palce zacisnęły się wokół szyi chłopaka. Jakże łatwo byłoby zakończyć to życie prostym skrętem dłoni. Dan cofał się w kierunku okazałego niegdyś domu, aż poczuł pod bosymi stopami szorstki cement werandy. Stąd mógł obserwować oba wejścia.

Zza ściany liści dobiegło go nagle wycie silnika samochodu, a potem głośny łoskot. W rubinowym świetle przed sobą ujrzał, jak eksplodują wijące się pnącza, jakby wybuchło gniazdo wodnego węża. Zamknięta brama stanęła otworem i cały teren zalało jasne światło. Skrzydła granitowych wrót wyskoczyły z zawiasów i opadły na boki. Ciemny sedan pomknął alejką z białej cegły w stronę werandy.

Dan otoczył szyję panicza ramieniem i trzymał mocno. Bui oparł się o jego nagą pierś, zaciskając powieki przed siekącym deszczem. Ven biegła ku nim, kołysząc się na boki, aby utrzymać równowagę. Mężczyźni także się zbliżali. Ich twarze skrywał cień, Dan jednak dostrzegł połyskujące w rękach pałki.

– Stać! – krzyknął, unosząc wolną rękę. Obracał głowę to w lewo, to w prawo, obserwując wrogów po obu stronach. – Ani kroku dalej, bo skrećę mu kark. – Bui poruszył się słabo w jego uścisku, wybałuszając oczy na ojca.

– Kim jesteś? – zapytał minister.

Dan przymknął oślepienie reflektorami oczy. Ven odpowiedziała za niego.

– Ten młody człowiek to mój mąż, syn kapitana Tata Nguyena.

– To niemożliwe! – krzyknął pan Long.

– Puść mego syna – zażądał minister.

– Nie zrobię tego – odparł Dan. – Niech pan nie rusza się z miejsca. Nie ufam pańskim zamiarom. I twoim także – pokazał palcem na Ven. – Dlaczego przyprowadziłaś tych ludzi na miejsce spoczynku moich rodziców? Czy to ten diabeł Toan obiecał darować ci życie w zamian za moje? Przyznaj to, przekaż mi wyrok śmierci, zanim oni to zrobią.

– Mylisz się, młody panie – zachnęła się Ven. – Nie zdradziłam cię. Dążę tylko do jednego celu, którym jest odzyskanie przez ciebie wolności. Prawda jest taka, że wzbudziłam współczucie ministra. Obiecał zrobić wszystko, żeby uwolnić nas od zarzutów. Błagam cię,

wypuść natychmiast panicza, zanim przedstawiciel dworu zirytuje się jeszcze bardziej i zwróci przeciwko nam.

– Jak mogłaś to zrobić, nie pytając mnie o zdanie? – Oczy Dana pałały oburzeniem. – To bardzo niebezpieczny pomysł. Jestem pewien, że mój plan ucieczki jest o wiele lepszy od twojego. W każdym razie dzięki niemu nie będę zmuszony skrzywdzić młodego pana.

– Nie uda ci się stąd uciec – odparł minister. – Jeżeli uczynisz coś złego mojemu synowi, przepadłeś. Nie obwiniaj swojej żony, że nas tu przyprowadziła. Kazałem przerwać festyn, a policjanci przeszukują wieś. Nawet bez jej pomocy, prędzej czy później, zjawiliby się w tych ruinach. Po raz ostatni żądam, żebyś uwolnił mojego syna. Potem wysłucham twojej skargi, bo szczerze mówiąc, wzbudziłeś moją ciekawość.

Na tle szumu drzew i pomruku silnika samochodu rozległ się znów tętent koni. Galop dudnił nerwowo, a towarzyszył mu skrzyp i turkot toczących się szybko drewnianych kół. Noc zapadała już na dobre i niebo nabrało barwy kurzu. Chłopak spojrzał ku odległej drodze, lecz nocny mrok zmieniał ją szybko w głęboki ciemny tunel, który biegł poprzez kołyszące się na tle nieba morze kukurydzy. W stronę domu płynęła drżąca świetlna kula, jakby szukając Dana.

Inni też spojrzeli w tym kierunku i osłupieli na widok dziwnego zjawiska. Gdy jednak światło się przybliżyło, rozpoznali pochodnię umocowaną ponad kozłem powozu.

Pan Long tupnął nogą i zaklął pod nosem. Odwrócił się do stangreta, niskiego i kościstego mężczyzny w średnim wieku, który służył rodzinie od ponad dwudziestu lat.

– Idź zobaczyć, kto przyjechał. Jeśli to moja córka, nie wpuszczaj jej tutaj, zwłaszcza gdyby chciała się widzieć z Myszką.

Służący skłonił się i odszedł.

Od stojącego na białej drodze samochodu doleciał Dana trzask, który uzmysłowił mu, co się dzieje. Przytrzymał mocniej swego więźnia.

Z auta wysiadł kapitan policji, otworzył bez słowa tylne drzwi i zajrzał do środka.

Z mrocznego wnętrza wysunęła się pomarszczona i zdeformowana dłoń, niczym żebrowany kaptur podnieconej kobry. Chwycała rękę kapitana i nie chciała puścić. Dan ujrzał asesora Toana. Starzec wysiadł i ruszył niepewnym krokiem, powłócząc nogami. Jedną rękę skrywał pod długą połą swej tuniki. Spojrzenie zmętniałych oczu zdawało się badać niebo, lecz zaraz spoczęło na Danie. Toan wyprostował się i odepchnął kapitana, chcąc kroczyć ścieżką bez asysty. Dan spostrzegł, że stary asesor nie podpira się nawet laską.

Teren przed werandą tworzył płaskie trawiaste wyniesienie. Stary zatrzymał się tam, przygarbiony, z rozstawionymi szeroko stopami, jak dziecko, które próbuje po raz pierwszy stać samodzielnie. Kapitan stanął tuż za nim. W jednej ręce niósł składane krzeselko, a drugą trzymał nad głową swego pryncypała wielki bambusowy parasol. Postawił krzesło na ziemi i czekał. Krople deszczu odbijały się od plecionego parasola, podzwaniając cicho. Toan opadł na krzesło, nie odrywając spojrzenia od twarzy Dana.

– Gdzie jest twoja matka? – zapytał.

Prawą rękę wciąż skrywał pod długą tuniką.

Dan milczał.

– Skoro ty tu jesteś – ciągnął Toan – i jest też tutaj ta twoja szpetna połowica, chcę wiedzieć, gdzie przebywa twoja matka?

Minister Chin stanął przed starym asesorem.

– Dlaczego tak bardzo pan pragnie poznać miejsce pobytu jego matki, panie Toan? – zapytał.

Starzec zignorował jego pytanie.

– Przyczyna jest jasna – odezwał się Dan. Spoglądał spokojnie na ministra, lecz głos mu drżał. – Ten człowiek poszukuje mapy miejsca, w którym ukryto skarb. Może pan w to nie uwierzy, ale pan Toan jest złodziejem i mordercą.

W mroku rozległy się syczące dźwięki, podobne do postękiwania

palacza opium, kiedy narkotyk przestaje działać. Część z tych odgłosów wydobywała się z gardła starego asesora spoglądającego groźnie, na Dana.

– Ho, ho, ta historia robi się coraz ciekawsza – rzekł minister Chin.
– Jeżeli rzeczywiście popełniono tu przestępstwo, przeprowadzę dochodzenie. Powiedz mi coś więcej na temat tego skarbu, młody człowieku.

Asesor Toan parsknął śmiechem.

– Nie ma żadnego skarbu – powiedział. – Nie posuwaj się za daleko, nędzny niewolniku, bo pożałujesz.

Dan wziął głęboki oddech i zaczął szybko tłumaczyć ministrowi:

– Połowa mapy, pokazującej drogę do skarbu piratów, była wytatowana na plecach mojego ojca. – Wspomnienie dokonanej na rodzicach rzezi paliło jego umysł i nie mógł już powstrzymać cisnących się na usta słów. – To właśnie ten człowiek go zamordował, a potem obdarł jego ciało ze skóry. Teraz chce odszukać ocalałe osoby z mojej rodziny, żeby się od nich dowiedzieć, gdzie jest druga część mapy. – Odwrócił się do Toana, krzyżąc: – I co pan teraz robi? Zabije mnie? Inaczej mnie pan nie uciszy. Już się pana nie boję!

Rozwścieczony starzec próbował wstać, lecz zabrakło mu sił i opadł z powrotem na krzesło. Przez chwilę siedział skulony, z rękami pod tuniką.

– Skąd tak dobrze wiesz, co się zdarzyło tego dnia? – zapytał w końcu.

Dan pokazał na ciemną koronę drzewa na końcu ogrodu. Jego więzień wykorzystał ten moment; wyrwał mu się i rzucił ku swemu ojcu. Dan jakby w ogóle tego nie zauważył.

– Siedziałem w gałęziach tego drzewa – powiedział. – Widziałem dokładnie, co zrobiłeś z moimi rodzicami i z ich zwłokami.

Wychudłą twarz asesora Toana ożywił nikły uśmieszek. Starzec klepnął się po biodrze, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Cóż za fatalne zrządzenie losu – rzekł. – Tak czy inaczej, ośmielię się wyrazić przypuszczenie, że druga część mapy jest w twoich rękach. – Przerwał, celując palcem w nagi tors Dana. – Widzę, że wbrew kłamstwu, w które wierzyłem jak głupiec przez tyle lat, nie wytatuowano jej wcale na twoich plecach. Powiesz mi, gdzie ukryłeś mapę, czy mam przepytać tę żebraczkę, twoją żonę?

– Byłaby to jedynie strata czasu, panie Toan – odrzekł Dan. – Rodzina Nguyenów nigdy nie wyjawia swoich tajemnic obcym. – Dopiero teraz zorientował się, że Bui już nie stoi koło niego. Uwalany błotem chłopak krył się za plecami ojca, gryząc nerwowo paznokcie. Sznur leżał u jego stóp.

Dan uzmysłowił sobie swój błąd i ukrył twarz w dłoniach.

– Może i mówisz prawdę – powiedział Toan – choć instynkt podpowiada mi co innego. Nic się nie martw, mam plany co do was obojga. Zgotuję wam coś o wiele straszniejszego niż śmierć. Nawet nie przypuszczasz, z jak wielką ochotą będziesz chciał mi wyjawić te informacje. Ja...

– Dość tego, panie Toan – uciął jego przemowę minister Chin. – Nie spodziewałem się, że jest pan tak nikczemnym starym demonem. Pomyśleć tylko, że jeszcze dziś rano rozważałem propozycję małżeństwa mego syna z pańską wnuczką. Popeniłbym straszny błąd! Może pan być pewien, że poprowadzę dochodzenie w tej sprawie i polecę ją uwadze dworu cesarskiego. Spotka pana należyta odplata za cierpienia, jakich przysporzył pan tym nieszczęśnikom. A teraz proszę przestać i nie pogrążyć się jeszcze bardziej.

Asesor Toan roześmiał się kpiąco. Wyciągnął rękę spod fałd tuniki, czemu towarzyszył ostry trzask. Gdzieś spomiędzy jego palców wystrzelił snop iskier, jak ogon spadającej gwiazdy. Danem wstrząsnął dreszcz. Przy tylnej furtce rozległ się w ciemnościach kobiecy głos, który wybijał się ponad rzenie przestraszonych koni.

Stary Toan znieruchomiał i przechylił głowę. Pordzewiały pistolet w jego dłoni wypuszczał cienkie strużki białego dymu.

Minister Chin stał jak skamieniały, milcząc, ze spojrzeniem utkwionym nieruchomo w starcu. Po chwili runął niczym ścięte drzewo. Jego twarz zanurzyła się w mokrej trawie, a ręce rozpostarły na boki, jakby chciały objąć ziemię. Bui stał kilka kroków dalej i bełkotał coś w kompletnym szoku. Po policzkach spływał mu pot, mieszając się ze łzami.

– Teraz już niczego nie wyjaśnisz, głupi człowieku – powiedział Toan. – Trzeba ci było siedzieć cicho. Nie miałem innego wyjścia, musiałem cię zabić. Nie potrzeba mi innych świadków poza kilkoma lojalnymi sługami. Czy ktoś jeszcze chciałby stanąć w obronie tych nędznych wieśniaków? – Rozejrzał się po twarzach otaczających go ludzi.

Bui opadł na klęczki. Toczył głową w lewo i w prawo, jakby próbował się obudzić ze złego snu. Dotknął ciemnoczerwonego otworu po kuli na plecach ojca i przyjrzał się swoim uwalanym krwią palcom. Kiedy po chwili podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

Wprost na niego patrzyło czarne i puste oko lufy pistoletu. Bui z głośnym szlochem złożył ręce na piersi jak do modlitwy. Wywrócił oczami, jakby próbował uniknąć widoku broni.

– Nie, błagam, niech pan nie strzela! – Szczekał zębami przy każdym słowie. – Ja nie chcę umierać. Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia! Błagam pana! Niech pan okaże litość i odłóż ten pistolet, zanim...

Znów huknął strzał i kolejna spadająca gwiazda sypnęła strugą iskier poprzez dziedziniec. Tym razem dźwięk poniósł się jakby wyżej ku niebu i gałąź nad głową Dana ożyła furkotem ptasich skrzydeł. Bui padł na wznak na miękkie łoże z traw. Z małego, czarnego otworu w jego czole ciekła krew, niemal tak ciemna jak jego włosy. Leżał na mokrej ziemi z otwartymi oczami, zastygłymi już na zawsze w wyrazie niedowierzania. Dolna warga jeszcze się lekko poruszyła, lecz słów nie było słyhać.

– Asesorze Toan, nic pan nie stracił ze swej znakomitej celności – powiedział kapitan.

Starzec skwitował to rechotem.

Od tylnej furtki znów napłynęły kobiece głosy. W gęstym mroku zaświeciła pochodnia, rzucając błyski poprzez obwisłe, grube gałęzie wierzby. Rozległ się plask pospiesznych kroków po nasiąkniętej deszczem ziemi. Policjanci otrząsnęli się z letargu i odwrócili, zaciskając dłonie na żelaznych pałkach. Ven stanęła przed Danem i zasłoniła go swoją przysadzistą sylwetką przed wzrokiem złowrogiego starca. Nie mogła go jednak uchronić przed jego demonicznym śmiechem.

– Szybko, uciekaj i ratuj się, póki nie patrzą – rzuciła. – Stary diabeł cię nie zabije, bo najpierw chce znaleźć mapę.

Zniknij stąd, póki to jeszcze możliwe.

– Nie zostawię cię, Ven. – Dan pokręcił głową.

Zmagał się z krępującym jej ręce sznurem, próbując go rozsypać. Jeden z policjantów zaszedł go od tyłu ze wzniesioną do ciosu pałką. Dan usłyszał przeraźliwy pisk swojej żony. Ven przyskoczyła do niego i pchnęła ramieniem, a potem opuściła głowę i uderzyła bykiem w pierś mężczyzny. Impet odrzucił go do tyłu i pałka wyśliznęła mu się z dłoni. Ven runęła na niego całym ciężarem i ukryty w jej ubraniu nóż wypadł na ziemię. Leżał niecały metr od niej; ostra klinga połyskiwała na tle ciemnej trawy.

– Uciekaj, Dan! – krzyknęła. – Ja jestem tylko prostą wieśniaczką. Żywa czy martwa, i tak przynależę do ziemi. Nie myśl teraz o mnie.

Dan puścił się biegiem, z podskakującym na plecach tornistrem. Ujrzał przed sobą jakieś światło. Była to ta sama pochodnia, którą widział wcześniej. Jasny płomień podskoczył kilkakrotnie, zbliżając się ku niemu. Zobaczył sylwetki dwóch kobiet. Wczepione w siebie nawzajem, stały na jedynym ocalałym stopniu przed wejściem do jego domu. Dan rozpoznał Tai May i jej matkę. Pani Long krzyknęła, a jej głos przeszył noc jak policyjny gwizdek. Za kobietami stał stangret. Na prawym policzku miał długie zadrapania, jakby ślady zwierzęcych pazurów.

– Och, Myszko, dzięki niebiosom, że żyjesz! – Tai May rzuciła się w jego objęcia. Dyszała ciężko, lecz była uśmiechnięta. Pochodnia kołysała się w jej dłoni. – Słyszałam strzały. Na samą myśl, że coś ci się mogło stać, niemal umarłam z przerażenia.

Nagle ujrzała za plecami Dana nadchodzących policjantów i jej uśmiech zniknął. Płomień pochodni odbijał się w żelaznych pałkach. Tai May machnęła nią w ich stronę, jakby chciała odegnać stado wilków.

– Wynoście się! – krzyknęła. – Zostawcie go w spokoju! Jeśli pojejdziecie bliżej, poparzę wam gęby.

Zatrzymali się. Pani Long podnosiła z ziemi kamienie i rzucała nimi w zdezorientowanych mężczyzn.

– Muszę uciekać – powiedział Dan. – Żegnaj, Tai May.

– Nie – odparła, biorąc go za rękę. – Weź mnie ze sobą. Mój powóz stoi przy wejściu. Nie będę beczynn timerem patrzeć, jak cię zabijają, Myszko.

– Nie mogę cię zabrać. – Odskoczył jak spłoszone dzikie zwierzę. – Trzymaj się ode mnie z daleka. Jesteś córką wroga. Celem mojego życia jest zemsta na rodzie Toanów. – Urwał nagle, widząc skrzywioną twarz dziewczyny. Jego ręce wysunęły się z jej dłoni. Ogarnęło go bolesne poczucie utraty. Już nigdy jej nie pocałuję, pomyślał i popędził przed siebie.

– Nie! – zawołała, biegnąc za nim. – Nie zrezygnuję z ciebie! Jeżeli chcesz się wydostać żywy z Cam Le, weź mnie za rękę i uciekajmy razem. – Dan zwolecił kroku. Próbował być wobec niej okrutny, lecz jego żalosna próba spełzła na niczym, bo współczucie May ostudziło gniew w jego sercu. Chwytał ją za rękę i razem wbiegli w ciemność za murem zburzonej kuchni.

Stary asesor wyprostował się na krześle i wrzasnął do swoich ludzi:

– Nie zwracajcie uwagi na tę głupią dziewczuchę! Możecie ją nawet zabić, ale tego młodego łotra chcę mieć żywego. Najpierw musi mi

wszystko wyśpiewać.

– Zatrzymać się natychmiast! – rozległ się nagle krzyk pana Longa. – Jeżeli coś się stanie mojej córce, uduszę cię własnymi rękami. – Wycelował palec w ojca. – Udało ci się wpędzić moją nieszczęsną żonę w obłąd, odebrać jej ostatnie resztki zaufania do samej siebie, ale nie pozwolę ci zniszczyć Tai May. Koniec z tym! Rozejrzyj się tylko, wokół ciebie są same trupy. Przez twoją żalosną, nienasyconą chciwość zostałem przestępcą. Ale już dość tego!

Stary asesor skulił się na krześle, zaskoczony wybuchem syna. Pan Long zrobił w tył zwrot i ruszył do samochodu.

– Przecież to tylko dziecko – mruknął Toan jakby do siebie. – Można spłodzić następne, które cię uszczęśliwią. Czemu pozwalasz, żeby przez jedną dziewczynę nasz plan obrócił się wniwecz?

Burmistrz stanął przy ciemnym sedanie i obejrzał się.

– Nie martw się tym niewolnikiem – rzekł. – Przyprowadzę ci go z powrotem. Co do mojej córki zaś, przejmuję od dziś odpowiedzialność za jej wychowanie. Należy do mnie i nie próbuj mi jej odebrać.

Pan Long usadowił się w skórzanym fotelu za kierownicą i zatrzasnął drzwiczki. Samochód ruszył w dół piaszczystej drogi, podskakując na wybojach. W prześwicie pomiędzy linią drzew ukazały się pola. Burmistrz zobaczył swoją córkę i służącego, biegnących ramię przy ramieniu. Płomień pochodni w ręce Tai May migotał jak chore serce, które umiera, lecz jeszcze kurczowo trzyma się życia.

Dan biegł znajomą ścieżką, podtrzymując Tai May jedną ręką w pasie i ciągnąc za sobą. Deszcz ustał, lecz ociekające wodą gałęzie siekły ich po twarzach. Potykali się raz po raz na ostrych kamieniach, które raniły bosc stopy Dana. Dziewczyna, choć niewysoka i delikatna, dotrzymała mu kroku. Ujrzał oświetloną pochodniami furtkę na tyłach ogrodu. Stali tam dwaj policjanci, paląc zwijane ręcznie papierosy. Pilnowali powozów, które majaczyły w ciemności trzydzieści kroków dalej.

Dan zatrzymał się i przykucnął, ciągnąc w dół dziewczynę. Ostre trawy kłuły go w łydki jak ukąszenia owadów.

– Ani kroku dalej – szepnęła – bo nas zobaczą.

Drogą za nimi nadjechał czarny samochód. Jego warkot dotarł do uszu policjantów, którzy odwrócili głowy w kierunku auta.

– Co teraz zrobimy? – zapytała May. Zgubiła gdzieś pochodnię i otaczały ich ciemności.

Dan wstał i przyjrzał się ledwie widocznej linii ogrodzenia. Dostrzegł pod płotem dziurę wykopaną pewnie przez jakieś zwierzę.

– Chodź – szepnęła i skoczył przed siebie. Nie oglądał się na Tai May, lecz słyszał kilka kroków za sobą jej oddech.

Poprowadził ją poprzez parny mrok ku dziurze pod płotem. Powiększył otwór, napierając grzbietem od dołu, a dziewczyna przeczołgała się pierwsza pod łukiem jego ciała. Płot zatrzęszczał niebezpiecznie, jakby za chwilę miał pęknąć.

Kiedy dziewczyna znalazła się po drugiej stronie, Dan precyzyjnie się pod ogrodzeniem, pełznąca w śliskim błocie. Jeden z powozów stał całkiem blisko. Nieco dalej zobaczył sylwetki mundurowych, tańczące na tle okna samochodu. Gestykulowali żywo, tłumacząc coś kierowcy. Auto wyraźnie było za szerokie, żeby przejechać przez furtkę.

Dan chwycił May za rękę i zsunęli się po pochyłości skarpy. Biała sukienka dziewczyny zatrzepotała jak skrzydła ptaka, przyciągając uwagę mężczyzn. Sedan cofnął się z rykiem silnika. Nagle skoczył do przodu i przebił się przez bramkę, zrywając zwisające pnącza. Samochód wyprysnął na drogę z welonem zieleni na karoserii. Obaj policjanci wpadli do płytkiego rowu pod płotem. Posypały się na nich odłamki drewna.

Dan wskoczył na kozioł powozu i wyciągnął rękę do dziewczyny. Spocony i zdyszany, czekał, aż ona zrobi to samo. Po kilku nieudanych próbach May trafiła wreszcie nogą na stopień i podźwignęła się wyżej.

Złapał ją w ramiona i runęła nań całym ciężarem, aż ugięły się pod nim kolana. Posadził ją łagodnie na ławeczce, choć wypuszczenie ukochanej z objęć przyszło mu z trudem. Reflektory auta świeciły w ich kierunku. Samochód stał, a silnik pracował na wolnych obrotach. Kierowca nagle zatrafił.

Gdy Tai May usiadła, Dan chwycił cugle i zaciął konie. Czując wprawna rękę, zwierzęta napięły uprząż i pojazd ruszył, zataczając półkole. Ostry zakręt niemal wyrzucił ich oboje z kozła. Kierowca sedana wystawił głowę przez okienko i coś krzyczał. Dan poznał twarz pana Longa, lecz odjechali już zbyt daleko, żeby dosłyszeć jego słowa.

Chmury się rozstąpiły i wyrzwał zza nich krąg księżycy w pełni. Smugi srebrzystego światła prześliznęły się po końskich głowach. Dan widział tylko krótki odcinek drogi przed powozem, jechał jednak ze stałą szybkością, polegając na swej znajomości okolicy i ukształtowania pól kukurydzy. Samochód burmistrza Longa trzymał się w niewielkiej odległości za nimi; jego reflektory sporadycznie oświetlały boki powozu, jak dwa kapryśne słońca.

– Dokąd my jedziemy, Myszko? – Załkniiony głos dziewczyny zabrzmiał jak srebrne dzwonki na szyjach ogierów. Młodzieniec zwrócił ku niej głowę i zawołał, przekrzykując wiatr:

– Nie jestem Myszką! Nazywam się Dan Nguyen!

Pole za polem, czasem drzewo na rogu kwartału, wszystkie te obrazy tak dobrze mu znane umykały do tyłu z szaleńczą szybkością. Znowu usłyszał jej głos.

– Wiem, jak się nazywasz. Song mi powiedziała.

Powóz wspinał się na pagórek. Sto metrów dalej Dan dojrzał wyjazd z wioski. Skrzydła wiekowych drewnianych wrót nabijanych żelazem były zaryglowane. Obok bogato zdobionej bramy wybity był w ceglany murze otwór, przez który mogły wchodzić i wychodzić zwierzęta. Na placu targowym, zwykle pełnym bogatych chłopów w satynowych szatach oraz zachwalających towary przepukniów, teraz roilo się od

policjantów. Dan naliczył co najmniej dziesięciu konnych, trzymających się sztywno w siodłach. Szarpnął wodze i powóz się zatrzymał. Za nim stanął w poprzek drogi sedan, blokując mu odwrót.

Tai May przysunęła się do niego i poczuł ciepło jej ciała. W oczach dziewczyny dostrzegł swoje odbicie. Objął ją i przytulił, wdychając słodycz jej zapachu i czując kapiące mu na ramię łzy. Odchylił głowę i ucałował jej policzki. Twarz miała rozpaloną. Musnęła wargami bok jego szyi. Dan jęknął, zaskoczony i podniecony.

Wreszcie wypowiedziała słowa, których tak się bał.

– Nie mogę z tobą wyjechać. Jeśli to zrobię, mój dziadek nigdy nie przestanie nas ścigać. Jesteśmy młodzi, brak nam doświadczenia i nie mamy niczego.

– Mamy siebie. – Chwycił ją za ramiona. – Czy to nie wystarczy?

– Nie – odparła. – Mój widok zawsze będzie ci przypominał, co stało się z twoją rodziną i jak chciałeś się zemścić na mojej. Prędzej czy później twoja miłość do mnie zmieni się w nienawiść, gdyż będę cię powstrzymywać przed wypełnieniem tej powinności.

Dan odsunął się od niej, uzmysławiając sobie z wyjątkową jasnością bolesną prawdę o ich straceńczej miłości. Tai May dotknęła czule jego twarzy. Było to niemal nie do zniesienia.

– Pomogę ci uciec – rzekła w końcu. – Mam plan.

Nawet w tej ich ostatniej godzinie myślała o jego bezpieczeństwie. Przyszło mu do głowy, że mógłby przecież porzucić myśl o zemście, dopóki Tai May byłaby u jego boku. Zaraz jednak napłynęło wspomnienie Ven. Wyobraził sobie, co mogło ją spotkać z rąk Toana, i stłumił w gardle szloch. Tai May miała rację, mówiąc o jego zobowiązaniu: krew można zmyć tylko krwią. Ze względu na swoją rodzinę i na Ven nie miał prawa do szczęścia.

– To jedyny sposób – mruknął ze ściśniętym sercem.

Każde słowo brzmiało jak nuta żałobnego psalmu.

– Kiedy wydobędziesz się z wioski – rzekła May – idź do Hue. To

duże miasto i można się tam wtopić w tłum. Nikt cię nie znajdzie.

– Bez ciebie nigdy nie będę szczęśliwy – powiedział.

Przysunęła usta do jego ucha i mówiła dalej przez łzy:

– Wejź do powozu i ukryj się. Nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem. – Przycisnęła palec do ust, ucinając dalszą dyskusję.

Dan zrobił, jak mu kazała.

Kiedy zniknął we wnętrzu pojazdu, szarpnęła cugłami i konie przeciągnęły powóz dwadzieścia metrów dalej. May nerwowym ruchem ściągnęła wodze i zatrzymała go. Przechyliła głowę i spojrzała prosto w oczy umundurowanych mężczyzn.

Pan Long czekał w samochodzie. Powóz stanął i burmistrz mógł obserwować przez okno swą córkę i zbiegłego niewolnika. Przeciągnął się z zadowoleniem, unosząc ręce za głowę. Wiedział, że wkrótce się poddadzą. W rzeczy samej, nie wyobrażał sobie, dokąd mogliby jeszcze uciekać, chyba że zdecydowaliby się na bezsensowny rajd na przełaj przez pola. Przez przednią szybę widział kontury nieruchomego powozu. Mijały minuty. Kwadrans zamienił się w wieczność. Nie spodziewał się tego bezruchu; nie podobało mu się to. Zastanawiał się, czy nie powinien pierwszy zdecydować się na jakieś posunięcie. Jego ludzie czekali na rozkaz.

– Jeszcze nie – mruknął do siebie. – Jeszcze nie...

Koła powozu potoczyły się znowu po kamienistej drodze. Policjanci ożywili się, ich konie tańczyły nerwowo. Dłonie mundurowych powędrowały do pasów i chwyciły za rękojeści żelaznych pałek. Nagle powóz skręcił ostro i wpadł na pole kukurydzy. W tej samej chwili policjanci uderzyli obcasami w boki wierzchowców, spinając je do biegu. Pościg, tak jak przewidział to burmistrz, wszedł w nową, ekscytującą fazę. Tyle że teraz uczestniczył w nim cały oddział policji.

Pan Long uderzył pięścią w kierownicę i zaklął. Zrobiło się późno i chciał wreszcie pochwycić zbiega, żeby ta noc dobiegła końca.

Z ociąganiem uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu, dołączając do pogoń.

Powóz niespodziewanie znów się zatrzymał na środku łąki kukurydzy. Burmistrz usłyszał rzenie przestraszonych koni i krzyk swojej córki. W żółtawym księżycowym półmroku zobaczył, że tył pojazdu zapada się w ziemię, jakby podmokła gleba wsysała jego koła. Uwięzione w zaprzęgu zwierzęta przebierały bezradnie przednimi nogami wśród połamanych łodyg kukurydzy. Gniew pana Longa zamienił się w lęk o bezpieczeństwo córki. Otworzył drzwiczki i wyskoczył z auta.

Odpychając na boki policjantów, przedostał się do grzęznącego w błocie powozu. Zajrzał do środka, lecz nie było tam nikogo. Wtem zobaczył córkę. Siedziała samotnie na koźle, ściskając w dłoni skrawek tkaniny. Pomiędzy jej palcami dostrzegł wyhaftowaną z wyjątkowym mistrzostwem czerwoną różę.

– Wybacz mi, ojcze – rzekła Tai May. – Myszki tutaj nie ma. Pomogłam mu uciec.

Rozdział czternasty

Strach na wróble

– Uciekaj, młody panie. Nie przejmuj się mną. – Ven wypowiedziała te słowa ostatkiem sił i jej głowa opadła na ziemię. Walka, którą toczyła już od tylu lat, odebrała jej wszystkie siły. Pomimo bólu uniosła się jeszcze i ujrzała, jak Dan ucieka wraz z wnuczką Toana. A więc udało się. W gęstej kurtynie liści ponad nią świergotały ptaki.

Mężczyzna, którego zaatakowała, podniósł się z ziemi. Był wysoki, miał wymięty i brudny mundur, a jego długimi włosami i brodą targał wiatr. Czerwony ze złości, wymierzył jej kopniaka i Ven poczuła, jak czubek buta wbija się w jej bok, gdzieś między piątym i ostatnim żebrem. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, lecz nawet nie jęknęła. Leżała, dysząc ciężko i wciskając twarz w mokrą ziemię. Policjant postawił obutą stopę na jej głowie.

– Panie Toan, proszę o pozwolenie zmiążdżenia czaszki tej demonicy – powiedział.

Starzec upuścił pistolet na podolek i klasnął w dłonie.

– Nie, nie rób tego – odparł. – Nie wyrzucaj rzeczy do śmietnika tylko dlatego, że sprzątasz dom. Mogą się jeszcze przydać. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Pamiętam, jak dokładnie te same słowa wypowiadała do mnie pewna niewiasta. Moja matka.

– Trudno o prawdziwsze słowa w bardziej odpowiednim czasie! – wykrzyknął kapitan Sai. – Czcigodna pani musiała być wyjątkową kobietą, obdarzoną wielką mądrością i sprytem. Pan, asesorze Toan, odziedziczył po niej wiele niezwykłych cech charakteru.

– W rzeczy samej – zgodził się Toan. Bawił się pistoletem, muskając od niechcienia palcami miedzianą kolbę. Jego kaprawe oczy zamgliło wspomnienie.

Po chwili jednak spojrzenie starego odzyskało ostrość. Uniósł pistolet do twarzy i wyprostował się na krześle. Zatrzymał wzrok na Ven, wpatrując się w nią z natężeniem.

– Przyrowadźcie tę bestię bliżej – rzucił. – Czas wykorzystać niepotrzebne śmieci. Widzieliście wszyscy, jak ta żebraczka wpadła w szal i jak zastrzeliła cesarskiego ministra i jego syna. – Dał znak policjantowi, który wciąż trzymał nogę na jej głowie. – Przynies też jej nóż.

Powietrze po deszczu było wilgotne i ciężkie, wisiało w nim przecucie nieszczęścia. Trzej pozostali mężczyźni przechadzali się powoli po werandzie i rozmawiali szeptem. Długowłosego policjanta schylił się i chwycił garść włosów Ven.

– Wstawaj! – krzyknął, szarpiąc ją z całej siły.

Ven odchrząknęła i splunęła pienistą kulą szlamu w stronę starego Toana.

– Morderca! – wrzasnęła. – Możesz sobie kpić ze sprawiedliwości, ale twój koniec już blisko. Przejrzałam twój plan, umiem odczytać twoje nikczemne myśli. Nie licz na to, że mój mąż i ja przyjmemy na siebie winę za twoje morderstwa. Prędzej umrę, niż potwierdzę te oskarżenia! Będę mówić o twoich zbrodniach do ostatniego tchu!

Pięść policjanta wylądowała na jej lewym policzku. Ven zatoczyła się i znów upadła na ziemię, wypływając czarny ząb. Stary Toan obnażył w uśmiechu zęby, brązowe od nalotu opium i lepkiego soku z orzeszków betelu.

– Brawo – zarechotał. – Mówisz elokwentnie niczym uczonego. Wiedz jednak, mój śmieciu, że nie zaspokoję twej żądy opuszczenia

tej ziemi. Będziesz żyć w więzieniu, dopóki twoja sprawa nie zostanie rozpatrzona przez sąd. W imię sprawiedliwości i przez wzgląd na szacunek dla zmarłych, zostaniesz ukarana za popełnioną zbrodnię. Dopiero sędzia zdecyduje o twoim losie. Jak mierniam, otrzymasz najpewniej wyrok śmierci przez powieszenie.

Dwaj mundurowi pochylili się nad nią i podnieśli z ziemi.

– Raczej umrę, niż pozwolę, żebyście mną pomiatali, bydlaki! – krzyknęła do nich.

Powlekli ją przez dziedziniec, aż zobaczyła tuż przed swoją twarzą szpiczaste czubki butów starego asesora. Przestała się wyrwać. Chciała zaplamić drogie sandały Toana krwawą śliną, ale jej obolałe usta nie mogły się odpowiednio ułożyć. Uniosła głowę, żeby oprawca dostrzegł w jej oczach wolę oporu. Starzec wziął z ręki długowłosego policjanta nóż.

– Przytrzymajcie ją mocno i rozewrzyjcie jej usta – rozkazał swoim ludziom tonem wyjątkowo łagodnym i uprzejmym.

Tylko Ven nie rozumiała jeszcze, co ją spotka. Mundurowi pojęli już zamiar starca. Podnieśli ją do pozycji klęczącej. Jeden chwycił Ven za związane przeguby, a drugi złapał za głowę. Kapitan Sai położył lewą rękę u nasady jej nosa i ścisnął rozczapierzonymi palcami policzki. Drugą dłonią rozchylił wargi, zahaczył palce o dolne zęby i pociągnął żuchwę w dół. Ven została unieruchomiona z szeroko otwartymi ustami. Jej szczękę rozdzierał straszny ból.

Asesor Toan wstał i nachylił się. Czują stęchłą woń jego szaty. Rzadkie brwi, o włosach tak długich jak kocie wąsy, zwisały mu aż na oczy. Gdy zrobił głęboki wdech, Ven miała wrażenie, że wciągnął w siebie całe powietrze. W dłoni starca załśnił nóż.

Próbowała się odsunąć, lecz oprawcy trzymali ją mocno. Z jej otwartych ust sączyła się ślina. Patrzyła na starego Toana wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, bo uzmysłowiła sobie wreszcie, co ją czeka. Krzyknęła, lecz z jej krtani wydobył się tylko pisk. Bezradność doprowadzała ją na skraj obłędu. Usłyszała w głowie krzyk: O niebiosy,

niech już będzie po wszystkim!

Toan złapał jej język przez białą chusteczkę kciukiem i palcem wskazującym. Próbowła się wrywać, rzucając głową na boki, lecz mężczyźni nie dali jej się ruszyć. Zerknęła z przerażeniem na własny język, wetknięty w bawełnianą tkaninę. Kościste palce starca ścisnęły go tak mocno, że z bólu nabiegły jej do oczu łzy. Toan rozciągnął język kilkoma szybkimi szarpnięciami, zacisnął mocniej palce i naprężył ramię. Przy każdym szarpnięciu Ven czuła, jak wnętrzności podchodzą jej do gardła. Ostrze błysnęło w powietrzu.

– Nie umrzesz – powiedział starzec – ale zamilkiesz na zawsze.

Wykonał cięcie. W pierwszej chwili nie poczuła bólu; usta już wcześniej paliły ją żywym ogniem. Krew zalała jej jamę ustną, jak woda, która przerwała tamę po ulewie. Walczyła o oddech, bo płyn podchodził jej do nosa. Słyszała pełne obrzydzenia okrzyki policjantów, gdy padała na ziemię. Z jej rozdziawionych ust wydobyło się dziwne, przejmujące zawodzenie. Stopy kopały ziemię w ataku konwulsji.

Asesor stał nad nią, skurczony i pomarszczony niczym trzydniowy trup, z zakrwawioną chusteczką w dłoni. Gdy Toan wydawał rozkaz kapitanowi, jego głos słyszała z bardzo daleka.

– Aresztować tę kobietę w imieniu prawa – powiedział. – Przywiązać ją na resztę nocy do słupa, żeby nie uciekła. Z samego rana poinformuj wioślarzy ministra o tragicznym wydarzeniu.

– Co mam im powiedzieć? – zapytał Sai.

– Powiedz, że jesteś w głębokim szoku z powodu tego, co się tu stało, że minister i jego syn zostali zastrzeleni przez obłąkaną kobietę, której poszukiwaliśmy jako zbiega od dziewięciu lat. Przekaż im także, że osobiście będę eskortował przestępczynię do Purpurowego Zakazanego Miasta. Istnieje jednak możliwość, że ta szalona kobieta nie przetrzyma podróży, gdyż jak wszyscy widzieliście, jej obłąd popycha ją do skrajnego samozniszczenia.

Głos starca ucichł. Gdzieś wysoko w górze prześwitywała przez listowie żółta twarz żniwnego księżycy. Ven leżała bez ruchu, odpływając w świat niemej udręki. Powoli ogarniała ją ciemność.

Kiedy wybijacz godzin skończył swą pierwszą rundę po ulicach wioski, minęła już północ. Był jak zwykle pijany. I jak zwykle świat jakby się skurczył do rozmiarów zataczającego się człowieka i pełnągę za nim cienia. Milcząca wioska Cam Le opustoszała jak cmentarz.

Duży Con pokręcił głową i zaklął. Jego głos popłynął przez pustą ciemność, jak gdyby krzyczał w studnię bez dna. Nikt nie odpowiedział na obsceniczne słowa. Nikogo w tej nocnej głuszy nie obchodziło jego pijaństwo ani to, że zaniedbał swoje obowiązki i nie obwieścił dwóch poprzednich godzin.

Włókł się przed siebie, nie wiedząc, dokąd zmierza, i zataczając się od wyboju do wyboju. Okrągły księżyc wiszący nad polami kukurydzy niczym największa lampa, jaką widział w życiu, hipnotyzował go swym posrebrzonym blaskiem. A może ten ogromny dysk był tylko otworem? Może patrzył w pulsujący odbyty nieba, z milczącą obojętnością zalewający go oślizłą, tłustą, żółtą wydzieliną? Con ścisnął w zeszywniałych palcach butelkę z winem, a jego umysł płynął, poddając się magnetycznemu przyciąganiu dysku. Ziemia pod jego stopami usłana była maleńkimi kwiatami uroczymi.

Otoczająca go cisza przypomniała wybijaczowi godzin o jego obowiązkach. Sięgnął do kieszeni, lecz zamiast metalowego gongu i obitego filcem młotka znalazł garstkę tytoniu, wymieszanego z meszkiem z tkaniny koszuli. Obwąchał dziwną substancję i wreszcie jego nos wychwycił ostry, cierpki zapach nikotyny. Pręgi blizn na twarzy Cona ułożyły się w grymas zadowolenia. Wetknął sobie kulkę tytoniu pod górną wargę, lekko zapadniętą z powodu braku siekaczy. Smak i woń nikotyny potrafiły czasem wydobyć zeń tyle energii, że nabierał ochoty do bitki.

Dojrzał przed sobą dom Toanów, oświetlony latarniami. Ten widok pobudził jego ciekawość. Ruszył szybciej nierówną drogą, zapominając o hipnotycznym księżycu. Skupił całą uwagę na baśniowym domostwie. Płynący przez szpary w bramie blask skrzył się w kroplach deszczu na liściach kukurydzy.

Zdawało mu się, że słyszy ludzki głos. Nie był to ani śpiew, ani rozmowa. Przypominało mu to raczej westchnienia wiatru szeleszczącego w gałęziach drzew w dżdżysty dzień.

Stał przed bramą przez dłuższy czas, czekając, aż zły pies wypadnie zza krzaka bzu i będzie ział gorącym oddechem przez dziurkę od klucza. W końcu przypomniał sobie, że przeklęta bestia nie żyje już od paru lat. Con trącił lekko skrzydło bramy palcami stóp, przykurczonymi odruchowo na wspomnienie ostrych kłów. Poczul na skórze zimny dotyk drewna i wrota się uchyliły. Dziedziniec lśnił po deszczu. Nie było na nim nikogo. Widocznie to jednak wiatr wydawał te dźwięki, które słyszał przed chwilą.

Duży Con wsunął się przez uchyloną bramę do środka. Zobaczył światło w oknach salonu. Na pergaminowym tle poruszało się kilka cieni. Przystanął i nasłuchiwał z przechyloną głową i przymkniętymi oczami. Bryłka tytoniu w ustach puszczała wciąż gorzkawy sok, który drażnił mu język.

Przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Ruszył dalej, czując, jak wzbiera w nim pragnienie walki. Zamierzał poprosić złowrogiego asesora o jakieś nowe zadanie. Za kilka sztuk srebra chętnie napadłby na kogoś z obecnych wrogów starego Toana.

Zarabianie w ten sposób na alkohol stało się już jego nałogiem, podobnie jak picie i żucie tytoniu. Jak przez mgłę pamiętał gorące popołudnie, gwałtowną szamotaninę z podłym psem, a potem propozycję zarobienia pięćdziesięciu srebrnych monet. Zmieniła ona jego pozycję w Cam Le; z wioskowego pasożyta stał się zawodowym płatnym zabójcą. Ta pierwsza ustna umowa została zawarta właśnie tutaj, na

ganku domu Toana, który zlecił Conowi wyeliminowanie niewygodnego oficera policji.

Dotknął wgłębienia w górnej wardze, krzywiąc się na nieoczekiwane wspomnienie. Zdumiewało go czasem, że zamroczony umysł potrafi po tylu latach odtwarzać takie szczegóły. Nie pamiętał natomiast, czy w ogóle dostał wtedy te pieniądze. Na myśl, że mógł zostać oszukany, ogarnęła go fala gniewu, jakby w jego ciele ożyły nagle trzy złe duchy. Ach, ten przebiegły stary piernik!

Con stanął na stopniu ganku, uniósł głowę, otworzył usta i przechylił butelkę. Rozdrażniony, niechcący połknął także tytoń.

– Nie dzisiaj – wymamrotał. – Nie oszukasz mnie już więcej. Ja zrobiłem, co do mnie należało. Policjant Dao stracił życie, tak czy nie?

Nie usłyszał sprzeciwu, jedynie cichy jęk, który rozległ się chyba w jego głowie. Zamknął oczy i słuchał. Dźwięk się powtórzył, nieustępliwy i dręczący. Con poczuł dreszcz chwytającego za gardło lęku. Nie, to niemożliwe, pomyślał. Czyżby martwi przybyli dzisiejszej nocy w poszukiwaniu zemsty? Odwrócił się i rzucił do ucieczki, mamrocząc coś niezrozumiale. Nim zdążył zauważyć ciemną sylwetkę stracha na wróble, potknął się i wpadł na wiszącą postać.

– Nie zabiłem cię, policjancie Dao – zaskomlał. – To był wypadek.

Butelka wysliznęła mu się z dłoni i stoczyła po skarpie na pole, pozostawiając za sobą strużkę płynu. Duży Con ukrył twarz w dłoniach. Pod zrogowaciałymi opuszkami palców poczuł twarde struny blizn. Wrócił myślami do owego brzemiennego w skutki dnia, gdy udał się na poszukiwanie swego starego wroga, podekscytowany widokiem lśniących srebrnych monet w ręce Toana. Dom Dao stał na południowym krańcu wioski, za ostatnim polem ryżowym. Gdy Con tam dotarł, z ran na jego pokiereszowanej twarzy wciąż sączyła się krew.

Policjant, którego spotkał tego późnego popołudnia, nie był już tym sprawnym, złowrogim oficerem, przez którego Con doświadczył niekończących się udręk na plantacji kauczuku. Dao był teraz zaokrąglonym

jak arbuz, nerwowym człowiekiem.

Duży Con podszedł do frontowych drzwi jego domu, zajrzał do środka przekrwionymi oczami i zaczął wyrzaskiwać przekleństwa pod adresem rodziny Dao do trzeciego pokolenia wstecz. Wymachiwał przy tym trzymaną za szyjkę rozbitą butelką, której ostre brzegi plamiła jego własna krew.

Pamiętał, jak rozwścieczony mężczyzna wypadł z jadalni, dzierżąc w ręce gładko wypolerowaną hebanową pałkę.

Dao uderzył Cona i ten padł na ziemię, wydając ryk rannego byka. Otyły policjant uciszył go, kopiąc w twarz skórzanym buciozem z metalowym czubkiem. Con wypluł przedni ząb, chwytając jednocześnie Dao za nogę.

Nagle część rozplomienionego nieba zasłonił mu widok wielkiej góry drżącego mięsa. Zepchnął to cielsko z siebie i chciał uciekać, lecz zatrzymała go ciekawość. Policjant runął obok zabawek swego dziecka, trzymając się za pierś. Krew odplynęła mu z twarzy, nadając jej barwę młodej wiosennej trawy. Wybijacz godzin podniósł się z ziemi i stanął nad martwym Dao. Był to jego pierwszy, zupełnie niespodziewany sukces w roli zabójcy.

Od tamtej pory stał się postrachem mieszkańców Cam Le. Choć Dao zmarł najwyraźniej na atak serca, ludzie zaczęli się lękać otaczającej Cona złowrogiej aury. Całe zdarzenie zapadło gdzieś w zakamarki jego zamglonej pamięci, otępionej niezliczonymi butelkami ryżowego wina. Czasami jednak wieśniacy widywali go, gdy pijany i rozczochrany szlochał, błagając bogów o przebaczenie, tak jak w tej chwili.

Dotknął nagich stóp stracha na wróble. „Przebaczcie mi”, powtarzał w kółko. Zdawało mu się, że kukła poruszyła się słabo, jakby w odpowiedzi na jego błaganie. W nocnej ciszy usłyszał jęk i uświadomił sobie z przerażeniem, że ten dźwięk nie brzmi w jego głowie. Tobół ze szmat zmienił się nagle w kobiecą postać. Nie wiedział, czy jej kontury są rozmazane z powodu łez w jego oczach, czy też kobieta jest tylko

halucynacją. Powoli rozpoznawał jej twarz. Żebraczka. Wisiała nad nim, jak gdyby właśnie zstąpiła z nieba.

Znów jęknęła. Jej głos przypominał lament orła, któremu zaginęło piskłę. Duży Con dostrzegł czarną jamę ust i poczuł zawieszistą woń krwi. Żebraczka szarpnęła drewniany słup, podrzucając głowę. Zobaczył krępujące ją sznury. Odsunął się, zupełnie zdezorientowany. Ciało kobiety obwisło, przyjmując znów pozycję stracha na wróble, jak gdyby Con przed chwilą doświadczył tylko halucynacji.

Przybliżył się do niej znowu i dotknął jej włosów. Żebraczka zareagowała, przekręcając powoli głowę do góry. Przysunął się jeszcze i pogłaskał ją lekko po policzku. Niczym kot ocierający się o nogę mebla, przycisnęła głowę do jego dłoni i ustawiła twarz tak, żeby księżyc oświetlił jej otwarte usta. Wypełniała je częściowo zakrzepła już krew, utrudniając kobiecie oddychanie. Con słyszał, jak powietrze gulgocze w jej krtani.

Bez słowa odwiązał sznury i złapał żebraczkę w ramiona. I kiedy po długim czasie świat zaczął gdzieś odpływać, a ta bezwładna, posępna kobieta wciąż przylegała do niego całym ciałem, poczuł, jak zaczyna w nim narastać dawno zapomniane pożądanie. W końcu wybuchło, poruszając każdy nerw nowym rodzajem odurzenia. Krzyknął ochryple i ukrył rozplamioną twarz w jej włosach.

Szli polami w kierunku jego chaty. Ona otoczyła ramieniem jego szyję, a on podtrzymywał ją w pasie i unosił przy każdym kroku. Alkohol jakby gdzieś wyparował i nie czuł już jego działania w kończynach. Nękała go niepewność: czy miał prawo ratować tę uwięzioną przez Toana kobietę? Pytanie dręczyło go jak surowy rodzicielski głos, który starał się ignorować.

Mijali drogę za drogą. Con ciągle podtrzymywał kobietę, czując jej miękkie krągłości. A potem wchłonął ich w swoją gęstwinę bambusowy las. Wybijacz godzin słyszał szelest suchych liści pod stopami

zebraczki i miał wrażenie, że szli razem tą ścieżką już po raz tysięczny.

Zabrał ją nad mały potok wśród lasu, niedaleko swojej chaty. Kiedy nie miał za co pić i musiał sobie znajdować jakieś zajęcie, zbudował na brzegu pomost z grubych bambusów. Położył na nim teraz kobietę. Jej długie włosy opadły przez szpary pomostu i unosiły się na falach płynącego pod spodem strumienia. Spoglądała na niego z milczącą rozpaczą w oczach. Sam był już bliski łez. Rozumiał to wyprane z nadziei spojrzenie, ale nie mógł znaleźć słów, aby się odezwać.

Rozpiął powoli, drżącymi palcami, jej powalaną błotem koszulę. Kiedy już ściągnął z niej odzienie, jego dłonie zaczęły błądzić po skórze w poszukiwaniu źródła krwawienia. Nie natrafiły jednak na żadną widoczną ranę. Powietrze wokół było ciepłe po deszczu. Spoza gałęzi drzew obserwował ich księżyc. Skąpana w świetle, udreńczona twarz żebraczki przybrała kolor popiołu, lecz kobieta nie próbowała odpechnąć rąk Dużego Cona.

Leżała przed nim nieruchomo, z głową odwróconą ku wodzie; migotliwy obraz w jej oczach nie obejmował jego postaci. W tej dziwnej, niezręcznej ciszy trzymała nogi złączone, a ręce skrzyżowała wstydliwie na piersiach. Wybijacz godzin wziął głęboki oddech, świadom jedynie unoszącej się i opadającej piersi kobiety. Nie potrafił oderwać od niej wzroku. Ona także drżała, jakby w oczekiwaniu ciosu. Odkasznęła i wypłuła trochę krwi na śliską powierzchnię pomostu.

– Powiedz mi, gdzie jesteś ranna? – zapytał Duży Con.

Odrzuciła ku niemu twarz, lecz milczała. Jej usta wciąż były otwarte jak dziupla w pniu drzewa. Wydobył się z nich cichy gulgot.

– Musisz mi pokazać tę ranę, inaczej nie mogę ci pomóc – tłumaczył. – Masz w ustach krew, ale nie wiem, skąd wypływa. Czy to krwawienie wewnętrzne?

Pokręciła głową. W jej oczach nie mógł niczego odczytać.

Nagle uniosła rękę, sięgając ku jego twarzy. Nachylił się i poczuł, jak palce kobiety suną po zewnętrznej krawędzi jego warg, po czym

wślizgują się do ust. Ten gest był dla niego niezrozumiały, dopóki palce nie chwyciły go za język i nie szarpnęły lekko. Odsunął jej dłoń od swojej twarzy.

– Chodzi o twój język?

Przytaknęła ruchem głowy i otworzyła usta jeszcze szerzej.

– Nie możesz mówić? To przez język, a ta krew...

W jednej chwili, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro zimnej wody, pojął wszystko.

– Stary Toan ci to zrobił, prawda?! – krzyknął i dźwięk własnego głosu przestraszył go.

Znów skinęła głową.

Ujął jej rękę i ścisnął w dłoniach. Kobieta leżała spokojnie, z zamkniętymi oczami. Trwali tak obok siebie przez długi czas, słuchając nocnej pieśni strumienia, a świeży zapach płynącej wody owiewał ich ciała.

– Zostań tu – rzekł do niej w końcu. – Tutaj jesteś bezpieczna. Nie myśl już o tym człowieku. Przyniosę zioła i umyję cię. Dzięki tym bliźnom – dodał, dotykając poznaczonej szramami twarzy – nauczyłem się bardzo dobrze opatrywać rany.

Kiedy wybijacz godzin wrócił nad potok, ujrzał ubrania żebraczki leżące w rogu bambusowego pomostu. Kilka kroków dalej zobaczył zanurzone w srebrnej wodzie spiżowe ciało. Czekał na niego, wykąpała się o własnych siłach. Na odgłos kroków odwróciła głowę i zasłoniła się rękami. Stał na brzegu, trzymając w dłoni słodkie pąki nostryka, a ona wynurzyła się ze strumienia, drżąc na całym ciecie.

Duży Con zmienił się w posąg, niezdolny wręcz uwierzyć w piękno tego widoku. Nawet jej twarz straciła swą pospolitość i promieniała mistycznym światłem. Zastanawiał się, czy ona go lubi. Ta myśl przejęła go lekkiem. Patrzył, jak się ubiera. Miał wrażenie, że dotąd był niewidomy i ujrzał nagle po raz pierwszy w życiu zachód słońca.

– Znalazłem dla ciebie zioła – powiedział, gdy wyszła z wody.

Wzięła od niego ostrożnie żółte kwiaty. Nie widział już na jej skórze śladów krwi, tylko strużki wody, ściekające z czystych włosów.

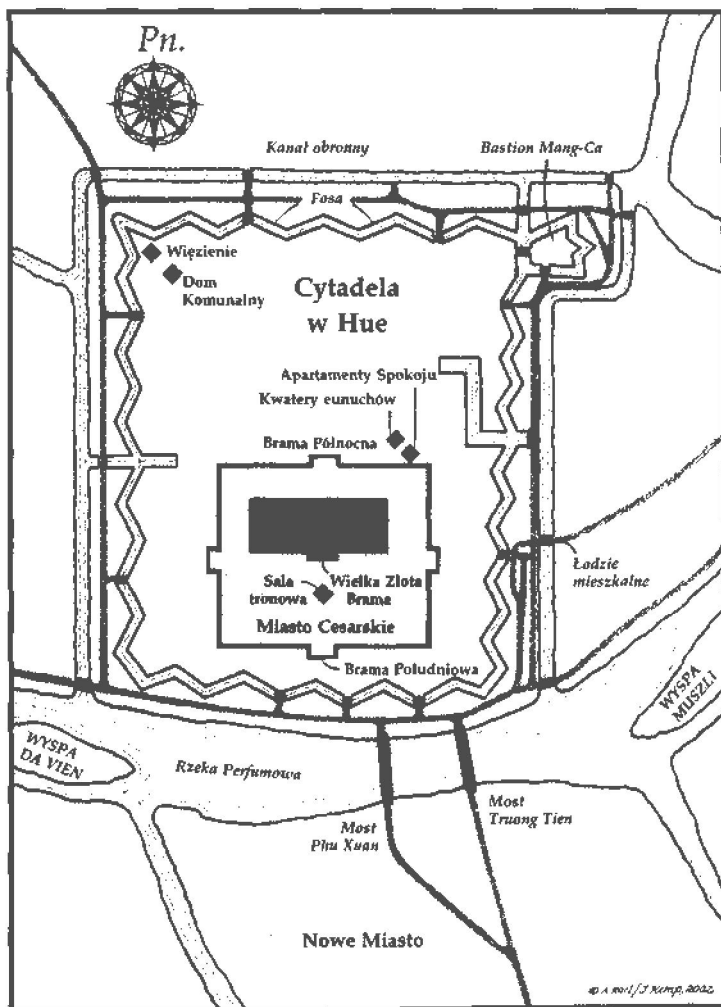
– Trzeba je żuć, żeby się wymieszały ze śliną... – urwał w połowie zdania, zrozumiałwszy niestosowność tej rady. – Ja ci pomogę – mruknął, wpychając sobie zioła do ust i unikając jej wzroku.

Kiedy już gorzkie lekarstwo zostało porządnie rozmoczone i jego esencja zmieszała się ze śliną, Duży Con podniósł wzrok i spojrzał pytająco na kobietę. Nachyliła się ku niemu z otwartymi ustami. Odzyskała jego dłonie i chwyciła je mocno. Wybijać godzin zamknął oczy, wziął głęboki oddech i przycisnął usta do jej ust. Poczł, jak ciało kobiety drży, gdy przyciągnęła go bliżej do piersi. Jej chłopska siła działała nań jak mocne wino, na nowo rozniecając w nim ogień. Oddychał ciężko; las nad nim zakołysał się i wszystko się rozpułnęło. Złączyli się niczym dwie krople wody, które stały się jedną.

Ven odnalazła w sobie poczucie bogactwa, jakiego nigdy dotąd nie znała. Kiedy weszła bez najmniejszego niepokoju do chaty wybijać godzin, zrozumiała, że nareszcie jest w domu.

Część trzecia

SIEDEM LAT PÓŹNIEJ



Rozdział piętnasty

Apartamenty Spokoju

CYTADELA, 8 WRZEŚNIA 1932

Pani Chin umierała. Żona nieboszczyka ministra Chin Tanga leżała cicho wśród poduszek w maleńkiej celi, przeznaczonej wyłącznie dla nieuleczalnie chorych. Gdy tylko otworzyła oczy i ujrzała czerń moskietery nad swoją głową, zaczęła się zastanawiać, czy to właśnie tej nocy czekają spotkanie z mężem i synem. Jeśli udałoby się jej leżeć całkowicie nieruchomo, mogła mieć nadzieję, że przyjdą do niej przed nastaniem świtu. Nie nasłuchiwała ich kroków, umysł bowiem miała jeszcze na tyle bystry, żeby wiedzieć, iż duchy poruszają się bezgłośnie. Czowała jednakże, jak wyciągają ku niej ręce, jak gdyby próbowali rozerwać materię jej świata i prześliznąć się na drugą stronę.

Przez siedem lat, które upłynęły od śmierci najbliższych, większość nocy spędziła bezsennie, przygnieciona poczuciem winy, które potrafiła zrozumieć tylko ona sama. Ostatnio jednak, w tym zamknięciu, zaczęła czuć ich obecność. Wiedziała, że koniec jest bliski. Przycisnęła więc dłonie do serca, gdzie zwykł kłaść głowę jej syn Bui. Spodziewała się, że zrobi to także teraz, i wiedziała, że gdy tylko postacie bliskich osób nabiorą kształtu w ciemności pokoju, będzie to moment jej odejścia.

Noc się kończyła. Przez okrągłe okno w ścianie po jej prawej ręce przeświecał spoza sztywnych gałęzi uschniętego dębu różany blask

wschodzącego słońca. Widziała też niebo zaróżowione jak policzki zdrowego dziecka. Z każdym upływającym dniem czuła się tak, jakby zanadto się zasiedziała na świecie, niczym gość, który przedłużył wizytę ponad miarę. W jej łonie urósł kamień wielkości pomarańczy, jak formujący się płód. Chodziła z trudem, gdyż przy każdym kroku przeżywał ją ból i musiała się pochylać, żeby nabrać powietrza.

Przed dwoma tygodniami, kiedy wraz z innymi damami dworu wypełniała swoje obowiązki w sypialni cesarzowej, runęła nagle na posadzkę, z grymasem bólu na twarzy, łapiąc się rękami za brzuch. Jej oczy zasnęła dziwna mgła. Wysoko nad głową sufit poszarzał jak jedwabna kapa, którą przed chwilą układała na nogach swej chlebobawczyni. Pamiętała, że przed utratą przytomności wyciągnęła rękę ku Cesarzowej Matce, pani Thuc, która skurczyła się przestraszona i wezwała strażę.

Zjawił się nadworny lekarz, który odkrył guz macicy i stwierdził trwałe powiększenie śledziony, uszkodzenie wątroby i osłabienie pracy serca. Nie było nadziei na wyzdrowienie, śmierć bowiem zabarwiła białka oczu pani Chin srebrną zielenią. W świętej cytadeli, gdzie spędziła niemal całe życie, nie miała już bliskiej rodziny. Nikt z dalszych krewnych nie zgodziłby się podjąć opieki nad nią. Umieszczono ją więc w Apartamentach Spokoju, jednym z trzech budynków poza murami pałacu, w którym dożywały swych ostatnich dni kobiety z otoczenia cesarzowej.

Kiedy weszła po raz pierwszy do tego prostokątnego pokoiku o białych stiukowych ścianach, przerażenie omal jej nie udusiło. Sufit był tak niski, że odruchowo miało się chęć wypchnąć go w górę, jak wieko trumny. Leżała samotnie na wąskiej pryczy, słysząc czasami jęki innych cierpiących kobiet w przyległych pokojach. Kiedy te dźwięki zlały się w przenikliwe wycie syreny w jej głowie, zaczęła krzyczeć, błagając pustą przestrzeń o zmiłowanie. Ściany odpowiedziały jedynie echem jej lamentów.

Gdy oczy pani Chin przywykły do braku światła, surowość jej

nowego mieszkania stała się mniej dojmująca. Jedyne meble było tu bambusowe łóżko. Wyczerpana swym wybuchem, leżała spokojnie; życie wyparowywało z niej jak kałuża na pustyni. Posępność miejsca zaczęła jej odpowiadać, jak gdyby był to świat, do którego należała zawsze. Nauczyła się akceptować obecność śmierci, jej zgniłych miąższów i tajemnicy.

W końcu odnalazła we własnym umyśle przejście, które mogła przekraczać, gdy tylko chciała. Wchodziła tamtędy w białą przestrzeń, w której śmierć wydawała się oswojona i przeniknięta spokojem; przebywanie w tej przestrzeni było jak pływanie łodzią po Rzece Perfumowej w pogodny dzień. Przy każdych odwiedzinach miała nadzieję zbliżyć się bardziej do swego przeznaczenia. Każdego ranka jednak budziła się znów na łóżku, zdeorientowana, czując zarazem ulgę i rozczarowanie.

Za oknem huknął wystrzał z armaty, obwieszczając otwarcie pałacowych wrót. Słyszała także dzwony i bębny z pobliskiej pagody. W ślad za żwawym blaskiem słonecznym do maleńkiej, pozbawionej sprzętów sypialni wpłynęła atmosfera święta.

Pani Chin obróciła się na bok, do ściany. Na tle odgłosów codziennej porannej procesji usłyszała miarowy stukot młotków. W Pałacu Cesarskim wznoszono jakąś konstrukcję. Doświadczenie podpowiedziało jej, że jest to zapowiedź jakiegoś wielkiego wydarzenia. Zamknęła oczy i zmusiła się do zaśnięcia.

Tego dnia postanowiła nie myśleć o mężu i synu.

A jednak w tym zimnym pokoju, leżąc tyłem do wejścia i wpatrując się w mrok, nie potrafiła powstrzymać myśli o najbliższych. Aby odświeżyć umysł, przypominała sobie służącego, który raz dziennie przynosił jej posiłek. Jak dotąd tylko on ją odwiedzał. Zwyczaj nakazywał, by kobieta po przekroczeniu progu Apartamentów Spokoju czekała na śmierć, będąc głodna. Od tej zasady nie było żadnych odstępstw, a jej naruszenie surowo karano. Jakie to dziwne, pomyślała pani Chin, że

ktos sprzeniewierzył się tradycji tylko po to, żeby jej pomóc.

Młody służący zjawił się po raz pierwszy podczas jednego z jej ataków. Jego twarz ginęła pod wielkim stożkowym kapeluszem i za szeroką taśmą pod brodą, jakby chciał ukryć swoją tożsamość. Z poziomu podłogi, na której żona ministra dygotała na czworakach, wydając gardłowe jęki, wyglądał tak, jakby spowijał go obłok białego światła. Spojrzenie jego wielkich oczu uspokajało ją, a dotyk miał bardzo delikatny.

Nie stawiała oporu, kiedy się pochylił i wziął ją na rękę. A potem, unosząc się w szarej pustce pomiędzy snem a jawą, znalazła się z powrotem na łóżku. Jej nozdrza wypełniła woń piżma – zapach młodego mężczyzny. Czula się zdezorientowana. Czy to jej syn powrócił z grobu, żeby wybaczyć matce? Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie, młody człowiek zdjął kapelusz.

Na jego twarz padł wąski promień światła spod drzwi, lecz niczego jej to nie wyjaśniło. Poczula, jak dłoń młodzieńca wysuwa się spod jej karku. Złożyła głowę na poduszce, a on nakarmił ją jakąś ciepłą strawą, która wypełniła jej usta gorzkim posmakiem ziołowego lekarstwa. Kiedy skończył, pani Chin wyciągnęła do niego ręce. Wystawały z długich rękawów koszuli, cienkie i kanciaste niczym dwie łodygi lotosu. Pragnęła tylko jednego: żeby ten młody człowiek ją przytulił.

– Kim jesteś? – zapytała. – To dom spokoju. Umieścił mnie tutaj lekarz, żebym mogła dokończyć żywota z godnością. Dlaczego się wtrącasz? Czy przysłała cię cesarzowa?

Pokręcił głową.

– W takim razie odejdz – powiedziała. – Bardzo cierpię. Jeżeli znajdą cię tutaj strażnicy, zostaniemy ukarani oboje, a ciebie może nawet czekać więzienie.

Sięgnął po wilgotną ścierkę, żeby obetrzeć jej usta, lecz odepchnęła go. Zastanawiała się, czy mogła go widzieć w pałacowej kuchni, w salonie starej cesarzowej albo w cesarskich stajniach. Ledwie wydobywała z siebie słowa.

– Skoro nie działasz z rozkazu Jej Cesarskiej Mości – powiedziała – to kto ci pozwolił tutaj przebywać? Wiem, że widziałam już twoją twarz, lecz nie pamiętam gdzie.

Zamiast odpowiedzieć, młodzieniec zniknął z jej pokoju.

Przychodził od tamtej pory codziennie. Choć prawie ze sobą nie rozmawiali, zdumiewała ją radość, jaką czuła podczas krótkich odwiedzin tego milkliwego mężczyzny. Sama jego obecność cieszyła ją bardziej niż pożywienie, które przynosił. Stanowił pełne ciepła przeciwieństwo iluzoryczności drugiego z jej światów.

Obudził ją odgłos ostrożnych kroków na kamiennym chodniku. Słabowity poranek dojrzał i stał się krzepkim popołudniem.

Pani Chin usiadła, odsunęła moskitierę i opuściła nogi na podłogę. Nawet w ostatnich dniach swego życia musiała przy ewentualnych gościach zachowywać klasę, jak przystało na osobę o jej pozycji. Nieśmiało kroki przywiodły jej na myśl młodego służącego. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak stąpa lekko po starej, porośniętej zielonym mchem ścieżce. Zaskrzypiały zawiasy. Gdy pani Chin otworzyła oczy, ujrzała jego zniszczoną brązową tunikę oraz plamę światła. Mężczyzna spojrział na swą podopieczną z troską; jakaś uczciwość biła z jego oczu! Posłała mu nikły uśmiech.

Młody człowiek zbliżył się do niej, przygarbiony pod niskim sufitem. Postawił u jej stóp zakryty koszyk i wyjąkał słowa powitania.

– Jak się cz-czujesz, Ciociu? – Wydawał się podenerwowany.

Pokręciła głową i sięgnęła dłonią do upiętych w kok włosów, próbując go poprawić. Pokój z wolna nabierał kształtów, coraz wyraźniej widziała szczegóły. Dostrzegła pajęczynę brązowych plam; przypominały chmury. Na ścianie w nogach łóżka przyczepiono siedem afiszów z rysunkowymi wizerunkami morderczyni jej męża i syna. Poprosiła strażnika, żeby je tam umieścił, gdyż chciała mieć tę twarz przed oczami. Zabójstwa dokonała jakaś wieśniaczka. Jej oblicze wycisnęło już

piętno na umyśle wdowy, szczególnie obłąkane spojrzenie, które stało się integralną częścią wspomnień pani Chin. To, że morderczyni dotąd nie pochwycono, było jednym z powodów, dla których tak kurczowo trzymała się życia.

Służący przyklęknął i położył ręce na jej kościstych ramionach. Przez okrągłe okno wpadł powiew wiatru, wrzucając kilka zeschniętych kwiatów gruszy z podwórza. Dotknęła twarzy młodzieńca, czując pod palcami mocne kości policzkowe. Odchylił gwałtownie głowę do tyłu, ale nie puścił ramion chorej. Czy to trucizna unosząca się z porów jej skóry kazała mu się odsunąć? A może raczej coś przed nią ukrywał?

– Nie obawiaj się mnie, kochany synu – odezwała się.

Zaskoczony i zdjęty nagłym smutkiem, wyglądał tak, jakby powiedziała coś strasznego.

– N-nie jestem Bui, Ciociu – wybąkał.

Jej twarz się ściągnęła, po policzkach potoczyły się ciepłe łzy.

– Wiem, że nim nie jesteś – odparła.

Młodzieniec zaczął rozpakowywać koszyk. Zręcznymi ruchami zdjął bambusową pokrywę i postawił na podłodze dwie miski. Zobaczyła gotowane udka kurczęcia, sterczące z białego płynu. Jakaś jej częśćka delektowała się zapachem jedzenia, i to odkrycie bardzo ją przeraziło.

– Nie przynoś mi jedzenia – załkała. – Dlaczego koniecznie chcesz mnie karmić? Czy nie widzisz, że umieram i nic na tym świecie mnie nie uratuje? Jeżeli będziesz wzmacniał moje ciało, udręka potrwa dłużej.

– Proszę, zjedz. – Wyciągnął do niej miskę i rozpoznała słodką woń trzymiesięcznego ryżu. Tę szczególną odmianę zbierano po upływie trzech księżycowych miesięcy, a potem ziarna łuskano ręcznie zamiast w młockarni, dlatego były białe jak kość słoniowa i miękkie jak wata. Odwróciła głowę. – Proszę, zjedz choć trochę – powtórzył. W jego głosie słyszała współczucie.

– Boję się, a najbardziej tej twojej dobroci – wyznała. – Nie wiem, czego ode mnie chcesz, lecz przez ostatnie dwa tygodnie w twoim towarzystwie czułam się szczęśliwa. Dlaczego zajmujesz się mną z taką czułą troską, na którą z pewnością nie zasługuję? Błagam cię, młody człowieku, pozwól mi odejść, bo nie zniosę już dłużej rozłąki z moją rodziną.

Skinął głową i umieścił miskę z zupą w jej dłoniach. Resztę jedzenia włożył do kosza. Delikatnie odgarnął kosmyk ciemnych włosów z jej policzka. Spojrzał na nią, a potem zniknął, powracając do świata na zewnątrz jej grobu.

Pani Chin siedziała na brzegu łóżka, z zapomnianą porcelanową miseczką na podolku. Stopniowo osuwała się do tyłu, aż w końcu naczynie przechyliło się i wypadło jej z rąk. Nie słyszała, jak rozbija się z trzaskiem o cementową podłogę, nie zauważyła, jak zupa ochlapuje jej nogi. Ból powrócił, tym razem jednak nie przeszywał jej brzucha, lecz serce. Przez wychodzące bezpośrednio na ulicę drzwi widziała robotników o grzbietach lśniących od potu. Poruszali się w popołudniowym upale jak bydło w stadzie. Przy każdym kroku ich płaskie podeszwy uderzały w spieczoną ziemię, wzbijając obłoki pyłu o lekkim zapachu przypalanej kory bambusa.

Całemu jej dorosłemu życiu towarzyszyła ta woń. Pomyślała o lesie za pałacową kuchnią. Dostarczał specjalnego gatunku bambusa, służącego do wyrobu pałeczek i wykałaczek dla rodziny cesarza. Ujrzała w nim samą siebie; słońce stało wysoko, kołysały się gałęzie drzew. Jeśli nie uważała, delikatne liście potrafiły przeciąć jej skórę niczym ostry nóż. Wspomniała godziny spędzone przy glinianym piecu, wokół którego unosił się zapach palonego bambusa, a skaczące iskierki rozświetlały ciemną kuchnię jak najjaśniejsze gwiazdy.

Przed wykonaniem utensyliów z bambusa, trzeba było przypalić go żywym ogniem. Pod wpływem płomienia tkanka drzewa stawała się

na jakiś czas miękka i giętka i można ją było łatwo obrabiać nożem. Ileż to wykałaczek wystrugała w tej kuchni? Innym damom dworu brakowało niezbędnego wyczucia i pewności ręki do tej pracy. Oczywiście każdy posiłek w Pałacu Cesarskim wymagał skomplikowanych przygotowań i wszystkie kobiety brały udział w różnych fazach jego przyrządzania. Wszystkie poza nią.

Siedziała przed ogniem, zarumieniona od gorąca, sunąc dłonią wzdłuż bambusowego patyka. Węższy, zaostrzony koniec wykałaczki służył do usuwania resztek jedzenia spomiędzy zębów. Drugi koniec natomiast rozdzielony był na setki włókienek, które pobijało się lekkim młotkiem, aż zmiękły. Cesarzowa Matka zwykła używać go po każdym posiłku jako szczoteczki do zębów.

Pani Chin drgnęła. Dlaczego jej umysł czepiał się w ostatnich chwilach życia tych okruchów pamięci? Czy chciał w ten sposób zapomnieć o bólu? Zastanowiła się nad sobą. Obrazy z przeszłości uświadomiły jej, jak monotonne miała życie. Zmarnowała tyle cennych godzin na takie błahе zajęcia jak struganie wykałaczek! Gdyby tak mogła odzyskać ten czas!

– Pani Chin!

W drzwiach pokazała się łysa jak kolano głowa. Rozpoznała wąską twarz, okrągłe oczy bez rzęs i złote kolczyki, pobłogosławione kiedyś przez mnicha z Tybetu. Znajomy widok wywołał uśmiech na jej obliczu. To był Ung, najstarszy i najbliższy przyjaciel z prywatnych kwater wewnątrz pałacowych murów. Był eunuchem i pełnił niegdyś funkcję szambelana. Teraz przeniesiono go do domu dla byłych dworskich urzędników, położonego poza pałacem.

Zatrudniania eunuchów zaprzestano oficjalnie w roku 1914, za rządów cesarza Duy Tana. Od tego momentu kastraci zajmowali się usługiwaniem Cesarzowej Matce lub służyli w haremie aż do śmierci. Kiedy czcigodną panią Thuc ogłoszono Cesarzową Matką, syn pani Chin, Bui, miał około dziewięciu lat. Ung mógł mieć z sześćdziesiąt, kiedy otrzymał nowe zajęcie w Wieży Khon Thai, poślednią pracę polegającą

na wynoszeniu nocnika Jej Cesarskiej Mości.

Pani Chin, jak większość dam dworu, nie знаła go z wyglądu, trzymał się bowiem z dala od ludzkich oczu. Nikt nie wiedział niczego o życiu tego sługi, nikt nie znał nawet jego imienia i nikogo to nie interesowało. Dzień po dniu kroczył po pałacowych promenadach. Z ogoloną i opuszczoną nisko głową oraz złożonymi na piersiach dłońmi przypominał nabożnego mnicha.

Gdy tylko gdzieś jej mignął, zaraz zniknął w ogrodzie albo za rogiem budynku. Nie wiedziała, czy widok jego brązowej tuniki był złudzeniem, czy może po prostu spotkała ducha. Dla mieszkańców Zakazanego Miasta obraz samotnej postaci był przez długie lata jedynym dowodem istnienia tego człowieka.

Pewnego ranka pani Chin wstała wcześniej niż zwykle. Tego dnia jej mąż wraz z synem mieli opuścić cytadelę, aby wziąć udział w obchodach Księżycowych Żniw w wiosce Cam Le. Podróż ta łączyła w sobie oficjalne obowiązki ministra z prywatną misją: pan Chin chciał sprawdzić możliwość ewentualnego małżeństwa ich syna z córką burmistrza wioski.

Oczekiwanie na radosne wieści wprawiło panią Chin w dobry humor i postanowiła nacieszyć się trochę przerwą w codziennych obowiązkach. Myślała, że kiedy pożegna już swoich bliskich, życząc im szczęśliwej podróży, starczy jej jeszcze czasu na partyjkę madżonga w Wieży Doan Trang z cesarskimi konkubinami trzeciej i czwartej rangi. Wszystko wydawało się doskonałe – popołudnie spędzi na grze, bez żadnych trosk, a wkrótce będzie mogła ogłosić, że została teściową.

Kiedy wystrzał z armaty obwieścił otwarcie bram fortecy, szła już ocienioną ścieżką, która rozdzielała dwa ogrody. Mówiła do siebie pod nosem i dotykała włosów, sprawdzając, czy równo się układają.

– Bui – szeptała – ponieważ jestem kobietą i wzywają mnie ważne obowiązki, nie mogę ci towarzyszyć w tej podróży. Wybaczysz mi to, prawda?

Drewniana kładka pod jej stopami zatrzeszczała, przytakując jej słowom.

Wtem, nie wiadomo skąd, wypadł na nią brązowy cień. Zanim poczuła spływającą po gorsie jedwabnej haftowanej koszuli wilgoć, uderzył ją w nozdrza skwaśniały odór moczu. Pani Chin stanęła jak wryta, zakrywając dłonią usta. Myśl o zniszczonym odzieniu wywołała falę gniewu. Zastanawiała się, ile czasu zajmie jej powrót do mieszkania i przebranie się. Wiedziała, że nie zdąży już tego zrobić. Zobaczyła przed sobą klęczącego eunucha. Kilka kroków dalej leżał do góry dnem miedziany nocnik.

– Ty stary diable! – krzyknęła. – Zobacz, co narobiłeś!

Mężczyzna miał pomarszczoną, bezwłosą twarz i załzawione oczy. Kręcił głową, powtarzając w kółko:

– O niebiosa, o niebiosa.

Pani Chin cofnęła się, lecz obrzydliwy smród podążył za nią.

– Jak możesz być taki niezdarny? – zapytała gniewnie. – Ślepy jesteś, czy co?

– Bardzo przepraszam, wielmożna pani – odparł, składając ręce. – Nie chciałem zaplamić pani pięknej bluzki. Proszę nie podnosić głosu. Jeżeli dowie się o tym Cesarzowa Matka, odeśle mnie z powrotem do kwater dla eunuchów. Ta praca to wszystko, co mam. Proszę mnie jej nie pozbawiać!

Złość pani Chin przeszła w litość dla starego człowieka, lecz przerażała ją świadomość zmarnowanego czasu. Zostawiła nieszczęsnego sługę i odeszła pospiesznie, tupiąc mocno w drewnianą kładkę.

Trzy dni później siedziała właśnie przy madzongu, kiedy zjawilo się trzech gwardzistów z Ministerstwa Religii i Ceremonii. Eskortowali dziwnego starca, który przedstawił się jako asesor Toan, głowa wioski Cam Le i dziadek przyszłej panny młodej.

Oczyrna wyobraźni widziała zasuszoną postać, która wydawała się zbyt drobna w zestawieniu z wielkim nakryciem głowy i luźną szatą. Głęboko osadzone, pokryte zaćmą oczy emanowały aurą słabości. Gdy

tylko myślała o tym, jak bardzo odmieniło się jej życie od tego pamiętnego dnia, przypominał jej się ten człowiek i przyniesione przez niego wieści. Dla niej był posłańcem samego diabła.

Po latach wciąż czuła na języku zjełczały smak przerażenia, które ją ogarnęło, kiedy słuchała, jak starzec opowiadał chrapliwym głosem o śmierci jej męża i syna w jakiejś zapadłej wiosce, z rąk obłąkanej chłopki. Nie była przygotowana na taki szok. Uświadomiła sobie, że została całkiem sama na świecie.

Stary asesor do dziś dnia nie odpowiedział na jej pytanie: „Gdzie jest ta zbrodniarka, która zabiła mojego męża i syna?”. Stał wówczas przed nią, nieporuszony jej płaczem. Gdy ujął jej dłoń, chcąc złożyć wyrazy współczucia, pani Chin zemdląca. Lodowaty dotyk jego kościstych palców był nie do zniesienia. Miała wrażenie, że dotknęła jej ręka Śmierci.

Kiedy odzyskała przytomność, poczucie winy i osamotnienia kłuło ją niczym dzioby tysiąca sępów. Była znów w swoim pokoju w Purpurowym Zakazanym Mieście, a w sekcji ministerialnej przygotowywano do pochówku ciała jej bliskich. Dzień miał się ku końcowi i właśnie przestało padać. Pamiętała łuk tęczy, biegnący do jej okna jak most ze świata zmarłych. Jej bliscy byli już po drugiej stronie. Wyciągnęła ręce, przekonana, że zaraz dotknie magicznego mostu.

W kącie pokoju skulił się stary eunuch. Nagle – jak gdyby obudziła się z głębokiego snu i uzmysłowiła sobie, że zbudziło ją własne chrapanie – zrozumiała. Kastrat też musiał widzieć tę tęczę.

– Nie niepokój się – powiedziała do niego. – Martwi nie przyjdą po ciebie. To mnie chcą zabrać.

Widziała ruchy jego ust, lecz słowa zdawały się płynąć z jej wnętrza. Nie, pani Chin... proszę zejść z parapetu... Sięgnęła do uchwytu otwartej okiennicy. Jej bose stopy balansowały na krawędzi kamiennej półki. Sześć piętér niżej, wśród czerwonych dachów ozdobionych ceramicznymi smokami i feniksami, wiła się jak srebrne cielsko pytona cementowa ścieżka.

- Błagam panią – powtórzył. – Proszę nie skakać.
- Skąd się tu wzięłeś? – zapytała. Chciała, żeby zniknął, lecz jednocześnie akceptowała jego obecność, gdyż przerażała ją samotność.
- Przyszedłem oddać pani ubranie. – Pokazał jej jedwabną bluzkę. Trzymał ją w drżących rękach, wypraną i poskładaną. – Proszę przyjąć tysięczne przeprosiny. Usunąłem plamy i jest jak nowa. Czy zechce pani sprawdzić?
- Nie trzeba. Możesz już odejść.
- Nie chcę zostawiać pani samej – odparł, biorąc ją za rękę. Jego głos brzmiał spokojnie i rozważnie. – Proszę wrócić do pokoju. Pani świat jest tutaj, nie tam. Może się pani wydawać zimny i pusty, lecz nie jest pani jeszcze gotowa do odejścia.
- Ty bezpłciowy stary durniu! – krzyknęła. – Co możesz wiedzieć o moich uczuciach? Właśnie straciłam męża i syna!
- Sięgnął obok niej, by zamknąć okiennicę. Usłyszała jego słaby głos.
- Wiem tylko, że kiedy czas nadejdzie, znowu ich pani zobaczy.
- I tak, za pomocą tej prostej filozofii, Ung uratował jej życie. Naza-jutrz towarzyszył jej na pogrzebie. Choć pani Chin nie pokazano zwłok, w jej umyśle zachowały się ohydne obrazy ran, opisanych ze szczegółami przez asesora Toana, mocniejsze z każdym mijającym dniem.

Gdy pani Chin rozpoznała Unga, usiadła prosto na łóżku. Spostrzegła odłamki porcelany na podłodze, lecz nie próbowała nawet odgarnąć ich na bok. Za otwartymi drzwiami widziała ścieżkę z piaskowca, ob-sypaną suchymi liśćmi. Niebo miało barwę wyblakłego fioletu. Eunuch stał u szczytu trzech schodków, marszcząc brwi. Mięsisty nos zadarł w górę i węszył, jakby chciał wyczuć zapach jej pokoju.

Machnęła do niego ręką, a stary człowiek splótł dłonie w geście przerażenia.

- O niebiosa! – zawołał. – Przestraszyła mnie pani tak, że aż dusza ze mnie uleciała.

– Co się stało, Ung? – zapytała, zdobywając się na nikły uśmiech.
– Czy zobaczyłeś ducha? – Widząc, że nie poprawiło mu to humoru, usiadła wygodniej na łóżku. – Proszę, schwytaj tę swoją duszę i wejdź do środka.

– Właśnie wróciłem znad ujścia rzeki Han – powiedział, wymachując rękami w melodramatycznym geście. – Udałem się tam, żeby powitać Jego Cesarską Mość po powrocie do kraju. Przygotowania zajęły dwa tygodnie, to była największa uroczystość od czasu pożegnania ministra Alberta Sarrauta przed kilku laty. Pamięta pani ten festyn, te wszystkie barwne powozy? Ulice zasypane płatkami róż i lśniące srebrnymi ozdobami? Tym razem było jeszcze piękniej, to prawdziwy triumf... Och... – Przerwał z otwartymi ustami, bo jego oczy przyzwyczaiły się już do półmroku. – Dobrzy bogowie, nie widziałem pani tylko przez dwa tygodnie, lecz jakże się pani zmieniła! Jak się to mogło stać?

– Czemu przyszedłeś, Ung? – zapytała. – Czy przynosisz wieści od pani Thuc?

– Nie mam żadnych wieści. – Pokręcił głową. – Dowiedziałem się o pani chorobie od pewnej osoby w pałacu. Przyszedłem tu zaraz po rozmowie z nadwornymi medykami. Chcą, żebym ich powiadomił o pani stanie, ponieważ minęło już dziesięć dni... – Umilkł nagle, drapiąc się po ogolonej głowie.

Pani Chin wygładziła kołdrę.

– No cóż, możesz im przekazać złą wiadomość – odparła. – Jeszcze nie umarłam. Wróc za parę dni, a znajdziesz tu moje zwłoki, gotowe do pogrzebania.

Pod jego stopą coś trzasnęło. Były szambelan odskoczył do tyłu.

– Czy coś połamałem? – Zobaczył na podłodze odłamki porcelany i schylił się, żeby je pozbierać. – Czy ktoś przynosi pani jedzenie? – zapytał.

Skinęła głową.

– Służący z kuchni. Przypuszczam, że przyszyła go Cesarzowa Matka, ale nie jestem pewna.

– To nieważne – odparł Ung. – Nie straciła pani apetytu, co znaczy, że złoty nurt strumienia z niebios jeszcze pani nie zabierze. Muszę teraz przekazać tę wiadomość w szpitalu, ale wrócę i zabiorę panią z tego okropnego miejsca. Polepszyło się pani akurat w odpowiedniej chwili, bo cesarz dzisiaj rano przybył do Hue i będziemy świętować. Co za dzień! Przez siedem długich lat nie mieliśmy władcy, gdy Jego Cesarska Mość kształcił się we Francji. Ale powrócił, i pani także, droga przyjaciółko!

Otworzył drzwi. Pani Chin wstała.

– Nie zrobisz tego – powiedziała. – Wcale mi się nie polepszyło.

Zatrzymał się i cały entuzjazm odplynął z jego twarzy. Pani Chin postąpiła chwiejnie krok w jego stronę, czując wirujący w głowie cyklon zamroczenia.

Eunuch podbiegł do niej. Złapała się wezgłowia łóżka.

– Nie – wydyszała ciężko. – Nigdzie stąd nie odejdę. To są kwatery służące spokojowi ducha i ludzie przychodzą tu, żeby umrzeć.

– Ale minęło już dziesięć dni!

– Ja umieram, Ung. To bardzo powolny proces, lecz znam swoje ciało lepiej od lekarzy. Nie chcę sprawiać kłopotu ani tobie, ani nikomu innemu. Nie chciałbyś chyba w tak radosnym dniu sprowadzić złej aury śmierci do Zakazanego Miasta, prawda? – Eunuch nie odpowiedział. – Ach, więc cesarz powrócił – rzekła, zmieniając temat. – To wyjaśnia te stuki z budowy, które słyszałam przez ostatni tydzień. Powiedz mi, czy wygląd Jego Cesarskiej Mości bardzo się zmienił po tych latach spędzonych we Francji?

Ung usiadł koło niej na łóżku.

– Odkąd cesarz wstąpił na tron w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, nikt w pałacu nie dostał błogosławieństwa ujrzenia jego oblicza choć przez mgnienie oka. Nasz władca bardzo urósł. W cesarskiej tunice i złotym zawoju na głowie wygląda wyniośle i potężnie

niczym smok. Przejechaliśmy pociągiem w obfitej ulewie prawie czterdzieści kilometrów od ujścia rzeki Han do Hue, a na stacji kolejowej przesiadliśmy się do samochodów.

– Czy zostałeś wyznaczony do komitetu powitalnego? – zapytała pani Chin.

– W żadnym razie – odparł. – Jestem tylko ciekawskim starym sługą, któremu udało się tam wkłęcić i nikt nie zaoponował.

– Sprytny z ciebie człowiek – uśmiechnęła się. – Ta historyjka umocni jeszcze twoją popularność wśród dam dworu. Ale opowiedz mi, co się działo potem.

Ung pokraśniał jak dziecko.

– Trasę, którą miał jechać cesarz, przez całe piętnaście kilometrów, od stacji aż do cytadeli, ozdabiały wielokolorowe proporce. Wzdłuż drogi stało mnóstwo ludzi. Pomimo ulewy Wietnamczycy, głównie uczniowie i nauczyciele, skłaniali się do ziemi w oczekiwaniu naszego cesarza. Natomiast Francuzi chowali się pod parasolami i tylko obserwowali ten spektakl.

Nikt się nie odzywał i nie wiwatował, jak to niegdyś bywało, a powietrzem wstrząsał tylko huk strzelającego na wiwat działa.

Jednakże władca postanowił pojechać ze stacji skrótem, żeby uniknąć tłumów. Na placu przed wejściem do Pałacu Cesarskiego ponad morzem głów wykwitły parasole, tworząc nowe niebo. Na mokrej ziemi stał cesarski tron. Żołnierze prezentowali broń, a orkiestra grała hymn francuski. Cesarz wysiadł z automobilu, stanął twarzą do obcej flagi i, ku konsternacji większości zgromadzonych, złożył przed nią pięć rytualnych pokłonów. Dopiero wówczas zasiadł na świętym tronie Syna Niebios. Gubernator, generał Varennes, wygłosił oficjalną mowę, wyrażając nadzieję Francji, iż nastąpi teraz okres pokoju i dobrobytu. Na zakończenie ceremonii znów zagrzmiały działa. Jego Cesarska Mość zszedł z tronu i wniesiono go w palankinie do Zakazanego Miasta.

Pani Chin słuchała tego z błyszczącymi oczami.

– Skłaniając się przed francuską flagą, cesarz okazał swoją podle-
głość cudzoziemcom – zauważyła – co z pewnością obraziło uczucia
wietnamskich patriotów. Ty i ja powinniśmy być wdzięczni, że nie
mamy nic wspólnego z tym momentem w naszej historii. Dziękuj bo-
gom, Ung, że prowadzisz teraz spokojne życie. Wyobraź sobie tylko,
ile czekałoby na ciebie zajęć, gdybyś był szambelanem młodego wład-
cy.

– Tę drogę wybrali dla mnie moi przodkowie – odparł starzec. –
Służenie pałacowi aż do ostatniego tchu jest moim obowiązkiem.

– To prawda. Wątpię jednak, czy Jego Cesarska Mość doceniłby
lojalność starego eunucha po tylu latach spędzonych we Francji. Nabrał
przecież francuskich zwyczajów.

Ujrzała, że kąciki jego ust opadły, jakby jej słowa głęboko go zrani-
ły.

– Właśnie dlatego zostałem oddalony z dworu, żeby spędzić sa-
motnie zmierzch życia w kwaterach dla eunuchów – odpowiedział. –
Jeśli się przyjrzeć z bliska, to życie pani i moje nie tak bardzo się od
siebie różniło. Jedna rzecz nas jednakże dzieli. Pomimo że ja także
oczekuję nadejścia śmierci, nie powstrzymuje to we mnie chęci życia.

Pani Chin zakryła usta dłonią, tłumiąc tym nawykowym gestem
przyływ emocji.

– Brakuje mi naszej przyjaźni, pani Chin – rzekł eunuch głosem
przepojonym smutkiem. – Gdybym to ja znalazł się w podobnym poło-
żeniu, liczyłbym na ciepło pani towarzystwa aż do samego końca. Pro-
szę, bym mógł być pani eskortą podczas dzisiejszych obchodów.

– Dziękuję ci za te dobre słowa – wyszeptała. – Jest już za późno,
bym mogła się stąd wyprowadzić. – Uniosła palec, żeby starzec jej nie
przerwał. – Lecz będzie dla mnie wielkim zaszczytem, jeżeli zechcesz
mi towarzyszyć dzisiejszego wieczoru. Tęsknię za przechadzką i świe-
żym powietrzem. Czas przyjrzeć się nowemu władcy i poplotkować
trochę.

– Dobrze powiedziane! – ucieszył się Ung. – To pierwszy krok. Co mam teraz zrobić? Dokąd pójść? – Objął się ramionami, zachwycony. – Zresztą nieważne. Proszę poczekać, niedługo wrócę.

Chichocząc z zadowolenia, wymknął się z pokoju. Jego postać wkrótce rozplynęła się w przedwieczornej mgle. Pani Chin otarła oczy rękawem bluzki i opadła na poduszki. W głębi serca wiedziała już, że tej nocy zmarli jeszcze po nianie przyjdą.

Rozdział szesnasty

Sala balowa

Stary eunuch powrócił krótko przed zachodem słońca. Kilka kroków za nim szło czterech parobków z cesarskich stajni. Na ramionach nieśli drewniany palankin, wiszący na bambusowych drągach.

Czekając na byłego szambelana, pani Chin zdobyła się na opuszczenie pokoju i stała teraz na schodkach przed drzwiami. Po popołudniowej ulewie woda ciekła z drzewa tamaryszkowego jak z dziurawego garnka. Wilgotne powietrze było ciężkie i chłodne.

Ung przebrał się w czarną satynową szatę, haftowaną z przodu i z tyłu w duże białe znaki dawnego alfabetu. Kontrastowe barwy tuniki, jej długie dzielone poły i kołyszący ruch bioder starca wywołały na twarzy pani Chin uśmiech.

Kipiąc entuzjazmem, eunuch wsunął ręce pod jej ramiona i podniósł ją, wołając jednocześnie na mężczyzn, żeby postawili na ziemi środek lokomocji. Pani Chin próbowała przejść kilka kroków, lecz ledwie przesuwała stopy. Kiedy znalazła się w lektyce, oparła się na poduszkach siedziska, świadoma swego odpychającego wyglądu. W ciągu dwóch tygodni pobytu w Apartamentach Spokoju jej skóra przypominała pergamin. Płatki łuszczącego się naskórka, uczone jej ubrania,

tańczyły w świetle zmierzchu jak senne ćmy.

Ruszyli drogą i wkrótce wmieszali się w gęstą ciżbę gapiów i urzędników pałacowych. Trochę dalej grupa mnichów buddyjskich w szafranowych szatach wybijała zawily rytmy na gongach z żółwich skorup. Ich śpiew niósł się ponad wesołością tłumu. Wysocy mężczyźni o kędzierzawych włosach i nieobecnych spojrzeniach gawędzili po francusku ze swymi równie wysokimi kobietami, których głębokie dekolty podkreślały bujność biustów. Kobiety śmiały się perliście. Szczekały psy, piałły koguty.

Silny ból minął, pani Chin czuła tylko lekkie mrowienie. Miała wrażenie, że guz postukuje o ściankę macicy, jak istota, która chce stamtąd wyskoczyć. Śmiech tłumu rozbrzmiewał w jej uszach, jak gdyby wszyscy, co do jednego, śmiali się z otwartymi szeroko ustami. Nic na świecie nie mogło przytłumić ekscytacji powitalnym przyjęciem młodego cesarza.

Ponad ludzką ciżbę pani Chin widziała kamienne mury Pałacu Cesarskiego, nazywanego także Złotym Miastem. Jej klitka w Apartamentach Spokoju znajdowała się w północno-wschodnim narożniku fortecy, z dala od ośrodka cesarskiej aktywności. Po drugiej stronie było główne wejście do Złotego Miasta, majestatyczna Brama Południowa. Żeby tam się dostać, musieli pójść drogą na obrzeżach fortecy, pełną powozów, pieszych i pałaninów. Tego uroczystego wieczoru brama pozostanie otwarta, a świętowanie może trwać do białego rana.

– Chodźcie – powiedział stary eunuch do tragarzy. Uniósł wysoko rękę, pokazując gwardzistom dwa emblematy z kości słoniowej, opatrzone cesarską pieczęcią – przepustkę do sanktuarium.

Pani Chin rozejrzała się. Droga przeszła w wyłożony piaskowcem dziedziniec. Po jego obu stronach biegły rzędy balustrad z czerwonej cegły, ozdobione rzeźbionym meandrycznym wzorem i przystrojone pochodniami o kształcie kwiatów lotosu. W głębi majaczył masyw Bramy Południowej, wtapiając się w noc.

Zawsze kiedy wkraczała do sklepionego korytarza pod bramą, czuła, jak powietrze staje się balsamiczne i wypełnia się aromatem dymu z drewna sandałowego. Cała konstrukcja została wzniesiona z bloków błękitnego granitu i miała sześć metrów wysokości. Po obu jej stronach ciągnęły się dwa aneksy.

Brama Południowa, niczym olbrzymi żółw niosący na grzbiecie zamek, zwieńczona była Wieżą Pięciu Feniksów. Jej złoty dach, ozdobiony rzeźbionymi smokami i ostrymi iglicami, stanowił koronę kręgu złożonego z pięciu budynków. Wszystko to łączył labirynt otwartych i zadaszonych galerii. Z wielkiej wolno stojącej sali, zwróconej frontem do dziedzińca, rozciągał się widok na okoliczne wioski i góry. Cesarz siadywał tam na tronie, gdy działo się coś ważnego.

Ponad cesarską komnatą znajdowało się duże pomieszczenie o ścianach wykładanych eleganckimi płytkami z miedzi, przeznaczone dla pałacowych dam. Pani Chin przypomniała sobie prowadzące na górę sekretne schody na tyłach sali. Damy dworu mogły stamtąd patrzeć przez pięknie rzeźbioną kratę, same nie będąc widziane.

Zamknęła oczy i pozwoliła swym zmysłom chłonać odgłosy hucznej zabawy. Pomyślała o wybuchach śmiechu, który niósł się echem po korytarzach, o wypełniającym usta smaku słodkiego ryżowego wina. Wiele czasu upłynęło, odkąd uczestniczyła w takich uroczystościach, lecz pamiętała żywo towarzyszące im wrażenia.

Kiedy tragarze schodzili z długiego mostu, otworzyła oczy. W powietrzu poniósł się lekki zapach lotosów. Ujrzała przed sobą migotliwy kształt Złotego Miasta, które z kolei zawierało w swym wnętrzu Purpurowe Zakazane Miasto.

Westchnęła głośno. W zapadającym zmierzchu Pałac Cesarski tonął w blasku tysięcy żarówek w kolorach od pastelowego różu poprzez złoty do purpurowego. Tu i ówdzie dostrzegła świece i lampiony, zaledwie punkciki światła w porównaniu ze splendorem i mocą elektryczności. Tego dnia pałac oświetlono po raz pierwszy prądem elektrycznym,

zainstalowanym dla uczczenia powrotu cesarza.

Na rozległym terenie wokół pałacu trwała budowa pola golfowego, poinformował ją eunuch. Posiano trawę, posadzono drzewa i krzewy, a teraz wykonywano sztuczne sadzawki i placyki wysypane piaskiem. W pobliskiej stajni trzymano najnowocześniejsze modele samochodów. Przez całe życie pani Chin poznała to miejsce tak dobrze jak własną twarz. Lecz w ostatnich tygodniach zmieniło się tak wiele, że z trudem rozpoznawała zarówno swoje oblicze w lustrze, jak i otaczający ją widok.

Przy wejściu do Purpurowego Zakazanego Miasta, serca cytadeli, w którym mieszkała rodzina cesarska, panią Chin i jej eskortę zatrzymali żołnierze. Tragarzom nie wolno było pójść dalej. Tutaj, przed Wielką Żółtą Bramą, stał pokryty czerwoną laką i złotem ołtarz z pięcioma tradycyjnymi ofiarami dla Buddy – wodą, kadzidłem, kwiatami, ryżem i świecami – a także wizerunkami przodków Jego Cesarskiej Mości i innymi przedmiotami kultu. Pani Chin wraz z Ungiem przystanęli przy gościach wykonujących rytuał pięciu pokłonów przed ołtarzem. Niebędnący buddystami Francuzi i młodzi Wietnamczycy po prostu zostawiali swoje samochody na polu za Salą Najwyższej Harmonii i wchodziłi do środka.

Pani Chin pomyślała, że odkąd młody cesarz wyjechał do szkoły z internatem we Francji, Purpurowe Zakazane Miasto – a może i cała cytadela – zaczęło podupadać. Chociaż wielu mandarynów wciąż hołdowało tradycji, na dworze dominowali Francuzi. Większość starszych urzędników zrezygnowała ze swych stanowisk i przyłączyła się do oddziałów rewolucyjnych, takich jak te związane z Komunistyczną Partią Indochin, którym przewodził socjalista Ho Szi Min. Pomimo poważnych konsekwencji – za udział w buncie groziła gilotyna – powstania wybuchały w wielu regionach kraju. W okolicach Hue rojło się od złodziei, bandytów, prostytutek i innych złoczyńców. Gdy tylko jakiś dygnitarz opuszczał bezpieczne mury cytadeli, ryzykował utratę życia, tak jak jej mąż i syn.

Pani Chin przyglądała się wraz z Ungiem hordom cudzoziemców, mijających święte miejsce i nieświadomych jego znaczenia. Zastanawiała się, jak młody władca, który spędził wiek dojrzewania w dalekim kraju i nie miał kiedy się wgłębić w arkana polityki, mógł się przygotować do kierowania tak ułomnym systemem. Sama nie była zbyt wykształconą osobą, czuła jednak, że zmiany, jakie zaszły w jej wspaniałym niegdyś życiu, spowodowane śmiercią męża i syna, stanowiły jak gdyby mikrokosmos wydarzeń, które poruszyły całe państwo.

Wchodziła do pałacu, uczepiona ramienia Unga, gdyż sunący w pośpiechu tłum mógłby ją przewrócić. Komnata Cesarska, pierwszy budynek za Wielką Złotą Bramą, była obiektem, który mogła stworzyć tylko architektura o czterystuletniej tradycji. Wielobarwne światła prowadziły gości prostokątną esplanadą do ogromnej sali.

Po obu stronach wejścia za szklaną przegrodą stała para brązowych lwów – strażników wrót, czających się do skoku. Zawiała rzeźba pełnych zadumy pysków wyrażała głęboką emocjonalność sztuki minionej epoki.

Sala balowa powoli wypełniała się ludźmi. Tradycjoniści ubrani byli w kolorowe jedwabne szaty, z zawojami na głowach i szarfami w pasie, i mieli wysokie buty. Najwyżsi rangą nosili cesarski błękit z wyhaftowanymi wielkimi smokami. Dla mandarynów drugiej kategorii zarezerwowano kolor pomarańczowy, a dla trzeciej zieleń. Dworacy najniższej rangi nie mieli wstępu do głównej sali balowej. Kręcili się po pierwszej komnacie, zmieszani z mężczyznami w garniturach i krawatach i kobietami w przylegających do ciała długich sukniach. Rodzina cesarska zgromadziła się zapewne w głównej sali, na najwyższym poziomie.

Pani Chin była oszołomiona tą sceną. Jaskrawe światła odbijały się od złota ścian, tworząc przed jej oczami wirujące jak w kalejdoskopie obrazy, a głośne dźwięki cudzoziemskiej muzyki sprawiały, że nogi miała jak z waty. Jako dama dworu, i w towarzystwie eunucha, miała

dostęp właściwie do wszystkich pomieszczeń pałacu. Uzbrojeni gwardziści uznawali, że znalazła się tutaj ze względu na Cesarzową Matkę. Przepustka z kości słoniowej i niebieski strój stawiały ją dużo wyżej od innych dworaków i mandarynów.

Świadomość tego faktu wcale nie polepszała jej samopoczucia.

Pani Chin szukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby stać w zatłoczonej sali. Nie oglądając się za siebie, czuła obecność Unga i ciepło jego ciała, gdy ją podtrzymywał. Choć starał się przekrzyknąć muzykę, jego głos był ledwie słyszalny.

– Musimy dostać się na tył sali i zająć miejsce w łóżach za bambusowym parawanem, żeby mogła się pani przyglądać uroczystościom – oznajmił. – Lecz ostrzegam, że nie wyjdziemy stąd, dopóki chociaż nie rzucimy okiem na Jego Cesarską Mość.

– W takim razie zaprowadź mnie tam – odparła, biorąc go pod ramię.

Szli korytarzami, które biegły ku sali balowej niczym pazury smoka chwytającego kulę z nefrytu. Ponad murem ogrodu widziała skrawek nieba i żółty księżyc płynący nad koronami wysokich palm areka, błady w porównaniu z jasnością światła na ziemi. Apartamenty sąsiadujące z Komnatą Cesarską promieniowały ciepłem elektrycznych lamp. Zapachy perfum i egzotycznych potraw konkurowały z nieprzyjemnymi wyciewami dymu tytoniowego, benzyny i spalonego prochu z petard.

W Pałacu Cesarskim jeszcze nigdy nie panował taki chaos i nie było tyle nowoczesności. Nigdy też nie był tak zatłoczony jak tego wieczoru. Mimo powiewów lekkiego wiatru znad góry Ngu Binh płuca pani Chin łaknęły świeżego powietrza. Jakaś Francuzka w średnim wieku, wyondulowana i z upudrowaną twarzą, zaciągnęła się dymem przez długą lufkę z kości słoniowej i obrzuciła ich zdumionym spojrzeniem.

Dotarli w końcu aż na drugie piętro, gdzie korytarzami strzeżonymi przez gwardzistów doszli do łoży, w której stał rząd foteli.

Pani Chin z wysiłkiem dotrzymywała kroku staremu eunuchowi. Siły ją opuszczały, nie zamierzała jednak zemdleć w tym sanktuarium. Gdyby umarła tutaj, byłby to zły omen dla rodziny cesarskiej, której służyła wiernie przez ponad trzydzieści lat. Nie chciała rzucać na nią cienia śmierci.

Usiadła. Kłuło ją w piersi. Kolana jej drżały. Do gardła podchodził gorzki, piekący płyn. A jednak w tym bezpiecznym otoczeniu zaczęła się czuć swobodniej. Mogła stąd obserwować ludzi w sali balowej, nie czując się przy tym jak kurczak, którego za chwilę rozdepczą rozochoczone tańcem nogi.

– Jak się pani podoba to wszystko? – zapytał ją Ung, gdy zajęli miejsca.

Przełknęła kwaśną ślinę.

– Uzmysłowiłam sobie nagle, że jestem już chyba za stara, żeby docenić ten napływ zachodniej kultury – odrzekła. – Świat zmienia się tak szybko. Kiedyś w całej fortecy czuło się woń kadzidła i opium, ale ten czas już przeminął. Współczuję tylko obu Cesarzowym Matkom, które z pewnością bardzo cierpią z powodu tych zmian, szczególnie z uwagi na ich wiek.

– Cii! Cii! – wyszeptał nagle Ung, pokazując na salę w dole. Na podwyższeniu w końcu komnaty, zasłoniętym częściowo bambusowymi parawanami, dostrzegła swoją chlebobawczynię, panią Thuc. Matka cesarza, pani Huu Thi, i dwie inne damy towarzyszyły jej przy partii madżonga. Połysk ich szat o szerokich rękawach współgrał ze złoceńiami mebli.

Cesarz siedział na tronie kilka kroków dalej. Ogromnie wyrósł w porównaniu z chłopcem, którego pani Chin pamiętała, w ciemnym szkolnym mundurku i białych podkolanówkach. Bao Dai był przystojnym dziesięcioletkiem w szarym zachodnim garniturze. Jego dłoni, w przeciwieństwie do ojca, cesarza Khai Dinha, nie ozdabiała biżuteria. Krótko obcięte włosy miał zaczesane do tyłu i wypomadowane, a pełne usta zdradzały wigor młodości.

– Jego Cesarska Mość jest bardzo przystojnym mężczyzną – stwierdziła. – A jednak naszego cesarza wyobrażałam sobie inaczej.

– Mogę tylko powiedzieć – odparł cicho Ung – że cesarz uosabia nowy wizerunek, którego nasz kraj tak rozpaczliwie potrzebuje. Ale proszę spojrzeć tam. – Pokazał jej tęgiego cudzoziemca w jednorzędowej niebieskiej marynarce, ze starannie przystrzyżonym wąsikiem. Obok mężczyzny ujrzała tę samą Francuzkę, którą widziała przed salą balową, z upudrowaną twarzą i ułożonymi w fale włosami. – To *monsieur* Charles, były ambasador, z małżonką.

– Przybrani rodzice Jego Cesarskiej Mości – dodała. Wielokrotnie słyszała to nazwisko podczas lat spędzonych na usługiwaniu Cesarzowej Matce.

– Właśnie. Mają w Paryżu elegancką rezydencję przy ulicy Burdonnais. Jego Cesarska Mość mieszkał tam przez dziesięć lat, gdy studiował nauki polityczne...

– W Lycée Condorcet *puis sciences politiques* – dokończyła.

– Skąd pani zna tę nazwę? – zapytał zdziwiony starzec, unosząc brwi.

– Mój mąż i ja planowaliśmy posłać naszego syna do tej samej szkoły, gdyby udało mu się zdać egzamin wstępny – odparła. – Chcieliśmy, żeby zrobił karierę polityczną.

Wraz z falą żalu napłynęła niekończąca się nigdy świadomość straty. Co robiła przez te wszystkie lata po ich odejściu? Jak doszło do tego, że jest dziś taka zaniedbana jak zniszczone ubranie? Chwytała łąpczywie powietrze, mając wrażenie, że tonie wśród dźwięków obcej muzyki. Na myśl o synu ogarnęła ją fala nudności. To właśnie tutaj jej losy przybrały tak tragiczny obrót. To tu, na schodach pałacu, mąż poinformował ją o propozycji małżeństwa Bui z córką burmistrza Cam Le. I tutaj także zjawiał się kilka dni później asesor Toan, anioł śmierci, by opowiedzieć pani Chin o ostatnich chwilach jej bliskich, spędzonych na tym świecie.

Pomyślała o młodej dziewczynie, która mogła zostać jej synową, gdyby tylko los nie okazał się tak okrutny. Z gorzko-słodką przyjemnością oddawała się kontemplowaniu przeszłości, jaka mogła czekać jej syna.

Kiedy cieszyła się jeszcze dobrym zdrowiem, pani Chin starała się jak najczęściej chodzić na przedstawienia operowe, żeby przyglądać się pewnej szczególnej tancerce. Od swego przyjaciela Unga dowiedziała się, że jest to jedyna wnuczka asesora Toana, dziewczyna, którą mógł poślubić Bui. Po skandalu związanym ze śmiercią ministra jej rodzina starała się odbudować swoje dobre imię, oddając ją do pałacu. Dziewczyna została wdową po synu ministra China, mimo że nie byli nawet zaręczeni. Z powodu tragedii żadnemu poważnemu konkurentowi nie przyszłoby nawet do głowy poprosić ją o rękę.

Pani Chin wydawało się dziwne, że asesor Toan wysłał do pałacu swoją jedyną wnuczkę. Wyczuwała, że za śmiercią jej męża i syna kryją się jakieś mroczne uczynki. Ta dziewczyna mogła znać odpowiedzi na wiele pytań. Pani Chin chciała wierzyć, że ostatnie dni jej syna były radosne, niepokoił ją jednak wyraz smutku na obliczu tancerki. Zastanawiała się, czy to śmierć Bui odebrała jej wszelkie poczucie szczęścia i skłoniła do życia w czystości przez wzgląd na pamięć o zmarłym.

Pani Chin myślała o niej obsesyjnie. Pewnego wieczoru zebrała się na odwagę i po przedstawieniu podeszła do tancerki. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, miała ochotę natychmiast uciekać. Odzyskała jednak postawę godną damy i unosząc dumnie podbródek, rzekła:

– Jestem matką Bui. Proszę, żebyś opowiedziała mi wszystko, co wiesz o ostatnich chwilach mojego syna. – Jej głos przeszedł w łkanie.
– Chcę wiedzieć, jak umarł.

Dziewczyna krzyknęła, jakby ujrziała ducha.

– Niech mnie pani zostawi w spokoju! – zawołała z płaczem. – Nie jestem przyczyną pani straty. Przysięgam sobie nie mówić o tym wydarzeniu do końca moich dni. Proszę mnie nie zmuszać, żebym przeżywała to wszystko na nowo.

Po tych słowach tancerka uciekła do swojej garderoby i nigdy więcej już się nie spotkały. Pani Chin mogła ją tylko obserwować z daleka, słuchając, jak w śpiewie dziewczyny przybywa żalonych tonów.

Stary eunuch znów coś do niej mówił, lecz słyszała go jak z odległości tysiąca kilometrów.

– Zapewniam panią, że tak jest, jako matka bowiem na pewno pani to zrozumie. Ci cudzoziemcy mają rozległe plany wobec naszego władcy, łącznie z sekretnymi zaręczynami, które zostaną ujawnione dzisiaj wieczoru.

Miała wrażenie, że jej głowa oparta o balustradę łoża zmieniła się w worek kamieni. W dole cesarz wstał z tronu i stanął za plecami babki, przyglądając się kostkom madżonga.

– Skąd, na niebiosa, masz takie informacje, Ung? – zdumiała się pani Chin.

– My, eunuchowie, mamy swoje sposoby ich zdobywania – odparł. – Proszę jednak pamiętać, że nasza rozmowa powinna pozostać w tajemnicy. Dodam, że raptowny rozwój dziennikarstwa w Da Nang także otworzył mi oczy na świat poza naszą cytadelą. Istnieje wiele faktów dotyczących naszego cesarza, których my, ultrakonserwatyści w tej zamkniętej fortecy, zupełnie nie jesteśmy świadomi. Francuzi chcieliby, żeby rodzina cesarska wylegiwała się, paląc opium, podczas gdy krajem rządzić będą oni. Dziś rano, kiedy czekałem na cesarza Bao Dai w porcie w Da Nang, przeczytałem artykuł w gazecie „Nam Phong”. Napisano tam, że romantyczne spotkanie naszego władcy z *mademoiselle* Mariette Jeanne Lan Thi Nguyen przerodziło się podczas podróży powrotnej do Wietnamu na pokładzie *D'Artagnana* w głęboki romans. Statek wyszedł z portu w Marsylii i płynął przez Ocean Spokojny, co oznaczało kilka miesięcy żeglugi. Podczas rejsu młodzi ludzie spotkali się niby przypadkowo, lecz było to starannie zaaranżowane przez gwardzistów Cesarskiej Mości. Ona jest katoliczką i właśnie ukończyła studia w Paryżu, w Couvent des Oiseaux, prowadzonym przez zakonnice od Świętego Augustyna. W tym samym artykule napisano, że rząd

Francji odniósł się z aprobatą do tego związku i uważa go za pozytywny krok, który poprawi wizerunek młodego cesarza. Jednakże w moim przekonaniu konflikt dwóch kultur, wietnamskiej i francuskiej, może mieć nieprzewidywalne reperkusje polityczne.

– Co masz na myśli?

– Droga pani Chin, naród wietnamski miał nadzieję, że nowy cesarz ukróci wpływy Francuzów w naszym kraju. Lecz nie zanoszą się na to. Młodego chłopaka posłano do Francji i wychowywał go ambasador francuski, żeby myślał i zachowywał się jak Francuz. Czy sądzi pani, że będzie się teraz buntował przeciwko kulturze, której stał się częścią? Jego przyszła żona, która jest przecież katoliczką, także odegra kluczową rolę w sprawowaniu przez niego władzy. Sądzę, że ze względu na jej wyznanie cesarz będzie mógł mieć tylko jedną żonę. Jego przodkowie mieli już w tym wieku kilka konkubin i założyli kilka rodzin. Rodzice panny Nguyen szerzą religię katolicką. Przyczynili się do zbudowania pierwszych trzech katedr na południu Wietnamu, co dowodziło ich bogactwa i dzięki czemu zyskali uznanie społeczności chrześcijańskiej.

– A jaką rangę ma jej rodzina na dworze? – zapytała pani Chin.

– Obawiam się, że nie są królewskiej krwi, *madame*.

Cmoknęła z niezadowoleniem.

– To może stanowić bardzo poważną przeszkodę w zaakceptowaniu obecności jej krewnych w pałacu – stwierdziła. – Nasza tradycja wymaga, żeby przyszła cesarzowa pochodziła z arystokracji. Ta kobieta bez wątpienia należy do okropnej klasy ludzi interesu. Czy nie dość, że pochodzi z gminu? Czy musi jeszcze do tego czcić boga misjonarzy zamiast Buddy, tak jak my wszyscy? Mniemam, że doradcy i Cesarzowa Matka odmówią zgody na to małżeństwo, cesarz zaś będzie mógł poszukać sobie innej kandydatki.

– Wręcz przeciwnie – odparł eunuch. – Wszyscy ją zaakceptowali. Rodzina cesarska odetchnęła z ulgą już choćby z tego powodu, że

panna jest Wietnamką, a nie jakąś Francuzeczką. Nie dalej jak dzisiaj dowiedziałem się, że pani Thuc pozwoliła cesarzowi na podróż do Datal, gdzie ma się spotkać z rodziną panny Nguyen. Gorąco radzę, żeby nie opuszczała pani jeszcze tej uroczystości, *madame* Chin, jest pani bowiem świadkiem historycznych wydarzeń.

– Wciąż jednak nie rozumiem, czego właściwie chcą od nas Francuzi. Dlaczego nie pozwolą nam rządzić w spokoju własnym krajem?

– Pieniądze, *madame* – odparł eunuch. – Chodzi o pieniądze. Poza tym misjonarze uważają nas za pogan i barbarzyńców. Chcą zbawić nasze dusze, namawiając, byśmy uwierzyli w ich Boga i jako ludzie cywilizowani dołączyli do nowoczesnego świata. Traktują nas jak kolonię, a nie niepodległy kraj, mający własne prawa.

Pani Chin czuła się tak, jakby właśnie się przebudziła z długiego snu. Objasnienia starego eunucha otworzyły jej umysł na świat, który skończył się dla niej wraz ze śmiercią bliskich. Jednakże jego słowa powoli przestawały do niej docierać, jak gdyby mówił w obcym języku.

Jej uwagę przyciągnęło coś innego – zjawą w rogu podwyższenia. Przez moment miała wrażenie, że w tłumie pojawił się jej syn. Nagle opadło ją ogromne zmęczenie. Znowu oparła głowę o balustradę i zamknęła oczy. Przez powieki docierało do niej intensywne ciepło wiszących powyżej lamp.

W dole natomiast cesarz oznajmił właśnie, że musi wcześniej opuścić uroczystość, i część ekscytacji jakby odpłynęła wraz z nim. Pierś pani Chin przygniatał jakiś ciężar. Musiała przysnąć, bo gdy otworzyła oczy, patrzyła prosto w sufit. Na tle stiuków kopuły ujrzała twarz Unga. Miał tak samo bezradną minę jak przed laty, kiedy znalazł ją stojącą na parapecie okna tuż przed skokiem.

Eunuch potrząsał ją za ramiona. Zareagowała mruganiem, ale pozostała całkiem nieruchoma. Nie czuła już lęku, lecz skrajne niedowierzanie. Nagle uśmiechnęła się, mając wrażenie, że jest unoszącym się w powietrzu, nadmuchanym mocno balonem.

– Na niebiosa, pani Chin, co się stało?! – pytał starzec. – Jak się pani czuje?

– Nic się nie stało – odparła. – Właśnie uświadomiłam sobie, kim jest ten służący, który przynosi mi codziennie jedzenie. W tej mojej malignie nie poznałam go wcześniej.

– O kim pani mówi?

Skupiła wzrok na młodym mężczyźnie, siedzącym za bambusowym parawanem. Przed sobą miał rozpięte na drewnianej ramie grube płótno, na którym powstawał portret cesarza, uderzająco podobny do modelu. Na podłodze leżały motki kolorowej przędzy.

– Czyżby miała pani na myśli nadwornego hafciarza cesarzowej, Dana Nguyena? – zapytał Ung.

Skinęła głową i znów zamknęła oczy.

– Proszę, odprowadź mnie teraz do mojego pokoju i zaaranżuj mi spotkanie z tym młodzieńcem – powiedziała. – Muszę się z nim rozmówić.

Rozdział siedemnasty

Portret cesarza

Tańczący goście rzucali migotliwe cienie na inkrustowane smoki, skaczące po marmurowej posadzce. Hafciarz siedział ponad mahoniovym parkietem i solidnymi, rzeźbionymi ręcznie belkami, które dźwigały podest cesarskiego tronu. Haftował portret władcy. Podwyższenie, na którym pracował, otaczał obłok dymu tytoniowego, głaszcząc go swymi miękkimi mackami. Opar gryzł go w oczy i spowalniał pracę. Zabawa w dole rozkręcała się w najlepsze.

Dan Nguyen nucił pod nosem, przeciągając nitkę brązowego jedwabiu przez szorstkie płótno. Pod jego ręką powstawała właśnie dolna krawędź lewego oka władcy. Warstwa po warstwie, dodawał ściegi na płaskiej powierzchni materiału, odtwarzając krzywizny twarzy cesarza Bao Dai z trójwymiarową wyrazistością. Złota igła w jego wprawnych dłoniach śmigała niczym błyskawica, odtwarzając wizję z wyobraźni. Chociaż stworzył już w ten sposób wiele wizerunków, nie przestało go zadziwiać bogactwo, które objawiało się w tych gobelinach. Na każdy nowy obraz patrzył z niedowierzaniem dziecka, jak gdyby na podobieństwo pająka wysnuwał nić życia z własnych żył i utkał z niej dzieło prawdziwej sztuki.

Ponad gęstym obłokiem dymu wznosiła się kopuła złożona z sześciu olbrzymich, trójkątnych kryształów o barwie morskiego błękitu, ułożonych wachlarzowato i zapewniających widok na niebo. Ten niezwykle szklany dach wspierało dwanaście mahoniowych kolumn, ozdobionych złotymi smokami. Dan widział ze swego miejsca wschodzący księżyc, który niczym dodatkowy kandelabr wzmacniał swym światłem jasność we wnętrzu.

Księżyc w pełni nad wielkim budynkiem oznaczał szczęśliwy los, a tron cesarza został ustawiony tak, żeby władca mógł oglądać kosmos i ciała niebieskie. Tej nocy jednak wspaniały widok nie został należycie doceniony, gdyż cesarz był zmęczony po długiej podróży i pomimo trwającej wciąż zabawy i wesołego towarzystwa udał się do swojej sypialni. Czerwono-złoty tron Syna Niebios stał pusty.

Dan przerwał haftowanie, wpiął igłę w czarny jedwabny zawój na głowie i spojrzął na kieszonkowy zegarek. Próbował jeszcze skupić uwagę na portrecie, lecz myślą był już gdzie indziej. Piosenka, którą nucił, miała w sobie cichy poszum wiatru nad polem kukurydzy; wspomnienie z czasów przed zamieszkaniem w cytadeli.

Starał się nie myśleć zbyt często o przeszłości. Wspomnienia dusiły go; czuł się tak, jakby nurkował na dno rzeki, by zwiedzić piękny, ale dziwny świat, do którego już nie należał. W takich chwilach pieśni były niczym porywy wiatru, pomagające płucom znów zacząć oddychać. Wraz z muzyką pojawiał się dreszcz oczekiwania. Czuł, jak zbliża się ta, której widoku tak bardzo pragnął – a może był to tylko rozpaczliwy wybryk wyobraźni?

Zgodnie z układem podobnych uroczystości cesarska trupa powinna teraz odegrać akt ze słynnej opery *Nefrytowa szpilka*. W głowie już rozbrzmiewały mu pierwsze linijki tekstu.

Gdzie jest jego udręczona kochanka?

Z marsem na czole i niespokojnym sercem

Phan Sink kroczył w tę i z powrotem; wchodził

*i wychodził, niezdecydowany.
Lekki wiatr przyniósł zapach kadzidła
I jego nagły niepokój się ulotnił. Zaczął znów o niej
myśleć, dwuznacznie.
W uszach miał granie świerszczy,
Które wraz z pianiem kogutów i gdakaniem kur
przeszywało jego samotne serce.
Uderzenia gongu i brzęk blaszanych talerzy wybijała
godzin obwieściły ostatnią część nocy.
Książka leżała przed nim, lecz nie mógł czytać. Lutnia
wisiła tuż obok, lecz nie miał nastroju do grania...*

– Gdzie jesteś, Tai May? – mruknął do siebie Dan. Dźwięk jej imienia spłynął po jego ciele z szybkością wodospadu. Był pewien, że siła emocji w jego głosie zaalarmowała wszystkich gości w sali balowej. Jednakże sądząc po obojętnych obliczach stojących nieopodal gwardzistów, nikt go nie usłyszał. Wyciągnął igłę z nakrycia głowy i powrócił do haftowania.

Upłynęło wiele lat, lecz pamięć Dana o Tai May wciąż była boleśnie żywa. Nie zapomniał ani jednego szczegółu twarzy, sylwetki i niezależnego charakteru dziewczyny. Wciąż na nowo starał się uchwycić jej rysy na płótnie i w końcu otoczył się mnóstwem wizerunków Tai May. Kiedy zamknął oczy, czuł ciepło jej oddechu na skórze, smak miękkiego pocałunku i zapach uperfumowanego ciała. Od pierwszych promieni słońca, dotykających oczu o poranku, aż po ostatnią lampę zdmuchiwaną nocą, wciąż była obecna w jego myślach. Widział ją w snach; unosiła się jak księżniczka wśród tańczących w umyśle obrazów.

Postąpił według jej rady i przybył do Hue, gdzie był tylko jedną z wielu twarzy w tłumie. Początkowo mieszkał z rybakami, nad rzeką niedaleko cytadeli. Stanowili część żebraczej społeczności, do której należeli też kulisi, robotnicy, zbieracze małży, a niekiedy również

przestępcy. Na pobliskim targu, sławnym ze swego położenia i wielkości, Dan zawsze mógł znaleźć dorywczą pracę.

Żebracy przyjęli go do swego kręgu; przygarniali wszystkich bezdomnych i głodnych. Prości i otwarci, przypominali chłopów z jego wioski, tyle że zamiast grzebać w ziemi, dla zdobycia pożywienia przeczesywali rzekę. Większość z nich miała tylko to, co udało im się zarobić lub użebrać w danym dniu. Dan od początku wiedział, że nie chce stać się jednym z nich.

Kiedy na targu akurat nie było roboty, zajmował się haftem. Pylisty wiatr szeleścił wśród dziurawych dachów, a on, chroniąc się przed ostrym słońcem, rozkładał swoje przybory w jednej z żebraczych bud o ścianach powiązanych brudnymi workami z sitowia. W tym nędznym miejscu tworzył piękne obrazy, pasujące raczej do domów bogaczy. Większość swych gobelinów sprzedawał pewnemu sklepowi na targu, zostawiając sobie jedynie wizerunki Tai May. Stopniowo jego talent stał się znany i bogate damy zaczęły go wynajmować do haftowania portretów, do których pozowały często ze swymi pekińczykami.

Pewnego dnia jedna z kobiet po obejrzeniu jego prac w sklepie postanowiła wypytać kupca o ich twórcę. Wkrótce odnalazła Dana, nie bez trudności, w jego nadrzecznym domu. Było grudniowe popołudnie. Hulał północno-wschodni szkwał, ostrzegając przed sztormem. Kulisi nie mieli tego dnia zajęcia, gdyż targ z powodu niepogody został zamknięty. Wiatr szarpał plecionymi matami na dachu chatki Dana. Gobeliny z wizerunkami Tai May trzepotały, gdy zdejmował je ze ścian, żeby schować pod deskami podłogi. Kiedy arystokratka weszła do środka, Dan był tak pochłonięty ratowaniem swych prac, że nawet jej nie usłyszał. Zanim ją zauważył, kobieta stała dobre kilka minut w drzwiach, przyglądając się ze zdumieniem obrazom. Odezwała się dopiero wtedy, gdy ostatni gobelin został zwinięty i bezpiecznie ukryty.

– Podziwiam twoją pracę – rzekła. – Nie przypuszczałam, że jesteś tak młody. – Jej spokojny, pewny głos kontrastował z odgłosami burzy na zewnątrz.

– Dziękuję – odparł Dan, zastanawiając się, jakim cudem ta wysoko postawiona niewiasta trafiła do jego ubogiej siedziby.

– Widziałam twoje hafty na targu – powiedziała, jakby czytając w jego myślach. – Nielatwo było cię znaleźć, lecz jestem upartą osobą. Widzę, że wykonałeś piękne podobizny młodej tancerki z pałacu cesarza. Musi cię bardzo inspirować, skoro masz tutaj tyle jej portretów. Przyznaję, że trochę jej zazdroszczę, lecz to w istocie piękna dziewczyna.

Nawet huk gromu nie wstrząsnął nim z taką siłą jak słowa tej kobiety. Zakręciło mu się w głowie. Czy to możliwe, żeby chodziło o Tai May? Musiał się tego dowiedzieć, lecz bardzo ostrożnie; był przecież zbiegłym niewolnikiem. Wziął głęboki oddech.

– Czy znasz może tę tancerkę, wielmożna pani? – zapytał.

– Oczywiście. Wszystkie damy w pałacu o niej rozprawiają. To okryta hańbą wnuczka bogatego właściciela ziemskiego z wioski Cam Le.

A więc to była rzeczywiście Tai May. Nie mieszkała już ze swoją rodziną. Dan zmusił się do milczenia, żeby w przypiływie emocji nie zdradzić swej tożsamości.

Jeszcze tego popołudnia kobieta zamówiła u niego portret swego męża mandaryna, ze wszystkimi atrybutami jego chwały. Dan w ciągu kilku tygodni stworzył naturalnej wielkości wizerunek starego notabla w opończy ozdobionej herbem z groźnym błękitnym smokiem. Dzieło to zwróciło uwagę pani Thuc, Cesarzowej Matki. „Widziałam twoją pracę i chciałabym się z tobą zobaczyć”, napisała w liście. Dan zdecydował w tym momencie, że nie chce już się dłużej ukrywać. Zyskał szansę i pretekst; mógł dostać się do pałacu i odszukać ukochaną. Była tak blisko, że przestał się przejmować własną przeszłością i bezpieczeństwem. Nazajutrz wsiadł do czerwonego palankinu z złotym baldachimem, niesionego przez czterech tragarzy w liberiach. Pożegnał posępną robotniczą dzielnicę i wprowadził się do nowej, wygodnej

kwatery wewnątrz cytadeli. Zamieszkał za legendarnym Jeziorem Łagodnego Serca, w odosobnionej części fortecy, przeznaczonej specjalnie dla artystów rodziny cesarskiej.

Przez pięć następnych lat, kiedy wzywano go do pałacu, zajmował miejsce w niewielkiej kabinie do pracy, przypominającej bambusową klatkę dla ptaków, tyle że bez dachu. Jej ściany zrobione były ze sznurków z nanizanymi koralikami, rozpiętych pod takim kątem, żeby widok ograniczał się tylko do portretowanej osoby. Klatka stała dość blisko cesarskiego tronu, żeby Dan mógł wykonać dowolny portret władcy. Znużone dworskie kobiety oglądały potem ukończone płótna, kwitując ziewaniem przebłycki jego talentu. Jedynym wytchnieniem od tego monotonnego zajęcia były występy cesarskiej trupy operowej.

Podobało mu się to, że melodie przekładały jego własne emocje na dźwięki. Kotarę ze szklanych paciorków można było rozsuwać jak zasłonę w oknie i pozwolono mu ją czasami odsłaniać na krótko, żeby mógł zobaczyć całe pomieszczenie. Jeżeli patrzył zbyt długo, uzbrojeni gwardziści cesarscy mieli obowiązek przywołać go do porządku.

Podczas jednego z wieczornych przedstawień mignął mu obraz smukłego ciała, wirującego w piruecie wśród innych tancerek. Dziewczyna patrzyła w jego stronę, lecz jej oczy zdawały się widzieć tylko ciemne koraliki, które ich oddzielały.

W pierwszej chwili sądził, że się zdrzemnął i ujrzał ją tylko w sennym marzeniu. Melodia jęczała zgrzytliwie, jakby ktoś ostrzył nóż o pokrywę jego czaszki. I jakimś niesamowitym sposobem Tai May tańczyła w jego głowie. Jej suknie, niczym białe skrzydła motyla, wirowały pod zielonym baldachimem krzewu różanego przed domem jego dzieciństwa. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie śni. Dziewczyna była tak samo prawdziwa jak płynąca z ust śpiewaczki pieśń.

Oszołomiony zerwał się z krzesła. Niemal nieświadom ostrzegawczych spojrzeń gwardzistów, rozsunął kotarę i wyjrzał na zewnątrz. Lecz dziewczyna zniknęła już z głównej sceny i nie wiedział, gdzie się

podziła. Dwaj strażnicy chwycili go za ramiona i odciągnęli do tyłu. W tym samym momencie dostrzegł biel jej sukni. Stała w pewnym oddaleniu, zupełnie nieruchoma. Czy ona też go poznała? Zasłona została zasunięta, nim zdążył się przyjrzeć twarzy dziewczyny. Po chwili odwróciła się i dołączyła do pozostałych tancerek.

– Znalazłem cię – szepnął do znikającej mu z oczu postaci. – Lecz nie jest w mojej mocy zapewnić ci szczęścia.

Odepchnął strażników i usiadł z powrotem na krześle. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy z wielkiego poświęcenia dziewczyny. Żeby uratować mu życie i dać wolność, Tai May musiała uwięzić samą siebie.

Siedział tak z igłą w ręce i obserwował zabawy mieszkańców pałacu, uroczystość za uroczystością. Podczas ceremonii i rytuałów zaglądał na wewnętrzny dziedziniec, lecz choć przypatrywał się dziesiątkom tancerek, Tai May wśród nich nie było. Zupełnie jak gdyby opuściła pałac na zawsze. I wtedy nadszedł wieczór, kiedy to pani Thuc postanowiła, że cesarska trupa operowa ma wystawić *Nefrytową szpilkę*.

Tego wieczoru Danowi wyznaczono miejsce w pobliżu niskiego stołu zastawionego jadłem, na modłę japońską. Przed nim spoczywały na filigranowych stołeczkach damy oczekujące na przedstawienie. Na ucztę składały się pieczone bażanty, udekorowane pawimi piórami i obłożone maleńkimi czarnymi kurczętami. Poza tym był dzik z różną, kilka wspaniałych dań ze smażonego karpia i ponętnie wyglądające półmiski ostryg i małży. Wśród głównych dań rozstawiono naczynia z ryżem, makaronem i innymi wegetariańskimi frykasami, włącznie z groszkiem śnieżnym i ziarnami gorzycy w trzech rodzajach octu winnego oraz sałatkami z morskich wodorostów. Wino i mocne trunki podawano w grawerowanych srebrnych pucharach, stojących obok importowanych z Pekinu talerzy ze złotym obrzeżem.

Dan prawie nie zwracał uwagi na jedzenie, które podawano mu zza

kotary. Jeszcze nigdy nie uczestniczył w uczcie i nawet oddzielony od reszty gości czuł się tutaj zdecydowanie obco.

Z niewidocznego wewnętrznego pokoju rozległy się pierwsze ciche, przeciągłe tony lutni. Niosły się ponad głosami widzów jak plusk strumyka, wzbierały i nasilały się, aż przeszły w płynną melodię. Dan zobaczył przez zasłonę Tai May. W rozcięciu jej czerwonej satynowej szaty lśniła nieskazitelna biel skóry. Czubki ozdobionych szklanymi koralikami pantofli tancerki przesuwwały się po płytkach posadzki; rozkołysana muzyka opływała ją wokół, niosąc coraz bliżej kotary, za którą krył się hafciarz.

Przystanęła, zwrócona twarzą w jego stronę. Muzyka umilkła i w sali zaległa cisza. Dan wstrzymał oddech, przysunął twarz do zasłony z paciorków i rozchylił ją. Tym razem nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna go dostrzegła. Jej oczy lśniły od łez. Wyraz twarzy był taki sam jak tamtej nocy, kiedy pomogła mu uciec przed morderczą furią asesora Toana. Wówczas spokój jej oblicza skrywał sekretny plan, który uknuła, żeby dać mu wolność. Zastanawiał się, co Tai May zamierza uczynić teraz. Wstrząsały nim dreszcze.

Dziewczyna sięgnęła pod zawiązaną w poprzek piersi krepdeszynową szarfę i wyciągnęła stamtąd kawałek tkaniny. Dan stłumił okrzyk, poznając czerwoną różę, którą kiedyś wyhaftował specjalnie dla niej. Muzyka powróciła i Tai May zaczęła śpiewać. Jej głos dławiono uczucie bijące ze słów pieśni. Dan opadł na krzesło. Aria opowiadała o miłości budzącej się między dwojgiem śmiertelników. Słowa pieśni przesywały serce na wskroś. Tai May skłoniła się, przyciskając haftowaną różę do twarzy, po czym zawirowała raptownie i popłynęła w stronę publiczności. Dan siedział w swoim sanktuarium jak skamieniały, drżąc i pocąc się obficie. Choć jego ukochana należała teraz do cesarza, tak samo jak jego gobeliny, wiedział, że tańczy i śpiewa wyłącznie dla niego.

Świat wokół bambusowej klatki hafciarza świętował powrót młodego władcy. Dan tymczasem obserwował drzwi za podwyższeniem, prowadzące do pokojów zarezerwowanych dla artystów cesarskiej opery. Przez szklany sufit wpadały skośnie promienie księżyca. Gdy spojrział w okno, widział na pomarszczonej powierzchni stawu srebrne refleksy, migoczące wśród cieni drzew. Nad zamglonym brzegiem pochylał gałęzie senny hibiskus. W otulającym budynek wilgotnym powietrzu niosła się delikatna, lecz wyraźna woń lilii wodnych.

Dan zerknął znów na zegarek i melodia, którą nucił, zamarła mu w krtani. Tancerze byli już bardzo spóźnieni. Przyszło mu do głowy, że być może opera nie zostanie tego wieczoru wystawiona, i na samą myśl o tym zrobiło mu się słabo. Nie było mu łatwo uzyskać zezwolenie na wejście do pałacu podczas ważnych wydarzeń, nawet gdy miał pracować nad haftem.

W ciągu całego roku w Zakazanym Mieście odbywały się niemal nieprzerwanie najróżniejsze uroczystości i festiwale. Rocznicę urodzin i śmierci cesarzy i cesarzowych, zmiany pór roku, jego koniec i początek nowego, a także ceremonie upamiętniające zmarłych oraz mające uspokoić zbłąkane duchy – wszystko to wymagało odpowiedniego rytuału.

Z okazji takich świąt stara cesarzowa rozsyłała zaproszenia do wszystkich dam dworu. Plan świętowania obejmował zwykle poranną procesję z hojnymi ofiarami z herbaty, kwiatów, owoców, ryżu i kadzidła, wieczorem zaś grę w brydża lub w madżonga, a na zakończenie przedstawienie operowe. Gdy tylko trafiała się taka sposobność, Dan uruchamiał cały swój urok osobisty, by wpłynąć na damy dworu, do których należało ułożenie listy gości. Przepustka do pałacu dawała mu możliwość ujrzenia, choćby przelotnie, ukochanej Tai May.

Przez pięć długich lat po rozpoczęciu pracy wyczekiwał całymi wieczorami, aż muzycy i tancerze rozpoczną próbę na werandzie pod

murem wielkiego teatru. Siedział sztywno w swym kącie za wąską balustradą i wypatrywał oczy za dziewczyną, która czekała na swoją kolejkę. W święta udawał się do pałacu kobiet i patrzył, jak Tai May tańczy i śpiewa, niczym samotny kanarek w klatce, dla ukochanego, który nigdy się nie pojawi. Wiedział, że zdawała sobie sprawę z jego obecności w pobliżu. On także siedział w klatce, lecz musiał milczeć.

Tak bardzo pragnął wybiec na dziedziniec, wykrzyczeć jej imię, wziąć ją w ramiona i wyznać swą miłość. Był jednak świadom, do czego by to doprowadziło. Dziewczyna była teraz własnością cesarza. Gdyby ośmielił się do niej zbliżyć, gwardziści mogliby ich zastrzelić. Często wydawało mu się, że może lepiej byłoby oddać życie w imię miłości, niż cierpieć katusze niekończącego się czekania. Lecz znajomy głos podpowiadał mu, żeby nie zachowywał się impulsywnie. Głos ten należał do jego żony.

Nie wiedząc, co się stało z Ven, Dan mógł jedynie przypuszczać, że oddała życie za jego wolność. Ostatni raz widział ją w ruinach rezydencji Nguyenów, kiedy kazała mu uciekać, po tym jak stali się świadkami morderstwa. Dan domyślał się, że stary asesor zgładził Ven w równie okrutny sposób jak ministra i jego syna.

Gdyby stanęła teraz przed nim, zapewne usłyszałby z jej ust te słowa: „Oszukałeś śmierć już niejedyn raz, młody panie. Nie obrażaj więc bogów, marnując teraz swoje życie. Pamiętaj o długu, jaki masz wobec mnie. Żeby cię uratować, zostałam tam, gdzie czekała mnie gwałtowna śmierć. Nasze małżeństwo odebrało mi wolność, pozbawiło miłości i szczęścia. Spłać ten dług chociaż poprzez to, że nie zaniechasz zemsty. Ulżyj choć trochę mojej udźreće!”.

Kilka stóp poniżej Cesarzowa Matka rozpostarła ręce. Ramiona jej drżały jakby z zimna, a łososiowej barwy zawój na głowie ześliznęła się na twarz i wyglądał jak zawiązana na oczach opaska. Władczyni dała znak czekającym w pobliżu damom dworu. Dan powrócił do haftowania. Po kilku minutach usłyszał oddalający się stukot drewnianych chodaków.

Wiedział, że zemsta za śmierć bliskich to jego obowiązek, jednakże uważał, że to bezsensowna powinność. Jakże mógłby się mścić na rodzinie asesora Toana, skoro to właśnie wnuczka wroga uratowała mu życie? Gdyby nie Tai May, nie byłoby go dzisiaj na świecie. Tego wieczoru na jasno oświetlonym balkonie rozbudzone emocje nabrały intensywności. Sądził, że przeszłość pozostawił już na zawsze za sobą, lecz okazało się, że wciąż jest z nim, dokądkolwiek by się udał.

Ponad gwar zabawy wzbił się męski głos. Muzyka z gramofonu umilkła ze zgrzytem i wszyscy obecni znieruchomieli. Dan pochylił się i odgarnął paciorki zasłony, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Na brzegu podestu stał młody urzędnik, otyły Wietnamczyk w opiętym beżowym mundurze z wysoką stójką. Kołnierz uciskał mu szyję i twarz mężczyzny poczerwieniała. Stał w lekkim rozkroku, wypinając pierś, żeby jego medale błyszczały w świetle dekoracyjnych żarówek.

Dan spostrzegł, że naśladownictwo kultury zachodniej kończy się na wysokości szyi urzędnika. Na głowie miał bowiem tradycyjny zawój z czarnego jedwabiu, który wyglądał jak bandaż mający uchronić przed wybuchem przekrwioną twarz.

– Panie i panowie – obwieścił urzędnik – zespół opery cesarskiej nie wystąpi dzisiejszego wieczoru. Wobec jednobrzmiących protestów publiczności i oczywiście z rozkazu cesarza przedstawienie zostało odwołane.

W tłumie rozległy się śmiechy. Mandaryn przerwał i czekał z przechyloną na bok głową, aż gwar ucichnie.

– Zamiast tego – ciągnął, kiedy do wielkiej sali powrócił spokój – postanowiliśmy przedstawić wam nowy talent z naszej drugiej ojczyzny. Wyrzysty głos śpiewaczki, znakomita dykcja i wspaniałe poczucie stylu sprawiają, że jest idealną wykonawczynią francuskich pieśni. *Mademoiselle* Suzanne Therein zaśpiewa arię z opery *Peleas i Melizanda* Debussy'ego, akt pierwszy, scena druga, w której odtwarza rolę słodkiej Genevieve. Dla państwa rozrywki i przyjemności, oto panna Therein!

Dan skrzywił się i zakrył dłonią otwarte usta. Przez cały wieczór wyczekiwał pojawienia się Tai May tylko po to, żeby na koniec się rozczarować. Wstał z miejsca. Kłębki nici posypały się na podłogę. Gwardziści zauważyli jego dziwne zachowanie i już szli w jego stronę.

– Nic się nie stało – szepnął do nich. – Odprowadźcie mnie do Wielkiej Złotej Bramy. Skończyłem już haftowanie na dzisiaj.

Rozdział osiemnasty

Camille

Kiedy Dan przeszedł przez Bramę Południową, była północ. Przed sobą widział zadaszoną nadrzeczną promenadę, która wyznaczała granice fortecy. Księżyc wisiał dokładnie na wprost niego. Niepokój i tak nie dałby mu zasnąć, więc zamiast wrócić do mieszkania, przeszedł przez most Truong Tien i znalazł się na ulicach Nowego Miasta, które wyrosło na obrzeżach cytadeli. Docierały już do niego odgłosy nocnego życia na ulicy Morin.

Tej nocy cały kraj świętował powrót cesarza. Dan nie chciał więc pogrążyć się w samotnych rozmyślaniach i taplać w smutku.

Skręcił szybko za róg i otworzyła się przed nim najruchliwsza ulica Hue, zgiełkliwa i kipiąca życiem. Wśród stert śmieci na poboczu ganiały półnagie dzieciaki. Uliczne lampy odbijały się w mętnych kałużach rynsztoków.

W mieście roiło się od bezpańskich kotów, które kryły się w ciemnych kątach lub układały przy słupkach balustrad, jak gdyby chciały się schować przed ludzkim wzrokiem. Ich żałosne miauki niosły się echem w noc. Gdziekolwiek spojrział, widział ciżbę, w której ludzie z gminu mieszały się z wysoko urodzonymi. Wszyscy krzyczeli i śmiali się głębokim, pustym śmiechem, który słyszał także przez cały dzień w pałacu.

Ponad tym zgiełkiem Dan wychwytał subtelniejszy, bardziej hipnotyczny dźwięk muzyki granej na strunach lutni. Płynęła z okna na piętrze herbaciarni po drugiej stronie ulicy. Była to stara ludowa melodia, którą znał od dzieciństwa. Teraz ktoś grał ją wolniej i smutniej. Wisiała w powietrzu niczym duch dawno minionych czasów. Pod wpływem impulsu ruszył w tamtą stronę.

Chcąc dostać się do herbaciarni, musiał minąć hordę pijanych mężczyzn, którzy rozochocili się aż zanadto. Tłum zgęstniał w rozkołysaną dziko masę niezliczonych rąk i nóg, która pochwyciła Dana w sam środek. Przepychając się dalej, poczuł nagle, że jego stopa pośliznęła się na czymś i miał tylko nadzieję, że jest to skórka od banana. Przedał się wreszcie na drugą stronę i gorące powietrze bijące od ulicznych straganów z jedzeniem uderzyło go w twarz, jak niewidzialna ściana z rozżarzonych węgla.

Herbaciarnia miała pięć pięter. Dan wszedł do środka przez wąskie drzwi. Pomieszczenie na parterze przypominało salon zastawiony kanapami i krzesłami. Większość siedzących tu mężczyzn zasłaniały duże palmy, rosnące w dekoracyjnych ceramicznych donicach. Próbował dosłyszeć uwodzicielskie dźwięki z piętra, lecz zgiełk na dole je zagłuszał.

Piękne kobiety w skąpych sukniach snuły się w przyćmionym świetle niczym koty, które widział na zewnątrz. Na twarzach miały mocny makijaż, przez co wydawały się równie tajemnicze jak emanujące z ich ciał zapachy. Żadna nie zwróciła na niego uwagi; był tylko wieśniakiem w tradycyjnej tunice *ao dai*, ukrywającym długie włosy pod jedwabnym zawojem. Różnił się bardzo od stałych klientów lokalu, ubranych w modne lniane garnitury i filcowe kapelusze.

Dan zebrał się jakoś na odwagę i manewrując pomiędzy gośćmi, dotarł do drewnianego kontuaru w głębi sali. Kiedy barman w czarnym uniformie spojrzał w jego stronę, poprosił o herbatę za dziesięć miedzaków.

Z delikatną czarką w dłoni usiadł na fotelu przy schodach, skąd mógł

obserwować przesiąknięte zmysłowością negocjacje handlowe, które prowadziły ze swymi klientami kobiety. Wewnętrzny głos nakazywał mu jak najszybciej wypić herbatę i wyjść, lecz ciekawość przykuwała go do miejsca. Skoro zwabiły go tu dźwięki lutni, chciał poznać osobę, której muzykę usłyszał z ulicy.

Po kwadransie Dan podszedł znów „do kontuaru. Barman nachylił się ku niemu. Był wielki jak dąb, broda zarastała mu nawet szyję, policzki miał zapadnięte, a oczy tak wąskie, że w jego twarzy wyglądały jak dwie sardele. Włosy zaczesał na dużą łysinę na środku czaszki. Spojrzał na Dana spode łba.

– O co chodzi? – zapytał. – Czy Jego Ekscelencja wybrał już dziewczynę, której pragnie?

– S-słyszałem z ulicy, jak ktoś tu g-grał na lutni – wyjąkał Dan. – Chciałbym zapłacić tej osobie, żeby zagrała dla mnie tę melodię. – Zagwizdał fragment *Nefrytowej szpilki*, który wciąż rozbrzmiewał mu w głowie.

Mężczyzna zachichotał.

– O matko niebios! – zakrzyknął w udawanym zachwycie.

– Czy powiedziałem coś śmiesznego? – zapytał Dan.

– Wcale nie. – Uśmiech pozostał przyklejony do twarzy barmana.

– Tylko po prostu nie wyglądasz na typowego wielbiciela naszej Camille. Jesteś za młody. Zapytam z ciekawości: czy ktoś ci ją polecił?

Dan pokręcił głową. Wszystko okazywało się bardziej skomplikowane, niż się spodziewał. Upił łyk herbaty.

– Posłuchaj. – Barman nachylił się bliżej. Miał oddech jak morze zgniłych ryb i Danowi aż łzy stanęły w oczach. – Klient, który ma więcej niż dziesięć sztuk srebra w sakiewce, może tu liczyć na rozkosze podniebienia i zaznać przyjemności obcowania sam na sam z każdą z tutejszych kobiet. Służą do tego pokoje na górze, a im wyższe piętro, tym droższe są mieszkające tam dziewczyny. Rozejrzyj się tylko; możesz wybierać z tylu ślicznotek. Może znajdziesz sobie jakąś inną, na przykład taką o ładnych małych ustach? A może wolisz dziką i namiętą?

– Powiedziałem ci już, że przechodząc ulicą, usłyszałem dźwięk lutni. – Dan nie ustępował. – Czy wasza muzykantka potrafi zagrać coś z *Nefrytowej szpilki*? Jeżeli tak, to muszę się z nią koniecznie zobaczyć.

Mężczyzna namyślał się, cmokając przez zęby. Oczy miał jak dwie kreski. Dan czekał, wstrzymując oddech. Wreszcie barman plasnął dłonią o kontuar.

– Usiądź sobie. Zaraz tu wrócę z Camille – powiedział.

Dan wycofał się na miejsce pod schodami. Widział stąd całe wnętrze, które najwyraźniej zostało niedawno odnowione. Pozostałości starej dekoracji wciąż można było zobaczyć w postaci miedzianych płytek, którymi obłożono belki sufitu i owalne przejścia do pokoiów dla graczy. Naprzeciwko drzwi wejściowych, zamiast typowych parawanów, jakie spotykało się w bogatych domach, wnętrze osłaniała od ulicznego kurzu kryształowa ściana spadającej wody, która jednocześnie zwiększała poczucie intymności klientów lokalu. Unosząca się ponad tą kaskadą mgielka pachniała paloną gumą, a wilgotny opar pokrywał meble jak warstwa oliwy.

Dan siedział w ciemnym kącie, popijając herbatę. Między schodkami widział drogie zachodnie buty wchodzących na górę mężczyzn, a obok jedwabne pantofle ich kobiet. Ci, którzy schodzili, mieli na twarzach wyraz zadowolenia, potwierdzony nieładem stroju i głupawym uśmiechem. Kołtuńskie oblicza poznaczone były śladami pocałunków o kształcie serduszek, wskutek czego mężczyźni przypominali świnie, które przeszły właśnie inspekcję weterynaryjną i otrzymały czerwony stempel aprobaty.

Wtem napłynął nie wiadomo skąd ciepły podmuch, przynosząc ze sobą ostry, kwiatowy zapach perfum. Dan odwrócił się i ujrzał atrakcyjną kobietę, półleżącą na oparciu jego fotela. Włosy miała związane na karku w duży węzeł. Fioletowe górne światło tworzyło cienie pod jej oczami i przyciemniało fałdy wokół ust, nadając kobiecie wygląd sowy.

– Jestem Camille, do twoich usług – powiedziała. – Odwiedzasz Hotel Czerwonych Snów po raz pierwszy, jak mniemam?

Dan skinął głową i wbił wzrok w podłogę. Kobieta roześmiała się odrobinę smutno.

– Podobno szukasz towarzystwa? – zapytała.

Przyjrzał się listkom herbaty na dnie czarki, słuchając stukotu kości do gry z pokoju obok. Kobieta zsunęła się na fotel obok niego. Przy tym ruchu materiał jej czarnej sukni zebrał się na plecach. Pod cienką satyną Dan widział zarys jej żeber. Wyglądniałe spojrzenie patrzących wprost na niego oczu znowu przypomniało mu uliczne koty. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Nie mógł oderwać spojrzenia od jej ostrych białych zębów, błękitnawych w świetle lampy. Przyciągnęła go do siebie.

– Czy znasz prawa rządzące takim miejscem jak to, młody wieśniaku? – zapytała. – Jeżeli chcesz dziewczynę, musisz zapłacić za jej czas. Chyba że nie masz srebra, co oznacza, że to nie miejsce dla ciebie i musisz się stąd natychmiast wynieść.

– P-przyszedłem tutaj z jedną tylko prośbą – wybąkał. Jej perfumy kojarzyły mu się z wonią stojącej wody w wazie z przywiędłymi różami.

– No to znajdujesz się we właściwym miejscu, drogi chłopcze – odparła z nutą dumy. – W tym domu możesz żądać wszystkiego. Nie ma takich dziwactw, których by tutaj nie robiono. Jednakże ludzie najpierw płacą, a potem dopiero zaspokajają swoje żądze. Gdy tylko odpowiednio wynagrodzisz moje usługi, zastosuję się do twoich życzeń.

Sięgnął po sakiewkę schowaną pod szarfą w pasie. Jej chciwe oczy śledziły każdy jego ruch.

– Powiedz ile? – zapytał.

– To zależy od tego, na jak długo chcesz mnie mieć – szepnęła. – W pierwszej godzinie jestem warta dwie srebrne monety. A jeśli dodasz jeszcze osiem, będę cię obsługiwać z oddaniem przez całą noc.

– To, o co mi chodzi, zabierze ci nie więcej niż dziesięć minut – odrzekł Dan.

Camille zachichotała.

– Rzeczywiście jesteś niedoświadczony, młody wieśniaku. Lecz nie obawiaj się! Jestem uzdolnioną nauczycielką. Co więcej, dysponujemy winem z tygryziej kości. Ono wspomogę twoją wytrwałność. W domu rozkoszy nie liczy się czas, lecz satysfakcja.

Dan wyjął dwie srebrne monety i podał jej. Odsunęła gwałtownie rękę, jak gdyby chciał jej wręczyć bryłkę rozżarzonego węgla.

– Nie dawaj mi pieniędzy – szepnęła. – Płaci się jemu.

Dostrzegł cień sunący w ich stronę z drugiego końca sali.

Postać potknęła się i jej kroki zadźwięczały metalicznym echem, jakby ciągnęła po posadzce żelazne kajdany. Z ciemności nad Danem wyłoniła się twarz barmana, okolona gęstą szczecinią czarnej brody. Olbrzym zatrzymał się krok przed nim i przyjrzał mu się. Wyciągnął rękę z wiszącym na nadgarstku pękiem kluczy. Dan zrozumiał, że to one właśnie tak podzwaniały, imitując brzęk kajdan. Położył monety na dłoni barmana i patrzył, jak znikają.

– Godzina – mruknął mężczyzna.

– A mój napiwek?! – krzyknęła kobieta.

Dan nigdy dotąd nie słyszał tego słowa. Oboje pożerali go wzrokiem, spodziewając się najwyraźniej, że wie, o co chodzi. Próbował wyczytać coś z twarzy kobiety, lecz ona wpatrywała się tylko w jego sakiewkę.

– Co to jest napiwek? – zapytał w końcu.

– Prezent dla mnie – odparła zniecierpliwiona. – Jak możesz tego nie wiedzieć? Powinieneś okazać wdzięczność za moje usługi.

– Nie oddałaś mi jeszcze żadnych usług – zaprotestował Dan.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Zrobię to, kiedy tylko zapłacisz za wszystko z góry.

– Dobrze więc. – Jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. – Ile ci jestem winien za tę wielką przyjemność?

– Najmniejszy napiwek to zwykle połowa opłaty – odparła. – Jednakże zdaniem większości klientów moje talenty warte są co najmniej dwóch dodatkowych sztuk srebra.

Dan położył na dłoni barmana dwie kolejne monety, które znów zniknęły jak za sprawą magicznej sztuczki.

– Dziękuję, Ekscelencjo – rozległ się jego tubalny głos. – Okazał pan wielką szczodrość tej damie. Proszę jednak nie zapominać o mnie. Ja także zasłużyłem na napiwek, a to z dwóch powodów: po pierwsze, przyprowadziłem panu tego słowiczka. Po drugie, toja właśnie będę strzegł waszych drzwi, żeby wam nie przeszkodził jakiś pijak albo, co gorsza, policjant.

Dan szarpnął z irytacją kołnierz tuniki. Cały ten wieczór okazał się jedną wielką pomyłką. Przeklinał siebie w myśli za to, że w ogóle wszedł do tego lokalu. Przeklinał tych dwoje łajdaków, bo zamiast drobnej przyjemności spotkała go nieznośna przykreść. Że też musiało się to stać właśnie tej nocy! Podniósł wzrok, mając nadzieję zobaczyć na ich twarzach choćby cień skruchy. Ujrzał tylko dwie pary oczu wpatrzonych z błyskiem nieskrywanego pożądania w aksamitną sakiewkę w jego ręce.

– Dlaczego robicie ze mnie durnia? – zapytał cichym głosem. – Chcę jedynie usłyszeć pieśń. Dlaczego mnie irytujecie tymi głupimi żartami?

– To miejsce rządzi się pewnymi prawami – odparła Camille. – Nieważne, czy spędzisz ze mną minutę, czy godzinę i czy będziemy siedzieć przy stole, czy też pójdziemy na górę. Do ustalonej ceny zawsze dolicza się napiwki.

Dan uniosł rękę i jego sakiewka znalazła się tuż przed twarzą kobiety. Poruszył palcami i monety wydały cichy brzęk. Camille przelknęła ślinę, mięśnie jej szyi się poruszyły. Barman drapał się po brodzie.

– Zapłacę tyle, i ani grosza więcej – powiedział Dan. – Wliczając w to twoje usługi, twój napiwek, jego napiwek i ochronę przed stróżami prawa. Dziesięć monet. Za te pieniądze mógłbym ci kazać szczekać jak

kundlowi. I sądząc po twoim nastawieniu, jestem pewien, że zaszcze-
łabyś nawet za dużo mniejszą sumę.

Rzucił garść monet na jej podolek. Rozprysnęły się w niebieskawym
świecie jak bryzg wody. Camille przesunęła się na brzeg fotela z otwar-
tymi szeroko ustami.

– Nie każę ci robić niczego haniebnego – ciągnął Dan. Mówił teraz
spokojniej, niemal szeptem, lecz wypowiadał słowa tak wyraźnie, że
brzmiały, jakby krzyczał. – Nie pozostanę w twoim pokoju dłużej niż
pół godziny. To srebro należy do ciebie, co do sztuki, jeżeli tylko za-
śpiewasz pieśń, o którą mi chodzi, akompaniując sobie na lutni, tak jak
słyszałem to z ulicy. Spełnisz moje życzenie, czy mam natychmiast
stąd wyjść?

Camille pozbierała monety obiema rękami i oddała mu je.

– Zabierz te pieniądze, młody wieśniaku – powiedziała. – Zaśpie-
wam ci tę pieśń i będzie to zarazem mój prezent dla ciebie, jako prze-
prosimy.

– Nieszczęsna niewiasto, czyś postradała zmysły? – wściekł się
barman. – Dlaczego taka podstarzała prostytutka jak ty odmawia przy-
jęcia tak dużej sumy z powodu jakiegoś pomyłonego wielbiciela? To
wprost nie do uwierzenia!

– Zamilknij – odparła kobieta. – Ten człowiek już zapłacił, łącznie
z napiwkiem. Czego jeszcze żądasz? Chcesz wypłoszyć szczodrego
klienta i pozostawić w jego umyśle tak złe wrażenia, że nigdy już do
nas nie zawita? Wracaj na swoje miejsce i serwuj ludziom napoje. Mnie
zostaw w spokoju, żebym się mogła zająć tym, za co mi płacisz: zaba-
wianiem gościa. A ty, wieśniaku – chwyciła Dana za rękę i pociągnęła
ku schodom – chodź do mojego pokoju.

– Gdybyś była dobrą dziwką – burknął olbrzym – zostawiłabyś mi
dobijanie targu.

Kiedy dotarli na półpiętro, Camille oparła się o pierś Dana i wyszep-
tała:

– Jak już będziemy w moim pokoju, musisz mi oddać zawartość

sakiewki. Przysięgłam sobie nie robić w życiu dwóch rzeczy: nigdy nie przeproszać i nigdy nie obsługiwać nikogo za darmo. Po prostu nie chciałam się dzielić pieniędzmi z tą bestią na dole.

Korytarz prowadzący do jej pokoju był wąski i ohydny, cuchnął gnijącymi odpadkami, potem i ekskrementami.

– Patrz pod nogi – ostrzegła go.

Nie było wentylacji i każdy jego niepewny krok zdawał się wprawiać w wir uwięzione powietrze. Stiukowe ściany wydawały dźwięk podobny do pomruku prądu elektrycznego. Rozpoznawał w nim odgłosy seksualnego zaspokojenia – jęki, stękania, piski.

Camille szła kilka kroków przed nim i jej sylwetka wtapiała się w cienie korytarza. Widział tylko wąską, białą szyję, jakby zawieszoną w powietrzu. Dan zastanawiał się, ile razy w ciągu dnia ktoś taki jak ona musiał odprawiać cały ten rytuał – iść lepiącym się od brudu korytarzem, słuchać pomruku ścian i w ramach swoich obowiązków ciągle zabawiać mężczyzn.

Dotarli do końca korytarza. Jej pokój znajdował się w narożniku pierwszego piętra, nad wejściem do herbaciarni. Camille obróciła gałkę w drzwiach i weszli do środka. Jego oczy zarejestrowały najpierw księżyc. Okrągły i żółty jak kula topionego wosku, wlewał swoją poświatę przez okno.

– No to jesteśmy – powiedziała. – Tysięczne przeprosiny za ten okropny korytarz. Sukinsyn Van Tong żałuje pieniędzy i nie zatrudnia w swoim burdelu sprzątaczek. Prędzej czy później pomieramy tu na więcej chorób niż szczury, które się gnieźdzą w tym budynku.

– Kim jest Van Tong, czy to właściciel?

Skinęła głową.

– Tak, to ten bydlak, którego poznałeś na dole.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Myślałem, że to jeden z pracowników, barman i wykidajło.

Camille zatrzasnęła drzwi i kiedy zniknął ciemny korytarz, pokój aż

pojaśniał. Dan poczuł nikłą woń fiołków. Kobieta podeszła do niego na palcach. Jej stopy – Dan spostrzegł dopiero teraz, jakie są małe – plaskały o deski podłogi, jakby chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. Jednocześnie ręce Camille znalazły się na jego barkach i spoczywały tam przez chwilę, po czym zsunęły się po ramionach tak powoli, że jego ciało zareagowało gęsią skórką.

Zwrócona ku niemu twarz pokryta była grubą warstwą pudru i wyglądała jak biała maska. Z kącików wypranych z wszelkich emocji oczu rozchodziły się kurze łapki. Dan odsunął się. Gdzie się podziała dusza tej kobiety? Dlaczego nie było w niej choćby cienia empatii, za której okazywanie płaci się przecież tego rodzaju osobom? Maska obrzuciła go pustym spojrzeniem, którego nie sposób było zrozumieć.

– Masz zaśpiewać – przypomniał jej.

– Naprawdę tylko tego chcesz? – zapytała. – Płacisz mi mnóstwo pieniędzy.

Skinął głową. Bez Tai May pieniądze nie miały dlań wartości. Łączyła go z ukochaną jeszcze tylko *Nefrytowa szpilka*. Przedstawione w operze koleje losu, tak dobrze mu znane – budzące się pożądanie, a potem połączenie i na koniec rozstanie – odzwierciedlały tradycyjny aspekt życia w cytadeli. Zakazana miłość, skrywana za jedwabnymi parawanami, towarzyszyła cesarskim urzędnikom i konkubinom przez całą historię. Uwieczniono ją w literaturze i licznych pieśniach. Romantyczne rozterki były częścią uprzywilejowanego życia za murami cesarskiej fortecy. Jakże taki skromny hafciarz jak on mógłby rzucać wyzwanie starożytnym zwyczajom? Jedyne ukojenie znajdował teraz w pieśni, której nikt nie mógł mu już odebrać.

Niesmakiem napawała go jedynie myśl, że muzyki swego serca musiał się domagać od kobiety tego pokroju. Stała przy oknie jak spalony knot zgasłej świecy. Lecz zaszedł już tak daleko, znalazł się tak blisko...

– Tylko zaśpiewaj – powiedział ze ściśniętym gardłem.

Camille podniosła wieko stojącej na kominku rzeźbionej szkatułki i

wrzuciła tam jego monety.

– Lutnię mam w sypialni. Chodź – powiedziała. Zamknęła skrzynkę i pokazała palcem ponad jego lewym ramieniem. Dan się odwrócił. Poprzez półprzezroczystą zasłonę w drzwiach do następnego pokoju dojrzał zarysy łóżka przykrytego narzutą z czerwonego jedwabiu. Za łóżkiem odbijała się w połyskliwej ścianie z luster jego własna sylwetka.

Przez okno wpłynęło tchnienie wiatru i cienka tkanina odpowiedziała leniwym falowaniem. Metaliczny połysk lustra na moment zmienił się w czerń, jak gdyby mrugnęło do niego oko olbrzymiego potwora. Kiedy zjawisko się powtórzyło, Dan zrozumiał, co się naprawdę dzieje: to Camille odsuwała się od okna i przysuwała z powrotem, przesłaniając światło księżycy i powodując to złudzenie.

– Jeśli pozwolisz – rzekł bezbarwnym głosem – wolę słuchać twojej gry w tym pokoju.

– Rób, jak uważasz – odparła. – Ja muszę się najpierw pozbyć tej ciasnej sukni, bo zaraz zemdleję od gorąca. Ty oczywiście nie musisz się rozbierać. Twoje surowe zasady moralne zapewne każą ci pozostać w ubraniu. Ale jeżeli będzie ci za gorąco, możesz otworzyć drugie okno. – Przerwała na chwilę. – Może mogłabym cię czymś poczęstować? – zapytała. – Ale mam tylko brandy.

– Nie, dziękuję – odpowiedział. Nie miał pojęcia, co to jest brandy, lecz przypuszczał, że to gatunek zagranicznej herbaty.

Za cienką zasłoną ujrzał na tle plam światła jej sylwetkę. Z uniesionymi w górę nagimi ramionami i zsuwającą się po piersiach sukienką przypominała wykluwającą się z kokonu ćmę. Dan odwrócił głowę; policzki mu płonęły.

Rozejrzał się po wnętrzu, skupiając uwagę na wystroju i meblach. Wszystko tu było w stylu japońskim, z niskimi stolikami i podłużnymi poduszkami zamiast krzesel. Na lampę zarzucono czerwony szal, by przyćmić jej blask. Na ścianach wisiały obrazki, dziwne szkice wykonane ołówkiem. Część z nich przedstawiała portret małego chłopca;

obok sygnatury „Camille” widniały na nich jakieś osobiste zapiski, których sensu nie rozumiał. Pozostałe portrety ukazywały nieznaną mężczyzn; niektórzy byli w mundurach, inni w garniturach i krawatach.

Zauważył, że obrazki są częścią większej kolekcji – najpewniej pamiętek po kochankach, którzy się przewinęli przez jej życie. Na parapecie kominka, przy szkatułce na pieniądze leżał zawiązany fular, pozostawiony przez jakiegoś Anglika. Obok znajdowały się czapka kapitańska, francuski zegar, kilka starych monet i inne bibeloty. Przedmioty ułożone były jak trofea, skrywając pod zakurzoną powierzchnią nieopowiedziane historie. Czekał, aż Camille zacznie grać, starając się nie myśleć o znaczeniu tych rzeczy. Żeby nie sięgnąć po którąś z nich, położył splecione ręce przed sobą na kolanach.

Wreszcie rozbrzmiały dźwięki, na które czekał. Głos śpiewaczki nabierał siły, był wysoki i podszyty rozpaczą.

*Z marsem na czole i niespokojnym sercem,
Phan Sinh kroczył w tę i z powrotem; wchodził
i wychodził, niezdecydowany.*

Udręka w jej głosie, intonacja, wymowa, znajomy dźwięk akompaniującej lutni... Zamknął oczy i ujrzał migotliwy obraz werandy w swoim rodzinnym domu. Poczł zapach róż z ogrodu.

*Lekki wiatr przyniósł woń kadzidła
I jego nagły niepokój się ulotnił.
Zaczł znów o niej myśleć...*

Kręciło mu się w głowie. Pieśń była bardzo smutna. Przypominał sobie, jak czekał na powrót ojca z długiej podróży. Leniwe popołudnie. Światło, czyjś dźwięczny śmiech. Melodia poruszała każdy nerw w jego ciele. Gdzie mógł już kiedyś słyszeć te nuty, te słowa, ten głos? Zupełnie jakby ktoś zdjął mu z oczu zasłonę i mrok zamienił się w

jasność. Tak... przypomniał sobie. Oczywiście, wszystkie te znaki, szczegóły, które kołatały mu się po głowie... ten ciasny węzeł włosów, te delikatne małe stopy, wizerunki chłopca na ścianie – obrazy, które prowadziły go z powrotem do czasów dzieciństwa. Widział je, lecz jednocześnie aż do tej chwili zamykał oczy na to, czego zobaczyć nie chciał. Odwrócił się raptownie w stronę Camille, przytrzymując się kominka dla utrzymania równowagi. Nie zauważył, że stracił przy tym z parapetu któryś z jej skarbów, i nie usłyszał, jak uderza o podłogę. Muzyka umilkła. Kobieta siedziała na czerwonej narzucie, z dłonią zastygłą w pół gestu. Z wyraźnym lękiem podniosła wzrok znad ozdobnej szyjki instrumentu i spojrzała na Dana. Chyba coś do niego mówiła, lecz jej głos był stłumiony, jakby płynął zza ściany. O co jej chodziło? Czy powiedziała „Van Tong”? Dlaczego akurat teraz wspomniała nazwisko właściciela herbaciarni?

– Jak się nazywasz?! – krzyknął do niej Dan.

– Camille. – Ona także podniosła głos. – Przecież wiesz.

– Nie, to nieprawda! Podaj swoje prawdziwe imię! – Skoczył ku niej, niepomny na wiszącą w drzwiach materię. Cienka tkanina zabarwiła postać kobiety purpurą. Ręce zaplotła na piersiach, osłaniając swą nagość. Dan jednym szarpnięciem odsunął zasłonę. – W moim dawnym życiu mój ojciec nazywał cię pani Yen.

Na jej twarzy pojawiło się udręczenie.

– Miałam sto imion w tej profesji – odparła, szlochając – lecz tego nikt nie wymienił od siedemnastu lat.

– Od szesnastu – poprawił ją.

– Kim jesteś? – zapytała.

Pogmerał pod kołnierzem i wyciągnął bryłkę nefrytu, którą nosił na szyi, odkąd sięgał pamięcią. Ciepło i pot wypolerowały kamień, nadając mu miękkie połysk. Kołysał się na złotym łańcuszku, trzymanym przez Dana w dwóch palcach.

– Jestem Dan Nguyen, twój syn – oznajmił.

Odrzuciła głowę do tyłu i wyciągając ku niemu ręce, zawyła

przeraźliwie. Jej ciało opadło bezwładnie w jego ramiona. W lustrze za jej plecami ujrzał coś, co sprawiło, że sam omal nie zaczął krzyczeć.

Grzbiet kobiety pokrywał wyrazisty w szczegółach tatuaż. Wzdłuż kręgosłupa spływała kręta rzeka o błękitnych falach, poznaczona gdzieniegdzie czerwonymi kropkami. Na jej obu brzegach ciągnęły się góry o wierzchołkach otulonych płynącymi po niebie obłokami. W centrum tego panoramicznego krajobrazu skłaniał się przed siedzącym kapłanem samotny mnich. Poniżej wytatuowano tradycyjnymi znakami drugi wers starożytnego tekstu:

Następnie, utrzymując konstelacje w dłoniach, spoglądają ku Słońcu i odnajdują drogą do nirwany. U jej wrót uzdrowionych zostanie wielu ułomnych.

Patrzył na drugą część mapy, której jego wrogowie poszukiwali tak zaciekle od szesnastu lat. Była tak samo prawdziwa jak kobieta, która nosiła ją na swoich plecach.

Rozdział dziewiętnasty

Hotel Czerwonych Snów

Dan Nguyen trzymał w objęciach swoją matkę, zahipnotyzowany odbiciem jej pleców w lustrze. Tatuaz przed jego oczami był uzupełnieniem mapy, którą widział na plecach ojca w dniu egzekucji. Zdobył brakujący fragment. Na razie ukrył te obrazy i sentencję w spokojnym zakamarku umysłu, żeby przestudiować je później dokładnie.

Opuścił matkę na miękki materac. Gdy owijał ją czerwoną narzutą, chwyciła brzeg jego kołnierza i puściła dopiero, kiedy poodginał jej palce. Uświadomił sobie, że Yen nie krępuje już stóp bandażami, choć wciąż były maleńkie.

– Mój syn – jęknęła. – Mój własny syn! Co za nieszczęsny los! Nękają mnie moje przeszłe złe uczynki. – Nie mogła opanować drżenia ust.

– Nic nie mów – powiedział. – Oddychaj głęboko i spokojnie.

– Wyjdź natychmiast z mojego pokoju. – Ukryła twarz w poduszce. – Nie potrafię znieść twojego widoku. – Załkała żałośnie.

– Nie mam zamiaru cię oskarżać, pani – odparł Dan, podnosząc głos. – Przez szesnaście lat byliśmy sobie obcy. Nie wypowiadajmy słów goryczy w pierwszej godzinie naszego spotkania. Na wyrażanie żalów i pretensji będziemy mieli resztę życia. Teraz jednak dziękuję

niebiosom za nasze spotkanie i za to, że nie zginęliśmy z rąk wrogów, tak jak mój ojciec i dwie jego żony.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Śmierć – wyszeptwała. – Śmierć ma wiele twarzy i znam je wszystkie aż nazbyt dobrzeją także bowiem w środku jestem martwa. Powiedz mi, jak umarł mój mąż?

– W najokropniejszy sposób – odrzekł Dan. – Widziałem go w ostatnich jego chwilach na ziemi, gdy klęczał przed własnym grobem. Święto mu głowę z rozkazu asesora Toana. Nie mieli nad nim litości. Przez niemal dziesięć lat po tej egzekucji żyłem jako niewolnik w domu zabójcy. Musiałem uciekać, kiedy zostałem rozpoznany.

– Błagam, przestań! – jęknęła pani Yen. – Moje biedne serce dłużej tego nie zniesie. Zabierz swoje pieniądze i odejdz.

Dan pokręcił głową.

– Przeznaczenie doprowadziło mnie do twoich drzwi i nie wyjdę, dopóki nie odpowiesz na moje pytania. – Przerwał na chwilę. Pani Yen oparła się o ścianę; jej oczy były tak puste jak lustro za jej plecami. Zerknęła w róg pokoju, gdzie w zasięgu ręki wisiał gruby sznur. Dan domyślił się, że matka chce za niego pociągnąć, by wezwać pomoc. – No dobrze – westchnął. – Jeżeli mam stąd odejść, muszę najpierw usłyszeć całą historię. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie porzuciłaś. Czy twój własny syn był dla ciebie zbyt ciężkim brzemieniem? Czy moje życie nie zasługiwało na uratowanie? Mam prawo znać prawdę.

– Nie – szepnęła i położyła się na boku. Gęste czarne włosy zasłoniły jej twarz. Zakryła uszy dłońmi, żeby nie słyszeć jego głosu. – Nie zadawaj mi tych pytań – powiedziała. – Błagam cię o to. Nie odzieraj mnie z ostatnich skrawków godności. Matka, której szukasz, już nie istnieje. Umarła. Ja jestem tylko pustą muszlą, echem przeszłości. Niczego nie mam dla ciebie i niczego nie pamiętam. Jeżeli nadal będziesz chciał mnie upokarzać, będę zmuszona wezwać Van Tonga i on cię stąd wyrzuci.

– Uspokój się i posłuchaj, proszę. – Dan uklęknął przy łóżku. – Nie pozwolę, żebyś mnie porzuciła po raz drugi w tym życiu.

Poczuł na rękach jej ciepłe łzy. Sięgnęła do jedwabnego zawoju na głowie Dana i ściągnęła go. Długie, ciemne włosy rozsypały mu się po ramionach. Przesunęła po nich palcami.

– Nie mogę ci powiedzieć tego, co chciałbyś usłyszeć – rzekła. – Prawda została zamknięta we mnie bardzo głęboko, tak jak ja sama jestem zamknięta w tym burdelu. Czy zamierzasz się na mnie mścić? Chyba widzisz, że cierpię z powodu swoich grzechów? Moja żałosna profesja i straszna samotność to chyba dość? Co mogłoby cię zadowolić? Kiedy uwierzysz, że odpowiadam już za moje niegodziwości przed bogami?

– Domagam się wyjaśnień – odparł Dan. – Dlaczego sprzedajesz swoje ciało? I czemu jesteś sama?

– Ponieważ jestem bezwartościową istotą ludzką. Ponieważ nie mam żadnych uzdolnień, które dałyby mi niezależność. Ponieważ porzuciłam własnego syna, gdy był zupełnie bezradny.

– Ale dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego się mnie wyrzekłaś, bym doświadczył losu gorszego od śmierci?

– Dlatego – krzyknęła – że chciałam ratować ci życie! – Mówienie ją wyczerpało. Po jej policzkach popłynęły szarymi strużkami łzy, zmieszane z tuszem do rzęs. – Chciałam ratować ci życie – powtórzyła. – Znałam dobrze własne ograniczenia. Gdybym się tobą zajęła, już byłbyś martwy. Zostawiłam cię z tą wieśniaczką, bo ufałam jej instynktowi, jej umiejętności przetrwania, a przede wszystkim jej bezwarunkowemu oddaniu. Wiedziałam, że cię uratuje, że będzie umiała zniknąć w tłumie innych wieśniaków jak szarańcza w trawie.

Dan zeszywniał.

– Nie wiedziałas tego, pani – rzekł. – Ta kobieta kilkakrotnie narażała się na niebezpieczeństwa, żeby mnie chronić, a na koniec zginęła, żebym ja mógł żyć. Czy twój ogrodnik oddał za ciebie życie? – Dan

umilkł, świadom zjadliwości w swym głosie. By ukryć zakłopotanie, przesunął dłonią po czole, ocierając pot.

– Wręcz przeciwnie – odparła pani Yen. – Powierzyłam mu swoją fortunę, nie żądając niczego w zamian. Był hazardzistą. Większość majątku Nguyenów, który udało mi się zabrać ze sobą, wydał na obstawianie zakładów. Potem, o wiele za późno, odkryłam, że był winien kilku kasynom w mieście olbrzymią sumę, ponad dwadzieścia tysięcy sztuk srebra. – Pani Yen odetchnęła głęboko i mówiła dalej: – Chcąc spłacić jego długi i uratować przed strasznym końcem, nie miałam innego wyjścia, jak tylko sprzedać się do tego burdelu. Cóż za szaleństwo! Gdy tylko uwolniłam go od długu, zostawił mnie. Ślepa miłość do tego człowieka stała się przyczyną mojego upodlenia, a on mnie porzucił. Mój ogrodnik znalazł sobie przystań w ramionach innej kobiety, a ja spędziłam ostatnie piętnaście lat, uważając siebie za martwą dla świata. Teraz ty się zjawiłeś, i moje serce znów zaczęło bić, lecz tylko po to, by powróciła udręka przeszłości. O niebiosa, pomóżcie mi! – Głos pani Yen znów przeszedł w szloch.

– Nie płacz, pani. Twoje niedole się skończą – powiedział Dan, wstając. – Znajdę sposób, żeby cię stąd uwolnić. Już żaden mężczyzna nie wejdzie tutaj, żeby tobą pomiatać. Zamierzam dotrzymać tej obietnicy.

– W jaki sposób? – załkała. – Jeśli nie jesteś wielkim bogaczem, to nie wiem, skąd zamierzasz wziąć dwadzieścia tysięcy srebrnych monet plus odsetki z piętnastu lat, bym mogła odzyskać wolność.

– Jest sposób – odparł. – Czy wiesz, co oznacza tatuaż na twoich plecach?

Wyraz udręki odpłynął z jej twarzy. Bystry błysk w oczach powiedział mu, że wie. Patrzył, jak bawi się frędzlami narzuty. W ciszy tykał głośno zegar.

– Słyszałeś o tatuażu? – odezwała się w końcu. – Kiedy się rozstaliśmy, byłeś jeszcze dzieckiem.

– Wiem o zakopanym skarbie. Znam tajemnicę tego tatuażu... tej mapy. – Wpatrywała się w milczeniu w podłogę. Jakie myśli przebiegały jej przez głowę? Gdyby tylko mógł ją przekonać do swych intencji. Gdyby tylko była z nim Ven. – Jeżeli nie zaufasz własnemu synowi, to komu? – zapytał. Wyciągnął do niej ręce i poczuł, że znów się wycofuje. Tuż przed sobą widział jej twarz, pasywną i upartą. – Czy chcesz, żebym odszedł?

– Nie wiem – odparła z wahaniem. – Czy skopiowałeś tatuaż mojego męża?

– Nie skopiowałem i nie pamiętam jego szczegółów, ale wiem, kto ma oryginał.

– Musisz mi to powiedzieć.

– No dobrze – poddał się z westchnieniem. – Skóra z pleców mojego ojca, na której jest pierwsza część mapy, znajduje się w rękach asesora Toana. Widziałem, jak ją ściągał ze zwłok.

– Musisz ją odzyskać – rzekła. – Ten człowiek to nasz śmiertelny wróg. Zabij go, zanim umknie przed swoją karmą. Tylko upewnij się, że mocno krwawi. Ufam, że dokonasz wreszcie tej zemsty. Tylko ty... – Odwróciła wzrok od jego twarzy, lecz po chwili zebrała się w sobie i mówiła dalej tak cicho, że Dan musiał wytężyć słuch. – Tylko ty, ostatni ocalały Nguyen, możesz przywrócić naszej rodzinie jej dobre imię i dziedzictwo.

– Nie nadaję się na zabójcę – szepnął.

– A jak inaczej mógłbyś odzyskać to wszystko? – zapytała. – Poprosisz starego diabła grzecznie i spokojnie, żeby ci oddał mapę? A może liczysz na sprawiedliwość w Sądzie Cesarskim?

– Znajdę jakiś sposób, ale bez dalszego rozlewu krwi – odparł. – Uwierz moim słowom. Jeżeli przemoc leżałaby w mojej naturze, już dawno temu próbowałbym zniszczyć Toana i jego rodzinę. Przez dziewięć lat byłem niewolnikiem w jego domu i miałem do tego mnóstwo sposobności. Lecz zapewniono mi tam dach nad głową, pożywienie i wykształcenie, i tam również zakochałem się w niewinnej dziewczynie.

– Oni nas zniszczyli! – zawołała. – Zabili twojego ojca. Ja znalazłam się w burdelu, a ty stałeś się niewolnikiem. Sam powiedziałeś, że byli bezlitośni. Krew można zmyć tylko krwią. Bogowie w niebiosach zachowali cię przy życiu właśnie z tego powodu. Czy nie rozumiesz zasad odwetu?

W rzeczy samej, nie rozumiał. Nie potrafił unieść brzemienia, którym go chciała obciążyć.

– Nie jestem zabójcą – powtórzył. – Jeżeli zamorduję asesora Tona, mogę utracić jedyną szansę na szczęśliwe życie z jego wnuczką, którą kocham najbardziej ze wszystkiego na świecie, włącznie z własnym życiem. Szukaj więc zemsty sama, pani, bo ja jestem bezradny wobec porywu mojego serca. Prosząc mnie o zamordowanie jej dziadka, prosisz zarazem, żebym się pozbył jedynej radości, jaka mi pozostała. To już lepiej mnie zabij.

Pani Yen jęknęła, szarpiąc się za włosy.

– Jak przerażająca jest wola niebios! Czy to jakaś idiotyczna zabawa, wymyślona przez podłych bogów? Dan, mój nieszczęsny synu, jak możesz kochać córkę wroga? Teraz już wiem, że nie wyjdę z tego burdelu do końca życia! Choć zawiniłam, nie zasługuję na taką straszną karę. Spójrz tylko na mnie... skóra mi wiotczeje, oczy blakną, moja uroda gaśnie. Umrę tu w samotności, cierpiąc do ostatnich chwil. – Usiadła prosto i pokazała palcem na drzwi. – Odejdź, bo niczego już od ciebie nie chcę. Dla mnie przestałeś istnieć tego dnia, gdy opuściłam dom Nguyenów.

Zegar wybił pełną godzinę, jakby oznajmiał, że czas Dana w pokoju Camille dobiegł końca.

– Zdobędę pieniądze na wykupienie cię stąd – rzekł uroczystym tonem. – I zemszczę się na wrogu, tak jak o to prosisz. On umrze, przyrzekam ci to! Lecz wraz z jego krwią popłynie też moja, bo dzięki śmierci zyskam wolność, żeby być blisko ukochanej na całą wieczność.

Znalazł się na ulicy, nie wiedząc nawet, jak i kiedy opuścił pokój

Camille. Gdy matki nie było już przy nim, poczuł, że przygniatający go ciężar zelżał i znów może oddychać.

Kiedy Dan Nguyen opuszczał ulicę Morin, noc dobiegała końca. Zmęczone miasto jeszcze spało i ciszę zakłócał jedynie odgłos jego kroków. Żółty księżyc, który towarzyszył mu przez cały wieczór, był już tylko przezroczystym duchem na ciemnym niebie.

Główna brama cytadeli stała otworem. Na wieży strażniczej obracała się latarnia; kiedy podszedł bliżej, światło zatrzymało się na moment na jego postaci. Za latarnią tkwiły ponure cienie gwardzistów, siedzących pod małym daszkiem jak nieruchome gliniane figurki. Dan pokazał im swoją przepustkę z kości słoniowej i żołnierze pokiwali głowami.

Miasto Cesarskie, jeszcze przed kilkoma godzinami wypełnione rozbawionym tłumem, było opustoszałe. Dan szedł ciemnymi uliczkami. Włosy targał mu niespokojny wiatr i bez jedwabnego zawoju na głowie czuł się nagi. Opuszczając w pośpiechu Hotel Czerwonych Snów, zostawił zawój na podłodze w pokoju matki. Może zostanie dołączony do jej pamiątek na kominku?

Był głupcem, sądząc, że może umknąć przed wypełnieniem swej powinności. Przez tyle lat obserwował życie z pozycji widza i tylko odmierzał upływający czas, jak tykający głośnie zegar w pokoju pani Yen. Był w rzeczy samej tylko kolejną marionetką w przedstawieniu reżyserowanym przez jakąś nieznaną mu siłę. Może przez wyższą istotę? A co z wolną wolą? Jak mógłby się nią posłużyć?

W głowie usłyszał znów przenikliwy głos matki: „Krew można zmyć tylko krwią... Jesteś ostatnim ocalałym mężczyzną z rodu Nguyenów!”. W jej słowach wyrażało się żądanie zmarłych przodków, żądanie, które paliło go jak płomienisty miecz. Miał się skupić teraz na czymś zupełnie nowym i temu podporządkować swoje życie.

Dan pojął, że odpowiedzi na jego pytania ukryte są za murami

wioski Cam Le. Zrozumiał, że musi wracać do domu.

Poprzez kurtynę liści widział już swoje mieszkanie. Przeszedł na palcach przez kilka drewnianych mostków i szedł po pochyłości na trawnik przed domem. W oknie pokoju zobaczył światło, a drzwi wejściowe były otwarte. Dan przystanął. Z wnętrza dobiegł go szelest ubrania i zaraz potem drżący głos.

– Danie Nguyenie, czy to pan? Nareszcie pan wrócił. Czekałem całą noc.

Dan przysłonił ręką oczy, żeby lepiej widzieć w mroku. Z ciemności wynurzyła się pomarszczona twarz, żółtawa w blasku lampy. Poznał byłego szambelana cesarskiego, Unga, choć nigdy dotąd z nim nie rozmawiał. Co ten człowiek mógł robić w jego mieszkaniu? Wszedł do środka.

– Mam dla pana bardzo ważną wiadomość – powiedział Ung. Jego zgarbiona postać wydawała się nie na miejscu wśród cieni rzuczanych przez półki z książkami. Pokój był skromnie urządzony. W kącie stało krzesło, a na szarej cementowej podłodze leżała skóra lamparta, chwytająca migotliwe światło jak kałuża rozlanej farby.

– Proszę pójść ze mną, ktoś chce się z panem zobaczyć – oznajmił Ung.

– O tej porze? Kto?

– Tak, właśnie teraz, panie. To życzenie osoby umierającej.

Dan wzdrygnął się. Zaczynał rozumieć.

– Pani Chin? – zapytał.

– Tak, panie.

– Czy ona wie, kim jestem?

– Tak, panie Nguyen. Wie, że to pan przynosił pożywienie, które zatrzymywało jej duszę na tym świecie. Rozpoznała pana podczas wczorajszego balu.

– Była na balu? Jak to możliwe, taka chora?

– Ja ją zabrałem – odparł eunuch, wypinając z dumą chudą pierś. – Przekonałem ją, że powinna zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Proszę pójść ze mną, młody panie. Pani Chin poleciła mi bardzo stanowczo, bym powiadomił Cesarzową Matkę, jeżeli pan odmówi. Mam nadzieję, że nie będę musiał tego robić, panie Nguyen.

Dan chwycił starca za rękę.

– Nie mogę teraz tego wytłumaczyć – rzekł – ale opuszczam cytadelę i proszę, żeby mi pan pomógł. Pani Chin chce się ze mną widzieć, domyśla się bowiem pewnej rzeczy. Intuicja jej nie zawiodła. Zamierzam wyjawić jej sekret, który nosiłem w sercu przez wiele lat. Chcę, żeby przed śmiercią poznała całą prawdę. – Widząc zaskoczenie na twarzy starego eunucha, Dan zaczął mówić powoli i wyraźnie, jak do dziecka. – Błagam, panie Ung, czuję, że pan potrafi to zrozumieć... Zanim będzie za późno, niech mi pan pomoże uratować jej duszę. Chcę zabrać panią Chin nad rzekę, żeby odbyła ze mną ostatnią podróż swego życia. Bez niej nie popłynę.

– Nie mogę tego uczynić – odparł starzec, cofając się o kilka kroków. – Ona tego nie zrozumie ani też nie przetrwa takiej podróży.

– Trzymając ją w tym ciemnym pokoju, tylko przedłuża pan jej udrękę – rzekł Dan.

– To niemożliwe, młody panie – upierał się Ung.

Dan skubał kosmyk swoich długich włosów. Jakim sposobem mógłby przekonać tego nieszczęśnika, żeby zmienił zdanie?

– Proszę tu poczekać – rzucił i zostawiwszy starego, wbiegł do sypialni. Otworzył prostą mahoniową skrzynię i po chwili grzebania między ubraniami znalazł srebrny łańcuszek.

Wrócił z nim do pokoju, lecz gościa już tam nie było.

Dan wypadł na zewnątrz. Eunuch stał pod latarnią, trzymając się słupa obiema rękami.

– Zaniesiemy to do niej – Dan przysunął bransoletkę do światła, żeby Ung mógł się jej przyjrzeć. – Jej syn Bui nosił to niegdyś na kostce.

Kiedy pani Chin zobaczy łańcuszek, sama zadecyduje, co robić.

– Panie Nguyen – wyszeptał stary – oszołamia mnie pan, wyjawiając taką tajemnicę. Kim pan jest? I dokąd chce pan zawieźć panią Chin?

– Chcę, żeby spojrzała w oczy opatrznosci – odparł Dan. – Gdy pozna całą prawdę, w tym również moją prawdziwą tożsamość, odnajdzie wreszcie spokój duszy.

– Dobrze więc; proszę iść za mną – rzekł eunuch. – Zaprowadzę pana do niej.

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę Apartamentów Spokoju. Z rosących wzdłuż alejki uroczynów sypały się tysiące płatków, które tańczyły wokół nich na wietrze.

Rozdział dwudziesty

Rower

Dawno temu, zaraz po ślubie, pani Chin otrzymała od męża szczodry podarunek: srebrzystobiały rower, wyprodukowany przez fabrykę w Marsylii. Nigdy nie nauczyła się jeździć na nim samodzielnie, miała jednak nadzieję, że kiedyś opanuje tę sztukę, i trzymała rower w drewnianej skrzyni, w nogach swego łóżka. Minister Chin Tang należał wówczas do czwartej kategorii mandarynów – najniższej w dworskiej hierarchii – i miał prawo wstępu na tarasy otaczające salę tronową. Pewnego dnia po zakończeniu pracy minister postanowił zabrać żonę na przejażdżkę. Pani Chin miała zapamiętać tę wycieczkę do końca życia.

Początkowo wcale nie było przyjemnie. Czarne siodełko, na którym siedziała przed mężem, wydawało się idiotycznie małe dla dwóch osób. Obiema rękami ścisnęła kierownicę obok metalowego pręta, na którym umocowano wsteczne lustro. Fałdy długiej sukni zebrała między udami, a stopy... naprawdę trudno było je utrzymać na dwóch małych podpórkach przy przednim kole.

Była przerażona. Z trudem trwała w niewygodnej pozycji, a spocone dłonie co rusz ześlizgiwały się z metalowych uchwytów. Jej mąż jednak

zachowywał się bardzo dzielnie. Obejmował ją mocno, żeby dać jej poczucie bezpieczeństwa, i wydawało się, że potrafi uprzedzić każdy ruch żony. Wehikuł toczył się połą drogą, a ona czuła na karku ciepło oddechu męża, na kręgosłupie zaś uderzenia jego serca, które trzepotało mu w piersi jak bijący skrzydełkami wróbel uwięziony w klatce.

Dojechali do pustego pola za murem cytadeli. Popołudniowe słońce wypalało w błękitcie nieba czerwoną dziurę. Przed nimi rozpościerały się falujące wzgórza, gładkie jak wielbłądzie garby i pokryte zielenią traw. Jechali w kierunku pagórka. Nogi pana China pedałowały bez wytchnienia. Pięli się ścieżką, która zdawała się prowadzić prosto w czekające na nich słońce. I nagle grunt zaczął opadać i zaskoczona żona ministra ujrzała przed sobą dolinę.

Koła roweru zaczęły się obracać coraz prędej. Przez chwilę miała wrażenie, że spada w rozpadlinę. Krzyk wydawał się jej nie na miejscu, lecz mimo to nie potrafiła go powstrzymać i eksplodował wielkimi niewidzialnymi bąblami, które natychmiast porywał wiatr. Kiedy mąż położył dłoń na jej dłoni, pani Chin trochę się rozluźniła. Siedząc nieruchomo, delektowała się jego obecnością i lekkim drżeniem roweru pod udami. Wszystko poza tym – niebo, ziemia, rozciągające się w nieskończoność zielone wzgórza – gdzieś wyparowało. Wzbijała się w powietrze niczym latawiec.

Odbicie twarzy męża w lusterku zarumieniło się. Objął ją jedną ręką w talii i przyciągnął mocno do siebie, przymykając oczy. W tej rozpłomienionej chwili, gdy gorejące słońce spotkało się z zieloną ziemią, rower zatrzymał się u stóp wzgórza.

Pani Chin po dziś dzień była przekonana, że Bui został poczęty właśnie wtedy, owego niezapomnianego popołudnia, kiedy się dowiedziała, jakie niesamowite jest latanie.

Dziś, po niemal dwudziestu pięciu latach, znów czuła, jak wiatr targa jej włosy. Płynęła rzeką. Rzeką! Zapomniała już jej nazwę, tak jak

zapomniała własne nazwisko. Poprzez gałęzie drzew widziała słońce, które przebijało się przez chmury.

Hafciarz siedział naprzeciw niej, pracując mocno wiosłami. Choć oczy miała na wół przymknięte, widziała, jak porusza się w przód i w tył na drewnianej ławeczce. Był rozebrany do pasa. Mięśnie jego ramię drżały jak fale z brązu, nasiąknięte światłem słonecznym. Piękno tego widoku sprawiło, że ból oczu zamienił się w łagodną pulsację. Plusk wody pod dnem łodzi narastał i w końcu otulił ją jak koc.

Dawno temu, podczas rowerowej przejażdżki, wchłonął ją spokój zielonych wzgórz i kołujących po niebie srok, tworzących czarne plamki na błękitnie. Tamtego letniego popołudnia czuła dojrzałą pełnię swego ciała. Było w niej wówczas czyste szczęście i ani śladu pamięci o jakimkolwiek lęku. Gdyby tak mogła wrócić do tego świata wyrazistych barw i szczegółów, gdyby mogła sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy się kocha i żyje swobodnie, odnalazłaby wówczas sposób na radowanie się tym gładkim spokojem. Ale jednego była pewna: znów latała.

Wczesnym rankiem, kiedy Ung przyprowadził do niej hafciarza, ujęła ją uczciwa twarz młodego mężczyzny i żarliwość jego słów. Obiecał, że jeśli wybierze się wraz z nim do nieszczęsnej wioski Cam Le, on wyjawia jej tajemnicę śmierci męża i syna, i będzie mogła poznać ich zabójcę. Pomimo choroby nie mogła odrzucić tego zaproszenia. Zgodziła się natychmiast.

Kiedy weszli na łódź, młody człowiek przywiązał panią Chin do palankinu. Jej kostki opierały się o drewniane nogi siedziska, a jedwabne chustki utrzymywały na miejscu przeguby rąk.

– Wieje silny wiatr – wyjaśnił. – Ponieważ jesteśmy na łodzi tylko we dwoje, ważne jest, żeby była pani bezpieczna, kiedy wiosłuję.

Ponad jej głową wirował przymocowany do lektyki błękitny parasol – kolisty plaster niebios, który jej towarzyszył od samego świtu. Kościste ciało pani Chin podpierały różowe i czerwone satynowe poduszki,

dzięki czemu mogła siedzieć wygodnie i obserwować przesuwaną się za burta krajobraz. W ręce trzymała srebrny łańcuszek syna, talizman tej misji. Dręczyło ją poczucie niegodziwości mordu dokonanego na jej bliskich. Pragnęła poznać prawdę, która pomogłaby jej wymazać nienawiść. Lecz żeby tak się stało, musiała jeszcze jakiś czas utrzymać się przy życiu.

Widziała, że hafciarz obserwuje ją między jednym pociągnięciem wiosła a drugim. Czy jest możliwe, żeby to on był zabójcą, którego szukała przez tyle lat? To podejrzenie przyprawiało ją o zawrót głowy. Jeżeli był zabójcą, zamierzała się zemścić. Pod nieruchomą maską jej twarzy umysł pracował gorączkowo. Wiedziała, że sama nie dożyje już tej chwili, lecz przygotowała plan, który miał sprawić, że Dan Nguyen zapłaci za swoje czyny. Przy końcu tej podróży niczego już nie będzie musiała się obawiać ani nie będzie miała czego żałować. Jeszcze tylko kilka płotków do przeskoczenia i umrze spokojnie, z wyzwoloną duszą.

Łódź podpłynęła do niewielkiej, pełnej ludzi przystani. Hafciarz siedział skulony na ławeczce, rozglądając się po otoczeniu z czujnością zaniepokojonej kobry. Po raz pierwszy dostrzegła na jego twarzy cień nienawiści. Powoli zebrał się w sobie i odłożył wiosło na dno łódki.

– Jesteśmy na miejscu, *madame* – powiedział. – Niedługo zobaczy pani swojego prawdziwego wroga, mordercę pani męża i syna. Muszę panią przestrzec przed tym człowiekiem, bo nie spotkała pani nigdy w życiu kogoś równie okrutnego i niebezpiecznego. Jeżeli nie dopadła go jeszcze śmierć, to może się okazać, że wchodzimy do paszczy tygrysa. Zobaczy pani prawdę w jej najohydniejszej postaci.

– Nie musisz mi tego mówić – odparła. – Jestem gotowa.

Dan opuścił oczy, unikając jej wzroku.

– Jestem tchórzem, pani Chin. Częściowo ja także odpowiadam za śmierć pani bliskich, i ma pani prawo mnie osądzać. Zdaję sobie sprawę z tego, że przywożąc panią tutaj, na spotkanie z mordercą, sam

również poddaję się osądowi ze względu na rolę, jaką odegrałem w tym przestępstwie.

– A na czym polegała twoja rola w tej tragedii? – zapytała pani Chin.

– To ja powinienem był wtedy zginąć, a nie pani syn i mąż. Nie powinni byli w ogóle przyjeżdżać do wioski Cam Le. Muszę jednak poprosić panią o cierpliwość. Zaprowadzę panią do mordercy i usłyszysz pani prawdę bezpośrednio z jego ust.

– Jak chcesz go zmusić, żeby wyznał swój grzech?

– Nie mogę obiecać, że przemówi – odparł Dan – lecz nawet diabeł nie sprzeciwi się ostatniej woli umierającej kobiety. Liczę na to, że pani sama wydobędzie od niego prawdę.

Pani Chin zdobyła się na nikły uśmiech.

– Czy będziesz wtedy przy mnie, żeby mnie chronić przed podłością tego człowieka? – zapytała.

Dan skinął głową. Na jego twarz powrócił wyraz zatroskania.

– Wielki panie, tutaj!

– Nie, panie, proszę do mnie!

Do pani Chin dotarły głosy tragarzy i żebraków z przystani, szukających zatrudnienia u bogatych kupców, którzy przywozili łodziami towary na targ. Podarte ubrania oblepiały ich torsy jak rzeczne wodorosty i cuchnęli równie mocno jak one. Najsilniejsi wchodzili do wody i zręcznie przyciągali łodzie do brzegu. Pani Chin uzmysłowiła sobie, że jej kosztowny strój zwrócił ich uwagę i teraz łódź otaczały zrogowaciałe dłonie i ogorzałe twarze. Kilka razy poczuła na skórze dotyk brudnych palców najbardziej zdeterminowanych tragarzy. Ze wszystkich ust słyszała słowo „srebro”, gdy przekrzykiwali się, wymieniając cenę swych usług.

Jej towarzysz przeskoczył przez burtę i stanął wśród tłumu na pomoście. Nie tracąc czasu, młody człowiek wybrał czterech ludzi i, ignorując protesty pozostałych, kazał im stanąć po obu stronach łodzi.

Mężczyźni dźwignęli palankin na ramiona. Parasol przekrzywił się nieco i nagle zaalał ją blask słoneczny, jasny i niespodziewany jak uderzenie w twarz.

Pani Chin patrzyła na nagie grzbiety pod swymi stopami, wciąż zdumiona, że oto po tylu latach znów znalazła się poza cytadelą. Hafciarz poprowadził tragarzy przez morze rikszy i wyładowanych świeżymi owocami i warzywami wózków. Przy wejściu na główną drogę wioski stało dwóch żołnierzy o spieczonych ostrym słońcem twarzach. Spojrzeli niemrawo na nieznanym sobie przybyszy.

– Dowody tożsamości proszę – powiedział jeden z nich. Dan pokazał mu swoją przepustkę z pałacu cesarskiego i chociaż nie zrobiła na strażnikach wrażenia, przepuścili ich.

Wioska Cam Le zabudowana była krytymi strzechą białymi domami, czy też raczej domami, które byłyby białe, gdyby ich ścian nie oblepiał wszechobecny pył. Drzwi chat stały otworem, a po ulicach biegały nagie dzieci. Kobiety siedziały na ziemi w grupkach po trzy albo cztery, wyszukując sobie nawzajem wszy we włosach lub szyjąc z jakichś szmat okrycia dla swych nagich torsów. Razem z ludźmi mieszkało bydło, żywiąc się tym samym ziarnem z pól i śpiąc na tych samych matach tatami co ich właściciele, dopóki nie nadszedł czas, by zostało zarżnięte i zakończyło kolejny cykl swego życia. Chłodne powietrze poranka wypełniał słodki zapach prażonego sezamu.

Panią Chin ujmowała prostota tych widoków; wszystko to wydawało się jej dziełem sztuki – albo niebios – w najmniej wyszukanej formie. Zastanawiała się, czy może nie umarła i nie znalazła się w pełnym spokoju świecie, którego poszukiwała przez całe życie. W którym miejscu zbczyła na manowce? Mogłaby przecież wieść taki właśnie żywot. Szczęście, gniew, miłość, zazdrość – wszystkie podstawowe ludzkie uczucia wydawały się jej w tym sielskim otoczeniu takie proste.

Minęli bambusowy lasek. Czyżby przysnęła, nieświadoma tego?

Ujrzała zagajnik mangowców i usłyszała ćwierkające w ich gałęziach wróble. Na cienkich szypułkach wisiało mnóstwo owoców, wygrzewających na słońcu swoje tłuste brzuszki. Nigdy dotąd nie widziała tylu owoców mango na jednym drzewie. Ich skórka połyskiwała głęboką zielenią i do ust napłynęła jej ślina.

Tragarze postawili palankin na trawiastym wzgórk. Otworzyło się przed nią nieuprawiane pole, porośnięte bujną trawą, której migotliwa jaskrawość aż kłuła w oczy. Na środku tej wielkiej łąki stała okryta bluszczem ruina, samotna jak pojedyncza kostka madżonga. Pani Chin podniosła wzrok i na tle błękitnego nieba ujrzała twarz młodego hafciarza.

– Gdzie jestem? – zapytała.

– Stoi pani na ziemi, która była niegdyś moim domem rodzinnym – odpowiedział Dan. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Rozpostarł szeroko ręce, jakby chciał objąć ducha własnej przeszłości. – Tutaj znajdował się salon z mozaikowymi szezlongami i półkami książek pełnych wszelakiej wiedzy. Posadzka z marmurowych płytek była tak wypolerowana, że można było się uczesać, używając jej jako lustra. Ściany zdobiły rzadkie stare obrazy pędzla największych mistrzów. Pamiętam każdy szczegół mego domu: fantastyczne barwy, piękne wnętrza i łagodne zapachy. – Zatoczył łuk ręką, po czym mówił dalej: – Proszę spojrzeć na ten mur! I na te drzewa mangowe, które jako jedne z nielicznych przetrwały straszny pożar. Czyż nie wydają się opowiadać o tragedii, jakiej były świadkiem? Wystarczy posłuchać ich cichych głosów. – Wiatr przemykał wśród listowia, wyśpiewując niekończący się jękliwy lament udręki. Dan mówił dalej bezbarwnym tonem. – Jak mam się zdobyć na odwagę, by stanąć w miejscu, gdzie ścięto mego ojca i dwie jego żony? Zginęli z rąk tego samego człowieka, który zamordował pani męża i syna. Proszę tu spojrzeć. W tym właśnie miejscu zabito pani bliskich.

Pani Chin w nagłym przypiływie sił wstała z lektyki. Słyszała szczerłość w jego głosie, zbyt młodym, żeby pobrzmiwał tak głęboką

rozpaczą. Chciała coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w krtani.

– Podejdźmy tam. – Dan ruszył drogą z białej cegły ku głównej bramie. Wrota zostały wyrwane z zawiasów, pozostawiając obszerne, nakryte baldachimem pnący przejście. – To właśnie miejsce pochówku mojej rodziny! – wykrzyknął. – Przez tyle lat nie mogłem oddać szacunku zmarłym. Za pani pozwoleniem, chciałbym poświęcić teraz kilka minut...

Młody człowiek spojrział na trzy górki ziemi pod drzewami i otworzył szeroko usta ze zdumienia. Pani Chin nie zauważyła w pierwszej chwili niczego szczególnego. Lecz po bliższym przyjrzeniu się zrozumiała, co go tak zaskoczyło. Na kamiennych płytkach znaczących miejsca pochówku leżały naręcza goździków; na ich płatkach widniało jeszcze kilka kropel porannej rosy. Ktoś musiał przed ich przyjściem odwiedzić groby, żeby złożyć hołd zmarłym. Dan odwrócił się i przeszedł przez dziedziniec szybkim krokiem, jakby się spieszył na ważne zebranie.

– Kto tutaj był?! – krzyknął. – Czy ktoś mnie słyszy? Ven? Song? Słyszycie mnie? To ja, Dan Nguyen. Wyjdźcie z ukrycia!

Jego głos zagubił się w bezkresie nieba. Odpowiedział mu tylko trzepot ptasich skrzydeł. Tragarze spojrzeli po sobie. Hafciarz przykucnął, opierając się o kamienny słup. Dotknął kwiatów, jakby chcąc sprawdzić, czy są prawdziwe. Tragarze zbili się w stadko jak muły, a na ich obliczach ciekawość mieszała się ze współczuciem.

Pani Chin spojrzała na twarz młodzieńca, na jego ciemne oczy, pełne wargi, na muskularną sylwetkę. Widziała łagodność jego charakteru, siłę ciała i emocjonalną wrażliwość. Po raz pierwszy od początku ich znajomości uzmysłowiła sobie w pełni, że nie jest jej synem, choćby umysł nie wiadomo jak ją zwodził. Jej syn był nieśmiały, arogancki i okrutny. Obgryzał paznokcie. Gwałcił służące, kiedy był z nimi sam na sam. Nareszcie zrozumiała prawdziwą przyczynę, dla której udała się w tę podróż: bynajmniej nie z powodu obietnicy hafciarza, że ujawni jej

prawdę o śmierci bliskich. Odbывała podróż, którą powinna była odbyć razem z nimi przed siedmioma laty. Trzeba jej było zginąć w tej zapa-
dłej wiosce wraz z mężem i synem, jak rodzina, która jest razem na
dobre i złe. Teraz nadszedł czas, żeby jej przeznaczenie się wypełniło.

– Dan! – zawołała mocnym głosem. – Musimy iść.

Było już jednak za późno. Jej słowa zatонуły w narastającym war-
kocie. Poznała odgłos silnika samochodu. Ciemny dach auta mignął jej
na końcu drogi.

– Nie możemy stąd odejść, *madame* Chin – powiedział hafciarz,
wstając. – Będziemy mieli towarzystwo.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Skrzydła ważki

Ciemny sedan, niemal niebieski w słonecznym świetle, sunął pylistą drogą, prowadzącą do posiadłości Nguyenów. Metal dachu auta przeświecał spod kilku warstw obłazącej farby, jak spalona słońcem skóra na grzbiecie wieśniaka podczas żniw. Za samochodem maszerowali dwuszeregiem żołnierze w białych mundurach i słomkowych kapeluszach, z karabinami na plecach. Podeszwy ich butów uderzały w twardą ziemię, wybijając szurgoczący rytm, coraz głośniejszy w parnym powietrzu poranka. Po kilku minutach samochód zatrzymał się po drugiej stronie bramy wraz ze swym legionem. Spoza gęstej zasłony liści obserwowali to z nieskrywaną ciekawością mieszkańcy wioski.

Pani Chin spojrzała na przednią szybę auta, oszołomiona jego wielkością. Pomruk silnika zdawał się wnikać w ziemię jak jakaś złośliwa istota. Wśród liści nad jej głową rozległ się szept, który kazał jej spojrzeć w górę. Głosy duchów! Czowała ich obecność równie wyraźnie jak powiew wiatru na skórze.

Dan chwycił ją za rękę i ciepło jego dotyku przywróciło ją do świata żywych. Chciała mu podziękować, lecz zabrakło jej siły, żeby się odezwać. Skupiła więc całą uwagę na samochodzie.

Drzwiczki pojazdu się otworzyły. Wyplął stamtąd biały dym,

głaszcząc trawę delikatnymi smugami. Żołnierze ustawili się półkolem przed zburzoną ścianą domu, tuląc w objęciach karabiny, jak niemowlęta. Dym zgęstniał, przesłaniając widok. Pomruk silnika ustał i znów zaległa cisza.

W mglistej przestrzeni pod drzwiczkami auta wyłonił się czarny but, który zgniótł kępkę trawy. Zatrzymał się na granicy zieleni, celując szpiczastym, lśniącym czubkiem prosto w panią Chin. Powoli pokazał się jego bliźniak. Siedziała nieruchomo jak zahipnotyzowana. Te buty były złowrogie, niczym dwa czarne koty zwiastujące nieszczęście. W czystym, słodkim powietrzu ponióśł się nikły zapach opium. Była pewna, że to sam diabeł przybył w czarnych butach po jej duszę.

Zdezorientowana, usłyszała nagle nieznajomy głos, niski i przeciągający sylaby.

– To rzeczywiście ty, Dan Nguyen. Jeden z żołnierzy doniósł mi dzisiaj, że zjawiłeś się na przystani i obwieściłeś wszem wobec swoje nazwisko z arogancją młodego lorda. Oczywiście nie dałem temu wiary. Musiałem zobaczyć cię na własne oczy, żeby uwierzyć w prawdziwość tej niesamowitej historii.

Pani Chin spojrzała na mówiącego. Nad podpuchniętymi i półprzykniętymi oczami straszyla się czarna jak węgiel czupryna. Przy każdym słowie z kącika wąskich sinych ust wydobywała się strużka dymu. Ubranie miało w nieładzie; kosztowna niegdyś jedwabna szata była wygnieciona i poplamiona. Jedno ucho mężczyzny przylegało płasko do głowy, jak namoknięty ryżowy papier; była to charakterystyczna cecha palaczy opium, którzy zbyt wiele czasu spędzali, leżąc na jednym boku. Domyślała się, że ma około trzydziestki, lecz lata rozwiązłości nadały jego obliczu wygląd człowieka o wiele starszego. Zdumiewało ją, że ktoś o tak niechlujnym wyglądzie może przemawiać w tak władczy sposób.

Młody hafciarz stał obok niej, marszcząc brwi.

– Ten głos – mruknął. – Gdzie ja go już słyszałem?

Przybysz oparł się o maskę samochodu.

– Słyszałeś ten głos po raz pierwszy właśnie w tym ogrodzie – powiedział. – Przed szesnastu laty, w dniu egzekucji twojego ojca zdrajcy i jego dwóch żon. Dziewięć lat później byłem przy tym, jak wyznawałeś Toanowi, że ukrywałeś się wtedy na tym drzewie, podczas gdy ja, wówczas zwykły żołnierz, stałem wraz z innymi dokładnie w miejscu, w którym stoisz w tej chwili. Sięgnij do swoich wspomnień, młody człowieku.

– No przecież! – zawołał zdumiony Dan. – Jesteś kapitan Sai, dowódca straży.

– W rzeczy samej. Masz dobrą pamięć. Tylko że teraz jestem pan Sai, burmistrz wioski Cam Le.

– A co się stało z asesorem Toanem? – zapytał Dan.

Burmistrz nie odpowiedział. Pani Chin obserwowała, jak przyglądają się sobie nawzajem, niczym para kogutów przed walką. Wreszcie hafciarz przerwał milczenie.

– To nie pana szukam – powiedział, prostując się. – Musi pan opuścić natychmiast moją posiadłość albo przedstawić powód przebywania tutaj. Po co pan tu przyjechał razem z tymi uzbrojonymi żołnierzami? Czy jestem aresztowany?

– Ależ panie Nguyen! – wykrzyknął burmistrz. – Czasy bardzo się zmieniły, odkąd po raz ostatni widziano pana w tych okolicach. Rodzina Toanów nie rządzi już wioską. Ponieważ wie pan o wszystkim, co się tu wydarzyło w czasie pańskiego dzieciństwa, wie pan także, że nie ma między nami złej krwi. To nie ja, lecz on... asesor Toan... jest odpowiedzialny za pańskie cierpienia. Ja byłem tylko jego podwładnym, narzędziem, takim samym jak ta broń. – Poklepał karabin najbliższego z żołnierzy i roześmiał się. – W jakim celu pan tu przybył, panie Nguyen? – W głosie burmistrza Sai pobrzmiwała nutka ironii. – Po co pan wrócił do miejsca swego upokorzenia, skoro jest pan teraz wolnym człowiekiem?

– Już pan to odgadł – odparł Dan. – Szukam asesora Toana, aby wyrównać z nim rachunki.

– A więc będzie ci potrzebna moja pomoc, młody panie.

– Dziękuję za tę szczerą propozycję – powiedział Dan – ale nie muszę pana tym obciążać. Potrafię sam załatwić własną sprawę.

Burmistrz Sai postąpił kilka kroków naprzód, aż znalazł się przy pani Chin. Odsunęła się mimowolnie na widok jego rzadkich wąsów, wielkich brunatnych zębów i czerwonych dziąseł. Zza szpiczastego kapelusza mężczyzny wyglądało palące słońce i miała wrażenie, że z jego ust wydobywa się ogień. Kobieta wydała pisk przestachu. Dan klęknął przy niej i wziął ją w objęcia.

– Czyżby to była pani Yen, pańska matka? – zapytał Sai.

Dan nie odpowiedział, pani Chin zaś nachyliła się ku burmistrzowi i wymamrotała:

– Zły człowiek!

– Czy ona jest obłąkana? – szepnął Sai, marszcząc brwi.

– Wręcz przeciwnie – odparł hafciarz, wstając, by spojrzeć w jego twarz. – Jest nie mniej normalna niż pan albo ja, tyle że umiera, więc zdarza jej się majaczyć. Odbiera pana jako złą energię. Proszę odejść!

– Ależ, młody panie. Zachowuje się pan impulsywnie, niczym ciężarna kobieta.

– Odejdź, człowieku – powtórzył Dan cichym, lecz ostrym głosem. – W tej chwili.

Burmistrz splunął na ziemię.

– Ty łotrze! – ryknął. – Jak śmiesz mnie prowokować w obecności moich ludzi? Wiem dobrze, po co tu przyjechałeś. Chcesz odnaleźć drugi kawałek mapy prowadzącej do skarbu. Chcesz odzyskać swoją fortunę. Ale bez mojej pomocy nigdy nie zdobędziesz tego, czego szukasz. Zaufaj mi, bo wiem, o czym mówię. Ja sam także szukałem tego przedmiotu, lecz ten stary łajdak Toan mnie przechytrył. Nieszczęsny jadowity wąż! – Sai rzucił Danowi groźne spojrzenie. – Nie zapominaj, że to ja jestem teraz burmistrzem tej wioski. Bez mojej wiedzy i zgody

niczego nie wyniesiesz poza jej bramę. Jeżeli będziesz mi się przeciwstawiał, zniszczę cię.

– Wynoś się z mojego terenu! – odrzekł Dan. Usiłował się opanować, naprężając mięśnie grzbietu.

Burmistrz ruszył naprzód, próbując uderzyć go pięścią w twarz. Ku zaskoczeniu pani Chin, ręka Sai, zamiast trafić hafciarza, została pochwycona przez niego w powietrzu. Żołnierze wycelowali karabiny w Dana.

– Nie strzelać! – krzyknął burmistrz. – Muszę go mieć żywego.

Hafciarz nie puścił przegubu swego przeciwnika, lecz szarpnął go z taką siłą, że mężczyzna poleciał do przodu i padł na kolana, wyginając się w łuk, by ulżyć wykręconej do tyłu ręce.

– To boli. Puść! – wydyszał zdesperowany Sai.

Dan pchnął go i otworzył dłoń. Burmistrz padł twarzą w trawę, lecz zaraz zerwał się na nogi i masując ramię, krzyknął do swoich ludzi:

– Aresztować go!

Dan cofnął się o krok, sięgając do kieszeni spodni. Następnie podniósł rękę, otwartą dłonią ku żołnierzom. W jego palcach wisiała na czerwonej wstążce przepustka z kości słoniowej, którą otrzymał od Cesarzowej Matki, pani Thuc.

– W imieniu Jego Cesarskiej Mości rozkazuję wam przestać! – zawołał, wyciągając w ich stronę cesarski emblemat.

Żołnierze znieruchomieli, jakby związani niewidzialnym sznurem.

– Glejt z pałacu! – zakrzyknął burmistrz, poznając przedmiot. – Jak udało ci się zdobyć tę oznakę zasługi? Jakie stanowisko zajmujesz w Cesarskim Mieście?

– Jestem mandarynem w Kancelarii Dworu – oznajmił Dan – i oficjalnym hafciarzem Jego Cesarskiej Mości. Czy sądzisz, że byłbym tak głupi, żeby się zjawiać w tym nasiąkniętym krwią miejscu, nie będąc chronionym przez dwór cesarski przed niebezpieczeństwem, którego się spodziewałem? Zostawiłem zaufanemu przyjacielowi szczegółowe wyjaśnienie na piśmie, w jakim celu powracam do wioski Cam Le.

Brama Południowa w cytadeli jest zamykana codziennie dokładnie o szóstej po południu. Jeżeli nie zjawię się do tego czasu, by podjąć prace nad portretem cesarza, przyjaciel ten przekaże moją notatkę pani Thuc. Ty, rodzina Toanów i wasi siepacze będziecie odpowiedzialni za moją nieobecność. Zapewniam cię, panie Sai, że przedstawiłem w tym piśmie dość dowodów na to, żeby zagwarantować ci wyrok śmierci. Zazaczyłem także, że głowa burmistrza wioski, ktokolwiek nim teraz jest, powinna zostać nadziana na pikę i wystawiona na widok publiczny przed grobem mojego ojca. Czy zatem rzeczywiście chcesz, żeby twoi ludzie mnie aresztowali?

Burmistrz dał żołnierzom znak uniesioną ręką. Ustawili się ponownie w dwuszereg i ruszyli do bramy.

Pani Chin uświadomiła sobie, że ktoś ją podnosi. Wypełniała ją taka ulga, że nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się poza terenem zrujnowanej rezydencji. Bezkresne niebiosa, które były świadkiem rzezi jej najbliższych, przyglądały się teraz, jak ona sama opuszcza to ponure miejsce.

Pani Chin uczestniczyła we własnym pogrzebie, tak jej się w każdym razie wydawało.

Drewniany palankin, wyścielony różowymi i czerwonymi poduszkami, płynął ponad niekończącym się złocistym polem, na którym spokój miał barwę dojrzałych kolb kukurydzy. Ciało pani Chin, niekształne i bez życia, okrywało kilka warstw całunu. Obok niej maszerował Dan; jego obecność była jak zawsze kojąca. Za szybą podążającego za procesją samochodu widziała twarz burmistrza Sai. Na końcu szli w dwóch długich rzędach żołnierze.

Na zakręcie drogi samotne drzewo figowca wyciągało swe poskręcane macki, zdając się naśladować kobietę suszącą włosy na wietrze. W oddali wyłonił się dach świątyni; jej zmurszałe ściany stapały się z ziemią. Dźwięk gongów, poszum liści, bogaty zapach kadzidła i falujący obłok pyłków kukurydzy składały się na atmosferę głębokiego

spokoju, jak gdyby czas dryfował ku dającej odpoczynek pustce.

Cały orszak pani Chin, niczym stonoga, wpelzł na ulicę, przy której kipiało życiem targowisko. Ujrzała kolorowe bele jedwabiu, cynobrowe, błękitne i czerwone, rzędy pieczonych kaczek i kurczaków na stoiskach z jedzeniem oraz mężczyzn i kobiety w wystrzępionych ubraniach, którzy się jej przyglądali. To byli świadkowie jej pogrzebu. Wypełniali obie strony ulicy, obce twarze niosące kwiaty, szepczące plotki, grające na instrumentach muzycznych i palące papierowe pieniądze, żeby zapewnić zmarłej powodzenie na tamtym świecie. Przyglądała się kolejno każdemu obliczu, szukając znajomych rysów kogoś, kto mógłby oplakiwać jej śmierć, kto chciałby pożegnać jej odchodzącą duszę.

Nagle wydarzyło się coś dziwnego. Jej umysł przeszył elektryzujący obraz, niczym błyskawica przecinająca niebo. Do tej pory wszystkie twarze wydawały jej się zwyczajne; były toporne, ogorzałe i zaciekawione. Znajdowała się jednak wśród nich para oczu ciemnych jak węgle i przepaścistych jak noc, wnikających w głąb jej duszy. Opadły ją duchy przeszłości, ujrzała martwe ciała syna i męża, rzucone na frontowy trawnik opuszczonego domu.

Spojrzała ponownie w twarz, w której tkwiły te niesamowite oczy, i pomachała ręką do hafciarza; na próżno jednak, bo szedł przed nią i niczego nie zauważył. Spróbowała się unieść; widok się rozmył i przeszedł ją dreszcz. Jak mogłaby go powiadomić, że właśnie przed chwilą zobaczyła oczy mordercy?

Dan Nguyen przystanął w pół kroku. On także spostrzegł wieśniaka o świdrujących oczach. Postać w lachmanach oderwała się od tłumu i ruszyła w jego stronę – androgeniczny stwór o bezwłosej czaszce i porytej bliznami twarzy. Jakikolwiek ślad piękna zniknął z tej twarzy już dawno. Blizny były długie i groteskowe. Stworzenie patrzyło na niego, rozpościerając ramiona. Było w tym geście coś matczynego, jakby przyzywał go z tęsknotą. Kiedy się przyjrzał uważniej, dojrzał pod ciemnym ubraniem zarys obfitych piersi.

Widząc, że Dan się zatrzymał, niosący palankin tragarze także stanęli. Tłum zaszepotał, długi, szemrzący dźwięk poniósł się od końca do końca, jak deszcz. Dan śledził kobietę wzrokiem. Weszła na drogę, rozpościerając szeroko ręce i otwierając usta. Jej wzrok palił go z mocą słońca.

Ruszyła w jego stronę biegiem; potykała się, lecz nic nie mogło zatrzymać jej szaleńczego pędu. W ciszy, która zapadła, z jej gardła wydobył się odgłos podobny do wycia zbitego psa. Gdzie mógł już kiedyś słyszeć tak prymitywny dźwięk? Emocje, które wyrażał, były dojmujące, lecz nie towarzyszyło temu ani jedno artykułowane słowo.

Dan cofnął się o kilka kroków, przestraszony i zdezorientowany strasznym krzykiem.

– Kim jesteś?! – zawołał, wpatrując się w twarz kobiety.

Jej blizny, ogolona głowa i dziki wygląd nasuwały mu na myśl wybijacza godzin... O bogowie w niebiosach, miejcie litość... Już kiedyś widział te oczy. Jego postać odbijała się w nich jak w lustrze. Miały kształt skrzydeł czarnej ważki, a wysokie kości policzkowe i zbyt wielkie zęby także miały w sobie coś znajomego.

Nagle kobieta uśmiechnęła się, chociaż po twarzy płynęły jej łzy. Chwyciła jego dłoń, pocałowała ją i przycisnęła do swego policzka.

Spłynęło nań zrozumienie.

– Ven – wymamrotał. – Czy to ty?

Skinęła głową.

Dan poczuł, jak nogi się pod nim uginają, i runął do przodu. Ven przyjęła go na swoją pierś, jakby znów był dzieckiem.

– Kwiaty na grobie mojego ojca – powiedział, gdy tuliła go w objęciach. – To ty je położyłaś, prawda?

Znowu skinęła głową.

– Twoje włosy, twoja twarz, twój głos – Dan ledwie dobywał z siebie słowa. – Co oni z tobą zrobili?

Odpowiedziała mu pełnym oddania, radosnym kwileniem domowego zwierzątka. Jej twarz rozluźniła się w wyrazie zadowolenia. Wciąż

go dotykała, od czoła do końców włosów, jakby chcąc się upewnić, że nie jest snem.

Pani Chin także widziała już kiedyś te hipnotyzujące oczy. Należały do zabójczym z listów gończych, które wisiały nad jej łóżkiem. Studiowała tę fizjonomię przez siedem długich lat, aż wryła się głęboko w pamięć. Przez siedem podłych lat szukała jej. I właśnie dziś, na obcym terytorium, stanęła wreszcie twarzą w twarz ze swym wrogiem.

Dan wpatrywał się w Ven z uczuciem wstydu i przerażenia. Od tamtej nocy podczas Księżykowych Żniw był przekonany, że oddała życie, żeby go ratować. Nie spodziewał się zobaczyć jej pośród tłumu wieśniaków, tak zmienionej i bełkoczącej. Podniósł jej podbródek kciukiem, ustawiając twarz do słońca. Ven otworzyła usta i ujrzał mały kikut języka.

– Ven – jęknął. – Oddałbym wszystko, żeby znów usłyszeć, jak mówisz. Przeklinam okrutnych łotrów, którzy ci to zrobili. Twoje milczenie będzie już teraz na zawsze strzegło imion tych podleców.

Za jego plecami rozległ się gardłowy głos.

– Jeżeli pan pozwoli, będę mówił za nią.

Dan odwrócił się i ujrzał wybijacza godzin, który stał na skraju drogi z rękami założonymi na piersi. Nie bełkotał, nie zataczał się i nie trzymał w ręce rozbitej butelki. Nawet jego skórzasta twarz była umyta. Tak wiele zmieniło się w wiosce Cam Le, że Dan nie wiedział, co powiedzieć.

Spojrzał na swoją żonę, a potem znów na Dużego Cona. Ogolone głowy, blizny na twarzach, ciemne stroje i okazywana przychylność tak ich upodobiały, że mogliby być bliźniakami. Dan nie był w stanie oprzeć się wrażeniu, że Ven usiłuje zostać lustrzanym odbiciem wybijacza godzin. Pragnął siedzieć z nią godzinami i rozmawiać, słyszeć jej melodyjny głos, chłonać jej wiedzę. Z sercem ściśniętym smutkiem uświadomił sobie, jak wiele ich różni. Żeby ją usłyszeć, potrzebował

pośrednictwa. Skinął więc niepewnie głową i Duży Con podszedł bliżej.

– Proszę mnie pytać o wszystko, o co chciałby pan zapytać ją, pannie Nguyen – powiedział.

– Kto cię tak skrzywdził, Ven? – zapytał Dan.

Ven wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. Jej szyja się napięła i z otwartych ust wydobyło się głośne, długie „aaa”.

Wybijacz godzin odwrócił się ku niej. Ich spojrzenia się spotkały. W końcu mężczyzna odezwał się ledwie słyszalnym głosem:

– Ona mówi, że to ręce tego diabła Toana obcięły jej język.

Ven zaskomliła i uderzyła się w pierś. Miała spojrzenie zranionej sarny.

– Chce teraz wiedzieć, dlaczego tutaj jesteś – ciągnął Duży Con. – Czekala na ciebie ze względu na honor twojej rodziny i jej własny. Darzy cię uwielbieniem i hołubiła pamięć o tobie, lecz niemal już uwierzyła, że nigdy się nie pojawisz. Co tak bardzo opóźniło twój powrót? Powiedz jej przynajmniej, że kalectwo, które musi cierpieć przez tego potwora, zostanie pomszczone. Powiedz jej, że śmierć oszczędziła twego wroga przez tyle lat tylko po to, byś mógł go osądzić.

– Gdybyś wiedziała, ile modlitw zaniósłem do bogów – zwrócił się do Ven młodzieniec. – Gdybyś wiedziała, jak rozpaczalem. Przez wszystkie lata mojego dzieciństwa, kiedy byliśmy razem, chodziłem za tobą, patrzyłem na ciebie, kochałem cię i bałem się zarazem. Zrobiłem to, o co mnie prosiłaś. Rozważałem setki sposobów zemśczenia się na nim. Lecz kiedy nadchodził czas działania, nie potrafiłem zmusić moich rąk, żeby zadały wrogowi ostateczny cios. Powodem tego nie było tchórzostwo ani niewiedza. W moim biednym sercu nienawiść do niego zawsze była tłumiona przez miłość; pomieszaną, zakazaną i beznadziejną miłość. Jednakże teraz to się zmieni. Teraz stanę się zbrojną bez serca, gotowym odnowić ślubowanie zemsty, które złożyłem jako

dziecko. Będzie musiał zapłacić za każde zniszczone przez siebie życie.

– Dlaczego nie przybyłeś wcześniej? – zapytał wybijacz godzin, wciąż wpatrując się z napięciem w Ven.

Dan wyciągnął rękę ku swojej żonie.

– Sądziłem, że nie żyjesz. Kiedy uciekłem z ruin domu, byłaś już jego więźniem. Nie przypuszczałem, że taki obłąkaniec jak Toan mógłby oszczędzić twoje życie.

– Nie oszczędził jej – rzekł Duży Con. – Wręcz przeciwnie. Powiesili ją na słupie i zostawili, żeby się wykrwawiła na śmierć. Uratowałem ją ze szponów śmierci. – Wybijacz godzin zrelacjonował Danowi ponure szczegóły tortury, lecz jego twarz pozostawała nieruchoma jak maska.

– Czy to także ty – przerwał mu Dan – poznałyś bliznami jej twarz i ogoliłeś głowę? Czy celowo oszpeciłeś Ven, żeby zatrzymać ją przy sobie na zawsze?

Ven pokręciła głową i zaskrzeczała. Wyrzuciła ręce do góry i zakryła twarz. Dan nigdy nie widział, żeby zachowywała się w taki sposób – krucha, bezbronna i niezaprzeczalnie kobieca. Wyglądało na to, że się wstydzi swej pokiereszowanej twarzy.

Wybijacz godzin wziął ją w ramiona. Przyłgnęła do jego piersi, ukrywając się przed wzrokiem męża. Duży Con kołysał ją lekko, szepcząc jednocześnie do ucha niedosłyszalne słowa ukojenia. Słońce barwiło niebo na różowo, a otaczające ich drzewa wyglądały jak stojący nad Danem sędziowie, gotowi go osądzić i potępić. Czuł się kompletnie nie na miejscu, niczym obcy, który podgląda pełną uczucia scenę przez okno i za chwilę zostanie przyłapany.

– O co mnie pan oskarża? – zapytał Duży Con ponad głową Ven. – Dożyłem mojego wieku, nigdy nie skrzywdziwszy kobiety, tym bardziej tej, która jest mi tak droga. Sama zniszczyła sobie twarz, ale to nie powinno cię dziwić, panie. Pan powinien najlepiej rozumieć jej charakter. Jakże inaczej mogłaby pozostać w tej wiosce, pod czujnym okiem straży, wśród wrogów, którzy mogliby ją łatwo rozpoznać? – Przesunął

dłonią po oszpeconym policzku Ven. – Znam dobrze tę twarz i ani przez chwilę nie przestałem dostrzegać piękna w jej niedoskonałości, ani też nie przeżyłbym dnia, nie widząc jej obok siebie każdego ranka. – Wydawał się teraz wyższy. – Kocham Ven bardziej niż samo życie, bo dla mnie ona jest życiem. Jest wszystkim, o co prosiłem bogów, i wszystkim, na co, jako wykształcony nauczyciel, zasłużyłem. Tylko pan jest przeszkodą w moim szczęściu, przeszkodą, z którą muszę się liczyć. Jest pan jej mężem, i od chwili gdy weszła do mojego domu, pański duch tkwi przy naszym posłaniu.

Dan spojrzął na Ven. Patrzyła na niego przez rozczapierzone palce, jak oczekujące reprimendy dziecko.

– Rozumiem – powiedział. – Czy jesteś szczęśliwa, Ven?

Tak, powiedziały jej oczy, gdy z uśmiechem odjęła dłonie od twarzy.

– W takim razie masz moje błogosławieństwo – rzekł Dan. – Ciesz się swoim związkiem z nauczycielem Conem. Pośród głębokiej rozpacz i w najbardziej niesprzyjających okolicznościach zdołaliście nawzajem znaleźć w sobie szczęście. Wspólnie pokonaliście śmierć. Oby bogowie w niebiosach błogosławili wasze życie razem, tak jak robili to w przeszłości! Żyjcie i cieszcie się wzajemnie swoją obecnością.

Ven, rozradowana, chwyciła go za rękę.

– Czas stanąć twarzą w twarz z wrogiem – powiedział poważnie Dan. – Daj znać, kiedy będziesz gotowa, i pójdziemy tam razem.

Ven odwróciła się do wybijacza godzin. Ten pojął w lot jej gest i przypadł do kolan Dana. W jego lśniącej czaszce odbijało się złote słońce.

– Dziękuję ci z całego serca, panie – powiedział. – Twoja szczerość przyniosła nam wyzwolenie. Teraz rozumiem, dlaczego Ven zachowuje dla ciebie specjalne miejsce w swoim sercu.

Dan pochylił się i pomógł mężczyźnie wstać.

– Nauczycielu Con, nie musi mi pan dziękować – rzekł. – Ufam pańskiej szczerości i dobroci charakteru. Przekonał mnie pan, jak

bardzo się troszczy o moją drogą Ven. Proszę ją poślubić nawet dziś, jeśli wola. Niech zostanie pańską legalną żoną, niech pan ją chroni, żeby już nigdy nie była samotna. – Dan aż chrypiał z nadmiaru emocji. – Jeśli zaś o mnie chodzi, zwlekałem już nazbyt długo. Przez wzgląd na moich przodków, muszę się przygotować na spotkanie z przeznaczeniem. Najpierw jednak chciałbym wam kogoś przedstawić.

Ven wpatrywała się w niego z oczekiwaniem w oczach.

Dan objął ją i podeszli razem do pani Chin. Ta przyjrzała się Ven, szczególnie uważnie oglądając jej ogoloną głowę. Pomimo wszelkich wysiłków nie potrafiła zapanować nad oddechem i dyszała ciężko. Dan przybliżył się do niej i poczuł na ramieniu jej kościstą dłoń.

– Nie ostrzegłeś mnie – wyszeptała, patrząc z lękiem na Ven. – Mimo tych blizn poznałam w niej kobietę z listu gończego. Jednak słuchając jej historii, widzę, że ona sama także mnóstwo wycierpiała. Powiedz mi, czy to jest morderczyni, dla której odbyliśmy tę długą podróż, czy tylko kolejna ofiara jakiejś innej ohydnej zbrodni?

– Jest moją opiekunką, *madame* – odparł Dan z uśmiechem. – Nie jest zabójczynią pani męża i syna, chociaż tak przedstawiono pani sprawę w przeszłości. Tak samo jak my, żyła w oczekiwaniu dnia, w którym dokona się zemsta i zapanuje sprawiedliwość.

Pani Chin pochyliła się, zbliżając twarz do jego twarzy.

– Jest pan zaiste czarującym człowiekiem, młodzieńcze. Zaufałam panu jak dotąd i chcę ufać aż do ostatniego tchu. Może jestem głupia, uważając pana za odważnego i pokornego, podczas gdy pańską prawdziwą naturą może się okazać chciwość i okrucieństwo. Niech pan nie zdradzi umierającej kobiety, panie Nguyen! Nie jest ona aż tak bezradna i słaba, jak mogłoby się wydawać. Obserwowałam pana i wiem o liście pozostawionym u przyjaciela. Ja także zostawiłam list u tej samej osoby. Ten człowiek jest mi bardzo bliski, i w razie czego bez wahania wypełni moją ostatnią wolę. Nie mam zbyt wiele do stracenia w tej grze... poza własnym życiem. A jak pan widzi, przeżyłam już dość lat. Jeżeli się zorientuję, młody panie, że zamierzasz złamać swój kodeks

honorowy, który cię chronił do tej pory jak zbroja, przysięgam, że wydam cię w ręce najbardziej mściwych bogów. Spójrz w górę! Są tam niebiosa i obserwują cię bacznie.

– Moje życie jest w pani rękach, *madame*. – Dan skłonił się przed nią. – Biorę niebiosa na świadka, że pani nie zdradzę i nie zawiodę.

– Wobec tego – rzekła – ruszajmy na spotkanie z prawdziwym mordercą. Mój czas się kończy, lecz poprosiłam Śmierć, żeby poczekała jeszcze trochę.

Dan odwrócił się do wybijacza godzin.

– Proszę, żeby mi pan powiedział wszystko, co wie o asesorze Toanie. Gdzie się znajduje i jak liczne są jego straże. Skoro mam wejść na jego terytorium, muszę wiedzieć, jaką siłą dysponuje.

– Mieszka sam w swoim domu – odparł nauczyciel. – Wkrótce po wydarzeniach na festynie Księżycowych Żniw pan Long zrezygnował ze stanowiska burmistrza Cam Le. Kiedy jego ojciec pojechał do Hue, żeby zrelacjonować w pałacu szczegóły śmierci ministra i jego syna, Long wraz z rodziną opuścił wioskę. Od tego czasu nikt ich nie widział, zniknęli bez wieści. Stary Toan wrócił do pustego domu i czeka tam samotnie na śmierć.

– Czy będzie pan wobec tego tak uprzejmy i zaprowadzi nas do niego? – zapytał Dan.

Rozdział dwudziesty drugi

Płomienie smoka

Zatrzymali się przed wielkim domem. Choć otaczający posiadłość mur zasłaniał widok, pani Chin, zaglądając do środka przez bramę, dostrzegła poczynione przez czas zniszczenia. Przed sobą miała dwa drewniane filary, kiedyś okazałe i solidne, lecz teraz przekrzywione i spękane od suchego gorąca, jakby przygniatał je ciężar czarnych wrót, które na nich wisały.

Dziedziniec porastała trawa wyższa od człowieka, przesłaniając dom. Gryzonie, słysząc ludzi, umknęły z szurgotem w zarośla. Pani Chin wciągnęła w nozdrza pylistą woń budynku i jego posepnych przestrzeni. Kto chciałby oczekiwać śmierci w takiej pustce? Nawet jej ciasna klitka w Apartamentach Spokoju wydawała się w porównaniu z tym miejscem przytulną przystanią.

Za ich plecami rozległo się stąpanie ciężkich skórzanych butów burmistrza Sai. Obejrzeni się i zobaczyli jego samochód, zaparkowany w cieniu starego dębu. Wąskie usta mężczyzny ułożyły się w krzywy uśmiech. Sięgnął pod wymiętą tunikę po chusteczkę i otarł sobie twarz.

– Witam – powiedział. – Nikt nie przekroczył tej bramy, odkąd pan Long opuścił dom. Kiedy chcemy odwiedzić starego, używamy tylnego wejścia.

Hafciarz przykucnął na schodku, by przyjrzeć się bramie, plecami do burmistrza. Pani Chin widziała czubek jego głowy na wysokości swoich stóp.

– Wejdziemy do tego domu głównym wejściem – oznajmił Dan i pchnął ciężkie skrzydła, otwierając je szeroko.

Wszedł w wysoką trawę na dziedzińcu i niemal zniknął jej z oczu. Tragarze z palankinem podążyli za nim. Teraz widziała dom lepiej. Farba oblażyła ze ścian w licznych warstwach, a spękania i rysy tworzyły na ich powierzchni dziwaczne żyły. Czerwony niegdyś dach zbiegał od słońca, a krawędzie dachówek obrosły brązowym mchem, co nadało im wygląd zaplamionych tytoniem zębów.

Na ganku stały martwe drzewka w rozbitych donicach, wyciągając ku przybyszom powykęcane gałęzie. Okiennice i futryny drzwi zostały w wielu miejscach zerwane, odsłaniając ciemne jamy, patrzące na nich jak oczy ślepeca. Wnętrze skrywały cienie; nawet blask słońca nie mógł rozproszyć odwiecznego mroku. I nagle w głębi tej posępnej scenerii pani Chin usłyszała kroki.

Korytarzem nadeszła kobieta, rozpościerając ramiona tak, że jej pazurek drapały po ścianach, tworząc dziwny rezonans. Z cienia wyłoniła się twarz patrząca zmrużonymi oczami na przybyszów. Wypukłe czoło i otwarte usta nadawały jej wygląd nierozgarniętego dziecka. Pani Chin dostrzegła strój służącej – obszerną niebieską tunikę, używaną przy pracach domowych. Kobieta stała w drzwiach, nie zamierzając podejść bliżej.

Po chwili do przodu wystąpił burmistrz. Pokojówka cofnęła się przestraszona.

– Pan Sai... – zdołała tylko wykrztusić.

– Jak się miewa stary łajdak? – zapytał Sai.

Kobieta zeszywniała. Uniosła rękę, celując palcami w stronę głównego pokoju.

– Jest w środku – mruknęła. – Odpoczywa.

Burmistrz podszedł do ganku w obstawie dwóch swoich ludzi.

Poprawił szatę i poklepał kobietę po głowie. Uciekła w głąb domu, z dłońmi splecionymi na piersi.

Sai spojrzął na Dana, unosząc rękę uspokajającym gestem.

– W porządku! – zawołał. – Nie ma strazy. Możecie wejść, kiedy tylko będziecie gotowi. Poślę człowieka na targ, żeby przyniósł wam coś do picia, chociaż obawiam się, że nie przyjmie pan niczego ode mnie. Czy zdarzyło się panu kiedyś wypić szklaneczkę soku kokosowego w taki gorący dzień jak dzisiaj? Serwowałem ten napój bardzo wielu osobom przed panem, panie Nguyen. – Odrzucił głowę i roześmiał się z własnego komentarza.

Pani Chin ujrzała, że hafciarz prostuje się i obrzuca burmistrza posępnym spojrzeniem.

– Nie potrzebuję pańskiej pomocy – rzekł. – Właściwie wolałbym, żeby opuścił pan to miejsce jak najszybciej.

– O co chodzi? – Sai spowaźniał. – Można by pomyśleć, że się pan boi wejść do tego domu, chociaż wiem, że tak nie jest. Wejdzie pan czy nie? Nie można pana winić, jeżeli nie, i w rzeczy samej nie sądzę, żeby chciał się pan przyłączyć do naszego małego przyjęcia powitalnego. Ale ja stąd nie odejdę, dopóki nie znajdę tego, po co przyszedłem. – Sai odwrócił się i wszedł do budynku.

– Gdzie jest Song? – zapytał Dan wybijacza godzin.

– Umarła przed kilku laty – odparł nauczyciel. – Któregoś dnia rano znaleźli ją powieszoną w jej pokoju. Niektórzy mówili, że to samobójstwo. Inni uważali, że została zamordowana.

Podeszła do nich Ven.

– Idź z nią – powiedział Dan do Dużego Cona. – Ja poniosę panią Chin, a tragarze niech zaczekają tutaj. Pójdziemy się spotkać z asesorem Toanem.

Pani Chin znalazła się w salonie swojego wroga. Pokój musiał być kiedyś bardzo ładny, przestronny, z wysokim sufitem. Teraz jednak rzędy hebanowych słupów i malowanych na czarno belek tworzyły

obramienie zamazanej przestrzeni. Przez trzepoczące rzęsy widziała kołyszący się lekko sufit i iskierki gwiazd, przeświecających przez kłęby puchatych chmur – a może był to tylko wzór utworzony przez plamy wilgoci, które odbarwiły farbę? W najwyższym punkcie wisiały trzy metalowe rurki, tworzące odwrócony do góry nogami trójnóg. Każda rurka zakończona była porzeczonym hakiem, na którym zawieszono kiść lamp naftowych. Ich płomienie rzucały na ściany upiorne obrazy.

Pani Chin spoczywała spokojnie w ramionach hafciarza. Miała wrażenie, że w jej ciele biegnie sznur, na którym powieszono jej łono i przypięto żelaznymi klamerkami, aby wyschło. Szarpiący ból sprawił, że zaczęła wizualizować sobie świat własnego ciała. Powoli i niechętnie pani Chin rozglądała się w tym świecie, aż jej oczy napotkały wzrok potwora żerującego w jej wnętrzościach – raka, który miał ją w końcu zabić. Przez chwilę wytrzymywała jego nieruchome, palące spojrzenie. I nagle potwór zmienił się w pomarszczoną twarz starca, skulonego na krześle dziesięć kroków od niej. Z kącika jego drżących ust wyciekała strużka żółtawej śliny. Bezwiednie kręcił palcami młynka. Od razu zrozumiała, kogo ma przed sobą.

To był posłaniec diabła!

Nigdy nie zapominała twarzy, a tej w szczególności. Pewnego dnia pojawił się w jej życiu i nagle jego zimna, twarda obecność sprawiła, że została wdową. Skurczone ciało okrywała ta sama zbyt obszerna szata i miał ten sam za duży zawój na głowie. Lecz to, co zobaczyła w jego wzroku, przejęło ją dreszczem lęku. Głos burmistrza wyrwał ją z oszołomienia.

– Mówię to panu z przykrością, panie Nguyen – rzekł Sai, skupiając spojrzenie na kruchej postaci Toana. – Przez wszystkie te lata opiekowałem się asesorem. Robiłem, co w mojej mocy, żeby zachować go przy życiu, w nadziei, że wyjawi mi w końcu tajemnicę, którą mam pełne prawo poznać. Proszę tylko pomyśleć, spędziłem przy nim dwadzieścia lat, służąc mu za powiernika i niewolnika zarazem. Za tę służbę

należy mi się przyzwoite wynagrodzenie. Ale niech pan tylko na niego spojrzy! Stary asesor nie jest już w pełni władz umysłowych. Nie potrafi się samodzielnie poruszać. Utracił zdolność normalnego działania i myślenia. To już nie pański odwieczny wróg, ale chodzące zwłoki. Spotkał go ten sam fatalny los, co starą panią, jego matkę. Jak wydobyć cokolwiek z ciała, w którym nie ma już ducha? Próbowałem na różne sposoby, lecz nie da się niczego wywnioskować z jego zachowania. Liczę na to, że gdy połączymy naszą wiedzę i siły, zdołamy może odczytać ze znaków i gestów starego jego myśli. To ostatnia szansa odnalezienia mapy. W zamian za współpracę jestem gotów podzielić się z panem skarbem po połowie, gdy tylko do niego dotrzemy. Jeżeli jest to rzeczywiście skarb piratów, jak głosi legenda, stanie się pan jednym z najbogatszych ludzi w Hue, panie Nguyen. Asesor Toan siedział na rzeźbionym mahoniowym krześle pośrodku pokoju, a jego złota tunika rozpościerała się wokół niczym pajęcza sieć. Dan podszedł do niego z pobielalą w słabym świetle twarzą. Stary wpatrywał się w przestrzeń jak kamienny posąg, poruszały się jedynie jego ręce szarpane mimowolnymi drgawkami. Ogień w oczach zamienił się w popiół. Poruszał dolną szczęką w niepewnym rytmie, jakby żuł dużą bryłkę tytoniu. Potężny wróg z wyobrażeń Dana wysechł jak serce orzecha betelu. Młodzieniec poczuł, nie odwracając się, że podchodzi doń Ven. Jej zwyczajny, przesycony ziemią zapach dotarł do niego poprzez woń sandałowego kadzidła i opium. Sięgnął po jej dłoń.

– Jak doprowadził się do tego stanu? – zapytał Dan, nie odrywając wzroku od twarzy Toana.

– Sam jest sobie winien – odparł Sai. – Za dużo opium. Przed dwoma laty sprowadziłem tu francuskiego lekarza, który postawił właśnie taką diagnozę. Stwierdził, że system nerwowy starego jest już trwale uszkodzony. Niewiele można dla niego zrobić. Wygląda na to, że za zbrodnie, które popełnił, niebiosa skazały nikczemnika na takie życie.

Duży Con, stojący w głębi pokoju, skwitował słowa Sai głośnym prychnięciem.

– Gdyby to była prawda – odezwał się podniesionym głosem – to dlaczego ty zostałeś oszczędzony? To twoje brudne łapska przyczyniły się do tego, że moja żona jest niema.

W drzwiach pojawiła się nierozgarnięta służąca, zakrywając usta dłonią w geście zdziwienia. Burmistrz, na którego powoli przestawało działać opium, stał jak rozzłoszczony byk, z rozszerzonymi nozdrzami. Obrzucił wybijacza godzin najostrzejszym, oburzonym spojrzeniem, na jakie mógł się zdobyć, odchrząknął i splunął pod nogi.

– Robiłem tylko to, co mi kazano – powiedział. – Byłem jak Duch Gromu; uderzałem tam, dokąd posłali mnie bogowie.

Na ławeczce przy krześle asesora obok lampy olejnej stała miedziana urna z kadzidłem. Przez szpary w pokrywie płynęły smużki dymu, rozsiewając zapach drewna sandałowego. Wykręcone artretyzmem ręce starca wyciągały się w parną ciemność, rozdrabniając gęsty dym na cząsteczki pyłu. Te ręce trzymały kiedyś zakrzywiony miecz... w nieobecnych oczach wciąż zdawał się połyskiwać blask ostrej klingi. Dan pamiętał zieleń trawy pod stopami ojca, która poczerwieniała nagle, gdy poląła się krew. Pomyślał o matce stojącej w oknie burdelu i wystawiającej swoje ciało na sprzedaż. Pomyślał o Ven i jej milczeniu. Czy mógł... czy miał... stać się rzeczywiście narzędziem zemsty za te zagubione dusze i za swoją własną?

Gniew gromadził się w nim jak dym w urnie. Otworzył oczy. I nagle, sam nieświadom, co robi, chwycił starca za przeguby, powstrzymując konwulsyjne ruchy kościstych rąk. Pomarszczona twarz asesora wykrzywiła się, lecz nie próbował się wyrwać. Dan nachylił się nad nim. Widział w oczach Toana własne odbicie, zniekształconą i pełną nienawiści podobiznę.

– Jesteś tam?! – krzyknął. – Odpowiadaj! Dlaczego jesteś takim nikczemnikiem? Dlaczego czerpałeś taką satysfakcję ze zniszczenia mojej rodziny? Jeśli mnie słyszysz, wytłumacz mi to! – Zacisnął mocniej chwyt na rękach starca, głos stwardniał mu jeszcze bardziej. – Mógłbym cię zmiażdżyć w jednej chwili gołymi rękami. Połamałbym

ci te twoje kruche kości jak kurczakowi. Każde z nas mogłoby cię z łatwością zabić, Toan! Ale to nie zwróci mi moich rodziców, a Ven nie odzyska przez to mowy. Zbrodnia nie wymaże zbrodni. Nie mogę... nie chcę stać się tobą.

Za plecami młodzieńca zabrzmiał chrapliwy śmiech burmistrza.

Dan poczuł na rękach lepki płyn. Otworzył dłonie i podniósł je. Ku swemu przerażeniu zobaczył krew, gęstą, ciemną i o cierpkim zapachu. Uwolniony z jego uścisku starzec znów wyrzucał przed siebie ręce bezładnymi ruchami, próbując łapać smugi dymu. Skamieniała twarz Toana nie wyrażała żadnych emocji.

Dan jęknął zatrwożony. Ręce starego asesora wysunęły się z szerokich rękawów tuniki, poznaczone plamami wątrobowymi i uwalane krwią. Dlaczego stary diabeł krwawił? Przecież uścisk Dana nie mógł go zranić! Służąca przy wejściu kucnęła, obejmując głowę rękami; jej pośladki wisiały tuż nad cementową posadzką i kołysała się w przód i w tył, wydając ciche jęki. Dan rozpiął tunikę Toana i rozchylił jej poły. Starzec opadł do przodu, kładąc czoło na poręczy krzesła.

– Proszę przestać! – pisnęła służąca. – Proszę już nie bić mojego pana! Błagam!

Skóra na plecach starego asesora, pod jego kosztowną złotą tuniką, była poraniona i poznaczona bliznami. Czarno-czerwone ślady uderzeń bicia, niektóre stare i zaschnięte, inne wciąż broczące krwią, krzyżowały się niczym linie dróg na mapie. Głos służącej przeszedł w chrapliwy szept.

Dan obejrzał się na burmistrza, który wycofał się do najciemniejszego kąta pokoju.

– Próbowałem wszelkich możliwych sposobów, żeby zmusić go do mówienia – powiedział Sai. – Według tego, co mówił francuski lekarz, Toan panuje nad wszystkimi pięcioma zmysłami. Odczuwa wszelkie bodźce fizyczne, chociaż nie zawsze może zareagować na nie tak jak któreś z nas. Miałem nadzieję, że torturami wytrącę go z tej katatonicznej martwoty. Na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że męki ustaną,

gdy tylko wyjawi mi to, co chcę wiedzieć. – Widząc, że Dan wciąż milczy, burmistrz stracił nagle rezon. – Młody panie, niech mnie pan nie peszy tym spojrzeniem! – zawołał. – Nie może mnie pan osądzać ze swojego punktu widzenia. Muszę robić wszystko, co możliwe, żeby przetrwać. Nie poszczęściło mi się tak jak panu i nie zostałem obdarzony sumieniem. Biedny Dan! Biedna Ven! A co z biednym Sai? Czy ktoś w ogóle o nim słyszał? Czy żyje pogodzony ze sobą? Jestem, jak pan widzi, bezimienny i zapomniany przez świat. – Mężczyzna odwrócił się do Ven i ciągnął podniesionym głosem: – Wiedziałem o twoim potajnym romansie z Dużym Conem, o chacie w lesie i o częstych wyprawach na groby w dawnej rezydencji Nguyenów. Mam na was oboje oko, odkąd zostałem burmistrzem tej wioski. Czy kiedykolwiek was nękałem albo nachodziłem wasze gniazdko? Skupiam się tylko na jednej rzeczy: chcę zdobyć ten zakopany skarb, żeby uprzyjemnić sobie dzięki niemu moje ostatnie lata. Jeżeli chce mnie pan osądzać, radzę zatrzymać swoje komentarze dla siebie.

– Nie oszuka mnie pan, panie Sai – odpowiedział Dan. – Ven i nauczyciel Con byli panu potrzebni jako aktorzy w tym ponurym dramacie. Służyli panu jako przynęta, która miała mnie zwabić do wioski. Dlatego tolerował pan ich obecność i pozostawił w spokoju. Zjawiłem się, lecz moja wiedza na temat drugiej części mapy nie pomoże panu znaleźć skarbu bez pierwszej części, zaginionej gdzieś w umyśle asesora. Ale to jeszcze nie powód, żeby traktować go z takim okrucieństwem. Proszę pamiętać o konsekwencjach wynikających z prawa karmy... po dwudziestu latach takie same tortury mogą pana spotkać ze strony któregoś z pańskich ludzi. Sądząc po tym, jak pan rozporządza samochodem Toana, jego podwładnymi i pozycją, przypuszczam, że korzysta pan również z jego majątku i ziemi. Ta fortuna powinna panu w zupełności wystarczyć dla zapewnienia spokojnego i dostatniego życia. – Dan, mówiąc te słowa, skierował wzrok na Toana. – Stary asesor spłacił już swój dług wobec pana, wobec mnie i wobec społeczeństwa. Zostawmy go! Jest opuszczony i godny litości. Jeżeli chodzi

o mnie, uważam, że cel tej podróży został osiągnięty. Czas, żebym opuścił te strony na zawsze, wyjechał gdzieś daleko i uwolnił się od gorzkich wspomnień.

Wziął za rękę Ven i odwrócił się, żeby odejść. Burmistrz rzucił się naprzód, żeby zagrozić mu drogę.

– Nie możesz teraz zniknąć, mój przyjacielu – powiedział, uderzając dłonią naga pierś Dana. – Polowałem na fortunę twojego ojca przez tak długi czas i nie pozwolę, żeby znów mi się wymknęła z rąk. Oddaj mi swoją część mapy! Zasłużyłem sobie na to, żeby ją mieć, jeżeli nawet, jak powiadasz, jest bezużyteczna. Tobie wyraźnie na niej nie zależy, więc chyba możesz dać ją mnie? Zatrzymam ją sobie jako pamiątkę.

Ven odepchnęła rękę burmistrza i stanęła między nimi. Dan dotknął jej ramienia. Jego twarz emanowała spokojem.

– Nie obawiaj się, Ven – powiedział. – Burmistrz prędzej czy później zrozumie, że nie mam tej mapy. To on sam doszedł do wniosku, że przechowuję to, czego szuka.

– Ale przecież z pańskich słów można było wywnioskować, że wie pan, gdzie ona się znajduje! – wykrzyknął Sai.

– I wiem – odparł Dan. – Przyznaję, że wspominałem o drugiej części mapy, lecz to nie znaczy, że znajduje się w moich rękach. Widziałem ją tylko raz, przez krótką chwilę, i moja kiepska pamięć nie zanotowała jej szczegółów.

Sai pochylił się ku niemu z otwartymi ustami.

– Panie Nguyen – wy dyszał – kto ją ma? Czekałem na to tak długo, niech mi pan tylko powie i... – Urwał w pół zdania, z rozszerzonymi zdumieniem oczami. Gdzieś z ciemności dobiegł Dana ostrzegawczy okrzyk Dużego Cona. Po suficie przesunął się cień, który spłynął po belkach i filarach i opadł na Dana jak plama rozlanego atramentu.

Odwrócił się i ujrzał parę wiekowych oczu, połyskujących w migotliwym świetle i wpatrzonych weń z odległości kilku kroków. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, co widzi. Potem z obszernej, bezkształtnej sylwetki starego asesora wyodrębniła się jego twarz. Toan

stał, trzymając w uniesionych nad głowę rękach zapaloną lampę. Była przekrzywiona i z jej szklanej szyjki wylało się trochę płynu. W gorącym powietrzu rozszedł się zapach nafty.

Dan patrzył, zupełnie osłupiały, jak stary skacze w jego stronę, opuszczając jednocześnie ręce. Błysk ognia przeciął ciemność jak meteor. Dan złapał starego za nadgarstki. Z boku zbliżała się Ven, z wykrzywioną twarzą i uniesionymi rękami. Zablokował jej drogę barkiem.

– Odsuń się, Ven – rzucił.

Cofnęła się zaskoczona. Z lampy wylało się więcej nafty, jej płomień rósł, trzaskając wewnątrz szklanego pojemnika.

Asesor Toan przybliżył się do Dana. Mrugał kaprawymi oczami, a jego usta ułożyły się w demonicznym uśmiechu.

– Witam – wysyczał. W ochrypłym głosie gulgotało zadowolenie. – Umrzesz... dzisiaj... razem ze mną! Razem znajdziemy ten skarb... w piekle. Ale przedtem musisz pomóc swemu ojcu. Szuka własnej głowy! – Ciało starca zatrzęsło się od śmiechu. Pokój zadrżał, odbijając echem obłąkańcze dźwięki.

Nagle asesor Toan rozprostował palce i lampa wyśliznęła się z jego rąk. Płonący knot zatrzepotał w powietrzu jak skrzydło nietoperza. Dan odskoczył, a lampa roztrzaskała się o cementową posadzkę tuż obok stóp starca. Ogień rozbryznął się setkami pomarańczowych płatków.

Toan zawył, jego szata zaczęła się palić. Rzucił się w stronę Dana. Ogień sunął coraz szybciej w górę po długich połach jego tuniki. Zmęczone naftą dłonie asesora również zakwitły chciwym płomieniem. Dan odsunął się jeszcze dalej. Stary pochylił się i zebrał z ziemi garście płonącego płynu.

– Chodź, chodź! – krzyczał. – Czekałem długo na twój powrót. Teraz się zabawimy! – Ciskał ognistymi kulami naokoło i niektóre z nich trafiały w draperie, szybko wypalając w nich dziury. Inne przelatowały, migocząc, przez pokój i gasły.

Ściany pomieszczenia ożyły, rozjaśnione nowym źródłem światła. Narastało gorąco. – Zbliź się... szybko! – Głos Toana rozbrzmiewał

głośniej niż krzyki kobiet. – Chcesz się dowiedzieć, gdzie trzymam tatuaż twojego ojca? Milczałem już zbyt długo. Chodź, zanim będzie za późno!

Nie zważając na kłębiący się dym, starzec wciąż szukał Dana. Płomienie mnożyły się, ogień wył jak tajfun. Podsycała go każda zasłona, każda wąska belka, każdy misternie zdobiony mebel. Na środku pomieszczenia żywa ludzka pochodnia wciąż wypluwała z siebie płomieniste kule, jak strzelające z paleniska rozżarzone węgle.

Dan zawadził o poręcz krzesła pani Chin i przewrócił się na plecy. Uderzył głową o cementową podłogę i ciemność okryła go jak koc.

Pani Chin chciała krzyknąć, żeby ostrzec hafciarza, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Czuła się bardzo słaba, a ogień okradł ją z głosu. Widziała szarzę starego Toana. Szata fruwała wokół niego szeroką falą wielobarwnych pierścieni; wzbijała się wysoko, żeby runąć na nią. Tęcza! Widywała ją już przedtem, jej osobliwy poblask odwiedzał ją czasami, powodując, że mdlała ze strachu. Lecz nie tym razem! Dziś mogłaby się poddać przerażeniu, pozwoliłaby mu się pochłonąć do końca, gdyby nie to, że u jej stóp leżał bezwładnie młody hafciarz i groziło mu niebezpieczeństwo.

Odnalazła w sobie resztkę siły i podciągnęła do góry kolana. Bestia podeszła bliżej. Jej ogarnięte ogniem ciało skwierczało, pękało i strzelało płomieniami tuż przed nią. Pani Chin wyprostowała nogi, kopiąc z całych sił, i wśród pryskających iskier podeszwy jej butów uderzyły w pierś potwora. Ten zatoczył się do tyłu, znieruchomiał na moment i znowu zaatakował. Wydawał przeraźliwy wrzask, a z jego ust buchały języki ognia, jakby miał płuca wypełnione czystą benzyną. Kopnęła go ponownie. Lecz tym razem szybszy był człowiek z blizną, który wyskoczył zza jej pleców i zatopił pięść w piersi starego. Toan cofnął się o kilka kroków i runął na swoje krzesło.

Wybijacz godzin wziął panią Chin na ręce. Stary dom palił się jak wiązka suchych gałązek. Gniewne czerwone jęzory płomieni pulsowały

na malowanych belkach sufitu, sycząc ponad straszliwą sceną, jaka rozgrywała się poniżej. Pani Chin ujrzała, że wieśniaczka pomaga hafciarzowi podnieść się z podłogi. Trzymał się za głowę i chwycił łapczywie oddech.

– Ven! Dan! Uciekajmy! Za mną, do drzwi! – krzyknął wybijacz godzin. Huśtał panią Chin w różne strony, oczy łzawiły jej od dymu. Jego twarz nachylała się nad nią, gdy szeptał jakieś niesłyszalne słowa. Zamknęła powieki. Wpełzła pod nie ciemność, przynosząc uspokojenie i odgradzając ją od ognia.

Burmistrz Sai nie mógł już dłużej zwlekać. Dom Toana w ciągu kilku sekund stanął w płomieniach razem z uwięzionym wewnątrz starcem. Szczwany lis przez cały czas oszukiwał go, udając, że postradał zmysły. Ten stary diabeł, ten łotr... zawsze był sprytniejszy i przebieglejszy od niego. Podczas najbardziej srogich tortur siedział tylko, wywracając oczami i śliniąc się, nawet nie zacisnąwszy pięści. Zdarzało mu się zadrzeć albo jęknąć cicho, lecz poza tym nigdy nie pokazał po sobie, że jest świadom, co się z nim dzieje. Skąd można było wiedzieć, że jest inaczej? A teraz stał pośród pożaru, wyprostowany i triumfujący, wiedząc, że po raz kolejny przechytrył go, zrobił z niego idiotę.

– Podejź tu, skoro chcesz poznać moją tajemnicę – śpiewał asesora Toana. Jego pomarszczona skóra pokrywała się bąblami jak kartka ryżowego papieru, leżąca na rozżarzonych węglach.

Sai stał w miejscu i zastanawiał się, co zrobić. Jego ludzie próbowali wyciągnąć go z płonącego domu, lecz odegnał ich. Nie mógł stąd wyjść, teraz, gdy tajemnica była tak blisko ujawnienia. Ogień był piramidą utworzoną z ludzkiego ciała, a gdzieś za tym światłem kryła się fortuna, którą za chwilę mogły pochłonąć zachłanne płomienie. Myśl, Sai, myśl! Co by zrobił stary, gdyby był na jego miejscu? Któż mógł znać lepiej swego pana niż jego niewolnik po dwudziestu latach oddanej służby? Musiał się jakoś dostać do środka tej starczej głowy i wydobyć stamtąd potrzebne informacje. Gdzie szczwany lis mógł schować tę mapę?

– Chodź, Myszko, chodź! Zabawimy się! – skrzeczał starzec.
– Ven! Dan! Uciekajmy! Za mną, do drzwi! – krzyknął nagle wybijając godzin.

Sai podszedł bliżej. Gorące powietrze, smród palonego ciała, trzask i syk ognia – wszystko to było niczym otwarte nagle piekło, z którego przez pęknięcie w ziemi wydostał się szatan. Toan siedział pod chmurami dymu na tronie z płomieni. Jego ciało było niemal nagie, spowite czerwonym blaskiem. Z oczu strzelały języki ognia.

– Kim jesteś? – wrzasnął demon do Sai.

– Jestem Myszka – skłamał trzęsącym się głosem. – Zdradź mi swoją tajemnicę.

Szkielet wyrzucił przed siebie rękę, która chwyciła Sai za nadgarstek i przytrzymała z niezwykłą siłą. Burmistrz zawył z bólu. Druga ręka starego Toana zamachnęła w kłębach dymu miedzianą urną, która uderzyła Sai w środek czoła.

Opadł na kolana. Kandelabr z lamp naftowych zwałił się z hukiem na dół, wyrywając kawał płonącego dachu. Pośród tego rozedrganego chaosu burmistrz Sai runął jak długi na ziemię, przygnieciony walącym się światem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Srebrny łańcuszek

Słońce zaczęło opadać nad bambusowy las za rzeką. Ku przystani sunęła, niczym ciemny rząd mrówek, niewielka grupka ludzi. Pani Chin była świadoma, że jej ciało znajduje się wśród nich, lecz miała wrażenie, że obserwuje to wszystko z góry. W oddali północny wiatr unosił w czyste niebo nad domem Toanów posępne, rude chmury dymu. Podniekcytowane głosy wieśniaków tonęły w przenikliwym warkocie alarmowego werbla.

Pochód prowadził hafciarz. Jego brązowa pierś lśniła w ostatnich promieniach słońca, włosy miał splątane i brudne od sadzy, a na lewym łokciu widniały cztery oparzenia, każde wielkości miedziaka. Długi pomost, zazwyczaj pełen przekupniów, był teraz pusty. Wieść o wielkim pożarze oderwała mieszkańców od ich codziennych zajęć. Kto żyw, pospieszył obejrzeć miejsce tragedii.

Tragarze postawili palankin pani Chin na mokrej ziemi i odwrócili się do hafciarza w oczekiwaniu na zapłatę. Dan sięgnął do kieszeni i wręczył im stosik srebrnych monet. Podziękowali i odeszli.

Pani Chin poczuła chłodny powiew wiatru. Widziała samą siebie, łapczywie chwytającą oddech. Usłyszała głos hafciarza wykrzykującego jej imię zza grubej, niewidzialnej ściany. Stał nad nią, przykładając

dłonie do jej policzków, niespokojnie szukając oznak życia. Nie była w stanie mu odpowiedzieć. W tym nowym świecie, który właśnie odkryła, nie istniały dźwięki.

Niebo nad jej głową robiło się coraz błękitniejsze i bardziej przejrzyste. Bardzo dawno temu, w letni dzień, fruwała przez powietrze na rowerze, szczęśliwa jak dziecko, a jej ciało rozpuszczało się w tysiące maleńkich bąbelków, z których każdy odbijał twarz jej męża. Często potem myślała o żywych barwach tamtego popołudnia – malowniczych zielonych wzgórzach, wielkim pomarańczowym słońcu, smugach karmazynu na sennych obłokach. Nie zapomniała nigdy wesołego lśnienia srebrnego roweru; miała wrażenie, że przez całą podróż rzucał jej uśmiechy. Pamiętała pojedynczy złocisty kwiat mleczu, który leżał w trawie przy jej nagim ciele, kiedy zapragnęli się pokochać. Żółty płatek tkwił potem w jej włosach jak miękki pocałunek ziemi.

Miała już nigdy nie zapomnieć, jak piękne wiodła kiedyś życie!

Jednakże wiele innych rzeczy zapomniała. Spłowiwały wszystkie złe wspomnienia z domu Toanów. Nic już nie wydawało się ważne. Pozostało jej do zrobienia jeszcze tylko jedno, lecz musiała w tym celu powrócić do swego zwiędłego ciała i skoncentrować uwagę na hafciarzu.

– Noś go – szepnęła, wciskając w dłoń Dana srebrny łańcuszek sy-na. – Będzie cię chronił.

Pozostawiła za sobą wszystkie dolegliwości i bóle, zelżał przygniatający pierś ciężar. Kwiat mleczu wciąż jej towarzyszył, zwyczajny, lecz soczysty fragment jej młodości, widoczny w rzece kruczocharnych, bujnych włosów. Brzuch miała płaski i twardy, a wewnątrz pulsowało maleńkie serce płodu. Z mokrej ziemi kielkowała zielona trawa, słońce rozpląnęło się w jezioro czerwonej farby. Postanowiła dać sobie jeszcze jedną szansę przeżycia tego wszystkiego na nowo, i tym razem była to czysta ekstaza. Nie wiedziała dokładnie, jak się to wydarzyło, i nie obchodziło jej to. Miała pewność, że to piękno nie było wytworem jej wyobraźni. Było tak realne, że czuła je całym swym istnieniem.

Umarła cicho, w doskonałej równowadze.

Dan dojrzał swój sampan, unoszący się na wodzie w pewnym oddaleniu od innych łodzi. Trzymał w ramionach ciało pani Chin, ciepłe jak watowana kołdra zimą. Palec wciąż miała zaczepiony o srebrny łańcuszek na jego przegubie. Wszedł do rzeki, aż woda sięgnęła mu bioder. Jak we śnie poczuł wartki nurt. Dało o sobie znać wyczerpanie po wielu godzinach bez snu. Ale zbliżał się wieczór i musiał opuścić wioskę Cam Le. Stary eunuch już na niego czekał.

Ostre światło zachodzącego wrześnie słońca raziło go w oczy. Niósł panią Chin wysoko, żeby jej ciała nie zmoczyła woda. Fala za falą obmywała jego pierś i zniknęła w srebrzystym świetle zachodu.

Ven stała nieruchomo na brzegu. Brąz jej skóry stapał się z tłem bambusowego lasu. Przy każdym powiewie wiatru opadała na nią garść złotych liści, które płynęły w powietrzu jak papierowe łódeczki, zanim rzeka przyjęła je na swoje łono. Wiedział, że spogląda w ślad za nim, a w oczach ma tylko miłość i zachwyty. Nawet się jeszcze z nią nie pożegnał. Wybijacz godzin także stał niedaleko, milcząc.

Dan nie miał pojęcia, w jaki sposób się z nimi rozstać. Słońce opadło niżej ku zachodowi i wiatr był coraz chłodniejszy. Kiedy burta łodzi oparła się o jego pierś, przełożył ciało pani Chin na drugą stronę i sam wspiął się do środka. Z nieskończoną delikatnością umieścił zmarłą kobietę na dnie łodzi, opierając jej głowę o ławeczkę. Dama dworu wyglądała tak, jakby obserwowała przez współprzymknięte powieki zachód słońca. Poprawił jej odzienie i złożył ręce na piersi. Zobaczył, że Ven schodzi nad samą wodę. Oboje na moment znieruchomieli, skąpani w świetle zmierzchu.

– Żegnaj, Ven! – zawołał, chwytając za wiosła.

Ciszę rozdarł jej rozpaczliwy krzyk. Weszła głębiej do wody, wyciągając przed siebie ręce. Pieniste grzywy fal rozbryzgiwały się w chłodny półmrok. Wybijacz godzin opadł na kolana i kołysał się w przód i w tył, obiema rękami obejmując głowę. Jego wycie, głębokie i

załośliwe, było niczym echo jej krzyku. Ven obejrzała się na niego, lecz nie przestała brnąć naprzód przez wodę.

Dan wychylił się za burtę, złapał swą żonę za rękę i przyciągnął ją bliżej. Ven chwyciła się łodzi i wciągnęła do środka. Sampan zakołysał się niebezpiecznie. Mokre ubranie oblepiało ciało kobiety, ociekając na pokład.

– Co ty tu robisz, Ven? – zapytał. – Twoje życie należy teraz do Cona.

Pokręciła głową, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Odsunęła się na drugi koniec łodzi, ostrożnie okrążając ciało pani Chin.

– Posłuchaj! – Dan próbował złapać ją za rękę. – Słyszysz, jak krzyczy? Duży Con uratował ci życie i jest twoim małżonkiem. Musisz wrócić do niego!

Znów pokręciła głową i zanurzyła dłoń w wodzie, a potem przesuwała palcami po suchym drewnie ławki. Po kilku próbach udało się jej coś napisać.

Pomoc, odczytał Dan.

– Umiesz pisać! – zdumiał się. – To pewnie Con cię nauczył. Nie-samowite! – Zasepił się nagle. – Pomoc? Potrzebujesz pomocy?

Ven poklepała się po piersi i pokazała koślawe litery na ławce. Woda wsiąkała szybko i słowo się rozmazywało. Dan nachylił się nad napisem i marszcząc czoło, przeczytał ponownie na głos: *Pomoc... tobie*. Ven pokiwała głową i pogłaskała go po twarzy. Ujrzał w jej oczach rzekę niezmiernego oddania.

Wybijacz godzin na brzegu przestał wyć. Szedł chwiejnie po mokrym piasku, mnąc w rękach przód koszuli. Twarz miał ściągniętą bólem, a w oczach pustkę. Przedstawiał sobą wstrząsający widok.

– Ty chcesz mnie pomóc – powtórzył Dan.

Potwierdziła skinieniem.

– A kto pomoże jemu? – zapytał, pokazując na Dużego Cona. – Co się stanie z nauczycielem, jeżeli go zostawisz?

Zamrugła oczami i wcisnęła mu do rąk wiosła.

– Rozumiem, Ven – rzekł Dan. – Uważasz, że jesteś winna lojalność przede wszystkim mnie.

Pokręciła głową na znak niezgody i przyłożyła palec do jego ust, jak gdyby prosząc, żeby już nic nie mówił. Dan odsunął się od niej.

Duży Con akurat w tym momencie wyciągnął ręce w ich stronę i krzyknął:

– Wracaj, Ven! Wróć do mnie! Jeżeli mnie porzucisz, to tak jakbyś porzucała samą siebie!

Ven odwróciła się do niego plecami.

– Ruszaj – wybełkotała ledwie zrozumiale do Dana. Jej zmieniony głos kazał mu usiąść na ławeczce i zanurzyć wiosła w wodzie. Ven skuliła się na dnie łodzi, kryjąc twarz w dłoniach.

Wybijacz godzin stał jak skamieniały pod drzewem tamaryszkowym, dopóki łódź nie zniknęła mu z oczu.

Kiedy dopłynęli do mostu Truong Tien, słońce już zaszło. Nad miastem rozciągał się purpurowy cień, jak gdyby było nakryte gęstą moskitierą. Dan dojrzał w półmroku południowe wejście do Pałacu Cesarzkiego. W pobliżu cumowało w krótkim kanale kilka sampanów i tam skierował swoją łódź.

We wrześniu zmrok zapadał szybko. Ponad horyzontem krążyły na wietrze przepiórki – łowne ptaki o krępych sylwetkach i pstrokatym upierzeniu – szukające bezpiecznego miejsca na spoczynek. Tutejsze psy, ich prześladowcy, przysiadły na piasku, czekając cierpliwie i nieruchomo – jeśli nie liczyć koniuszków ogonów – aż stado opadnie na ziemię. Część ptaków kołowała, wzbijając się co rusz w niebo, inne jednak zanurkowały ku powierzchni rzeki i unosiły się teraz na lśniących grzywach fal jak pąki kwiatów lotosu. Psy obserwowały je, powarkując groźnie.

Dan dostrzegł kruchą postać eunucha. Ung stał nad wodą na drewnianym pomoście. Choć trzymał w ręce papierowy lampion, jego twarz

skrywał mrok. Słabe światełko migotało na wietrze, zmieniając się w czerwony płomyk, w miarę jak Dan się zbliżał. Za plecami starego stało sześciu żołnierzy w mundurach gwardii pałacowej. Ich metalowe pałki połyskiwały w półmroku. Za godzinę to miejsce miało zostać zalane przez przyływ, co oznaczało moment zamknięcia Bramy Południowej.

Wiosła Dana zaryły w mule dna około dwudziestu metrów od brzegu. Napierając mocno całym ciałem i wykorzystując fale przyływu, podciągnął łódź jeszcze trochę do przodu. Wbiła się dziobem w piasek kilka kroków od Unga i jego świąty. Na widok zeszywniałego ciała pani Chin z ust starego eunucha wydobyło się przenikliwe łkanie.

Dan wyskoczył na płyciznę i zacumował sampan do słupa. Ven wysiadła za nim. Młodzieniec wyciągnął łódź z wody i gdy znalazła się na piasku, przechylona nieco na jedną burtę, wskoczył do środka, by wynieść ciało damy dworu. Podczas drogi do Hue oderwał kawałek materiału z jej wierzchniej szaty i zakrył nim twarz zmarłej. Eunuch obserwował bacznie młodego hafciarza i zwłoki na jego rękach.

- Kazała mi tutaj czekać na ciebie – powiedział.
- Ona nie żyje – odparł Dan.

Pogoda się pogarszała, a Dan wciąż był bez koszuli. Zimny wiatr i brzemię nieszczęść przejmowały go dreszczem.

– W takim wypadku, zgodnie z jej życzeniem, muszę zabrać ciało – rzekł eunuch. – Zostawiła mi dokładne wskazówki, jak mam postępować po jej odejściu. – Sięgnął do rękawa i wydobył stamtąd bambusową rurkę zapieczętowaną z obu stron woskiem. – To jej testament – powiedział, łamiąc pieczęć i wytrząsając ze środka niewielki rulonik papieru. Niech któryś weźmie ciało mojej pani od tego młodzieńca! – zawołał do gwardzistów. – Zostaniecie sownie wynagrodzeni za waszą pomoc. Jeden z nich podszedł do Dana i wziął panią Chin z jego objęć. Wiatr próbował odsunąć zasłonę z jej twarzy, lecz żołnierz przycisnął ciało mocniej do piersi. Materiał pozostał na miejscu, falując lekko, jakby unoszony oddechem. Gwardzista wrócił na swoje miejsce w

szeregu i stał, trzymając zwłoki w ramionach.

– Czy jakaś część tego testamentu odnosi się do mnie? – zapytał Dan.

– Wkrótce się dowiesz, młody panie – odparł Ung, rozwijając dokument. – Czy życzysz sobie, żebym przeczytał wszystko przy świadkach? Może wystarczy, jeśli zreferuję ci pokrótce treść, znam bowiem dokładnie życzenia i zalecenia mojej pani?

– Wystarczy, jeśli pan powie – odrzekł Dan. – Ze względu na pańską nieskalaną reputację i łączący was szczególnie związek nie będę niczego kwestionował. Co więcej, przez czas, który spędziłem w towarzystwie pani Chin, szczególnie gdy przebywała w Apartamentach Spokoju, nauczyłem się ufać szlachetności jej charakteru, szczodrości w rozdzielaniu pochwał i nagród, a także uczciwości w karaniu.

– Dobrze więc – rzekł eunuch. – Zgodnie z życzeniem pani Chin przedstawiłem całość sprawy Cesarzowej Matce. Na jej osobisty rozkaz przybyli tu wraz ze mną ci żołnierze. Mają aresztować osobę winną uprowadzenia, a być może także zabójstwa jednej z najwyższej postawionych dam dworu Jej Cesarskiej Mości.

Ven przesunęła się do przodu, nieświadoma nawet, że staje między starym człowiekiem i Danem. Eunuch obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, lecz na jego oblicze powrócił zaraz wyraz pewności i spokoju.

– Nie rozumiem – powiedział Dan. – Uprowadzenie? Morderstwo? Nie kwestionuję mądrości dworu cesarskiego, panie Ung, lecz to są bardzo poważne oskarżenia!

– W istocie – odparł eunuch. – Są jeszcze inne, których nie wymieniłem. Jednakże nakaz aresztowania nie został wystawiony na pańskie nazwisko, młody człowieku. Ponieważ istnieją wątpliwości dotyczące zbrodni, a także słuszności pana poczynań, potrzebny jest dowód, który potwierdzi te zarzuty bądź im zaprzeczy. Skazanie niewinnego człowieka byłoby tragedią, nieprawdą, panie Nguyen? Pani Chin przedstawiła w testamencie sposób, dzięki któremu będzie pan mógł się

oczyścić z wszelkich podejrzeń. – Przysunął pismo do oczu i przeczytał na głos: „Żeby upewnić się co do niewinności Dana Nguyena, sprawdźcie, czy ma na ręce srebrny łańcuszek mojego syna. Bez tej pamiątki powinien zostać osądzony jako sprawca mojej śmierci, a także zabójca mego syna i męża. Jeżeli jednak okaże ten przedmiot, ustanawiam go niniejszym dziedzicem mojego majątku, wynoszącego pięćdziesiąt tysięcy srebrnych monet. Pieniądze te znajdują się tymczasowo pod pieczęcią pana Dinha Unga. Będą nagrodą za dążenie pana Nguyena do ujawnienia prawdziwego sprawcy wymienionych zbrodni. W ten sposób moja ostatnia wola zostanie wypełniona”.

Starzec przerwał czytanie i opuścił oczy; jego spojrzenie spoczęło na przegubie Dana.

– Poznałem talizman szczęścia pana Bui, gdy tylko wyszedł pan na brzeg – powiedział. – Moje gratulacje, panie Nguyen. Teraz nie tylko jest pan wolny, lecz dzięki szczodrości mojej pani odziedziczył pan majątek.

Rozdział dwudziesty czwarty

Droga do nirwany

W pokoju Dana, niebieskim pomieszczeniu o jednym oknie wychodzącym na ogród, stało niewiele mebli. Na głównej ścianie, sięgając od sufitu niemal aż do podłogi, wisiał gobelin wyhaftowany czarną jedwabną nicią na białym płótnie, przez co wyglądał tak wyraziście i dramatycznie, jakby namalowano go tuszem śmiałyymi pociągnięciami pędzla.

Początkowo Ven sądziła, że to stare chińskie malowidło na zwoju, obrazujące ulotne szczegóły życia: bambusowy zagajnik, stadko wróbli, może dolinę we mgle wiosną. Jednakże tego wieczoru, kiedy siedziała na krześle przy oknie, oszronione księżycowym światłem czarne plamy i linie połączyły się w postać młodej kobiety, trzymającej w dłoni wyszukanego kształtu lutnię. Idylliczne pochyłości, które Ven wzięła za strumień przecinający bambusowy gaj, okazały się suknią dziewczyny. Liście to były jej oczy, które zdawały się wyczekiwać odpowiedzi z wnętrza pokoju. Ven poznała tę twarz, te długie palce, te płynące niczym woda jedwabiste czarne włosy. To była dziewczyna z domu Tonów.

Dan siedział na lamparciej skórze na środku pokoju, dumając nad

puszystym arkuszem białego papieru. Podłoga wokół zarzucona była kartkami zmiętymi w nieregularne kule. Młodzieniec trzymał w palcach pięknie zaostrzone ptasie pióro, a obok stał blok suchego tuszu i paliła się lampa. Dan nie odzywał się i nie poruszał całymi godzinami. Ven rozumiała powód tak głębokiej koncentracji. Kiedy już przelała swoją wizję na papier, nie było odwrotu. Poprowadzonej linii nie można było zmienić ani wymazać. Poświata księżycy wpadała do pokoju przez listewki żaluzji i Dan wyglądał, jakby miał koszulę w paski. Ven nie była pewna, czy może odsłonić okno, żeby miał więcej światła. Uniosła właśnie rękę ku żaluzjom, kiedy zaskoczył ją pytaniem.

– Powiedz mi, Ven, czy myślisz czasem o nauczycielu? – Spojrzał na nią badawczo i podał jej pióro. – Usiądź tu przy mnie i zapisz swoje myśli, jeśli masz chęć.

Pamiętała z młodości pokryte czarnymi znakami delikatne arkusze papieru, jakie podawali sobie z ręki do ręki przyjaciele i znajomi jej ojca. Wybijacz godzin nauczył ją zachodnich liter, pisząc je patykiem na piasku albo węglem na kawałku deski. Lecz jeszcze nigdy nie dostała od nikogo takiej kartki, pachnącej świeżym drewnem. Wstała z miejsca i wzięła pióro w obie dłonie, bojąc się je upuścić na lamparcią skórę.

– No, spróbuj – zachęcił ją.

Zaostrzona końcówka była lekka jak wykałaczka. Dan położył dłoń na jej dłoni i przystawił pióro do papieru. Ven siedziała niezgrabnie tuż przy nim, myśląc, że jeszcze nigdy nie trzymała w ręce czegoś równie delikatnego. Przesunęła lśniąca od tuszu zaostrzoną końcówkę. Pierwszy znak wyszedł jej niezgrabny, bez wdzięku, pozostawiając na papierze ślad rosochatej miotły.

– Stać cię na więcej – rzekł Dan, odsuwając dłoń. – Teraz spróbuj sama. Zapomnij o tuszu i piórku, po prostu wyobrażaj sobie litery.

Ven ujęła rękojeść narzędzia nieco mocniej. W nagłym przyptywie pewności zaczęła stawiać kreski i kropki, poruszając nadgarstkiem, podczas gdy Dan przytrzymywał kartkę. Tu linia prosta, tam łuk –

litery zaczęły nabierać kształtu jak za sprawą magii. Było to dla niej równie ekscytujące jak pierwsze kwiaty na wiosnę. A... B... C... Dłoń sunęła nad papierem. D... E... Dan wybuchnął śmiechem.

– Alfabet! Co tak skromnie?! – zawołał. – Spróbuj teraz poskładać litery tak, żeby wyszło słowo.

– MAPA... Nastroszył brwi.

– Co z tą mapą? – zapytał z napięciem w głosie.

Ven rozwinęła jedną ze zgniecionych papierowych kulek. Kształty i cienie układały się na niej podobnie do krajobrazu, który widzieli dawno temu na plecach Tata Nguyena. Dan zabrał jej papier.

– Ta przeklęta mapa – powiedział, wygładzając kartkę na kolanie. – Próbowałem ją odtwarzać i z pamięci, i na podstawie tej drugiej części, którą widziałem na plecach matki. Razem tworzą rysunek, który może mnie zaprowadzić do skarbu ojca. Przemysliwałem także zagadkę zawartą w starożytnej sentencji, wypisanej u dołu mapy w tradycyjnym języku, i to mi pomogło odgadnąć część tajemnicy. Ale bez pierwszej mapy to na nic. Zamierzam wyhaftować wszystko na gobelinie, żeby kiedyś moje dzieci mogły poznać dziedzictwo przodków.

Powiedz mi o tej zagadce, napisała Ven.

– Czy pamiętasz wers z pierwszej mapy? – zapytał.

Skinęła głową. Dan zaczął recytować tekst, a ona poruszała ustami, powtarzając bezgłośnie jego słowa. *Kapłani rzucają zaklęcia za sprawą natury, gdy w jednej linii ustawiają się konstelacje, Księżyc i Słońce. Następnie, utrzymując konstelacje w dłoniach, spoglądają ku Słońcu i odnajdują drogę do nirwany. U jej wrót uzdrowionych zostanie wielu ułomnych.*

– Pamiętam, co powiedział o tym tekście mój ojciec – rzekł Dan. – To sławny poemat z siódmego wieku, opisujący rytuały taoistyczne za panowania dynastii Sui. Ponieważ ojciec szczerze wierzył, że długie życie i bogactwo można osiągnąć za pomocą magii... co stanowi zasadę filozofii taoistycznej... zrozumiałe jest, że te właśnie wersy wybrał jako klucz do swego skarbu. Spójrz na pierwszą grupę znaków, Ven:

Kapłani rzucają zaklęcia za sprawą natury, gdy w jednej linii ustawiają się konstelacje, Księżyc i Słońce. – Przesunął dłoń po czerwonych kropkach na rysunku. – Te linie odzwierciedlają naturę, a czerwone kropki to konstelacje, Słońce i Księżyc – tłumaczył. – Jeżeli nałożymy obie mapy na siebie, zgodnie z układem kropek, otrzymamy kompletny obraz.

Ven jęknęła. Słuchała go w napięciu, na czoło wystąpił jej pot.

– I teraz drugie zdanie – podjął Dan. – *Następnie, utrzymując konstelacje w dłoniach, spoglądają ku Słońcu i odnajdują drogę do nirwany.* To się na pewno odnosi do drogi prowadzącej do skarbu. Zobaczmy ją wyraźnie, gdy ustawimy rysunek pod słońce. – Podrapał się po głowie. – Nie rozumiem znaczenia ostatniego zdania: *U jej wrót uzdrowionych zostanie wielu ułomnych.* Wygląda na jakieś ostrzeżenie. Ułomni zostaną uleczeni, a co ze zdrowymi? – Wzruszył ramionami i przedarł rysunek na pół. – Ach, nie zajmujmy się już tą kwestią. Niestety mamy tylko część mapy, a mój ojciec bardzo się postarał, żeby jedna była nie do odgadnięcia bez drugiej.

Zrób gobelin, napisała. *Dziedzictwo Nguyenów.*

– Podoba ci się ten pomysł? – zapytał. – Tyle krwi już popłynęło z tego powodu, że nie chciałbym przekazywać następnym pokoleniom złudnych nadziei co do skarbu.

Ven pokręciła żywo głową. Dan obserwował jej twarz. W odpowiedzi na jego badawcze spojrzenie usiłowała się uśmiechnąć.

– Kochana Ven – zaczął poważnym tonem – muszę ci zadać pewne ważne pytanie. Żyłas w pobliżu asesora Toana, w tej samej wiosce, przez siedem lat, znasz więc na pewno zarówno jego silne strony, jak i ograniczenia. Gdybyś chciała się zemścić na starym, miałaś do tego niezliczone sposobności. A jednak czekałaś na mój powrót. Dlaczego?

Odwróciła głowę. Jej uśmiech zgasł.

– Proszę, nie uchylaj się od odpowiedzi – rzekł. – Wyjaśnij mi, dlaczego darowałaś mu życie.

Ven upuściła pióro na stos kartek i zakrywając twarz dłońmi, spojrzała na niego z wyrazem paniki w oczach. Księżyc zalewał ich swoją poświatą przez drewniane żaluzje. Dan wetknął znów pióro do ręki Ven.

Nagle otworzyły się z głośnym trzaskiem drzwi wejściowe. Na ciemnym tle ogrodu ukazała się okrągła, pomarszczona twarz, ciastowata w nikłym świetle latarni.

– Czy pan wie, panie Nguyen – odezwał się przybysz – że pańskie drzwi nigdy nie są zamknięte na klucz? Zazwyczaj muszę się wpierv przedstawić gospodarzowi, żeby mnie wpuszczono, ale nie w tym domu.

Dan poznał niespodziewanego gościa.

– Panie Ung! – wykrzyknął. – Niechże pan wejdzie do środka, tu jest cieplej. – Zwracając się do Ven, wyjaśnił: – To pan Dinh Ung, bliski przyjaciel biednej pani Chin. Na pewno pamiętasz go z mostu Truong Tien.

Ven miała wciąż żywo w pamięci tę postać i towarzyszący jej odział gwardzistów. Opadła na kolana i dotknęła czołem desek podłogi kilka centymetrów od jego czarnych aksamitnych pantofli. Z otwartych czubków wyzierały palce stóp z pomalowanymi na czerwono paznokciami – była to jego drobna, choć zdrożna, przyjemność. Eunuch aż się zachnął w obliczu takiego przejawu służalczości. Cofnął się i niemal potknął o próg, lecz złapał równowagę.

– Niechże pan ją podniesie – zwrócił się do Dana. – Jestem zaledwie niższym rangą eunuchem, nie należą mi się takie hołdy.

Poczuła ręce Dana, które podniosły ją z podłogi.

– Nie obawiaj się – szepnął jej do ucha. – Pan Ung to przyjaciel.

Podprowadził ją do krzesła przy oknie. Palcami otarł smugę kurzu z jej czoła.

– To jest Ven, moja protektorka i przyjaciółka – przedstawił ją starcowi.

Ven zeszytniała, słysząc, jak Dan nazywają swoją opiekunką

zamiast Pierwszą Żoną. A może zawsze postrzegał ją w taki sposób? Czego zresztą mogła się po nim spodziewać? Czego mogła się spodziewać po kimkolwiek? Poczowała nagły przypływ wyrzutów sumienia. Po raz pierwszy od opuszczenia wioski Cam Le zdała sobie sprawę, jak mógł się czuć jej kochanek, Duży Con. Przypomniała sobie mulisty brzeg rzeki, klęczącą postać, krzyk i to, jak obejmował rękami głowę, torturowany nieszczęśliwą miłością. Duży Con miał rację. Porzucając go – człowieka zniszczonego – porzuciła samą siebie. Tęsknota za jego obecnością trawiła ją jak kwas. Gdyby tylko mogła mu wytłumaczyć, dlaczego musiała pojechać do miasta z Danem! To jednak było niemożliwe; wybijacz godzin znajdował się daleko stąd, a ona tak blisko celu, który mogła osiągnąć tylko tu, w cytadeli.

Ciszę przerwał głos starego eunucha, sięgający coraz wyższych tonów.

– Błagam młodego pana o wybaczenie mi tych kilku dni oczekiwania, lecz przekazanie majątku pani Chin wymagało pewnych prawnych zabiegów, zanim skarbiec mógł mi wypłacić całą sumę. Ale wszystko już załatwione. Przyszedłem, żeby przekazać panu spadek o wartości pięćdziesięciu tysięcy srebrnych monet. – Sięgnął do wnętrza szarej satynowej szaty i ku zdziwieniu Dana wydobył stamtąd jakieś papiery. – Oto te pieniądze – rzekł – w postaci cesarskich banknotów. To luksus mieć taki kredyt i nie musieć dźwigać tylu monet naraz. To jedna z dobrych rzeczy, których nauczyliśmy się od Francuzów. Trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć.

– Ja panu wierzę, panie Ung – odparł Dan. – I jestem wdzięczny zarówno pani Chin, jak i panu. Zawsze będę pamiętał o jej szczodrości.

– Proszę wobec tego wziąć pieniądze. Należą do pana! – Eunuch wcisnął mu banknoty do ręki i odwrócił się, żeby odejść.

Przy drzwiach zatrzymał się i podrapał po łysej czaszce.

– Jest jeszcze coś – powiedział. – Przed wypłynięciem z moją panią do Cam Le zostawił pan u mnie dokument, swoją ostatnią wolę.

– Pamiętam – rzekł Dan.

– No właśnie. – Eunuch wydawał się nieco skrępowany. – Dał mi pan także list do pani Tai May, tancerki operowej, na wypadek... gdyby...

– Gdybym stamtąd nie wrócił – dokończył za niego Dan.

Na dźwięk znajomego imienia Ven ogarnęło poczucie bezwładu. Jak mogła nie widzieć tak oczywistej rzeczy? Wizerunek dziewczyny był przecież obecny wszędzie w tym mieszkaniu, na rysunkach, na gobelinach... Gdyby miała język, może wypomniałaby Danowi jego zdradę. Z drugiej strony, gdyby nawet umiała mówić... była tak bardzo daleko od jego obecnego życia, że nie potrafiłaby wypowiedzieć się z odpowiednią mocą. W głowie zabrzmiały jej słowa piosenki. *Co stanie się z dziećmi ropuchy, które zlapała złota rybka? Czy dowiedzą się kiedyś, kim są naprawdę, i uciekną z niewoli?* Tę piosenkę śpiewała jej matka, która z kolei nauczyła się jej w dzieciństwie od swojej matki, i była to jedyna znana Ven historia o szczęśliwym zakończeniu. Czowała się tak, jakby uczestniczyła w długodystansowym wyścigu i będąc jeszcze daleko od celu, zużyła już całą energię. Jednakże teraz nie było już odwrotu.

– Błagam pana. – Starzec uklęknął przed Danem i chwycił jego dłoń. – Proszę mi wybaczyć, że przeczytałem ten list, lecz lojalność wobec mej pani sprawiła, że nie mogłem się powstrzymać. Przysięgam jednak, że przekazałbym go młodej damie, gdyby pan nie wrócił.

Dan skrzywił się z irytacją.

– Będzie pan łaskaw oddać mi ten list? – zapytał.

– Ależ oczywiście – odparł stary, ocierając oczy rąbkiem tuniki. – Dostarczę go panu jutro z samego rana. Lecz przed odejściem chcę jeszcze coś powiedzieć. Pani Tai May i jej trupa jutro opuszczają cytadelę. Dwór zwolnił artystów z obowiązków; cesarz chce ich zastąpić inną grupą, utworzoną i wyształconą we Francji. Ci ludzie są sławni ze swych występów akrobatycznych oraz sztuczek z tresowanymi tygrysami. Z pańskiego listu wiem, jak ważną osobą jest dla pana ta młoda kobieta. Uznałem, że powinienem powiadomić pana o jej wyjeździe,

by mógł pan spróbować się z nią spotkać, zanim będzie za późno. Pani Tai May przestała już być własnością cesarza i jest teraz wolną osobą.

– Czy to możliwe, panie Ung?! – wykrzyknął Dan.

Eunuch wstał z klęczek.

– Dowiedziałem się o tym przed kilkoma godzinami, przed wyjściem z Pałacu Cesarskiego – powiedział. – Jeśli zależy panu na doręczeniu jej tego listu, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby spełnić pańskie życzenie. Tyle tylko mogę uczynić, żeby spróbować odzyskać pańską przyjaźń.

– Och! – zawołał Dan, biorąc starego eunucha w objęcia. – Bardzo dziękuję, panie Ung! To wspaniała wiadomość. Niech pan wyrzuci tamten list, zaraz napiszę nowy. – Odwrócił się twarzą do Ven, żeby mogła zobaczyć jego uśmiech. – Wyobrażasz to sobie, Ven? – W jego głosie brzmiała nuta triumfu. – Skoro będę mógł spotkać się z Tai May, już nie muszę prosić niebios o nic więcej. Jutro jej powiem, jak bardzo ją kocham i że będę jej oddany do końca moich dni. Nie, powiem jej to zaraz, za pomocą pióra i papieru. Ona musi się dowiedzieć, że moje uczucie do niej mimo upływu czasu i wszelkich przeciwności wciąż jasno płonie. Niechże pan spocznie, drogi panie Ung – zwrócił się znów do eunucha. – To zajmie mi tylko kilka minut.

Zanurzył czubek pióra w tuszu, wygładził kartkę i zaczął pisać. Ven słyszała tylko monotonne skrobanie dutki po papierze. Ten odgłos wzebrał się w jej głowę jak chrupanie termita. Eunuch przyglądał się swemu odbiciu w lustrze, które dla odpędzenia złych duchów wisiało przy drzwiach.

Ven wstała z krzesła i w świetle księżyca popatrzyła na Dana. Zrozumiała od razu, że to wola niebios sprawiła, iż znalazła się w tym miejscu i o tym czasie, żeby móc skończyć z jego obsesją na punkcie tej dziewczyny. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. To był jedyny znany jej sposób, żeby cała historia skończyła się tak, jak powinna.

Dan podniósł się zgrabnie z podłogi. W dłoni trzymał kartkę, pokrytą wciąż mokrymi znakami, i dmuchał na nią niecierpliwie.

Ven przyskoczyła do niego i wyrwała mu papier z ręki. Teraz mu pokaże – jako jego jedyna opiekunka – jak bardzo jest przeciwna temu zakazanemu związkowi dwóch wrogich rodzin. Schowała kartkę za plecami. Dan chwycił ją za ramiona. Spojrzała mu prosto w oczy, tak jak robiła to w dzieciństwie, gdy chciała zmusić go do posłuszeństwa. Lecz zamiast lęku ujrzała ścianę gniewu i płomień oporu. Po raz pierwszy od początku ich znajomości to ona pierwsza musiała odwrócić wzrok.

– Posłuchaj, Ven – powiedział. – Rozumiem twoje uczucia, chociaż sam nigdy takich nie doświadczyłem.

Nie masz pojęcia, co ja czuję, usłyszała w głowie swój własny krzyk. Nie masz pojęcia, jak głęboko jestem ci oddana.

– Jesteś przywiązana – ciągnął Dan – do dawnego systemu wierzeń i podążasz tak ślepo za jego zasadami, że nie dostrzegasz zbliżającej się zagłady. Czasy się zmieniły, tak dla mnie, jak i dla ciebie. Musisz mnie uwolnić, żebym mógł odkryć życie samodzielnie. Przy tobie zawsze grałem rolę biernego obserwatora, patrzącego na wydarzenia z bezpiecznego dystansu. Rozwiązywałaś za mnie wszelkie zagadki, oddalałaś wszystkie nieszczęścia. Co najmniej raz omal nie umarłaś, żebym ja mógł przeżyć. Przez długi czas byłem zarażony lękiem i zarażałem nim innych. Nie chcę już dłużej tego robić. Dorosłem i... – Wybuchnął płaczem. – I już nie jesteś mi potrzebna jako opiekunka.

Słowa Dana runęły na nią jak padająca wieża. List wyśliznął się z jej otwartej dłoni. Eunuch zdołał złapać kartkę, zanim dotknęła podłogi.

– Wróć do nauczyciela Cona, najdroższa Ven – mówił dalej Dan, kładąc jej rękę na ramieniu. – Ja muszę przed końcem nocy zobaczyć się z matką. Ten niespodziewany spadek pomoże mi ją uwolnić. Z nadzieją poranka moje życie zmieni się na zawsze.

Pozostawiwszy Ven w swoim mieszkaniu, Dan szedł przez Nowe Miasto, skoncentrowany tylko na jednym, jak skradająca się pantera.

Choć na ulicach panował ruch i zgiełk, on był ledwie świadom tego hałaśliwego ożywienia. Potrącił go pijany kulis, lecz nie zatrzymał się ani na moment; nie zwracał też uwagi na smród gnijących owoców, rozkładających się ryb i przepelnionych rynsztoków.

– Daj pięć miedziaków, przepowiem ci przyszłość – dobiegł go głos z ciemności pod murem.

Ignorując wszelkie przeszkody, zmierzał ku herbaciarni na ulicy Morin.

W przedsionku domu przystanął, aby uspokoić oddech. Ze szklanej ściany ze sztucznym wodospadem pryskały maleńkie bąbelki, płynąc w powietrzu jak srebrne monety. W pomieszczeniu było niewiele światła, a wentylatory pod sufitem wychłodziły je tak, że dostał gęziej skórki. Wokół rozbrzmiewały głosy klientów lokalu, zabawiających się w towarzystwie zatrudnionych tu kobiet.

Dan przeszedł na koniec sali, gdzie za kontuarem baru stał czarnobrody mężczyzna. Żeby zwrócić na siebie jego uwagę, uderzył mocno pięścią w blat.

– O, wieśniak Dan – rzucił barman, wycierając szklankę brudną szmatą, którą nosił zaczeponą przy rękawie. – Jak się pan miewa? Szuka pan Camille, jak przypuszczam. Zaraz po nią poślę.

Dan usadowił się na barowym stołku.

– Przyszedłem tu w interesach – rzekł. – Poprzednio chciałem się spotkać tylko z Camille, lecz dziś potrzebna mi będzie również pańska obecność. Uprzedzam, że będę się domagał podpisania przez pana pewnego dokumentu.

Barman odstawił szklankę na półkę. Oczy zwęziły mu się jak szparaki.

– Chce pan rozmawiać ze mną? – zdumiał się. – A co to za interesy?

– Proszę mi powiedzieć, czy ma pan poświadczenie własności każdej z kobiet zatrudnionych w tym burdelu? – zapytał Dan.

– Niesłusznie używa pan terminu „burdel” – zachnął się mężczyzna. – Ten lokal to najlepsza herbaciarnia w mieście. Przyznaję jednak, że jeśli chodzi o dziewczęta, muszę mieć dla każdej odpowiednie zezwolenie z policji i poświadczenie własności.

– Aha. – Dan pokiwał głową. – Znając pańskie surowe zasady moralne, przypuszczam, że nie pozbędzie się pan żadnego z tych zaświadczeń, opatrzonego w dodatku anulującym je pańskim podpisem, dopóki nie otrzyma pan w zamian pokaznej sumy pieniędzy.

Przez chwilę panowało milczenie. Barman uniósł wysoko brwi i nagle wybuchnął śmiechem, jak gdyby Dan opowiedział mu kawał.

– Czyżby próbował pan negocjować wolność Camille? – zapytał w końcu. – Jeśli tak, to jaką sumę ma pan na myśli?

Usłyszeli nerwowy śmiech kobiety. Barman podniósł wzrok. W zmaconym pomarańczowożółtym świetle stała przed nimi Camille. W eleganckiej czarnej sukni wyglądała jak bogini zniszczenia, krucha, lecz bezwzględna i dzika. W upudrowanej na biało twarzy gorzały ciemne oczy.

– Van Tong – odezwała się, przerywając bezceremonialnie ich rozmowę – zapomniałeś mnie poinformować, że przyszedł mój klient. – Przysunęła się bliżej Dana. Położyła dłoń na jego kołnierzu. – Mówisz tak, młody panie, jakbyś odnalazł właśnie wielki skarb. Nie powinieneś ujawniać obcym takich sekretów, bo może się to źle dla ciebie skończyć. Chodź ze mną do pokoju. Tam będziemy mogli porozmawiać bez świadków.

– Nikt stąd nie odejdzie – oświadczył barman. Jego masywna dłoń spoczęła na ramieniu pani Yen. – Co ty przede mną ukrywasz, Camille? – zapytał groźnie. – Zaczynam myśleć, że ten wieśniak jest twoim nowym kochankiem. Czy tak? Żądam jasnej odpowiedzi! A pan – zwrócił się do Dana – istotnie będzie musiał mi zapłacić za jej wolność, jeżeli, mam nadzieję, ma pan dość srebrnych monet, żebym mógł za nie zatrudnić dziewczynę obdarzoną równie wieloma talentami jak Camille.

W tym interesie człowiek nie może sobie pozwolić na pozbywanie się wartościowych pracowników, ot tak sobie.

Camille wyrwała się z jego uścisku. Ciasny węzeł jej włosów rozplótł się i niczym ławica węży morskich spłynął na wygięte w łuk plecy.

– Zabierz ode mnie swoje łapska – syknęła. – Oby piekło otworzyło się w tej sekundzie i pochłonęło cię na zawsze, przekłety bydlaku. Chcesz jasnej odpowiedzi? Oto ona. Ten człowiek jest moim synem i jeśli przyniósł tu jakieś pieniądze, powinny one należeć do mnie. Nie jesteś moim nadzorcą.

Po tej eksplozji słów przez chwilę nikt się nie odezwał. Van Tong podniósł brwi, ukazując zmętniałe białka oczu.

– Uważaj! – wydyszał jej w twarz. – Nie jesteś uczciwa wobec żadnego z nas. Wybacz, że stanę się zwiastunem złych wieści. Czy poinformowałaś już swego syna o tym, że ja, Van Tong, jestem twoim prawnie poślubionym mężem? Sądząc po jego zachowaniu, wprowadziłaś go w błąd i uważa cię po prostu za jedną z moich kurew.

Jego przepojone jadem słowa wbiły się w nią z taką siłą, że omal nie przewróciła się na stół. Zapadła cisza, którą przerwał Dan.

– Czy on powiedział prawdę, *madame*”?

Yen zakryła twarz rękami. Barman odchrząknął i parsknął stłumionym śmiechem, bębniąc palcami o blat. Jej milczenie było dla Dana odpowiedzią.

– Gdzie ty masz serce, matko?! – zawołał gniewnie, wstając. – Porzuciłaś mnie kolejny raz! Kiedy byłem dzieckiem, twoje życie było dla ciebie ważniejsze od mojego. Przyszedłem tu, aby cię ratować, lecz teraz widzę, że nawet bogowie w niebiosach nie zdołają ci pomóc! Proszę, oto skarb, na który tak czekasz. – Wyjął banknot i położył go na kontuarze. – Ten papier wart jest dwadzieścia tysięcy srebrnych monet, dokładnie tyle, ile miała kosztować twoja wolność. Przekazuję go wam obojgu i mam nadzieję, że się pozabijacie, walcząc o te

pieniądze. A co do pani – zwrócił się do Yen – oczekuję, że będzie się pani trzymała ode mnie z daleka. Jeżeli będę miał kiedyś dzieci i zapytają mnie o swych przodków, odpowiem, że urodziłem się pod głazem na polu.

Odwrócił się do niej plecami, chwytając się kontuaru dla utrzymania równowagi. Camille, tłumiąc szloch, patrzyła, jak jej syn idzie chwiejnie do wyjścia i opuszcza herbaciarnię.

Rozdział dwudziesty piąty

Kwitnący bluszcz

Dan przysiadł na piętach w chłodnym mroku pod kamiennym murem, okalającym dziedziniec przed Bramą Południową. Siedział tak skulony od chwili powrotu z herbaciarni. Konary dębu nad jego głową wyciągały się we wszystkie strony wokół pnia, niczym szprychy wielkiego parasola.

Z brodą opartą na uniesionych kolanach patrzył, jak noc przechodzi w świt. Obok rósł zapomniany, liche krzew różany z jednym tylko kwiatem. Wdzięczne krzywizny jego gałęzi przypominały Danowi o Tai May. Nie znał niczego piękniejszego od widoku jej postaci w miękkich białych jedwabiach. Wpatrywał dziewczyny wśród przechodniów i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał czekać.

Czuł się przytłoczony widokiem tłumu. Rzesza ludzi wciąż przybywała do tego zasobnego miasta i opuszczała je przez bramę osadzoną w dwóch majestatycznych blokach granitu. Bogacze wjeżdżali srebrzystymi rikszami i konnymi powozami, pokazując strażom przepustki z kości słoniowej. Wieśniacy dźwigali na grzbietach chleb, ciasto i kociołki z duszonym mięsem, dostarczając zaopatrzenie na niekończące się biesiady. Czasem wśród czerni chłopskich ubiorów mignęła mu

bogatsza jedwabna szata, ściśnięta paskiem wąska talia lub para szerokich spodni. Zrywał się wtedy z ziemi i wyciągał szyję, śledząc te pozabawione twarzy wizje tylko po to, by stwierdzić, że patrzy na zupełnie obcą osobę. Na koniec wzdychał rozczarowany i rozpoczął obserwację od początku.

Wraz z upływem poranka cały ten ruch słabł i robiło się coraz spokojniej. Czarny dym z pobliskiej piekarni mieszał się na niebie z zabarwionymi brzoskwiniowo chmurami, a poprzez liście dębu przedzierał się uparty promień słońca. Dana trawiła wręcz gorączka oczekiwania, gdy nagle usłyszał swoje imię, wypowiedziane kobiecym głosem.

Odrzucił się z ożywieniem, lecz niemile zaskoczony, ujrzał panią Yen, swoją matkę. Stała samotnie obok powozu po drugiej stronie głównej drogi. Jej włosy wisiały w strąkach, a wielkie oczy koloru owocu drzewa liczi były opuchnięte i zaczerwienione. Bez makijażu twarz matki wydawała się o wiele ciemniejsza, niż zapamiętał z dzieciństwa. Jak go tutaj znalazła? Zastanawiał się, czy mógł jej coś niechcący podpowiedzieć w czasie wczorajszego spotkania.

Patrzył, jak kuśtyka przez ulicę. Jakiś żebrak zawołał coś do niej płaczliwie; inny zaproponował, że ją poprowadzi. Pani Yen wyciągnęła sakiewkę i rzuciła im garść miedziaków, jak ziarno kurczętom.

Coś się jednak zmieniło, pomyślał. Jako dziecko nigdy nie widział, żeby dawała jałmużnę; miała w zwyczaju traktować żebraków jak powietrze. Odrzucił się, nie chcąc z nią rozmawiać. Znów wykrzyknęła jego imię. Szła ku niemu, kołysząc się na maleńkich stopach; był to żalony widok i Dan poczuł gorzką satysfakcję, patrząc na jej zmagania.

– Poświęć mi tylko jedną chwilę – powiedziała przez łyzy, których nie starała się nawet ocierać.

– Mów szybko, co masz do powiedzenia, i znikaj – odrzekł. – Czekam na kogoś.

Skinęła głową i oparła się o ścianę. Niedaleko od nich stała na dziedzińcu młoda dziewczyna. Jej twarz ocieniał stożkowy kapelusz, a białe

poły szaty trzepotały na wietrze. Wśród protestów przekupniów poka-
zała palcem na kosz pełen czerwonych karmazynów. Za jej plecami
dostrzegł znajomą twarz Unga, który przyglądał się scenie z oddalenia.
Stary eunuch trzymał w rękach srebrny rower. Dan zmarszczył brwi.
Eunuch z zaczerwienioną twarzą odwrócił się do przekupnia i próbował
nakłonić go do konwersacji.

– Błagam, żebyś przez tę chwilę skupił się na moich słowach. –
Matka pociągnęła Dana za rękaw. – Widzisz mnie po raz ostatni w
życiu, więc wysłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia. Daj mi tę
ostatnią szansę przekonania cię o moich uczuciach. Kiedy odejdę, szanuj
pamięć o mnie i miej litość nad nieszczęsną kobietą, bo przez tę
jedną jasną chwilę poświęcam swoje szczęście dla twojego.

Dan spojrział zdumiony na matkę. Ujrzał w jej oczach cień zyczli-
wości i ten widok niemal roztopił lód w jego sercu.

– Słucham – powiedział.

Kącki jej ust uniosły się w żalonym uśmiechu.

– Przyszłam tu w konkretnym celu – zaczęła pani Yen. – Chcę ci
wyjawić pewną rzecz związaną ze sprawami naszej rodziny. Od dnia
twojego urodzenia skrywam tę tajemnicę głęboko w sobie. Wybacz mi,
drogi synu! – Przerwała, strzepując z ramienia niewidzialnego komara.
– Nie jesteś dzieckiem kapitana Nguyena. W istocie nie masz w ogóle
żadnych związków z rodziną Nguyenów. Nie ciąży więc na tobie obo-
wiązek pomszczenia ich śmierci.

Świat wokół Dana się zakołysał. Palił go skwar i miał wrażenie, że
brakuje mu powietrza w płucach.

– Czyim synem jestem w takim razie? – zapytał.

– Jesteś owocem mojego romansu z ogrodnikiem – odparła – kto-
regu imienia nie wyjawię, choćbym miała umrzeć. Proszę, nie patrz na
mnie tak nieprzyjaźnie. Jesteś wolny, synu! Możesz kochać tę dziew-
czynę i ożenić się z nią, jej rodzina bowiem nie jest twoim wrogiem. To
mój prezent ślubny dla ciebie. Z głębi mej pohańbionej i niecnej duszy
błagam cię o wybaczenie. Powiedziałam ci, co miałam powiedzieć, i

nie będę już zabierała więcej twego czasu. Wkrótce wyjeżdżam do dalekiego kraju, gdzie przez resztę życia będę pokutować za grzechy. Tak naprawdę to jedynie bogowie mają władzę nad tym światem. Odwróciła się, żeby odejść. Jedną ręką opierała się o mur.

– Dokąd idziesz? – zapytał Dan.

Pani Yen znieruchomiała. Nie widział jej twarzy, tylko pochyloną głowę i gęstą kurtynę włosów. Sięgnęła pod bluzkę i nie oglądając się za siebie, podała mu banknot.

– Prawie zapomniałam. Oddaję ci te pieniądze, żebyś mógł rozpocząć nowe życie. Dbaj o siebie i o swoją nową rodzinę! Zapomnij o mnie i nie staraj się mnie odnaleźć; pozwól mi odejść.

– Już za późno, *madame*. Przebaczyłem ci. Proszę, zostań.

Podniosła głowę. Uśmiechała się.

– W takim razie tym bardziej powinnam wyjechać. Jeśli tego nie zrobię, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko torturować się wzajemnymi oczekiwaniami. Każde spojrzenie na ciebie będzie mi przypominało, jak cię porzuciłam. Poświęć mi czasem zyczliwą myśl; to wszystko, o co proszę.

– I nie będą ci potrzebne te pieniądze? – zapytał.

– Tam, dokąd się wybieram – odparła – rzeczy materialne są zbędne.

Z jej oczu znowu popłynęły łzy. Tym razem jednak wydawały się inne, autentyczne i szczerze, bez jej zwykłego udawania i prób manipulacji. Dan patrzył, jak stangret zamyka za nią drzwi powozu. Nie obejrzała się ani razu.

Matka zniknęła z jego życia po raz drugi. Tym razem jednak przyjął to z uśmiechem. Zaczął wymazywać ją z pamięci; zniknęła kawałek po kawałku, a jego umysł znów stawał się czystym białym płótnem.

Kiedy powóz pani Yen odjechał, podszedł do Dana stary eunuch Ung. Jego posępne oblicze zwiastowało złe wieści. Koła roweru, który niósł na ramieniu, obracały się nieustannie, wydając cichy tykający

odgłos. W górze krążyło po niebie kilka sępów, szybujących na wietrze ponad wieżami miasta.

– Panie Nguyen – zaczął Ung, stawiając rower na ziemi i rozglądając się nerwowo po targu – nie wrócił pan tej nocy do swego mieszkania. Pańska opiekunka przed wyruszeniem w drogę powrotną do wioski napisała do pana list. Prosiła, żebym go panu doręczył. Pomimo kalektwa to całkiem pojętna osoba. – Wręczył Danowi zapieczętowaną kopertę i dodał: – Ciągłe dostarczam komuś jakieś wiadomości. Czuję się już jak listonosz; brakuje mi tylko konia, wtedy mógłbym to robić zawodowo. – Odwrócił się i przy tym ruchu uderzył kolanem o rower. Utrzymał jednak równowagę niczym zręczny kuglarz. Pochylił się i rozmasował sobie nogę. – Niech pan czyta – zachęcił Dana. – Potem opowiem panu resztę.

Dan usiadł na chodniku i rozerwał kopertę. Na delikatnej kartce poznał pismo Ven.

Najdroższy Danie,

Chociaż piszę ten list w obecności pana Unga dziś wieczorem, moja historia rozpoczyna się tak naprawdę w styczniu roku 1916.

Pamiętam to jak dziś. Pierwszego dnia po naszym ślubie, kiedy Ty jeszcze smacznie spałeś, obudzono mnie o świcie, żebym przygotowała śniadanie dla rodziny Nguyenów. Gdy znalazłam się w towarzystwie młodej służącej Song pod oknem salonu, ujrzałam w środku cienie dwóch pochylonych nad stołem ludzi. Jako że byłam obcą osobą na nieznanym sobie terenie, ciekawość popchnęła mnie do szpiegowania. Song wytarła dziurę w pergaminie okna i zobaczyłam, że jednym z tych ludzi jest Twój ojciec, kapitan Nguyen. Drugim był pan Long. Rozmawiali o polityce.

Dowiedziałam się z ich rozmowy, że Twój ojciec wspiera grupę rebeliantów, której przewodzi człowiek nazwiskiem Le

Ngung. Nazywała się Braterstwo Krwi. Twój ojciec wciągnął właśnie pana Longa do tej organizacji, która walczyła przeciwko wpływowi francuskim w Wietnamie. Widziałam, jak przysięgli sobie lojalność, pieczętując to własną krwią. Od tej chwili darzyłam Twego ojca ogromnym szacunkiem za jego odwagę i umiłowanie ojczyzny. Stałam się Jego zagorzałą wielbicielką.

W następnych tygodniach ci dwaj mężczyźni spotykali się bardzo często. W połowie marca, zanim pan Nguyen wypłynął w kolejny rejs, podsłuchałam, że planują pomóc cesarzowi Duy Tanowi w ucieczce z pałacu i zamierzają dostarczyć dużą ilość prochu strzelniczego do tajnej kryjówki Braterstwa. Niestety pan Long, któremu Twój ojciec tak ufał, okazał się zdrajcą. Gdy tylko statek przybił do brzegu, kapitan Nguyen i jego załoga zostali zakuci w kajdany i odprowadzeni z zawiązanymi oczami do więzienia.

Resztę tej historii już znasz. Wasz dom został spalony, a Twój ojciec ścięty. Mój cały świat legł wówczas w gruzach. Wytrzymałam udręki w domu Nguyenów w nadziei, że pewnego dnia zostanie mi to wynagrodzone – przecież byłam Twoją Pierwszą Żoną! Za sprawą Toana zostałam żebraczką, a Ty niewolnikiem. Od tamtej pory pozostawałam przy życiu wyłącznie z jednego powodu: oczekiwałam, że kiedyś zemścisz się na nich. Jednakże znowu spotkał mnie zawód.

Mój drogi młody panie, muszę ci wyznać jeszcze jedną tajemnicę. Song nie mogła już dłużej znosić wstydu i poharńbienia ze strony starego asesora. Zanim odebrała sobie życie, ukradła Toanowi mapę Twojego ojca i przekazała ją mnie. Pytałeś, dlaczego sama nie doprowadziłam do jego śmierci. Zrobiłam tak, bo chciałam, żeby żył jak najdłużej, cierpiąc głęboko z powodu utraty wszystkiego, co miał, a szczególnie utraty możliwości dotarcia do zakopanego skarbu. W końcu zniszczyła go własna zachłanność. Opuszczając Twoje mieszkanie, wezmę ze sobą

rysunek drugiej części mapy. Złożę je obie razem zgodnie z Twoimi objaśnieniami i znajdę ten skarb. Wracam do nauczyciela Cona i może uda się nam razem zbudować życie, jakiego nigdy nie zaznałam z Tobą.

Pozostaniesz na zawsze moim Pierwszym Mężem, Danie. Nigdy Cię nie zapomnę.

Ven

Kiedy przeczytał ostatnią linijkę, przeszył go ból. Jak składnie Ven potrafiła przelać swoje myśli na papier! Nie przestała go zadziwiać do samego końca. Zrozumiał zarazem, że napisała to, by wykazać swą wyższość, udowodnić, że zawsze wiedziała więcej od niego. Niegdyś była jego własnością, a potem ją utracił, odnalazł i teraz znowu utracił, już na zawsze. Lecz jednocześnie obdarzyła go wolnością, i oto zaczynał się nowy etap w jego życiu.

– Wybacz mi, młody panie – odezwał się eunuch – ale mam jeszcze jedną złą wiadomość. Dziś rano udałem się na poszukiwanie pani Tai May. Ponieważ oddałem jej w nocy pański list i byłem świadkiem zachwytu, jaki odmalował się na jej twarzy po jego przeczytaniu, miałem nadzieję dowiedzieć się więcej na temat jej wyjazdu z cytadeli. Jednakże młoda dama zniknęła razem z całą trupą. Zjawiłem się w ostatniej chwili i zobaczyłem tylko, że są eskortowani przez Bramę Północną.

Dan zmrużył oczy. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał słowa eunucha, lecz nie miało to teraz znaczenia. To, co zobaczył starzec, nie zmieniło niczego; Tai May otrzymała list i był pewien, że wkrótce się zjawi w umówionym miejscu. Będzie tu siedział na chodniku i czekał na nią. Jego wiara była tak silna, że przetrwałaby każdą próbę.

– Ona przyjdzie – mruknął. – To może potrwać jakiś czas, ale w końcu mnie znajdzie.

– Ależ pan mnie nie rozumiał – powiedział eunuch, wyciągając rękę, by pomóc mu wstać. – Młody cesarz wszystko zmienia i nikt nie wie, co za chwilę wymyśli. Cały system dworski zdaje się przeżywać

swój schyłek. W pałacu panuje niepewność i zamieszanie. Cesarzowa Matka obawiała się, że wypuszczenie trupy operowej przez Bramę Południową może wywołać niepożądane reakcje ze strony mieszkańców Hue, dlatego wyprowadzono artystów innym wyjściem. Widziałem, jak pani Tai May błagała jednego z gwardzistów o zmiłowanie, lecz na próżno. Powinieneś wejść do miasta, młody panie. Brama będzie otwarta jeszcze tylko przez niecałą godzinę.

Dan odepchnął rękę starca.

– Błagam – nie ustępował Ung. – Obawiam się, że czeka pan na marzenie, które nigdy się nie spełni.

Dan zerwał się na nogi. Jego oczy musiały chyba miotać płomienie, bo Ung cofnął się przestraszony. Rower przewrócił się na żwir. Młodzieniec chwycił starca za kościste palce i ścisnął tak mocno, że ten aż pisnął.

– Pewnie pan myśli, że oszalałem – powiedział Dan. – Pan i cała reszta świata! Nie znacie jej tak jak ja. Gdyby pan widział nas razem w dzieciństwie! Zakochałem się w niej, gdy tylko przyprowadzono mnie do tego domu. Widziałem, jak tańczy, a mnie kupiono jako niewolnika, który miał ją uszczęśliwić. Gdyby pan słyszał, jak przysięgaliśmy sobie w noc Żniwnego Księżycy, gdyby mógł pan być parawanem, który nas rozdzielał... nieszczęsnego hafciarza i samotną tancerkę... zrozumiałby pan, jak głęboka miłość nas łączy. Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, panie Ung. Proszę posłuchać! Napisałem jej, że będę tu na nią czekał. Niemal czuję jej obecność coraz bliżej i pozostanę w tym miejscu, dopóki Tai May się tu nie zjawi. Jeśli odejdę, nigdy mnie nie znajdzie.

Starzec spoglądał na niego tak, jakby miał przed sobą szaleńca.

– Ten rower należał do pani Chin – powiedział w końcu, stawiając wehikuł na podpórcę. – Ponieważ jest pan jedynym spadkobiercą, przyniosłem go panu.

Ung odwrócił się i odszedł. Dan usiadł z powrotem na ziemi i głęboko odetchnął. Nawet gdyby miał tutaj siedzieć przez tysiąc lat,

powiedział sobie w myśli, nawet gdyby miał się zmienić w kamień nagrobny, czekając na nią, to niechaj tak się stanie. Może ktoś kiedyś zapali w jego intencji kadzidło.

Ven dotarła do chaty wybijacza godzin późnym popołudniem. Dąb rozpościerał nad tym miejscem swe potężne konary, pogłębiając wrażenie osamotnienia. Przez baldachim liści przedarły się ostatnie promienie słońca, rzucając jasne plamy na strzechę dachu. Ven miała przez chwilę wrażenie, że to wróciła wiosna.

Ziemia była błotnista po ostatnich deszczach. Wokół chaty, wśród skórek bananów, rybich ości i resztek ryżu leżały rozbite butelki po winie. Było jasne, że Duży Con znowu się upijał. Spokojny dom, który opuściła tak niedawno, znów przypominał o niegdysiejszym życiu wybijacza godzin.

Przy każdym kroku spod nóg Ven zrywały się z tego śmietniska chmary much. Pogłos ich brzęczenia niósł się w milczący las. Podeszła do drzwi zbitych z bambusowych drągów. Zarastał je częściowo bluszcz o małych fioletowych kwiatkach.

Pociągnęła drzwi do siebie i weszła powoli do środka. W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny i przegniłego drewna i panował zupełny mrok, jeśli nie liczyć kilku smug światła wpadającego przez dziury w dachu. Spojrzała ku bambusowej ławce w kącie, spodziewając się ujrzeć tam zapijaczoną twarz, lecz zobaczyła tylko koc, porządnie złożony, tak jak go zostawiła. Poczucie opuszczenia było tak dotkliwe, że musiała wyjść na zewnątrz.

Stojąc na skraju lasu, słyszała w głębi za drzewami szmer strumienia. Spadające liście płynęły w powietrzu nad jej głową, niczym łodzie po rzece. Czerwone słońce nabrzmiało jak wulkan gotowy w każdej chwili wybuchnąć. Spojrzenie Ven padło na mały metalowy przedmiot, lśniący wśród liściastej ściółki.

Wiedziała, co to jest – gong, z którym wybijacz godzin się nigdy nie rozstawał, nawet pijany do nieprzytomności.

Poczuła na skórze zimny powiew wiatru. Ruszyła niepewnie po mokrej gliniastej ziemi, mnąc w rękach przód koszuli. Prócz gęstej woni rozkładających się roślin jej nos wychwycił odór moczu i wymiocin. Con musiał być gdzieś niedaleko. Zawołała go szczekliwie kilka razy, lecz echo powróciło bez odpowiedzi.

Dotarła do gęstych bambusowych zarośli nad brzegiem strumienia. Słyszała tylko szmer płynącej wody, poza tym las stał cichy i nieruchomy. Zaglądała pod każdy krzak, lecz niczego nie znalazła. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wrócić do chaty i nie zaczekać tam na Cona. Poczuła jednak drapanie w zaschniętym gardle i przypomniała sobie, że nie jadła ani nie piła od samego świtu.

Weszła na pomost i klęknęła na jego skraj. Nabrała w garść wody i podniosła ją do ust, czując na skórze lodowaty dotyk. Nagle ujrzała czerwoną strużkę krwi i znieruchomiła przerażona. Przez szpary bambusowego pomostu dostrzegła ciało wybijacza godzin. Leżał rozciągnięty na brzuchu w płytkiej wodzie, z głową odwróconą na bok. Z jego szyi sączyła się strużka krwi, falując z nurtem jak ogon czerwonego karpia.

Ven wskoczyła z krzykiem do strumienia, przerażająco lodowatego jak na wczesną jesień. Uklękała i wyciągnęła Dużego Cona spod pomostu. Kiedy objęła go ramionami, jego głowa opadła bezwładnie. Zęby mu szczękały, a usta miał tak ciemnoniebieskie, jakby właśnie wypił cały kałamarz atramentu. Z boku szyi ziała rozwarta szeroko głęboka rana. Ven nakryła ją dłonią, próbując zasklepić rozcięcie. Zawołała do niego drżącym głosem, w swym dziwnym, niezrozumiałym języku. Wybijacz godzin jęknął i otworzył oczy.

– Wróciłaś – wyszeptał – mój strachu na wróble. – Chwytał łapczywie powietrze, usiłując pozostać przytomnym. – Czekałem... na ciebie.

Jej łzy zrosiły ranę i ściekały na pierś Cona jak fioletowe kwiatki, podobne do tych na dzikim bluszczu przy drzwiach chaty.

– Ktooo...? – wykrztusiła z wysiłkiem Ven, zła, że nie może wypowiedzieć najprostszego słowa.

On jednak potrafił ją zrozumieć, nawet zapłakaną.

– To nieważne – wychrypiał. – Byłem pijany, wdałem się w bójkę... Dawny wróg... moja wina.

Sięgnął po jej dłoń. Opuszki palców miał pomarszczone od zbyt długiego moczenia w wodzie.

– Żegnaj – szepnął.

– Nie! Nie! – Zrozpaczona przygarnęła go mocniej do piersi, w nadziei, że ciepło jej ciała przywróci go do życia. Mimo to czuła, że robi się coraz zimniejszy. Nie odchodź! – rozbrzmiał krzyk w jej umyśle. Zdobędziemy wspólnie wielką fortunę!

Duży Con po raz ostatni podniósł powieki, żeby na nią spojrzeć.

– Jestem wybijaczem godzin – powiedział. – Wiem, kiedy nadchodzi odpowiedni czas... szczególnie dla mnie. – Jego głowa przetoczyła się na bok i znieruchomiała.

Ven jeszcze przez długi czas klęczała nad brzegiem strumienia, tuląc w ramionach martwe ciało. Nie zauważyła, kiedy zapadła noc, lecz miała wrażenie, że ogarniał ją świat całkowitej czerni; tak jej się w każdym razie wydawało. Pierwszy raz w życiu bała się ciemności.

Epilog

Smak gardenii

Zbliżała się szósta rano. Nad Miastem Cesarskim za Bramą Południową wisiał opalizujący mrok. Kończyła się kolejna noc, a Dan nie ruszył się na krok ze swego stanowiska.

Czuł skradający się nad dziedzińcem świt. Pierwszy promień słońca załamał się na krawędzi pałacowego dachu i padł na jego twarz, iskrząc się jak diament. Zagrzmiął wystrzał z działa i cytadela zbudziła się do życia.

Dan oparł się o kamienną ścianę, kładąc głowę na splecionych dłoniach. Jego zmysły odbierały wrażenia, lecz nie był świadom niczego; nie wiedział, czy to słoneczny poranek, noc, czy może stan pośredni między życiem i śmiercią.

Targowisko zaczęło się zapelniać ludźmi. Otoczyły go odgłosy rozmów i szurgotania butów, szelest zgrzebnych ubrań przechodzących wieśniaków. Te dźwięki wyrwały Dana z odrętwienia. Jego spojrzenie padło na parę drewnianych sabotów, czystych i eleganckich. Na podbiciu małych stóp zapięte były czerwone aksamitne paski. Dan pomyślał o szkarłatnych płatkach róży, którą wyhaftował kiedyś na białej tkaninie. Poczul aromat gardenii i w jego sercu zagościła radość.

– Przepraszam, ale nie mogłam przyjść wcześniej – usłyszał miękki głos.

Podniósł wzrok i ujrzał ją, skąpaną w pulsującym blasku jutrzeńki.

Słońce oślepiło go na moment. Wstał natychmiast, niemal nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. To była ona, Tai May! Wydawało się, że wyrastała ze słonecznego blasku. Mimowolnie poprawił kołnierz tuniki, a potem przygładził włosy.

Uśmiechała się. Czarne włosy okalały jej twarz, lśniąc w jasnym świetle świtu. Drobnym ruchem ręki rozpuściła je i opadły swobodnie na jedno ramię. Piękno tego gestu tak oszołomiło Dana, że zakreśliło mu się w głowie.

– Nie spóźniłam się, prawda? – zapytała. Lekko się przy tym zamruwiła, gdyż spoglądała mu prosto w oczy.

– Czy to naprawdę ty? – Dan dotknął jej szyi. Pod gładką, miękką skórą pulsowała mała żyłka. Tai May przysunęła się bliżej i jej usta przylgnęły do jego warg. Poczuł na czubku języka smak gardenii.

Odsunęli się od siebie, promieniejąc ze szczęścia. Buchający z nieba słoneczny blask ogarnął ich swą intensywnością.

– Och, Myszko – szepnęła. – Weź mnie mocno w ramiona, chcę cię poczuć.

– Jestem twój – odparł, przytulając ją mocno. – Przekonasz się, jak wielka jest moja miłość do ciebie i jakiej nabrała głębi przez te lata czekania. Teraz nic na ziemi już nas nie rozdzieli. Chodź ze mną! – Przesunął palcami po jej plecach i Tai May zadrżała pod jego dotknięciem.

– Dokąd idziemy? – wyszeptwała.

– Daleko stąd – odparł, kładąc dłonie na kierownicy roweru. Srebrzysta rama błyszczała w słońcu. Po chwili dodał uroczyście, jak gdyby recytując słowa poematu: – Tam, dokąd nas zawiezie ten metalowy rumak. Nawet na koniec świata.

Tai May czuła pod dłońmi chłodny metal kierownicy. Dan objął ją jedną ręką w talii, a drugą przykrył przegub, splatając palce z jej palcami. Siedzieli razem na jednym siodełku. Czuła na karku szorstkość nieogolonej brody i budziło się w niej coś, czego nigdy dotąd nie

doświadczyła. Opierała się o pierś Dana, jego muskularne nogi napierały na nią z boków. Ciało kochanka owijało ją jak kokon. Rower ruszył z chrzęstem po żwirowej drodze.

– Spójrz, Myszko – pokazała mu samotny różany krzew pod murem cytadeli. – Ostatnia róża jesieni.

– Nie, kochanie – odparł, owiewając jej ucho gorącym oddechem.
– To pierwsza róża wiosny.

Od Autora

Kiedy mój dziadek po raz pierwszy opowiedział mi historię swego życia, miałem sześć dni. Leżałem w bambusowej kołysce, zawieszanej na sznurach pod belką sufitu. Letnie niebo jaśniało za oknem jak odwrócony do góry nogami ocean, nieruchome, jeśli nie liczyć kilku dalekich obłoków. Nad ogrodową fontanną fruwały kolibry, które znikwały potem wśród drzew granatu.

Sufit kołysał się nade mną, a dziadek opowiadał melodyjnym tonem, z tym samym zawsze wstępem: „Podczas zimowych miesięcy Rzeka Perfumowa była bardzo chłodna[^] szczególnie o świcie”. Świat dziadka był prosty, niesymetryczny i celowo pozbawiony materialnych śladów. Jego opowieści nie ilustrowały żadne fotografie ze starego albumu, tylko łagodny głos, płynący wraz z rzeką pamięci.

Czasami przyłączała się do niego moja babcia. Tworzyła tło, grając cicho na lutni i śpiewając wietnamskie pieśni. Moje dzieciństwo z nimi pełne było cudów. Mogłem zawsze zamknąć oczy i przenieść się do czasów, kiedy dziadek był małym chłopcem. Inne dzieci wyrastały wśród bajek, a ja żyłem w strumieniu świadomości mego dziadka, karmiąc się jego myślami, czując jego emocje i chłonąc jego spuściznę.

Kiedy podrosłem i mogłem pomagać przy pielęgnacji roślin, przenosiliśmy się do ogrodu. W tym czasie w miejscu drzew rosły już różne pnącza, które wspinały się po białych kratownicach. Kolibry się

wyniosły, a pojawiły się motyle. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem zalane morskim błękitem niebo, jak zawsze pełne nieodkrytych tajemnic.

Byłem w wieku, w którym wszystko wydaje się skomplikowane, a nadawanie czemuś nazwy powiększa tylko pomieszenie co do prawdziwej natury rzeczy. Nie rozumiałem, dlaczego psa nazywa się „psem”, a kota „kotem”. Opowieści dziadka znacznie się więc wydłużały z powodu moich niekończących się pytań. Lecz on wyjaśniał mi wszystko bardzo cierpliwie.

Poziom porozumienia między nami rósł z upływem czasu, ponieważ kochałem dziadka jako gawędziarza, a on tak bardzo kochał życie. Pamiętam, z jakim podnieceniem czekaliśmy obaj, aż zakwitnie kaktus. Zachwycały mnie delikatne pąki kwiatu i widok wyciągających się do księżycy długich, wiotkich pędów, które rozwijały się jak wąsy paproci. Babcia dla oczyszczenia powietrza zapaliła w miedzianej urnie korę sandałowca. Słuchając dziadka, niemal widziałem muzykę jego głosu, jak wiruje w kadzidlany dymie. Jednakże przedłużające się oczekiwanie znużyło mnie i w końcu zasnąłem na jego kolanach.

Późną nocą obudziła mnie mocna woń perfum. Otworzyłem oczy. Księżyc świecił jakby przez arkusz ryżowego papieru. Kadzidło już się wypaliło. W dalszym ciągu byliśmy w ogrodzie, lecz wiatr znacznie osłabł i stał się niemal płynny od wilgoci. W pierwszej chwili pomyślałem, że to księżyc wydziela tę woń przypominającą zapach wnętrza świątyni. Lecz po chwili zobaczyłem kwiaty kaktusa. Zewnętrzne osłonki, przedtem różowe, teraz stały się cynobrowe, jakby na białe płatki wylała się krew. Pamiętam moment, gdy światło księżycy zlało się w jedno ze słupkami kwiatu. Cały kaktus emanował opalizującą poświatą. Dziadek siedział w milczeniu. Kiedy wonna mgiełka zniknęła, białe płatki zamknęły się na powrót. Krótkie zaloty księżycy i kwiatu dobiegły końca.

Życie z moim dziadkiem codziennie przynosiło niespodzianki. Nigdy nie wiedziałem, jakiej znów lekcji mi udzieli. Czasami była to

przeczytana ze starej księgi historia albo jakieś wydarzenie z jego życia, kiedy indziej gobelin z wyhaftowaną moją podobizną lub rozmowa na temat roślin i ziół w ogrodzie.

Dziadek budził mnie nieraz przed wschodem słońca i szliśmy nad staw, gdzie rosły lotosy. Wciąż jeszcze czuję zimny piasek pod bosymi stopami, gdy biegłem kilka kroków przed nim, niosąc w ręce dziecinnych rozmiarów czajnik do herbaty. Podczas gdy dziadek zbierał poranną rosę z lotosowych liści, ja szukałem herbaty ukrytej głęboko we wnętrzu kwiatów.

Przez długi czas nie rozumiałem, skąd herbata w ogóle się tam wzięła. Myślałem, że rośliny same ją wytwarzają albo że jest to podarunek dla nas od wodnych rusalek. Dopiero po latach dowiedziałem się, że to babcia umieszczała listki herbaty w pąkach lotosów, żeby marynowały się tam przez noc. Jednakże nawet teraz, gdy tajemnica już się dawno wyjaśniła, wspomnienie to ma wciąż dla mnie wyjątkowy czar. Biegałem od kwiatu do kwiatu jak dziecko szukające świątecznych jajeczek, zbierając mój skarb i czując rozczarowanie przy każdym pustym pąku.

Kiedy dziadek zebrał już dość rosy z liści i czajniczek był w jednej trzeciej zapełniony wodą, wracaliśmy do domu. Babcia rozpałała węgle w terakotowym piecu na zewnątrz kuchni, gotowa do rozpoczęcia rytuału. Dziadek poprzez tę ceremonię wyrażał swój szacunek dla sił natury. Woda zaczynała się gotować i para gęstniała w mgłę wokół mnie, odbierając otoczeniu realność. Wyłaniała się nowa sceneria, opisywana jego głosem – świat, będący niegdyś jego światem, który chciał teraz przekazać mnie. Gdy opowieść dobiegła końca, dziadek kazał mi ją powtarzać wciąż od nowa. Nie wiedziałem, czy sprawdza, co zapamiętałem, czy też stara się tylko ożywić przeszłość.

- Kim była piękna tancerka Tai May? – zapytałem go kiedyś.
- Jest tutaj – odpowiedział.
- Naprawdę?
- Tak, tylko że teraz nazywamy ją babcią.

– A co się stało z Ven?

Dziadek pogrzebał w palenisku bambusowym kijem, aż uleciały z trzaskiem iskry.

– Ven zabrała mapy i zniknęła. Nigdy już jej nie zobaczyłem. My z babcią wróciliśmy do wioski Cam Le. Przez wiele następnych lat, w dniu moich urodzin znajdowałem rano na frontowej werandzie naszego domu małą tacę z moją ulubioną potrawą.

– Bananami z ryżem w sosie kokosowym? – zapytałem.

Dziadek się uśmiechnął.

– Ven była jedyną osobą, która naprawdę umiała je przyrządzać tak, jak lubię. Trwało to przez całe lata, aż któregoś roku się skończyło. To był dla mnie znak, że umarła.

– A co z ukrytym skarbem?

– Nie wiem, czy Ven w ogóle do niego dotarła. Dla mnie nie miało to znaczenia, bo już znalazłem swoje największe bogactwo. Jest nim rodzina, w której teraz żyjemy.

Nigdy nie zapomnę twojej opowieści, dziadku. Gdziekolwiek jesteś, wciąż jej słucham.

Podziękowania

Pamięci Christine Jampolsky i moich dziadków

Z serdecznymi podziękowaniami dla Judy Clain, Fiony i Jake'a Ebertsów, Michaela Hamiltona, Brendy Marsh, Petera Millera, Claire Smith, mojego brata Jimmy'ego i siostry BeTi

Szczególne podziękowania niechaj przyjmą: Do Phuong Khanh, Kathleen Bui Mai Khanh, Vu Quang Ninh, Nguyen Xuan Nghia oraz Dinh Quang Anh Thai

Dodatkowe podziękowania składam: Kathy Bishop, cau mo Hoa Buu, Christine Crownin, Doan Thu Doan, Pi Gardner, Michelle Hillman, chu thim Hoc, Bobowi i Sally Huxleyom, Tomowi Johnowi, Bilowi Richardsowi, Camilowi Sanchezowi, Julii Szabo i Patricii Urevith

Dziękuję również wszystkim w Little, Brown; PMA; Corbin and Associates; w radiu Little Saigon; dzienniku „Viet Tide” i Thuy Nga Productions

Spis treści

| | |
|---|-----|
| Część pierwsza | 7 |
| Rozdział pierwszy – Ślub | 9 |
| Rozdział drugi – Śniadanie | 16 |
| Rozdział trzeci – Posłaniec | 32 |
| Rozdział czwarty – Wybijacz godzin | 44 |
| Rozdział piąty – Piekło | 56 |
| Rozdział szósty – Spotkanie | 70 |
| Rozdział siódmy – Dwie srebrne monety | 89 |
| | |
| Część druga – DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ | 107 |
| Rozdział ósmy – Korzystne małżeństwo | 109 |
| Rozdział dziewiąty – Taniec feniksa | 120 |
| Rozdział dziesiąty – Przełom | 143 |
| Rozdział jedenasty – Róża | 154 |
| Rozdział dwunasty – Ropucha i złota rybka | 164 |
| Rozdział trzynasty – Serce motyla | 176 |
| Rozdział czternasty – Strach na wróble | 194 |
| | |
| Część trzecia – SIEDEM LAT PÓŹNIEJ | 207 |
| Rozdział piętnasty – Apartamenty Spokoju | 209 |
| Rozdział szesnasty – Sala balowa | 226 |
| Rozdział siedemnasty – Portret cesarza | 239 |

| | |
|--|-----|
| Rozdział osiemnasty – Camille | 251 |
| Rozdział dziewiętnasty – Hotel Czerwonych Snów | 265 |
| Rozdział dwudziesty – Rower | 275 |
| Rozdział dwudziesty pierwszy – Skrzydła ważki | 284 |
| Rozdział dwudziesty drugi – Płomienie smoka | 298 |
| Rozdział dwudziesty trzeci – Srebrny łańcuszek | 311 |
| Rozdział dwudziesty czwarty – Droga do nirwany | 319 |
| Rozdział dwudziesty piąty – Kwitnący bluszcz | 332 |
| | |
| Epilog – Smak gardenii | 343 |
| | |
| Od Autora | 346 |
| | |
| Podziękowania | 350 |